



*Carol  
Shields*

*Zagadka  
wiecznego pióra*

*Carol Shields*

# *Zagadka wiecznego pióra*

Z angielskiego przełożyła

*Ludmiła Mariańska*



ŚWIAT KSIĄŻKI

Tytuł oryginału

SWANN

Projekt obwoluty, oprawy i stron tytułowych

*Ewa Łukasik*

Redakcja

*Barbara Waglewska*

Redakcja techniczna

Alicja Jabłońska-Chodzeń

Korekta

*Marianna Filipkowska*

*Maria Włodarczyk*

Copyright © 1987 by *Carol Shields*

© Copyright for the Polish edition by Bertelsmann Media sp, z o.o.

Warszawa 1998

© Copyright for the Polish translation by *Ludmiła Marjańska* 1998

Bertelsmann Media Sp, z O.O.,

Warszawa 1998

Skład *Joanna*

*Duchnowska*

Druk i oprawa w GGP

ISBN 83-7129-588-X

Nr 1805

*Sarze Ellisyn Shields*

Rzeki tego kraju  
Żłobią dno schną uśmiercają.  
Wody mojego ciała  
Niewidoczne wzbierają.

*Mary Swann*

Sara Maloney

## 1.

Nie tak dawno, bo jakieś dwa lata temu, kiedy miałam dwadzieścia sześć lat, nosiłam wytarte dżinsy i koszulki ozdobione na przodzie najdziwniejszymi nadrukami. Na takim etapie wtedy byłam. Teraz jestem właścicielką sześciu par pięknych pantofelków, które, kiedy ich nie noszę, trzymam w oryginalnych pudełkach, owinięte w bibułę. Każda para kosztowała co najmniej sto dolarów. W szafie wiszą trzy suknie (prać tylko chemicznie), dwa drogie kostiumy i osiem jedwabnych bluzek przeważnie koloru lilaróż i złotawego jak brandy. Może to niezbyt wiele, ale zadowolająco. Czytałam Henry'ego Thoreau, i wiem, że prawdziwe bogactwo kryje się w królestwie ducha; jestem jednak osobą, która potrafi wydobyć się z głębokiej depresji, kiedy pogładzi palcami kaszmirowy szal.

Nazywam się Sara Maloney i mieszkam sama. Zawodowo - w tych czasach ludzie lubią wiedzieć coś na ten temat - zajmuję się nauczaniem na uniwersytecie, a także jestem feministyczną pisarką, która ma pewne wątpliwości co do kierunku feministycznego pisarstwa w Ameryce. Od dwudziestu pięciu lat krzyczymy: „Moje życie należy do mnie!” Wzruszający okrzyk, odbijający się szerokim echem, ale właściwie, jaki zawiera sens? (Kiedyś świetnie wiedziałam, co to znaczy wolność, a teraz nie mam pojęcia. Naturalnie okropnie mnie irytuje, że tę wiedzę utraciłam).

Wczoraj wieczorem Brownie, który dzielił ze mną łóżko, jak to zazwyczaj czyni we wtorki, zarzucił mi, że stanowią klasyczny przypadek wypalenia się. Zarzut ten stanowczo odrzucam. O, potrafię jeszcze być impulsywna i trudna! Bywają dni, kiedy we wszechświecie istnieje jedynie Virginia Woolf, z którą chciałabym porozmawiać; ale ona, oczywiście, nie żyje, zresztą i tak by mnie nie polubiła. Jestem zbyt postrzelona. Mogłabym też pogadać z Mary Swann. Ale ona również odeszła. I to całkowicie.

Takie nastroje nachodzą mnie i odchodzą. Najczęściej panna Maloney jest kobietą wesołą, ach, naprawdę, bardzo wesołą! I bardzo zajęta. Wstaje o siódmej, trzykilometrowy bieg w parku Waszyngtona (spójrzcie, jak sunie naprzód równymi wielkimi susami), potem do domu na grzanek z białej bułki i naturalny sok pomarańczowy. Pysznic, a następnie wkłada na siebie piękne, bezwstydne stroje.

Sprawdzam w lustrze, jak wyglądam. Halo, jak tam? I potrząsam palcami z długimi, czystymi, nie polakierowanymi paznokciami. Nigdy nie będę musiała robić makijażu - przynajmniej w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Potem łapię torebkoteczkę, włoską, 300 dolców, i ruszam w drogę. „Ruszam w drogę” - ten zwrot napelnia moje usta jak banieczki piany. Zwracam szczególną uwagę na takie zwroty. Są mi potrzebne, dają słowo.

Nie mam samochodu. Wybiegam z domu prosto w obłok grubej, żłocistej październikowej mgły, idę prosto ulicą Sześćdziesiątą Drugą do Cottage Grove i dalej Cottage Grove, z rozmachem wymachując torebką, żeby dodać sobie odwagi. Napady w ciągu dnia nie są w mojej dzielnicy czymś niezwykłym, mam przy sobie najwyżej pięć dolarów, tandetny zegarek i pęk nie pasujących do niczego kluczy. Kiedy idę ulicą, nastawiam walkmana jak najgłośniej. Nie Mozarta, nie teraz - tylko lekkie podkład spokojnego rocka, który pomoże mi rozpocząć dzień z nadzieją i może uchroni od złego. Na głowie mam cudowny kapeluszek z szerokim rondem. Jedwabna lamówka wspaniałego angielskiego płaszcza przeciwdeszczowego szeleści akurat na wysokości kolan. Noszę doskonałe pończochy i nauczyłam się dobrać je odpowiednio do tego, co mam na sobie.

- Dzień dobry, doktor Maloney! - woła sekretarka wydziału, kiedy wchodzę na uniwersytet.

- Dzień dobry, panno Lundigan - odśpiewuję.

Takie formalne przywitania należą do codziennego rytuału. W każdym innym wypadku mówię do niej „Lois” albo „Lo”, a ona zwraca się do mnie „Saro”. Jest w wieku mojej matki, ma krwistoczerwone paznokcie, a włosy tak skręcone i zbite, że wyglądają, jakby były prosto z fabryki peruk. Pisze na maszynie fantastycznie. Czysto, wyraźnie, równo, a gdy dojeżdża do marginesu, słychać tylko: zing. Wręcza mi pocztę i kopię moich notatek z wykładu po korekcie.

Dzisiaj, za dziesięć minut - Boże, pomóż mi! - będę mówić do setki studentów (w tym do dziewięćdziesięciu kobiet) na temat: „Amy Lowell. Zagadka Ameryki”. O drugiej, po szybkim lunchu - libański chlebek z

serem - prowadzę cotygodniowe seminarium: „Kobiety w prozie Środkowego Zachodu”. Wokół mnie przy stole siedem jasnych twarzy doktorantek, każda rzuca kilowaty kobiecego blasku, tak że cały pokój jest naładowany, oczekujący i tryskający inteligencją.

Zwykle potem nasza paczka wychodzi na piwo. W barze na Sześćdziesiątej Drugiej przedstawiamy malowniczą scenę - portret olejny: kobiety siedzą kołem, ciemne płaszcze rzucone na oparcia krzeseł, kołyszają się kolczyki (łokcie i ramiona ożywiają kompozycję), szklanki podniesione z rozważą do rozważnych warg, oczy wzniesione, sprośności, erudycja.

Zapominają, która godzina i gdzie się znajdują. Zapominają, że siedzą w barze na Sześćdziesiątej Drugiej w mieście Chicago, jesienią, pod koniec roku, w dwudziestym wieku. Są zbyt zajęte rozmową, myśleniem, definiowaniem okresów, rewidowaniem historii, planowaniem prac semestralnych, prac dyplomowych, a również swojego życia, tak że niezależnie od tego, co się zdarzy, będą pchały swoje taczki wzdłuż tej świetlistej, wyznaczonej punktami linii, która - jak zdecydowały - musi prowadzić do przyszłości.

## 2.

Wczoraj wieczorem mój przyjaciel Brownie, a właściwie Sam Brown - lat trzydzieści, zarabiający na życie handlem „białymi krukami”, trudno osiągalnymi książkami i drukami, zajmujący w starej części miasta mieszkanie urządzone w stylu odrodzenia hiszpańskich misji, syn robotnika rolnego ze stanu Maine - wpadł, żeby pogadać o kastracji w kobiecych książkach. Kiedy zaczęłam oponować i dopytywać się, na jakiej podstawie doszedł do swego krytycznego sądu - niczym hałaśliwy czyściciel dywanów, który wciska się pod nie znane mu krzesła i stoły - Brownie rzucił cenne dla mnie nazwisko Mary Swann.

- Twoja Mary - oznajmił - jest znakomitym przykładem żeńskiego kastratora.

Zaskoczył mnie jego pogląd, chociaż wiedziałam, że Brownie czyta wiersze Mary Swann, bo niedawno mu pożyczyłam mój, jedyny zresztą, egzemplarz. Zażądałam więc, żeby uzasadnił swą konkluzję. Był na to przygotowany - zna mnie dobrze, za dobrze po tych kilku miesiącach - i wyciągnął z kieszeni kurtki kawałek złożonego papieru. Odchrząknął



i przechylając na bok głowę, przeczytał:

Zwykle drzewo prawdę  
Powiedzieć może -  
Lecz nie wcześniej  
Niż podetną mu korzeń.

Gorzki liść atakuje  
Łodygę całą,  
Żądając krótkiej chwili  
Szału.

- Ależ to bzdura - powiedziałam. - Ona mówi tu o społecznych i rodzinnych związkach, a ty masz na myśli nagą anatomię. Korzenie! Łodygi!

Uśmiechnął się, złożył papieraek i zaprosił mnie na spacer do parku. Wyszliśmy prosto w chłód; ja w zimowych rzeczach: szal zrobiony na drutach, wełniany kapelusz, kołnierz wysoko postawiony. Wsunęłam Browniemu rękę pod ramię. Serdecznie. Czule.

Lubię go, bardzo, o wiele za bardzo, a on może nawet mnie kocha, ale z żarliwością, która ugina się pod naporem czegoś nieokreślonego, jak gdyby wciąż pod tym zmarszczonym czołem rozgrywały się sceny z poprzednich rozmów i spotkań. Jest zbyt leniwy, zbyt zajęty i jak na mężczyznę za wiele czasu traci na żarty i marzenia; często mruczy pod nosem beztroską piosenkę, która głosi, że w gruncie rzeczy wszystko jest bez znaczenia. I to właśnie mnie do niego przyciąga. Rzecz jasna, widzę w nim antidotum na własne ataki zapalczowości. Dla Browniego dzisiejsza teoria kastracji jutro będzie już tylko mydlaną bańką. Jego umysł jest jak tkackie czółenka, stale wymyśla jakieś teorie, żeby móc się rozerwać. Rozerwać się - to jego główna ambicja. A także wzbogacić się. Kochany Brownie.

Spacerowaliśmy kilka minut w milczeniu, kopiąc sterty opadłych liści; mieliśmy się też na baczności przed rabusiami. Jak na początek października zimno było dokuczliwe. Brownie przytulił mnie na moment i z udawanym akcentem londyńskiej gwary powiedział:

- Myślałem, że będziesz wściekła, jak sobie zakpię z twojego konika.

- Ależ jestem, jestem - zapewniłam. Przez dwa lata namawiałam go, żeby przeczytał Mary Swann, od kiedy tylko zawędrowałam do jego sklepu na ulicy Madison, do Studia Browna, i nie znalazłam nic oprócz

półki do połowy wypełnionej poezją. Podrzedną poezją. Posprzeczałismy się od razu pierwszego dnia. „Prawdziwą forszę - oznajmił - naprawdę dużą forszę można zrobić na rocznikach komiksów”. Liczył na to, że kolekcja „Plastikowego Człowieka” utrzyma go, gdy się zestarzeje. Poezja, krótko mówiąc, wywoływała u niego skurcze odźwiernika, miał więc w sklepie utwory tylko największych: Carla Sandburga, Roberta Frosta i im podobnych. Poetyckie tomiki nie sprzedawały się, nie miały zbytu w przeciwieństwie do takich książek jak pierwsze wydania „Słońce także wschodzi”... Albo Updike. A ostatnio Ivy Compton-Burnett. Lubię spierać się z Browniem o takie rzeczy. Wrzeszczy. Ja mu odwrzaskuję. To dodaje pewnej pikanterii: okrywa nas okrągła parasolka podniecenia. A jednak na Browniego nie można liczyć.

Lubię myśleć, że oceniam go obiektywnie.

„Ten mężczyzna jest poważnie ograniczony - mówię sobie. - Powinnam pomijać milczeniem jego cyniczne upodobanie do komiksów. Powinnam lekceważyć jego uśmiech, który rozbłyska nagle, bez żadnego powodu. A w ogóle, jaką wartość ma czyjś uśmiech?”

Jednakże Brownie jest niezłym erudytą, ma pociągającą, wyostrzoną inteligencję, która - niczym dziury w jego swetrze - maskuje dotkliwie i bolesne rozumienie rzeczywistości. Tak. Ale właściwie jest lekkoduchem i chociaż temu zaprzecza, uważa książkę za towar. Jednakże lekkoduch bywa niekiedy miłym towarzyszem, zwłaszcza gdy lekkomyślność żarliwie pielęgnuje, najwyraźniej w celu obrony. Ale czy naprawdę tak jest? To marnowanie energii na próżne gadanie, te kaskady śmiechu... Czy można ufać człowiekowi, którego umysł balansuje, wyczynia sztuki i wznosi się na szczyty stosownie do tendencji rynkowych i dziwacznych jednodniowych teorii?

Nie. Tak. Może jednak...

Mój obiektywizm wobec Browniego jest zawsze w pogotowiu. A jednak raz po raz ulegam szalonej, nieobliczalnej szczęśliwości, kiedy jesteśmy razem. Tak, ale Brownie jest nieudolny. Ba, lecz pod nieudolnością kryje się ambicja. Możliwe, tylko że to chytra ambicja. Przypomnij sobie, co raz powiedział, iż oszukałby własną babcię, żeby zarobić dolca. Niczym się nie przejmuje. Ale dlaczego miałyby się przejmować? Dlaczego w ogóle ktoś miałby to robić? Niezupełnie rozumiem Browniego. A na czym polega zrozumienie się ludzi? Tylko na tym, że się lubią albo nie. Ja uwielbiam Browniego. Z pewnymi zastrzeżeniami. Wczoraj

wieczorem o mało nie zaczęłam go kochać, mimo że wsadził moją Mary Swann do jednego worka z Zygmuntem Freudem. Choć w gruncie rzeczy wcale tak nic uważa. Mogłabym się założyć.

### 3.

Przez wiele lat z kilku powodów miałam sporo znajomych, których tak naprawdę nie lubiłam. Jednym z nich był kolega ze studiów podiplomowych, mężczyzna-chłopiec z puchem na brodzie; nazywał się Olaf Thorkelson i zadreślał mnie, żebym wyszła za niego za mąż. Był młody, mądry, zawzięty, dobry i wesoły, ale słaby wewnętrznie. A ja chciałam mężczyzny ze stali. Takiego męża miała moja matka i moja babka, a ja wówczas miałam tylko Olafa.

Mówiłam mu, że boję się małżeństwa, że sprowadzałoby się ono do domku w Oak Park, tenisowego klubu, podwójnego łóżka i powolnej głuchoty. On zaś mówił, że rozumie mój punkt widzenia, ale że moglibyśmy przynajmniej żyć jak kochankowie. Nie - powiedziałam - byłabym wobec ciebie nieuczciwa. Odparł, że ma w dupie uczciwość. Powiedziałam, że uczciwość jest zasadą, którą się w życiu kieruję. (Lepiej jest mieć sumienie choć przez chwilę niż nie mieć go w ogóle). Męczył mnie przez całą wiosnę i tak mnie to wyczerpało, że już w czerwcu musiałam położyć się na tydzień do łóżka. Tak, tak, nieugięta Sara, którą uśmierciło niezdecydowanie.

Olaf, widząc mnie złożoną niemocą cały tydzień, wreszcie poczuł się winny i zaczął nalegać, żebym na trochę wyjechała, aby „przemyśleć całą sprawę”. Przyjaciółka jego siostry była właścicielką domku nad jeziorem w Wisconsin. Ponieważ nie miała korzystać z niego tego lata, Olaf wziął od niej klucz i wsadził mnie do autobusu Greyhounda.

Dwa dni później już tam byłam, spacerowałam po kamienistym skrawku plaży i podziwiałam czystość cirrusów i przejrzystość powietrza. Chatka była czymś kruchym i przyjaznym. Drewniane pochyłe podłogi skrzypiały, a kominek był zatkany i tak dymił, że w chłodne noce, zamiast w nim, rozpalalam pod kuchnią, żeby się ogrzać.

Szczególnie polubiłam piec w kuchni, jego zachęcający sposób, w jaki stał z dala od ściany, wyrzuczone rozmiary i „czarne” promieniowanie. Zdumiewające słowo „negroidalny” uformowało się na moim języku,

gdy otworzyłam drzwiczki pieca, wetknęłam do środka gazetę oraz drewnka na podpałkę i przytknęłam zapalną. Po wierzchu żar drżał i syczał jak czyjaś ludzka obecność. Pomyślałam, że jestem bardzo szczęśliwa, mając tak dobrego, pierwotnego, bezkrytycznego towarzysza w tym okresie życia. Przez cały miesiąc bawiłam się przyrządzaniem słodkich sufletów - rum, morele i cytryna - które w mrocznej czeluści piekarnika rosły i udawały się znakomicie.

W chwilach, gdy nie robiłam sufletów, pogrążałam się w osobliwej przyjemności wiejskiego gospodarzenia. W sprzątanii i robieniu porządków - w kątach mieszkania, szufladach komód i tak dalej - można znaleźć nagrodę. Sporządziłam prymitywną miotłę z gałązek i waliłam wesoło w pajęczyny i kłębki kurzu. Sznur do wieszania bielizny, który odkryłam rozciągnięty między dwoma drzewami, zdawał się mówić: „Czy życie nie staje się proste, kiedy się je obnaży do samego jądra?” W chatce na otwartej półce spoczywały: ubijacz do jajek, drewniana łyżka, żelazna patelnia do smażenia, cztery miseczki, cztery kubki i plastikowy półmisek, który opróżniłam na dworze, rzucając go na zagon chwastów. Szast, i już było po nim.

Chatka miała osłonięty ganek, gdzie zwykłam siadywać w najgorętszej porze popołudnia, bacząc, żeby światło było odpowiednio przefiltrowane i żeby w nowym planie życiowym nie zakotwiczyć się zbyt ryzykownie. W miarę upływu dni przychodziło uspokojenie. Wchłaniałam słoneczny, cętkowany świat, jaki mnie otaczał. Z Olafem jakoś sobie poradzę. Jego giętkie, pełne seksu cielsko blakło, ustępując miejsca zwykłej liście spraw do załatwienia. Jakoś przecież uporam się także z korektą pracy dyplomowej, no i przetrwam dwa następne lata mojego życia; był to najdalszy kraniec czasu, o jakim byłam w stanie myśleć. Dalej było falujące, chlustające jezioro, szerokie jak małe morze, za którym nie było widać przeciwległego brzegu. Długie popołudnia zanurzały się w nim i migotały. Muchy bezmyślnie uderzały w zasłonę. „Halo, koleżanki!” - mówiłam i miałam wrażenie, że w mojej głowie coś musi je, ale było to przyjemne uczucie.

Kiedy siedziałam w wiklinowym foteliku na przyciemnionym ganku, zdawało mi się, że tkwi we mnie jakaś wcześniejsza, przedlicealna, przedolafowa istota. Moja praca dyplomowa „Przez pryzmat kobiety” i rozdział, który miałam napisać od nowa, zniknęły z pamięci jak wychłupnięte pomyje. Zamiast nich miałam do czytania wymięte stare czasopiśma, całe ich stopy w wiklinowym, podpleśniałym koszu, i na półce

pełno tutejszych powieści o zielonkawych, poplamionych przez muchy stronicach. Przebrnęłam przez większość z nich z rozkosznym uczuciem, że jestem trywialna i płytka, i ze zbawiennym uczuciem przeciętności. A pod koniec miesiąca na samym końcu półki odkryłam mały osobliwy tomik wierszy, napisanych przez kobietę, której nazwisko brzmiało Mary Swann. Książeczka nosiła tytuł „Łabędzie pieśni”.

#### 4.

Mary Swann nie żyła już wówczas co najmniej od piętnastu lat. Jej jedyną książką była właśnie ta zszywana broszurka, wydrukowana w Kingston w stanie Ontario w 1966 roku.

Książka liczy dokładnie sto stron, na których mieści się sto dwadzieścia pięć wierszy. Na okładce z szarego, dość lichego papieru wytłoczono tylko jedną muzyczną nutę. Wiadomo było, że z pierwotnego nakładu dwustu pięćdziesięciu egzemplarzy ocalało jedynie około dwudziestu tomików „Łabędzich pieśni”. Smutny komentarz do tego, jak ceni się literaturę - mówi Brownie - ale nie budzący zdziwienia w odniesieniu do nieznannej poetki. Jak książeczka Mary Swann trafiła z Kanady do chatki nad samotnym jeziorem w Wisconsin, było tajemnicą i pozostaje tajemnicą. Jeden z tych przypadków, gdzie niejasność goni niejasność.

Nawet dzisiaj dzieło Mary Swann znane jest tylko garstce naukowców, z których kilku odmawia jej talentu i uważa za *poète naïve*. Rytm jej wierszy jest niezgrabny. Grubo ciosane, a nawet niepełne rymy wiążą te strofy z codziennością, a wiersze o wodzie, uznane za najlepsze w jej dorobku, mają w sobie pewną ciernistą chropowatość, która ujawnia popolitość kryjącej się za nimi kobiety; kobiety, która, jak mówią, miała trudności z wysławianiem się. Była żoną farmera, nie miała żadnego wykształcenia. W okręgu Nadeau w stanie Ontario powiadają, że mówiła z wahaniem, nieśmiało, o tak zwykłych sprawach, jak pogoda, przepisy na dzemy i galaretki czy jak niosą się kury. Robiła też szydełkiem serwetki pod kieliszki i szklanki. Chce mi się płakać, kiedy pomyślę o tych setkach okrągłych, pożółkłych serwetek, robionych przez Mary Swann całymi latami, świadczących zarówno o jej dobrym smaku, jak i bezgranicznej rozpacz.

Kontekst, słowo, które uwielbia Willard Lang, był u Mary Swann ściśle wiejski. Kilka jej wierszy po raz pierwszy opublikowano na ostatnich stronach lokalnych gazet: „Codziennie wiersz”, „Rymy, które lubimy” i tak dalej. Dopiero kiedy Mary Swann została zamordowana, redaktor jakiejś dziwacznej gazety, nazwiskiem Frederic Cruzzi, zebrał i wydrukował tomik zatytułowany „Łabędzie pieśni”.

Biedna Mary Swann. Tak właśnie o niej myślę: biedna Mary Swann, ze swoim mistycznym słuchem wyczulonym na melodię słów, okradziona z życia, okradziona z uznania. I chociaż zainteresowanie jej dziełem rośnie - napłynęło już trzydzieści zgłoszeń na styczniowe sympozjum - wciąż jest stosunkowo małe.

Willard Lang, ta świnią, jest absolutnie przekonany, że Mary Swann nigdy nie będzie uznana za wybitną poetkę. Ogłosił to na posiedzeniu MLA (Stowarzyszenia Językoznawców Nowożytnych) ubiegłej wiosny, przemawiając z lekkim poświstem żalu i ukradkiem pociągając się za ucho. „Jeśli poeta jest nieokrzesany - oznajmił - może być tylko drugorzędnym poetą, i niestety, wydaje się, że nie istnieją wyjątki od tej reguły”. Burns to całkiem inna rasa psów. Nieprawdopodobna intuicja mojej Mary i jej rzadka muzykalność wydają się niektórym świniom uważającym się za krytyków (Willard nie jest odosobniony) przypadkowe i tym samym jedynie osobliwe. A już żaden ze współczesnych uczonych nie wie, co robić z jej rymami, z jej strasznymi: gaj/maj czy wrzesień/jesień. Przyprawia ich to o ból głowy i powoduje, że prychną przez nos. „Co można zrobić - powiadają - z tą wiejską dojarką w wiktoriańskich aksamitach?”

Robię się niesforna i napastliwa, kiedy mowa o tych cholernych rymach. Z wyjątkiem najgorszych brzękadeł (wiry/kiry) nie wydają mi się bardziej natrętne niż przytupywanie nogą do taktu czy dźwięk dzwonka w oddali. Zresztą linijki wiersza pędzą klusem przed siebie za szybko, żeby przywiązywać zbytnią wagę do rymów. Jest w nich jakaś pracowita dbałość o dobre maniere. „Konieczność nagłego działania charakterystyczna dla Mary Swann” - tak to określiłam w swoim pierwszym o niej artykule. Pompatyczny zwrot! Pluję sobie w brodę, kiedy o tym myślę.

## 5.

Mieszkam w czymś, co było kaprysem innej osoby. To domek Jasia i Małgosi na parceli wielkości siedemnastu stóp w południowej stronie Chicago. Małe okna podzielone szybkami na kwadraty, drzwi jak z bajki, uroczy okrągły komin, a na dachu cedrowe szczapki udające strzechę. To jest cudowny dach, dach, który cieszy oko, spiczasty, spadzisty, spływający łagodną falistością ponad okna, z drobiazgową dokładnością naśladowujący styl Anne Hathaway. Dom był budowany w roku 1930 przez ekscentrycznego profesora literatury elżbietańskiej, kawalera z dotkliwą skoliozą i szpotawa stopą; po jego śmierci mieściła się tu dość krótko restauracja, a potem biuro okręgu wyborczego Demokratów. Teraz znowu jest domem. Z tyłu ma żelazny balkon (luźno uczepiony, ale zamierzam zlecić, żeby to sprawdzono), na którym stoję w ładne dni i spoglądam na ocalałe podwóreczko zawalone żelaznym złomem i na masywny produkt budownictwa mieszkalnego, pełen awanturujących się rodzin i potłuczonego szkła.

Kupiłam ten dziwny dom, kiedy zaczęły napływać pierwsze tantiemy za książkę „Przez pryzmat kobiety”. Gdzieś przecież musiałam mieszkać, a moja adwokatka, naprawdę świetna kobieta, Virginia Goodchild, stwierdziła, że to zdarza się tylko raz w życiu, by czyjaś praca doktorska stała się bestsellerem, i lepiej, żebym szybko utopiła gotówkę w kawałku nieruchomości. Znalazła mi akurat takie miejsce, powiedziała, najśliczniejszy dom w całym Chicagolandzie.

Dom ten jest dla mnie miły, a w zamian utrzymuję go w dziewiczej czystości; to znaczy nie karzę go wesołością. Żadnych plakatów, dywaników do modłów czy szkła dekoracyjnego (art déco), żadnych czeko-idealnych form udrapowanych w indonezyjską bawełnę. Mam stoły; mam jeden bardziej niż przyzwoity wschodni dywan; mam lampy. (Boże, daj mi żyć po spartańsku, ale jeszcze nie teraz!). W szafkach kuchennych trzymam talerze i filiżanki odpowiednio dobrane. W jadalni, nie ukrywam, mającej zaledwie dziewięć stóp na dziewięć, stoi - no, to może trochę dziwaczne - pianino, które niegdyś stało w barze hotelu „Pod Kaczorem”. Zaraz gdy skończę pracę o Mary Swann na styczniowe sympozjum, zamierzam wziąć parę lekcji gry na pianinie. Brownie mówi, że gra na pianinie uspokaja tak samo jak medytacja, a jest mniej szkodliwa dla komórek mózgowych.

Łudzę się, że tak jest, ponieważ nigdy nie mogłam pojąć, jaki sens

ma całkowite opróżnienie umysłu z myśli. Nasze myśli są wszystkim, co posiadamy. Kocham moje myśli, nawet jeśli prowadzą mnie tam i siam, w zaułki, gdzie unosi się skisły odór, dokąd raczej bym się nie odważyła zapuszczać. Cokolwiek błysnie w mojej głowie, należy do mnie. I chcę tego, tych wszystkich migocących impulsów i skłonności, i skojarzeń, i dziwaczności, a zwłaszcza tych jasnych purpurowych ognii, które napływają znikąd strumieniami i sygnalizują, że znajdujesz się w jakimś mistycznym stanie lub punkcie zwrotnym i że powinnaś bardziej uważać.

Szczęśliwie dla mnie było kilka takich niezatartych chwil; chwil, które głęboko odcisnęły się na tej dziwnej opowieści, o jakiej lubię myśleć, że jest historią mojego życia. Na przykład: mam osiem lat i czytam „The Wind in the Willows”. Potem żegnam mojego nieskazitelnego ojca (rak kości). Mając lat czternaście, czytam Charlotte Bronte - Charlotte, nie Emily. Z kolei rozstaję się, ale tylko na pewien czas, jak się okazało, z moją matką, kobietą, która nazywa się Gladys Shockley Maloney. Następnie czytam Germaine Greer. Później mówię „żegnaj” mojemu dziewictwu (żegnaj, żegnaj i żegnaj!). Potem czytam Mary Swann i odkrywam, jak łatwo ludzkie życie może zostać zdmuchnięte. Następnie żegnam Olafa, Oak Park i trzy lata naszego małżeństwa. Wreszcie kupuję w centrum miasta cudaczny domek-zabawkę; miałam szczerzy zamiar go sprzedać, kiedy ceny pójdą w górę. Ale bez żadnego sygnału ostrzegawczego naciągnął właśnie jeden z tych olśniewających, purpurowych punktów zwrotnych.

Nadszedł z powodu mojej sławy. Matka nigdy nie mogła zrozumieć rozgłosu, jaki mnie zaskoczył, kiedy miałam zaledwie dwadzieścia kilka lat. Nigdy nie dała wiary, że to rzeczywiście ja, że to moje gadające usta na okładce książki. Zresztą i ja w to nie uwierzyłam. To tak, jak gdyby panowała epidemia odry i tylko ja jedna zachorowałam.

W pół roku po ukazaniu się w księgarniach „Przez pryzmat kobiety” ktoś zdecydował, że mam się udać w objazd z promocją książki - jakby książka, która zajmowała szóste miejsce na liście bestsellerów nie należąca do gatunku fikcji literackiej, potrzebowała dalszego „podpompowania”. Zaczęłam w Bostonie, potem pojechałam do Nowego Jorku, Filadelfii, Pittsburgha i Cleveland, następnie skoczyłam do Louisville, przeskoczyłam do Denver i Houston, a skończyłam pewnego przygnębiającego popołudnia w L.A. w programie TV zwanym talk-show.



Kobieta, która prowadziła ze mną wywiad, była koścista i groźna, nosiła futrzaną kamizelkę i miała twarz niebezpiecznie obramowaną długimi rudymi włosami. Żeby ją przytłumić, mówiłam o socrealizmie uczoności: te pretensje; błędne systemy; arkana zabobonu; dominacja mężczyzn; mentalność garnizonowa; wrodzona arogancja.

Pochyliła się w moją stronę i pogłaskała mnie po kolanie.

- Nie przychodzi pani tutaj z arogancji, kochanie - powiedziała. - Przychodzi pani z nagiej konieczności.

Bang! Mój mózg przeszył purpurowy dreszcz. Zostałam odkryta, zdemaskowana, i tak prędko, jak tylko mogłam, powróciłam do Chicago, do mojego piernikowego domku na południu miasta, i postanowiłam, że póki żyję, zostanę w tym domu (co najmniej przez następne pięć lat). Miałam ochotę całować ściany, obejmować ramionami próchniejącego słupek podtrzymujący poręcz i ukryć twarz w jego rzeźbionym wgłębieniu podobnym do pochwy. Oto był dom. I wyglądało na to, że jestem kimś, kto musi mieć dom. Mogłam wejść do domeczku, moja okropna nędza i ja, mogłam zamknąć drzwi, zasunąć zasłony, gapić się na nieustający bałagan i trwać w absolutnym bezruchu. Podobnie do teoretyków, którzy nieustannie doprowadzają mnie do szału, nagle dokonałam odkrycia: moje życie należy do mnie, ale potrzebne mi jest miejsce, gdzie mogłabym od niego umknąć.

## 6.

Bóg umarł, pokój umarł, lata sześćdziesiąte odeszły, John Lennon i Simone de Beauvoir nie żyją, ruch kobiecy drzemie - no, powiedzmy, że sporządza spis inwentarza - cóż więc pozostaje?

Pozostaje codzienność. Mary Swann rozumiała to, nawet jeśli nie rozumiała niczego więcej.

Popołudnie i poranek  
Nocy ręce spracowane  
Mnie odrębną łączą w całość  
Z dniem moją duszę zszywają.

Ona to wypowiedziała. Mityczne falowanie wszechświata, tak zaskakujące, tak niepojęte, wciśnięte w łatwe do przelknięcia kęsy, uformowane na kształt dnia, stają się gładkie i przejrzyste. Powszedniość. Jednostka dnia, bezchmurna i możliwa do rozwiązania. Nic dziwnego, że

pierwsi ludzie oddawali cześć ciałom niebieskim; między wschodem i zachodem słońca w ich krótkim życiu kiełkowały wszelkiego rodzaju mrzonki i możliwości. Ilekroć spotykam kogoś nowego, nie proszę: „Opowiedz mi o swoim systemie wiary”, mówię: „Opowiedz mi o swoim zwykłym dniu”.

Powszedniość - to pewne - ma w sobie ciężkie pokłady znużenia, ale jest również, jak sugeruje Mary Swann, zbawienna. Szperam w pamięci, żeby znaleźć na to dowody...

Mój ojciec, na przykład, każdego dnia w swoim krótkim życiu wkładał bawełniane skarpetki i niemal zawsze mówił przy tym do mojej matki: „Bawełna pozwala skórze oddychać”. Codziennie też wypowiadał swoje zdanie o mrożonym mięsie.

- Uszkadza strukturę komórek - lubił mówić. - Niszczy odżywcze składniki.

W ten sam sposób protestował przeciw takim produktom, jak: masło, biały chleb, cukier - atakuje komórki krwi - czosnek (z tego samego powodu) i wszystko, co zawiera zieloną paprykę. Skądinąd był mężczyzną łagodnym, nauczycielem matematyki w liceum w zachodniej części miasta. Jego jasnorude włosy powiewające nad małymi uszami, piegowaty kark i zielonkawe garnitury, jakie nosił w klasie - to wszystko uczyniło go pokornym. Mało ważne, powtarzające się sądy o czosnku czy papryce były dla niego, jak teraz rozumiem, rodzajem próżności, apetytem, jaki musiał zaspokoić, przede wszystkim zaś niewinnym sposobem, dzięki któremu mógł zakorzenić się w ogromie czasu. Gazetę zaczynaj zawsze od artykułu wstępnego - mawiał. Nie ufaj nigdy człowiekowi, który nosi sandały lub brylantową biżuterię. Te drobne wybory i krytyczne osądy dawały mu zajęcie i poczucie bezpieczeństwa, podczas gdy rak cal po calu posuwał się wzdłuż jego kośćca.

Moja matka, wzdychając nad poranną filiżanką kawy i zapalając papierosa, po prostu przygotowuje się na najbliższą przyszłość. To samo robi moja siostra, Lena, za pomocą pigulek z żelazem, coca-coli i wieczornych dawek Brahmsa, i Olaf - za pomocą codziennego rytuału golenia, a także Brownie, przelykając codzienną porcję pochlebstwa i gotówki. Któż by ich za to winił? Któż by chciał? Przyzwyczajenie jest kołem zamachowym społeczeństwa, konserwując, zabezpieczając i schludnie podając jadalne plasterki kosmosu. I wiele można by powiedzieć o stałej diecie. Ci, którzy w gazetach udzielają rad, żeby dodać trochę

octu do waszego życia, igrają, wierzcie mi, z waszym zdrowiem psychicznym.

Każdego dnia na przykład jem libański chlebek z serem, a potem jabłko. Nie widzę powodu, żebym miała usprawiedliwiać się z tego nawyku. Około wpół do trzeciej po południu wspólnie z Lois Lundigan parzymy sobie herbatę, do wyboru Prince of Wales, Queen Mary albo Earl Grey. Ona nalewa, ja zmywam filiżanki. Jak siostry. Kobięca wspólnota. Od trzeciej do piątej, jeśli nie jest to dzień, w którym mam seminarium, siedzę na wydziale w moim pokoju przy biurku i pracuję nad artykułami albo robię plan lektur. O piątę trzydzieści rozprostowuję kości, pakuję śliczną teczkę, mówię Lois dobranoc i wychodzę na dwór. Słońce jest jeszcze wysoko, gorące i żółte. Codziennie idę tą samą trasą, obok zakurzonych krzewów, walących się sklepów, obok budynków mieszkalnych i drzew, które stają się coraz bardziej uliścione, kiedy zbliżam się do Pięćdziesiątej Siódmej Alei. W tym czasie zaczynam odczuwać niewielkie, ale wymierne brzęczenie w mózgu, które sprawia, że moje nogi zaczynają się poruszać w zdwojonym tempie. Oto jestem ja, zdeterminowany fragment ludzkiej materii, niesiony prądem na ruchliwej ulicy, która staje się nagle kanałem podziemnym - rurociągiem, obdarzonym siłą wysysania. Coś, jakaś moc większa od zmęczenia, ciągnie mnie do domu.

Nie ma w tym żadnej tajemnicy: wiem dokładnie, co mnie tak popycha do przodu. Nie jedzenie czy seks, nie odpoczynek czy przyście komuś z pomocą, ale myśl o stercie listów czekających na mnie na podłodze, gdy tylko zamknę za sobą drzwi.

Wśród przyjaciół znana jestem jako „królowa korespondencji”, która podczas długich telefonicznych rozmów międzymiastowych i jeszcze dłuższych okresów milczenia utrzymuje coś, co uważa się za kolosalną sieć połączeń. To mój kącik osobliwości. Moje dzierganie szydełkiem. Mój sos jabłkowy. Poczta splywa całymi lawinami, krajowa i zagraniczna, kartki i listy, i najdziwniejsze znaczki skupione w rogach brzuchatych kopert. Oczekują na mnie listy od dawnych, szkolnych przyjaciółek lub od siostr w naszym ruchu. A może jakieś gryzmoły od sześćoletniego siostrzeńca, Franklina, albo od mojej rodzonej siostry Leny z Londynu. Wydawca w Nowym Jorku zasypuje mnie dowcipnymi, błagalnymi liścikami. Virginia Goodchild, moja poprzednia adwokatka, często pisuje z Nowego Orleanu, gdzie teraz ma kancelarię. Olaf, obecnie w Tybingen, utrzymuje ze mną stały kontakt. Tak samo jak grupka studentów,

którzy robili dyplom w ubiegłym roku i dwa lata temu, wijący się szlak twarzy i słów. Zawsze, zawsze czekają na mnie listy. Dziewiętnastowieczna obfitość. Rozcinam je, otwieram, płonę i lodowacieję, pożeram je z pogańską radością, uśmiechając się w trakcie czytania, przytupując nogą i planując, co odpiszę, jakie epickie fragmenty wybiorę z tego, co dzieje się w moim życiu, jakie poprawię i co powierzę międzynarodowej poczcie.

Sobota i niedziela bez poczty to piekło, ale poniedziałkowy nadmiar częściowo je rekompensuje. Co wieczór piszę jeden, czasem dwa listy, podczas gdy reszta świata gra w zdraпки albo ogląda TV, albo piluje paznokcie, albo robi cokolwiek z tego, co zwykła robić. Piszę listy, które są wdzięczne i zgodne, o wiele bardziej wdzięczne i zgodne niż ja sama w bezpośrednim zetknięciu. Mój niepokój, dowcip trzymany w ryzach, moja urzędowa uprzejmość - wszystko to wysuwa się na plan pierwszy, ukazując tę uróżowaną, pomarszczoną ruską osobowość, którą lubię uważać za moje prawdziwe „ja”. (Weź tylko pióro, a drugie „ja” skręci się ze wstydu). Dbanie o siebie, a także otrzymywanie i wysyłanie listów stanowią siłę napędową mojej codziennej egzystencji, dodają mi energii, werwy, bodźca, krzepy, zapału, to sposób na wykorzystanie czasu i uporządkowanie go.

Dzisiaj jest gruby list od Mortona Jimroya z Kalifornii. Chyba na cztery strony, jeśli nie mam słoniowej skóry na opuszkach palców; nie mogę się doczekać, żeby go otworzyć. I stoję tak, i czytam, wciąż w płaszczu i kapeluszu, a moja piękna teczka leży na podłodze, tak jak ją rzuciłam razem z rozdartą kopertą.

Czytam list raz i drugi, potem odkładam. Jedząc obiad - wyfiletowana kurza pierś duszona w sosie grapefruitowym i cząsteczka brokułu *al dente* - czytam go po raz trzeci. Chyba wkrótce minie rok, jak pisuję do Mortona Jimroya, i uważam go za kłopotliwego korespondenta.

Dzisiejszy list jest szczególnie zagadkowy, zawiera, jak to często bywa u Jimroya, jedną z sugestii wciągających w zasadzkę. Odczekam dokładnie tydzień, zanim odpowiem, a potem - teraz jem deser, kawałek tortu z laskowych orzechów, kupiony w miejscowej cukierni - wyślę mu jedną z moich specjalności pisanych w dwóch wersjach.

Jest to mój niewinny sekret: pisanie listów w jednej wersji albo w dwóch. Do starych przyjaciół trzaskam na maszynie wylewne listy, z pojedynczym odstępem, wszystkie zasady gramatyki aż zgrzytają puszczone luzem, pełno myślników, wykrzykników i lekkomyślnie przenoszonych wyrazów. Oczywiście, ufam starym przyjaciołom, że będą

czytali te listy z wyrozumiałością, nie zwracając uwagi na dziewczęcy zziąjany oddech, i że powiedzą sobie: „No cóż, Sara prowadzi tak czynne życie, że powinniśmy być szczęśliwi, dostając od niej w ogóle jakąkolwiek wiadomość”.

Natomiast w drugim wypadku najpierw robię szkic, a potem opracuję następną wersję, dbam o poprawny sposób wypowiedzi, czasem nawet rezygnując z podręcznego komputera na rzecz pióra. Nie dalej jak wczoraj napisałam list w dwóch wersjach do Syda Buswella w Ottawie. „Drogi Profesorze Buswell - napisałam - w imieniu Komitetu Organizacyjnego Sympozjum poświęconego Mary Swann pragnę wyrazić żal, że nie przedstawi Pan w styczniu swojej pracy. Mamy jednak nadzieję, że na sesji będzie Pan obecny i weźmie udział w dyskusji”. Staram się być skromna i pamiętać o logicznym związku poszczególnych ustępów, próbuję też zabarwić list odrobiną wdzięku.

Dla Mortona Jimroya, tak, tego Mortona Jimroya, biografy Ezry Pounda, Johna Starmana i teraz Mary Swann, wydobywam najlepszą papeterię i bawię się odręcznym piemem, tymi sprężystymi el czy i, ześlizgującymi się po niewidzialnych, błękitnych drucikach. I zawsze robię brulion, z którego powstaje druga wersja.

Jeszcze raz - teraz piję kawę, kładąc nogi na stoliku - czytam pismo Jimroya. Choć mieszka w Winnipeg, w Kanadzie, przysłał je z Kalifornii, gdzie spędza ostatni rok, porządkując swoje notatki o Mary Swann. Dzisiejszy list, tak jak inne od niego, jest przepojony jakimś błagającym tonem, ale o co? Któż zgadnie? Z listów Jimroya głos zawsze zostaje odsączony; zamiast tego jest w nich wyteżona koncentracja, każdy potoczny zwrot podparty retoryką i tak umieszczony, żeby sygnalizować szczerość, ale wysiłek włożony w to usytuowanie podważa ją. Błędne kolo. Jak mam to wszystko interpretować? Staranne listy rodzą się z cierpienia; muszę być wielkoduszna. Muszę przymknąć oczy na szytą grubymi nićmi strategię, przestać doszukiwać się ukrytych intencji. A jednak jest coś niepokojącego w tym ciągłym wymuszaniu na mnie odpowiedzi. Jestem do niej wezwana, otrzymałam rozkaz skomentowania, pocieszenia i obdarowania pochlebstwami.

Jimroy ma rzadką cechę, która, mam wrażenie, jest szczerą: skłonność do zwierzeń lub co najmniej do zażyłości. Nigdy dotąd nie spotkałimy się i nie mamy wobec siebie żadnych zobowiązań, nie istnieje więc istotny powód, dla którego miałyby mi opowiadać o swojej depresji, na

jaką cierpiał, gdy wyszła jego książka o Starmanie; długotrwałej, ciężkiej depresji, której nic nie było w stanie uleczyć - o czym opowiedział mi w jednym z poprzednich listów - ani stosowanie leków, ani psychoanaliza.

Moja droga Saro!

Jestem człowiekiem, który potrafi zrozumieć, co odczuwał Haubert, gdy ogarniały go wątpliwości co do ważności sztuki, jego przerażające spostrzeżenie - fałszywe, dzięki Bogu - że sztuka nie jest niczym innym, jak tylko głupią dzieciinną zabawką. Taki właśnie był stan mojego ducha, gdy kilka lat temu wydawnictwo Oxford Press przysłało mi jaskółkę biografii Starmana. Nadeszła, pamiętam, podczas śniadania - proszę wybaczyć, jeśli już o tym kiedyś pisałem - w wyszcielanym opakowaniu. Otworzyłem je natychmiast, przyjrzałem się błyszczącej okładce i... nie doznałem niczego. Płatki i mleko w miseczce przede mną były bardziej rzeczywiste niż te półtora funta tekstu razem z jego uzupełniającym dodatkiem, ze zniechęconymi, rozrastającymi się adnotacjami i - co najgorsze - z przypisami u dołu strony. Te przypisy, z czego w tym momencie zdałem sobie sprawę, były przypisami do przypisów Starmana. I wyobraziłem sobie, co może zdarzyć się w przyszłości, a było to pewne, jak fakt, że dzień następuje po nocy: jakiś student w swojej pracy magisterskiej skonstruuje przypisy do moich przypisów do przypisów Starmana. Ta myśl sprawiła, że doznałem niemal fizycznego uczucia wstydu. Ogarnęło mnie nie tylko obrzydzenie do siebie; przytłoczył także dotkliwy smutek, że zmarnowałem życie, że nie zrobiłem i nie robię nic, tylko bawię się tym, czym bawili się inni ludzie. Takie uczucie depresji - może je Pani zna, chociaż mam nadzieję, że nie - może być nagłe i obezwładniające. W tym momencie zdawało mi się, że żaden człowiek na ziemi nie mówił prawdy. Wszyscy, co do jednego, byliśmy kłamcami i pozerami. Ba, ale tego samego dnia, w tej samej poczcie znalazłem ostatni numer PMLA (pismo Stowarzyszenia Językoznawców Nowożytnych) - nawiasem mówiąc, czasopisma, które - jak mi się często wydaje - przyczynia się do *gastritis* całego literackiego interesu. W ten szczególnie poranek otworzyłem pismo na stronie z Pani artykułem o Mary Swann. Kto to jest Mary Swann? Zdziwiłem się. I kim jest Sara Maloney? Szybko przeczytałem Pani informację o „naszej” poetce. A potem doszedłem do tych ośmiu cytowanych linijek z „Marcowego Poranka”. (Tak się

złożyło, że to był właśnie marcowy poranek, ciemny, mroczny poranek w Winnipeg). Podczas czytania odczułem zaskakującą jedność z Mary Swann. (Nigdy nie nazywam jej w myśli samym tylko imieniem, a Pani?). Czuję ten sam „Żelazny kwiat mojej dłoni/ Przez ujęty lód okpio-ny/ Przez Ziemię i piach”. (Nie mam cierpliwości do tych, którzy uważają, że Swann jest prymitywna, ponieważ nie używa słów kilkusylobo-nych. Była - jest - poetką o niezwykle wyrafinowanej umysłowości). Ale najpierw uderzyła mnie energia tych linijek, sposób, w jaki przesuwają się i współgrają, połączone w poprzek jak arkusze sklejk. (Widzi Pani, jak ona mnie zaraża swoim potocznym obrazowaniem). Jedynym rozczarowaniem było dla mnie odkrycie, że napisała tak niewiele, chociaż trzeba być wdzięcznym i za to, co zostawiła, a mają się jeszcze ukazać jej wiersze miłosne - jeżeli się ukążą, nigdy nie ufałem Langowi - i, oczywiście, notatnik. Jeśli chodzi o notatnik Mary Swann, ponownie się zastanawiam, czy nie zdołałbym Pani przekonać, żeby zmieniła Pani zdanie i podzieliła się ze mną jego zawartością, chociażby w jakiejś części. Praca tutaj idzie mi doskonale, ale jestem zawiedziony tym, że muszę polegać prawie wyłącznie na źródłach drugo- i trzeciorzędnych. (Córka Mary Swann, z którą przeprowadziłem wywiad, jest kobietą o przyćmionej pamięci i zaskakującym braku wrażliwości; uchroniła na przykład jedynie powierzchowne zapiski swojej matki, a nie poufne listy, które, jestem pewien, muszą istnieć). Sądzę, że jedna lub dwie strony z notatnika - chętnie zapłacę za zrobienie fotokopii i tak dalej - wydobyłyby naszą pełną wdzięczność Mary Swann z gąszczy domysłów, jak ona sama mówiła,

W osłonięty storą blask  
Na wyściełane wyręby  
Za jaskrawy słońca wrzask  
Poza nieba ostre zęby.

Saro, niech Pani mi da znać, czy prośba kolegi naukowca nie jest zbyt zuchwała. Czuję, a jestem pewien, że zgodzi się Pani ze mną, iż Mary Swann należy do nas wszystkich, do świata, to znaczy, że jej wiersze, jej świstki i szyfry, jej biedna marność pozostaną. Wygląda teraz na to, że mimo wszystko będę mógł przyjechać na to sympozjum, i będę szczęśliwy, mogąc wygłosić kilka zdań, jak Pani proponuje, o etapach tego Życia. Przykro mi, że Buswell wycofał swoje zgłoszenie, chociaż jego sugestia, że ktoś mu ukradł notatki, wydaje się trochę paranoiczna.

Zarzucone - tak, ale ukradzione?! Cieszę się, że poznam Panią osobiście, ale już teraz uważam Panią za mojego dobrego przyjaciela. Taka jest moc i ciepło Pani listów.

Serdecznie  
Morton Jimroy

Dowcipny ten Morton Jimroy. Ale męczący. Każdym zdaniem jakby owijał w bawełnę rzeczywistą intencję; czuję, jak ważne to jest dla Jimroya. (Kiedy podnoszę list do twarzy, wdycham słaby zapach papierosów). Muszę dobrze przemyśleć, jak mu odpisać. (Jestem teraz ubrana w stary podkoszulek, jaki wkładam do spania; to część mojego tajemnego rytuału. Dzwoniłam już do Browniego, żeby mu szepnąć dobranoc, i usadowiłam się wygodnie w łóżku, a nocna lampka do czytania świeci mi przez ramię). Będę musiała powiedzieć temu poczciwemu, wytrwałemu Mortonowi Jimroyowi, że bardzo mnie ucieszył jego list i że zrobiło mi się ciepło koło serca, gdy przeczytałam ponowne zapewnienie, iż to właśnie ja zapoznałam go z twórczością Mary Swann. Wszystko to jest prawdą. Spłynie mi spod pióra bez problemu.

Będę jednak musiała mu odmówić, jeśli idzie o notatnik. Grzecznie. W dobrym tonie. Ale nie pójdę na żadne ustępstwa. Nie, Morton. Nie mogę. Przykro mi, Morton. Żałuję. Chciałabym. Rozumiem twoje położenie. Ale nie, nie, nie, nie i nie! Nie jestem jeszcze gotowa do wyjawienia zawartości notatnika Mary Swann.

Drogi Mortonie. (Ześlizguję się w sen, dryfując na pokładach świadomości). Drogi Mortonie. Niedługo zeznanie pierwszego świadka stanie się publiczną własnością, dostępną dla ogółu, et cetera, et cetera, ale teraz, jeszcze przez kilka miesięcy, do stycznia, proszę o wybaczenie (ziewam), notatnik Mary Swann jest mój.

7.

Szczęście nie jest tym, czego najbardziej potrzebuję. Najbardziej potrzebuję przeświadczenia, że każda cząstka mojej osoby jest wykorzystana albo zaangażowana, jak to się mówiło jakieś dziesięć lat temu, i że cały mój zmysłowy ekwipunek jest naprężony tak mocno, jak to tylko możliwe, między stanem percepcji a postawą gotową do błyskawicznego



rzutu. Chcę, żeby mój umysł był samą energią, napiętą jak struna, żeby był jednocześnie sygnaturką i rzędem okienek w głównej nawie, żeby przygotowywał się do skoku i atakował. To mniej lub więcej opisuje stan, w jakim byłam tego wyzłacanego październikowego, sobotniego popołudnia, gdy zwiedzałam nowo otwartą wystawę rysunków ołówkiem, wykonanych przez moją niezwykłą przyjaciółkę, a czasami mentorkę, Peggy O'Reggis.

Spędziłam frywolny ranek w łóżku z Virginia Woolf, na lunch zjadłam śledzie w śmietanie, a potem wsiadłam w autobus jadący do Galeirii na Dearborn. Zanim tam dojechałam, pomieszczenie zdążyło się wypełnić pełną werwy gromadą znajomych i nieznajomych, głównie między dwudziestym a czterdziestym rokiem życia, gawędzących, kiwających głowami, ściskających się, pijących wino i zerkających z ukosa na gęsto rozwieszzone rysunekzki Peggy, które zawsze przypominają mi zdjęcia przewidzianych drgań mózgu. Do ulubionych kolorów Peggy należą cukierkowy róż i bogata, oleista zieleń, a jej rysunki - to idee. Każde pociągnięcie ołówkiem śmiałymi, kanciastymi konturami wzmacnia drogę, którą cenny artykuł, jakim jest myśl, przebywa, nim zostanie uruchomiony i przekształcony. Tu wykalkulowane naśladowcze pchnięcie, ówdzie mikroskopijna eksplozja rozsądku, tam znów intelektualne wyrównanie wielkiej czułości, a tuż obok żebracza próżnia posługująca się swoim beztroskim magnetyzmem.

Jak na poprzednich wystawach Peggy wszystkie rysunki miały tytuły, za co - iż jestem częstką kultury słowa - dziękowałam Bogu. Tak, obrazy mogą przemawiać, ale niektórzy potrzebują wskazania kierunku w stronę bramy wejściowej. Tytuły, jakie Peggy nadaje rysunkom, nie mają w sobie nic autorytarnego, są jedynie czymś w rodzaju lekkiego, popychającego i pomocnego napomknienia, na przykład „Nie zmacona niczym noc” albo „Otwarte serce”, albo podpis, który najbardziej mi się wczoraj podobał: „Przerwana wizja”.

Stojąc przed „Przerwaną wizją” ze szklanką czerwonego wina w rękę, doświadczyłam ostrego elektrycznego stopienia się, jakie czasami się zdarza, kiedy sztuka zderzy się z umysłem. Obok mnie, dzieląc ten krótki, transcendentalny wzlot, stała kobieta o żółtych włosach, w kurtce z niewyprawnej skóry, i mój stary znajomy Stephen Stanhope, żongler. Nie rozmawialiśmy, nie przywitaliśmy się nawet, lecz wciąż wpatrywaliśmy się w obraz. Chwila ta przeciągała się i przeciągała - swego rodzaju

fenomen, który występuje tak rzadko, iż doświadczaniem go trzeba cieszyć się w milczeniu i starać się przeżywać je możliwie jak najdłużej.

Wracając autobusem do domu, zamknęłam oczy i próbowałam przywołać ponownie ową wizję Peggy O'Reggis, wyobrażającą krążące, zderzające się linie i kolory. Jakiś wzór czy może zmysłowa wibracja zaczęła tańczyć na mojej siatkówce i po omacku szukać formy. Wzywalam ją, niech się wynurzy, niech znajdzie sobie drogę do zmysłów. Ale wciąż coś mi przeszkadzało odczuwać całkowitą satysfakcję; jakaś dokuczliwa myśl czy kłopotliwa plama na obwodzie wizji. Otworzyłam oczy. Słońce wlewało się przez brudne okna, grzejąc mi ramię. Naprzeciwko mnie siedziała kobieta, trzymająca na kolanach dziecko owinięte kocykiem, szczupła, czarna kobieta o długiej szyi i bursztynowych oczach, najwyraźniej rozkochana w urodzie dziecka. Wolną ręką gładziła koczek zrobiony na drutach. Niemowlę wydawało gruchające dźwięki jak mała rybka i sennie patrzyło w górę na reklamę męskich spodni do konnej jazdy. Na plakacie mężczyzna z wyraźnie rysującym się kroczem skakał przez ognisko z wyrazem ekstazy na głupiej twarzy. Nagle mi się wydało, że i on, i to niemowlę, i jego matka, i ja sama tworzymy jedną z tych przypadkowo dobranych, pośpiesznie zgromadzonych rodzin, które lęgną się na małych obszarach wielkich miast i jadą, by w dużym skrócie zakosztować drobnych przyjemności. Ale mimo dzisiejszych przyjemności, chociaż dały mi dużo wrażeń, nie byłam skłonna, jak to ze mną zwykle bywa, poddać się porannym doznaniom.

Cóż mi w tym przeszkadzało? Zaczęłam powoli szperać w mojej podświadomości, wyobrażając sobie, że mam w rękę ołówek. Znajdował się tam normalny katalog spraw, których się wstydziłam. Zmarnowany czas? Niedbale wykonana praca? A może zapomniałam zadzwonić do mamy? Nie! Powinnam coś kupić? Uraziłam czyjeś uczucia?

Poczucie winy ma w sobie moc wymuszania bezlitosnych poświęceń. Ale tutaj nie było winy, która by mi przeszkadzała w próbie przywrócenia zmysłowego wrażenia, jakiego nagle doznałam w Galerii na Dearborn. To było coś mniejszego, nie tak uformowanego, jakieś zaniedbanie, zguba, coś, co przemykało mi przez głowę jak owad i czego - czy to z powodu wina, czy oszołomienia słońcem - nie mogłam sobie przypomnieć.

Później to jednak do mnie dotarło. O północy tego dnia. Miałam się już położyć, ale najpierw trzeba było pozamykać drzwi, sprawdzić okna,

pogasić światła; przysłuchiwałam się ciszy i ciemności, która nappełniała dom. Myślałam o Mary Swann: musiała przecież także wykonywać te wszystkie wieczorne obrzędy, choć nie takie same jak moje. Próbowałam sobie wyobrazić, jakie to były czynności. Może spoglądała przez kuchenne okno w gwiaździstą, wietrzną noc i próbowała zgadnąć, jaką pogodę przyniesie następny dzień? Może zamykała na haczyk siatkowe drzwi, a może odstawiała z kuchni kociołek z zupą lub owsianką? Może miała kota lub psa, którego trzeba było wypuścić na dwór, chociaż ani w swych wierszach, ani w notatniku ni razu nie wspomniała o zwierzątkach.

I wtedy sobie uświadomiłam - Boże! - o czym przez cały dzień usiłowałam sobie przypomnieć. To był notatnik Mary Swann, który trzymałam na półce za łóżkiem. Nie widziałam go tam już od kilku dni.

## 8.

W pewnym sensie wynalazłam Mary Swann i jestem za nią odpowiedzialna.

Nie, to zbyt literackie. Lepiej powiedzieć, że odkryłam Mary Swann. Nawet Willard Lang przyznaje (także oficjalnie), że w mniejszym lub większym stopniu - nieustannie jest pełen wątpliwości według najlepszej naukowej tradycji - a więc w mniejszym czy większym stopniu jestem odkrywczą dzieła Mary Swann. Utrwalił nawet ten fakt drukiem w krótkim przypisie na stronie szóstej swojej pracy z 1983 roku „Synteza u Mary Swann”, czyniąc mnie, Sarę Maloney z Chicago, „najbardziej odpowiedzialną za zwrócenie publicznej uwagi na poetkę Mary Swann”. Ta wzmianka to ze strony Willarda tylko akademicka grzeczność i nic poza tym.

Ba, ale Willardowy rodzaj grzeczności zalicza się do zawodowego podkopywania, jest żetonem wrzuconym do banku, żeby umożliwić późniejsze podejmowanie pieniędzy. Ukłon Willarda Langa w moim kierunku: „S. Maloney trzeba przytoczyć jako tę, która...” to proste stwierdzenie, że istnieje granica między autorytetem a odkryciem. Przy czym Willard jest autorytetem, a S. Maloney (ja) otrzymuje mniejszą, nieco mniej wybitną rolę odkrywczy ni.

W rzeczywistości nikt nikogo naprawdę nie odkrywa; samo myślenie takimi kategoriami jest najpaskudniejszym rodzajem arogancji. Mary Swann odkryła samą siebie, i w tym fakcie zawisła na pasemkach

nieprawdopodobieństwa (jak hamak bez sznurów) główna tajemnica: Jak ona to zrobiła? Gdzie na tych ponurych polach Ontario, na tej zaśmieconej farmie znalazła owe iskry, które zmieniły umowną materię w rozfalowaną poezję? Kury, ustęp na dworze, dni prania, stopy drewna, ganek, mąż, robocze obuwie, kombinezon, wyrko do spania, brud. Oto materiał, w jakim ta kobieta musiała tworzyć.

Z drugiej strony, istnieje legat patriarchy, towarzyszące podbojom przekonanie, że poeci nadają kształt swojej sztuce z surowca, który jest tajemniczy i niedostępny. Kobiety przez wieki robiły na drutach skarpety, a być może w myślach konstruowały linijki poezji, które nigdy nie zostały zapisane. Tak się złożyło, że Mary Swann miała pióro (ściśle mówiąc, parkera 51) i umiała dostrzec powierzchnię rzeczy. Miała ponadto pewien rodzaj rozdzierającej serce wytrwałości, która kazała jej usiąść pod koniec utrudzonego dnia i wtłoczyć myśli w kapryśne pakunki rymowanych wierszy.

W jej otoczeniu było rzeczą nie do pomyślenia robić coś takiego. I wobec czegoś tak niewiarygodnego zaczynam nucić prostą litanię obejmującą i spinającą jej życie: dzieciństwo w Belleville, Ontario; wykształcenie ograniczone; nic nie wiadomo o jej matce czy ojcu; pracowała przez rok w miejscowej piekarni; wyszła za mąż za farmera i przeniosła się do okręgu Nadeau, gdzie urodziła córkę, pisała wiersze i została zabita, gdy miała pięćdziesiąt lat. To wszystko. Jak Jimroy zamierza wypichcić książkę z tak szczupłego materiału, jest dla mnie tajemnicą.

Moja odpowiedzialność za Mary Swann, jak ja to widzę, polega na opiece nad nią. Gdyby Olaf Thorkelson niemal nie doprowadził mnie do nerwowego załamania i nie wypchnął do tego azylu w północnym Wisconsin, gdzie jak bukiet wpadł mi w ręce zapomniany tomik wierszy Mary Swann, nigdy bym się nie stała jej strażniczką, wykonawczynią jej literackiego testamentu, obrońcą i kochającą opiekunką. Ale czy się to komu podoba, czy nie, tym właśnie jestem. Niech inni ją promują i piszą o niej socjologiczne i psychoanalityczne słodzone rozprawki. Ale czy ktokolwiek inny - to znaczy oprócz mnie - wysłodzi lekkie uśmiechy, które wyłamują się spoza jej najboleśniejszych stroftek? Willard Lang, wcielona świnia, zdolny jest zgwałcić ją dla własnego zysku i to samo gotów zrobić ten roztargniony, paranoidalny niedołęga, Buswell z Ottawy. Morton Jimroy ma najlepsze chęci, poczciwy kujon, ale będzie próbował bądź to ją na czymś przyłapać, bądź też nagiąć do roli bożego

wysłannika albo służebnej Emily Dickinson; może też wpakować ją w trójkątną konstelację razem z nieszczęsnym impotentem Poundem i z wlokącym swój penis papłą, Starmanem. Ktoś musi czuć, czy nie dzieje się krzywda Mary Swann. Bo jej dzień nadchodzi. Mniejsza z tym, co myśli Willard Lang. Mary Swann będzie wielka, wielka, wielka! Jest właściwą osobą we właściwym czasie z jednego powodu: kobieta, która przetrwała i która stworzyła samą siebie. Człowiek taki jak Morton Jimroy nie zawracałby sobie nią głowy, gdyby nie sądził, że ta kobieta kiedyś zajdzie wysoko. Willard nie traciłby czasu na organizowanie sympozjum, gdyby nie uważał, iż jej sława na tyle dojrzała, żeby zebrać owoce. Ci faceci są chciwi. Zjedliby ją cał po calu. Żuki grabarze. Bydłaki. To nikczemny świat, zatem niewinnych trzeba chronić.

Właśnie dlatego nie mogę sobie darować, że zapodziałam gdzieś jej notatnik.

## 9.

Nie ma go od kilku dni. Chyba od poniedziałku, a może od wtorku.

Nie chcę przyznać, że zginął bezpowrotnie; chyba po prostu położyłam go gdzie indziej. Lada dzień, może już jutro, znajdę go pod stosem listów w szufladzie biurka. Może się zsunął w którejś z szafek między książki; jest nieduży, jeden z tych małych notesów związanych spiralą, koloru taniej czekolady. I przewrotnie czeka, żeby zrobić mi niespodziankę, kiedy będę się tego najmniej spodziewać. Może tkwi pod rogiem dywanu. Albo gdzieś na całkiem widocznym miejscu, tylko moje oczy błędzą jak oszalałe i nie mogą się na nim skupić.

Nie jestem roztrzępana, chociaż przypominam sobie dwanaście razy dziennie, jako coś w rodzaju usprawiedliwiającego komentarza, że to nie pierwsza rzecz, którą zgubiłam. Kiedyś, gdy byłam żoną Olafa, zgubiłam ślubną obrączkę. Byłam zdruzgotana, prawie chora, i nie mogłam powiedzieć o tym Olafowi, bo wiedziałam, że będzie uważał to za zły omen. No i dwa tygodnie później znalazła się w małej ceramicznej miseczce, w której trzymałam swoje podrabiane klipsy. Innym razem zgubiłam egzemplarz pierwszego wydania „Drugiej płci”, którą kupiłam u Stantona za dziesięć dolców, jeszcze za dobrych, dawnych czasów. Miesiącami

chodziłam jak obłąkana, wrywając poduszki z krzeseł i lamentując pod ścianą: „Książki przecież nie mogą wstać i wyjść!” Dopiero na wiosnę jeden z moich drogich przyjaciół, Lorenzo Drouin, mediewista, znalazł książkę zaklinowaną za grzejnikiem w dużym pokoju.

O zaginionym notatniku moja matka mówi współczująco, ale niejasno. Pyta, czy sprawdziłam w kieszeniach płaszcza przeciwdeszczowego, czy nie pożyczyłam jakiemuś znajomemu albo czy nie wyrzuciłam go razem z gazetami; te niedorzeczne przypuszczenia, jakie snuje, świadczą jedynie o całkowitej bezradności i o tym, jak słabo rozumie moje życie. „Poszukam” - mruczy i mruczy, chcąc mnie pocieszyć, ten mój pulchny, mamusiny spaniel. Ale bezradny, bezradny.

Odwiedzam matkę co niedziela. W niedzielny poranek w mieście Chicago ludzie budzą się z myślą: Jak tu spędzić ten dzień? Jakie przyniesie niespodzianki? Niedziela ma w sobie pewien połysk, pewien szum. Godziny pozbawione zwykłego rozkładu uwodzą albo zagrażają, zależnie od okoliczności, pieniędzy lub przyjaciół, od zdrowia lub pogody; ale zawsze istnieje, jestem o tym przekonana, jakaś wyczekująca krzątanina, kotara, która rozsuwając się, odsłania możliwości.

Nie dla mnie jednak. Można by rzec, że jestem zawodową córką albo co najmniej prawdziwą hobbystką. W niedzielę wsiadam w L i jadę odwiedzić mamę, która mieszka na trzecim piętrze w zachodniej części miasta. Oczekuje mnie o pierwszej po południu, z tolerancją do pięciu minut. Obserwuje mnie przez okno, jak pędzę ulicą wysadzaną drzewami, zsuwa mosiężny łańcuch przy zatrasku na drzwiach i bierze mnie w swoje gorące, puszyste objęcia, mówiąc: „Cześć, słodka babeczko”.

Natychmiast obie zasiadamy w małej jadalni do sutego obiadu: pieczony kurczak lub szynka z tłuczonymi ziemniakami, mrożony groszek albo zielona fasolka, a na deser lody w miseczkach do płatków kukurydzianych. Rozmawiamy i rozmawiamy. Jeśli zatrzymuję się na chwilę, żeby pomyśleć o tych wszystkich ludziach rozproszonych po ulicach i parkach Chicago, którzy swobodnie dysponują tym dniem, czynię to z pogardliwą litością. Te zapraszające niedzielne przestrzenie odsłaniają całą swoją miejską, obskurną brzydotę. Wszelkie możliwości, które raniem wabiły i świergotały, o tej porze już się ulotniły, a tutaj siedzę sobie ja, najszcześniejsza z kobiet, napelniona po brzegi domowym obiadem i niezawodną, niewymagającą miłością mojej matki.

A jednak ciągle się dzisiaj wiercę i podskakuję.

- Coś cię dręczy - zgaduje mama.

- Ten idiotyczny notatnik - wściekam się. - Wciąż nie mogę znaleźć tego przekłętą notesu.

- Och, kochanie! - Nawet najłagodniejsze przekleństwo wprawia ją w zakłopotanie. - Należę ci jeszcze trochę kawy, to cię uspokoi.

Matka jest jedyną osobą, która wierzy, że kawa ma właściwości uspokajające. Podnosi dzbanek z kawą, przytrzymuje pokrywkę i nalewa. Światło przesącza się przez żaluzję. Nad jej głową, na małej półce, stoją rzędem figurki Hummela i talerze z Delft. A także, trochę przyciśnięta do ściany, mała Matka Boska, którą dostała, gdy była młodą dziewczyną. (Byłabym o wiele lepsza, gdybym nie zauważała takich rzeczy). Mama ubrała się dzisiaj w nowy, koralowy garnitur z dżerseju, wspaniale skrojony i luźny w biodrach. Dopiero dobrze po pięćdziesiątce zaczęła nosić spodnie. Wtedy nie miała już tak zgrabnych nóg, z dnia na dzień zrobiły się proste i grube jak wodociągowe rury. Jej siwe włosy zawsze są uczesane i upięte tak, że tworzą podłużny kok z tyłu głowy; gdyby ten kok był upięty chociaż o jedną ósmą cała wyżej, byłby stylowy, a nie stateczny jak u matrony. Trzeba jednak przyznać, że bardzo dba o swój wygląd. Nawet gdy jest sama w domu, maluje usta, szminka w jasnoróżowym odcieniu, lekko zaznaczony błękitny cień wokół oczu. Nosi także duże okrągłe kolczyki; lubi srebro, nie prawdziwe srebro, rzecz jasna - nigdy nie była w stanie zrozumieć, jaki sens ma kosztowna biżuteria. Ma około dwudziestu par wielkich okrągłych klipsów, które trzyma na biurku, na zwykłym plastikowym wieszadku do kolczyków.

Z matką dzielą mnie błahę różnice w poglądach na dietę, na wybór lektur i na ozdoby. Ja nie mam takiego wieszadka na kolczyki czy klipsy, jak to na jej biurku, a ona nigdy nie słyszała o Muriel Rukeyser. I co więcej? Niewiele. Stypendium, kilka egzaminów, kilka liter przy moim nazwisku, zamiast nazwiska męża. (Ona wolałaby, żebym była jakąś panią X, czyli panią Olafową itd., a nie panią Sarą Maloney).

- Czy ten bok cię jeszcze boli? - pytam, żeby zmienić temat. - Co powiedział LeBlanc?

- Doktor LeBlanc? - jej przezorna uprzejmość. - Powiedział, że będziemy musieli przyjrzeć się temu bliżej. - Potrząsa głową, bardzo się stara wyglądać na wesołą. - Ale wiesz, ja myślę, że ten ból ustępuje.

- To dobrze.
- Tak. Mam wrażenie.
- Już pozwala ci spać?
- Ależ oczywiście, znasz mnie przecież. Śpię jak kamień.
- Zeszłej niedzieli mówiłaś...
- Nie mam żadnego problemu ze snaniem. Zawsze dobrze spałam.

- Hm - mówię, znając zwyczaje mamy. Wiem, że siedzi do drugiej nad ranem i ogląda w telewizji programy talk-show, a potem, zupełnie rozbudzona o wpół do siódmej rano, siedzi przy stole, prostując ciężkie ramiona nad miseczką płatków *All-Bran*, z kubkiem kawy przed sobą, w oczekiwaniu na poranne wiadomości, których słucha z kuchennego aparatu, gotowa sięgnąć po pierwszego papierosa tego dnia. Matka przepłynęła przez życie stosunkowo dobrze, a podtrzymywała ją, jak uważamy obie z siostrą, wrodzona skłonność do smutku. Stała się przez to czymś w rodzaju postulantki, niezgrabnie szukającej swojej drogi przez drobne, nic nie znaczące akty skruchy. Zawsze wyglądała tak, jakby dopiero co wróciła z krainy łez, chociaż nigdy nie widziałam, żeby otwarcie płakała, od kiedy Olaf i ja obwieściliśmy o naszym rozwodzie. Ten rozwód podzielał na nią deprymująco, może dlatego, że czuła, iż nie wyznałam jej niektórych motywów. Rozwód mojej siostry był powodem podobnej trwogi i zakłopotania, ale z wyjątkiem śmierci ojca i tych dwóch rozwodów jej smutek chyba cierpi na brak szczególnych powodów. Jak pajęczycza, która pożera swojego partnera, matka wchłonęła w swoje ciężkie ciało i w krwiobieg cały smutek świata. I jest on tam zawsze, podobny do lekkiej gorączki.

Zdumiewa mnie, jak mimo to świetnie sobie radzi. Czyta gazety, chodzi na mszę, gra w kanastę. Dzisiaj opiera się o stół i mówi o cenie cielejącej wątróbki. Potem mi opowiada, że czytała artykuł na ostatniej stronie części poświęconej rozrywce i różnym hobby, jak usuwać przyłżeńce z cebulek mieczyków.

Wiem, na co matka cierpi: cierpi na „to”. Choroba bez nazwy. Jesienne usposobienie. Organiczna melancholia. Znużenie. *Angst* jest blisko; słowo, którego używałabym, gdyby nie było czymś takim jak tania szcztotka do szorowania. Próbowałam kiedyś mamie wytłumaczyć, co to jest *Angst*, ale powiedziała, że dla niej znaczenie tego słowa jest niezrozumiałe. A jednak to właśnie lęk egzystencjalny jest chorobą, na którą zapadła, ciężki przypadek, podejrzenie, że jądro życia jest puste.



Przypuszczam, że ojciec z zakłopotaniem obserwował tę dużą, wiecz- nie zmartwioną kobietę. Moją oczadziałą siostrę, Lenę, doprowadza to do napadów egoistycznego ulegania zachciankom: nowe miasta, nowi kochankowie, cała seria najdziwniejszych zajęć. A mnie wpędziło w rodzaj lekkomyślnego entuzjazmu. Złe samopoczucie matki, czy cokol- wiek to jest, uświadomiło mi, że obszary rozpaczy muszą być dla mnie na zawsze zamknięte, że dawna Sara Maloney, którą pamiętam jak przez mgłę, została daleko w tyle za mną; tamta łagodna córka, katolicz- ka, która czytała Thomasa Hardy'ego, nosiła włosy do ramion i szerokie plisowane spódnice. Jej miejsce zajęła inna Sara, dwudziestoosmiolet- nia, nastawiona optymistycznie, oczekująca, beztroska, udająca, że wie, do czego dąży. Jej straszne, żywe i niepohamowane „ja” przeraża mnie.

Jak to się dzieje, że roztrzepana dziewczyna i zawzięty naukowiec zamieszkują w tym samym drobnym, giętkim ciele? Dobre pytanie. Treściwe pytanie, na które nie ma odpowiedzi.

Energicznie całuję mamę na pożegnanie. Chwalę jej umiejętność go- towania, mówię, że ma na siebie uważać, przypominam o wizycie u le- karza, a potem idę rozkołysanym krokiem w dół ulicy. Światło, po- przednio tak niesamowite i obiecujące, teraz jest słabe, a drzewa mają tak zdeformowany wygląd, jakby ktoś użył starych szczotek, żeby prze- robić je ponownie na drzewa. Jesień. I ta pora dnia, którą szczególnie lubię i do której czuję się dostrojona. Wąski pasaż, w którym mieszczą się tylko ja. Słowo „zmierniczający” wskakuje mi do głowy, potem rozpa- da się - zbyt królewskie słowo wobec tak pstrokatego wieczoru. A teraz podmuch wiatru strąca liście z gałęzi i przywodzi mnie z powrotem do rzeczywistości.

Ba, ale czym jest rzeczywistość? W odruchu drwiącej autoironii, my- śląc o Browniem, zadaję sobie to pytanie i zaraz na moich wargach po- jawia się roztańczona odpowiedź. Rzeczywistość nie jest niczym więcej niż wyrazem, który zaczyna się na *r*, a kończy na *ć*.

Właśnie. Och, Boże!

## 10.

Większość mężczyzn, których znam, ma jakąś wadę. Większość z nich jest próżna. Moja przyjaciółka i mentorka, Peggy O'Reggis, żyje w świecie, w którym widuje się mężczyzn tylko na obrzeżach. Tak samo

moja adwokatka, Virginia Goodchild, oddana obywatelka wyspy Lesbos. Co najmniej połowa moich poddyplomowych studentek zdecydowana jest nosić własne śledzie do swoich namiotów: niech diabli porwą siłę męskiej konstrukcji i do diabła z penetracją jako określeniem seksualnym! Uwolniły się. Wszystkie te kobiety przysyłają mi zaproszenia, doślawne lub podświadome, ale coś we mnie stawia opór.

Prawdopodobnie geny albo, być może, uwarunkowania. Przynajmniej raz na miesiąc od czasu mojego rozvodu matka wypytuje mnie nieśmiało, zająkując się, bawiąc się nerwowo swoim medalem Świętej Agaty, czy „znalazłam kogoś”. Mężczyznę - to ma na myśli. Patrzy na mnie z ukosa, jej wielkie okrągłe klipsy nastawiają uszu. „Czy widuję jeszcze tego miłego... Stephena Stanhope'a?” „Tylko sporadycznie” - mówię, bo nie mam serca wyjaśniać, że moja miłosna przygoda ze Stephenem skończyła się już przed wieloma miesiącami. Nie wiem, co się stało. Może dlatego, że jego tożsamość była zagrożona, ponieważ nie chciałam zamieszkać razem z nim - jakby ktokolwiek przy zdrowych zmysłach mógł porzucić unikatowy, fantastyczny dom w południowej części miasta dla bliźniaka z cegły gdzieś w Maywood. Zrobił mi również delikatną wymówkę, że wstydzę się jego zawodu, którym jest zonglerka; w tym oskarżeniu nie ma ani krzty prawdy. Czy nie mieszkałam kiedyś (krótko) z pewnym dendrologiem? Czy nie pojechałam na Florydę zobaczyć błotniste Everglades ze stroicielem fortepianów?

Nie lubię wzbudzać nadziei mojej matki, więc dopiero w ostatnim tygodniu przyznałam się, że „widuję się” z mężczyzną, którego nazywam Brownie.

W tej samej chwili, gdy to oświadczyłam nad pieczoną piersią indyka i tartą rzepą, wszystko zaczęło się wydawać absurdalnie nieprawdziwe, jakbym wymyśliła tę historię, żeby jej sprawić przyjemność.

Dość często mi się zdarza, że mam uczucie, jakbym była w niewoli fikcji, ogłupiałym aktorem we własnej powieści z kluczem. Mój domek dla krasnoludków jest dekoracją. Nagromadzone wydarzenia dnia tworzą intrygę, a ja i Brownie jesteśmy głównymi postaciami, nierzadko większymi niż w życiu, ale równie często mniejszymi. Dzisiaj, we wtorek, skurczyliśmy się i jesteśmy sztuczni, para denerwujących sylwetek nonszalancko rozwalonych na sofie przed kominkiem.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam ten kominek, pomyślałam, że jest ohydny: falisty otwór w ścianie, obramowany błyszczącymi płytkami

ceramicznymi koloru piernika, które w dziennym świetle zawsze wyglądają, jakby były lekko przykurzone. Okazało się jednak, że kominek zadziwiająco dobrze działa, jest głęboki, jak powinien być, i świetnie ciągnie. Rozniecony ogień pali się czysto, szerokim wachlarzem spokojnych, jasnych, żółtawych w środku płomieni, które odbijają się we wszystkich płytkach obrzeża i przekształcają w coś chłodnego o tonacji marmuru. Palę w kominku porządnymi, suchymi, miło pachnącymi kłodami, za które płacę po dolarze za sztukę, ale oszczędzam na rozpalce, używając do tego starych prac semestralnych moich studentów i notesów egzaminacyjnych.

- Spróbuj pomyśleć o tym spokojnie. - Brownie właśnie wrócił z Kalifornii i mówi o zaginionym notatniku Mary Swann. - Przesadzasz. Jesteś...

- Jeśli chcesz powiedzieć, że będę miała okres, to wynoś się do diabła - odpowiadam uprzejmie.

- Kiedy ostatni raz widziałaś ten notatnik? Postaraj się odtworzyć.

Ba, w tym cały problem. Nie wiem. Tydzień, może dwa tygodnie temu. Był na półce z książkami. Od kilku już lat był na półce z książkami jako jedna z ozdób; leżał na autobiografii V.S. Pritchetta, niedbale rzucony, jakby był bez wartości, niedoceniony. I dopiero teraz, kiedy zginął, nagle zaczyna w nim tętnić wartość i niepowtarzalność. Powinam była zdeponować go w sejfie - tak jak to robi Brownie ze swoją kolekcją „Plastikowego Człowieka” - albo chociaż w zamkniętej szufladzie w biurku.

- A sprawdzałaś na uniwerku? - podsuwa Brownie. (Kiedy tak przesuwam językiem po zębach, wiem, że jest znudzony tematem). - Albo w swojej teczce?

- Nigdy nie brałam notatnika na uniwersytet.

- Może chciałaś go komuś pokazać. - Nie można nic wyczytać z jego twarzy, a ja czuję się jak dziecko, urażone w swoim honorze.

- Nie, nie sądzę. - Teraz już mniej pewnie.

- A w mieszkaniu twojej matki? W niedzielę?

- Wykluczone - mówię sucho. - To do niczego nie prowadzi.

- Znajdzie się - Brownie przeciąga słowa, niemal nucąc.

Jego twarz przeobraża się, zmienia kolor z różowego na bardziej określony. Otacza mnie ramieniem, jego palce tańczą na moim nagim ramieniu, i z niewiadomego powodu jestem zaniepokojona tym zwrotem „znajdzie się”. Może dlatego, że takich samych słów użyła moja

matka. Placebo - bezmyślna tabletką optymizmu: znajdzie się. Co oni sobie myślą, że wyskoczy nagle ze ściany?

Brownie rozciera mi plecy i opowiada, że kiedy miał dwanaście lat, zgubił kopertę ze znaczkami, które przysłał mu pewien wujek z Meksyku. Strata tak go zmartwiła - nie dlatego, że zbierał znaczki czy że te mu się podobały, ale dlatego, że czuł się jak idiota, nierozważny i nic niewart - iż w końcu naprawdę się rozpląkał (oczywiście, gdy był sam) z głową w poduszce. Później znaczki się znalazły, wciśnięte w szkolny słownik, gdzie najwidoczniej je schował, szukając bezpiecznego miejsca. (Ach, Brownie! Wyobrażam sobie szczupłego chłopca z kasztanowymi, wełnistymi włosami, ostrzyżonymi krótko, tak że widać opalone uszy, jak siedzi sam w małym pokoju, otwiera książkę w niebieskiej płóciennej okładce i wyjmuje spomiędzy stron mały, przezroczysty pakiecik).

- Musi się znaleźć - powtarza Brownie. - A poza tym - jego słowa formują się w chłodne, elektryczne brzęczenie na moim karku - poza tym są przecież fotokopie.

- Tak, oczywiście - przyznaję. - Zawartość została skserowana, ale notatnik zginął.

- Nie możesz mówić, że naprawdę zginął - protestuje Brownie, rzucając mi piękny, ironiczny uśmiech. - Nie wówczas, kiedy w archiwum jest kopia.

- Kopia to nie to samo. I wiesz o tym doskonale.

Ziewam, aby mu dać do zrozumienia, że jestem śpiąca i chętnie poszłabym do łóżka, skłonna zagrzebać całą tę awanturę w załomkach jego ciała. Jakiś mięsień w moim wnętrzu nagle się rozluźnia.

- Jesteś zmęczona - mówi Brownie. - Lepiej nie zostanę dzisiaj na noc.

I sięga po płaszcz. W pośpiechu.

Nie ma mowy, żeby go zatrzymać, musiałabym go błagać. Wobec tego kładę się do łóżka sama i przewracam się z boku na bok przez kilka dobrych godzin. Sztuczka z regulowaniem oddechu tak, żeby dostosował się do jambicznego pentametry, zawodzi, próbuję więc innej sztuczki z wymienianiem wszystkich składników *blanquette de veau*: jedna duża cebula, jedna marchew pokrojona na ćwiartki, dwie łodygi selera. Zbliża się druga w nocy, mija, potem trzecia. Zabawiam się układaniem miniaturowych makabrycznych opowiadań. Czy notes mógł się zaplątać w paczkę gazet, zwiniętych gazet, które zużyłam w ubiegłym tygodniu do

rozpalania ognia w kominku tego wieczoru, kiedy przepowiadano mróz i Brownie stanął w drzwiach z nimbem chłodu wokół gołej głowy i... A może złapałam go z odbitkami o Sarze Teasdale i zaniosłam na uczelnię, i Lois Lundigan, myśląc, że to jakieś świstki... Nie, to śmieszne! Ale nie niemożliwe. Czwarta rano, czwarta trzydzieści. Raz po raz przebiegam w myśli wszystkie możliwości, aż trącając jakąś zardzewiałą strunę w mojej głowie, jedną z tych starych, na pół szczebiotanych piosenek z lat sześćdziesiątych, które są samym refrenem, a w trzech czwartych nonsensem. Stracony, stracony, stracony, zniknął.

## 11.

Można być olśniewającym, nie mając głębi, albo - jak w przypadku Mary Swann - mieć głębię i nie być olśniewającym.

Pomyślcie: olśniewa światło słoneczne, gdy rzuca iskry na małe słone fale, olśniewają cząsteczki wodnej tafla czy blask, który drażni wzrok. A potem pomyślcie o podwodnej sile ogromnego oceanu albo o mechanizmie płyt przesuwających ziemię.

Kiedy czytałam wiersze Mary Swann po raz pierwszy (Wisconsin, osłonięty ganek, brzęczenie much), poczułam się nagle porwana przez jakąś żywiołową siłę najwyższej rangi. W jednej chwili obudziła się we mnie czujność, ogarnęła mnie słabość, moje palce biegły pod wyrazami, gwałtownie zapisując marginesy (jednocześnie odkrywając na poły melancholijną prawdę, że to jest właśnie to, co zawsze tu czy gdzie indziej chciałabym robić). Przeczytałam „Łabędzie pieśni” jednym tchem. Potem siedziałam w całkowitej ciszy przez kilka minut, a następnie przeczytałam je raz jeszcze. Notka na ostatniej stronie książki informowała tylko, że Mary Swann, 1915-1965, mieszkała w Nadeau, Ontario.

Tydzień później byłam już w Chicago i pakowałam swoje torby. Wynajęłam samochód i pojechałam na północ przez stan Michigan, a później przez małe, przygarbione wzgórza zachodniego Ontario. Po dwudziestu czterech godzinach stałam przed ratuszem miasteczka Nadeau, 1750 mieszkańców, miasteczka, w którym była wytwórnia serów i zakłady dziewiarskie, a także około tuzina spokojnych zielonych uliczek, ocienionych klonami, topolami i dębami.

Pierwszą osobą, jaką zobaczyłam w ten bardzo wczesny sierpniowy

ranek, był łysiejący facet w wygniecionym bawełnianym garniturze, pan Homer Hart (jak się później okazało), emerytowany kierownik szkoły, wracający do zdrowia (o czym jeszcze wtedy nie wiedziałam) po nerwowym załamaniu, trzecim z kolei. Wyprowadzał na spacer wielkiego złocistego psa myśliwskiego (retrievera) i wraz z psem, Hiszpańskim Jimem, przystanął na chwilę przed na pół martwym wiązem: pies, żeby podnieść łapę, a pan Hart, żeby spojrzeć ze smutkiem w górę na kratownicę obwisłych gałęzi. Zastygliśmy wszyscy troje, jakbyśmy zajęli wyznaczone nam miejsca na małej, pokrytej trawą scenie. Wokół nas ćwierkały rozśpiewane ptaki i czuło się chłodny powiew porannego powietrza. Hiszpański Jim otworzył pysk, warknął z podniecenia, jednym susem znalazł się przy mnie i zaczął obwąchiwać moje dżinsy, opuściwszy mięsistą wargę i sapiąc gniewnie, tak że wyczułam jego oddech przez materiał.

- Nie robi pani krzywdy! - zawołał pan Hart stłumionym głosem, trzepocąc rękami w kieszeni. - W ten sposób mówi pani dzień dobry.

Wyjaśniłam - a pan Hart cały czas potakująco kiwał głową - kim jestem i dlaczego zrobiłam tę całą drogę z Chicago do Nadeau, Ontario.

- Bardzo bym chciała - powiedziałam - porozmawiać z kimś, kto naprawdę znał Mary Swann.

- Taką osobą, z którą mogłaby pani porozmawiać - rzekł Homer Hart, skupiwszy się - jest tylko i wyłącznie Rose Hindmarch.

- Rose Hindmarch? - odsłoniłam zęby w czymś w rodzaju uśmiechu, choć, jak wierzyłam, niezbyt skwapliwie. Hiszpański Jim przestał lizać moje buty i gonił wiewiórki po szerokim trawniku. - Czy Rose Hindmarch jest kimś z rodziny?

- Ależ skąd, nie, nie ma żadnej rodziny, obawiam się. Widzi pani, rodzina Mary Swann pochodziła z okolic Belleville. Ach, prawda, jest córka, ale ona wyjechała do Kalifornii, gdzieś na wybrzeże, wyszła za mąż i nigdy tu nie przyjeżdża, w każdym razie nigdy od czasu śmierci matki.

- Rose Hindmarch, mówi pan?

Gdzie się podziewa mój magnetofon, ilekroć go potrzebuję?

- No, cóż - odrzekł Hart. - Rose była, można by powiedzieć, przyjaciółką Mary Swann. Widzi pani, Rose jest u nas bibliotekarką, a także pracuje w okręgowym urzędzie miejskim i znała Mary Swann dość dobrze. No, może do tego ostatniego stwierdzenia powinienem wprowadzić pewną poprawkę. Powiedzmy, że Rose znała ją tak dobrze jak wszyscy. Pani Swann nie była kimś, o kim mówi się „brat lata”, nie zawierała

łatwo znajomości. Raczej trzymała się od ludzi z daleka, była kobietą z farmy, przychodziła do miasta tylko co kilka tygodni.

- Co kilka tygodni? - pisałam, zastanawiając się, czy zdołam to wszystko zapamiętać, żeby później zapisać.

- Robiła zakupy, a potem szła do biblioteki, by wypożyczyć kilka książek do czytania. Lubiła czytać, pani Swann, tak, naprawdę dużo czytała, i była też uznawaną poetką. Doskonale sobie radziła ze słowami. Potrafiła ułożyć wiersz na każdy temat, jaki kto sobie życzył: burza śnieżna, jezioro, kiedy lód topnieje. Ułożyła bardzo przyjemny wiersz, chyba o jabłonce. Szkoda, że nie pamiętam, jak to szło: „Ta tam, ta tam, jabłonek sad”. Coś w tym stylu. Czyta się wiersz i nagle człowiek widzi to drzewo w wyobraźni - zaczynają się rozwijać pąki; obraz zrobiony ze słów. Tak, to było nadzwyczajne, co ta kobieta, prawie bez żadnego wykształcenia, umiała zrobić. No więc, jak powiadam, Rose Hindmarch jest naszą bibliotekarką. Mamy śliczną bibliotekę jak na miasteczko tej wielkości. A jeśli ktoś może pani coś powiedzieć o pani Swann, to tylko Rose.

Rose Hindmarch okazała się kimś w rodzaju małego żółwia, z jednym włoskiem na podbródku podobnym do hieroglifu, kwintesencją dziewczyczości, pod pięćdziesiątkę, z mrugającymi oczami o błagalnym spojrzeniu; łatwo ogarniało ją podniecenie. Spędziłyśmy razem całe niedzielne popołudnie, siedząc w piekielnie nagrzanym saloniku jej mieszkania - „apartamentu”, jak je nazywała - które zajmowało pierwsze piętro starego drewnianego domu, typowego dla Nadeau. Dziwiłam się bardzo, że jedyną przyjaciółką Mary Swann mogła być śmiejąca się nerwowo bibliotekarka z twarzą jak tarcza. Od razu wiedziałam, że napelniam ją przerażeniem.

Ludzie często się mnie boją. W gruncie rzeczy ja sama boję się siebie, prawdopodobnie mojej niespożytej energii. Robiłam, co mogłam, żeby Rose poczuła się swobodnie. Chwaliłam paprotki na oknie, lampę na kolorowym odbiorniku telewizyjnym, afgański szal na sofie, haftowany bieżnik na dębowym stole, metodę parzenia herbaty, jej entuzjizm dla powieści szpiegowskich, a zwłaszcza - delikatnie zbliżałam się do tematu - zwłaszcza jej zainteresowanie poetką Mary Swann.

Po godzinie była skaptowana, a ja zwijałam się ze wstydu. Rose wyglądała na kobietę, z którą nieodmiennie wiąże się zapach pudru i cukierków miętowych. I ta upudrowana, tchnąca miętą twarz lśniła tęnym blaskiem ograniczonego doświadczenia. Ale była - i nie ma na to innego

określenia - dobrą kobieciną.

Prawdziwy zmysł pokory, w rodzaju, jaki sama chciałabym móc sobie przypisać, czynił ją otwartą i prawdomówną. Wiedziałam, że mogę jej zaufać. Kiedy mówiła, robiłam notatki, czując się jak złodziej, lecz nie opuszczając ani jednego słowa.

Z początku szło jej z trudem. Tak, znała Mary Swann. Połączyła je wspólna miłość do książek; rzeczywiście wypowiedziała ten upudrowany zwrot i patrzyła mi przy tym prosto w oczy: nasza wspólna miłość do książek. Nastawałam o więcej szczegółów. Czy dobrze ją znała? Cóż - powiedziała - lepiej niż większość tutejszych ludzi. Większość tutejszych widywała Mary Swann tylko z daleka; była kobietą z farmy, która kupuje żywność, nosi stary męski płaszcz i okropne płócienne pantofle. Ale Mary Swann lubiła postać sobie przy biurku w bibliotece, kiedy tylko mogła, i pogadać o swojej ulubionej pisarce, którą była Bess Streeter Aldrich. A... i Edna Ferber. Była prawdziwą miłośniczką Edny Ferber.

Po południu Rose zaproponowała mi szklaneczkę żytniówki z imbirową lemoniadą w szklance do soku. W przyływie gościnności zaczęła się nerwowo krzątać, przynosząc skądś miseczkę płatków ziemniaczanych i drugą ze śmietanowym dodatkiem do maczania chipsów. Wreszcie rozwiązał się jej język i opowiedziała mi o mężu Mary Swann, który był nieokrzesanym, biednym jak mysz wieśniakiem, ciemnym chłopem skłonny do napadów wściekłości. Niechętnie patrzył na wizyty żony w miejskiej bibliotece - to było widoczne. Opowiadał każdemu, kto chciał słuchać, że kobiety powinny zająć się robotą, a nie mitrzyć czas na czytanie książkowych opowiadań. Czekał na żonę na dworze w ciężarówce, dając jej zaledwie kilka minut na zmianę książek, a kiedy zaczynał się niecierpliwie, trąbił. Nie pozwalał jej też wypożyczać więcej niż dwie książki naraz. Według niego to było dosyć. Miał dziobatą, czerwoną twarz i oczy jak guziki. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego go nie zostawiła. Nie miał nigdy żadnego znajomka. Ludzie go się bali. Ich córka jednakże, zdolna dziewczynka, dobrze sobie radziła z nauką, pewnie pod matczynym wpływem, i zdobyła stypendium. Ona się stąd wydostała, ale Mary nie. Niektórzy ludzie z okolicy powiadali, że Angus Swann regularnie bił żonę. Raz pojawiła się w mieście z podbitym okiem i zwichniętym ramieniem. Mówiło się też, że pali niektóre jej wiersze w piecu kuchennym, więc zaczęła je chować pod linoleum w kuchni. Prawdziwy łotr, potwór.



- I oczywiście wie pani, co się w końcu stało - wyraziła przekonanie Rose Hindmarch.

- Co? - spytałam.

- Chce mi pani powiedzieć, że naprawdę nie wie?

- Nie.

Oczy Rose załśniły i wyrzuciła z siebie:

- No cóż, ten człowiek wsadził jej kulę prosto w głowę, a potem po- siekał ją na drobne kawałki!

## 12.

Spędziłam w Nadeau dwa dni, dostałam pokój w hotelu „Nadeau” nad salką dla piwoszy. Rose Hindmarch wraz z Homerem Hartem i jego żoną, Daisy, towarzyszyli mi na cmentarz, żebym zobaczyła, gdzie Mary Swann została pochowana. Był to ładny kawałek gruntu na zboczu wzgórza, z bezpretensjonalnym głazem, skromną bryłą granitu, i z napisem: „Mary Swann, 1915— 1965, Kochanej Mamie - Frances”. (Angus Swann został spalony w krematorium i o jego prochy nikt się nie upomniał - poinformowała mnie Daisy Hart).

Następnie wszyscy czworo, gawędząc jak starzy znajomi na wycieczce, pojechaliśmy na opuszczoną farmę Swannów. Przed domem stała obdarta tablica „Na sprzedaż”.

- Stoi tak już prawie dziesięć lat - powiedziała Rose Hindmarch - i wygląda na to, że nikt nigdy nie kupi tego gruntu.

Brnęliśmy przez wyrośniętą trawę. Dom i stodoła były z nie malowanego szarego drewna; dachy już się wykrzywiły. Obydwa ganki, od tyłu i od frontu, chwiały się, a okna były zabite deskami. Nad ponurymi zabudowaniami wznosił się silos, do którego Angus Swann wrzucił poćwiartowane ciało żony - głowę, tułów i odcięte nogi - zanim strzelił sobie w usta, siedząc przy kuchennym stole.

Nikt dobrze nie wie, co się między nimi wydarzyło. Nie było żadnego wyjaśnienia, żadnej notatki ani znaku. Tylko jeden z ostatnich wierszy Mary Swann wskazuje na jej rosnące uczucie klaustrofobii i bezradności. Oto ostatnia strofa:

W każdej minucie drobna łza  
Dni ocierają łzy fartuchem.  
Każdy rok - tłumiąc szlochy - łka  
A wieki milczą głucho.

Rose Hindmarch - bo ona tymczasem stała się moim pełnym poświęcenia przewodnikiem - zaproponowała, że weźmie klucz od pośrednika w handlu nieruchomościami, bym mogła zobaczyć wnętrze domu. Ale tym razem zawahałam się i odmówiłam. Samą mnie to zdziwiło, bo zwykle nie mam obiekcji - to nie leży w moim charakterze i daleka jestem od wszelkich wahań. Gdy tak jednak stałam na frontowym ganku, patrząc, jak wiatr siecze zarośnięte zielskiem podwórze, doznałam nieprzyjemnego, mdlącego poczucia winy, jakbym miała naruszyć granice prywatnej posiadłości. Fakt, że można było tworzyć w takiej pustce, z niewiadomej przyczyny wstrząsnął mną. I jakież miałam prawo odgrzebywać ukrytą hańbę, potajemną walkę? Poza tym widziałam już dość; chociaż później, słysząc o wierszach, które Willard Lang znalazł pod linoleum, żalowałam tego.

W jakimkolwiek bagnie tonęła Mary Swann w ostatnich dniach - z uduszenia, z wyczerpania - teraz mnie ono wchłaniało, a myślę, że inni odczuwali to samo. Homer Hart oparł się ciężko na wątlej poręczy, pobladł i oddychał z trudem. Rose pocierała bez przerwy podbródek, jak wówczas, gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy. Nawet impulsywna Daisy Hart, kobieta o potężnym biuście, szorstka z racji przekroczonej pięćdziesiątki, wciśnięta w obcisły bawełniany kostium - nazwałaby go zapewne dwuczęściową garsonką - ograniczyła się do pełnego szacunku, co rusz powtarzanego pomruku: „biedna kobieta, uciął jej nawet głowę”. Wróciliśmy do wynajętego samochodu i jechaliśmy w milczeniu do Nadeau. Zateśkniłam nagle za powrotem do Chicago i zdecydowałam, że nie spotkam się z wydawcą wierszy Mary Swann, Frederickiem Cruzzim w Kingston. Wyjadę do domu, jak tylko wrzucę pierwszy bieg.

Na pożegnanie wręczyłam Rose flakonik francuskich perfum. (Nie otwierałam go, był jeszcze w pudełku, podarunek od Olafa, na szczęście miałam go ze sobą w walizce). Wyciągnęła po niego rękę, ale się zawahała. Do oczu napłynęły jej łzy wzruszenia. To za wiele - powiedziała. Nie może sobie wyobrazić, żeby mogła używać czegoś tak ekstrawaganckiego jak te perfumy. Widziała ich reklamę w „Dniu Kobiety”. Ale skoro nalegam... Nalegałam. Byłam nieustępliwa. Wcisnęłam jej perfumy w rękę. No cóż, skoro tak, będzie je cenić jak skarb, zachowa na specjalne okazje, na brydżowe wieczory lub wyjazdy do Kingston. Potrząsała głową, przyrzekając, że za każdym razem, kiedy skropi się odrobiną za uszami, pomyśli o mnie i będzie wspominała moje odwiedziny.

Wylewność wprawia mnie w zakłopotanie, zwłaszcza gdy jest szczerą. Perfumy to tylko drobny wyraz wdzięczności za serdeczność i pomoc, jaką Rose mi okazała, ale trudno było ją przekonać, że to prawda. Poruszała ustami, włoski na brodzie drżał na wietrze. Stałyśmy przy wynajętym samochodzie, który zaparkowałam przed jej domem, i zastanawiałam się, czy mamy podać sobie ręce, czy się ucałować. Dobra kobieta. Odważna kobieta.

- Proszę chwilę zaczekać - powiedziała raptem. - Zaraz wrócę.

Wpadła do domu i po minucie wróciła, trzymając dwie rzeczy, które chciała mi dać, i nalegała, żebym wzięła. Obie należały do Mary Swann. Agent, który miał się zająć sprzedażą farmy Swannów, oddał je Rose razem z dwiema pożyczonymi przez Mary książkami z biblioteki.

Pierwszą był mały, spięty spiralą notes, jaki czasem nazywają kieszonkowym notatnikiem. Otworzyłam go i zobaczyłam, że poliniowane stroniczki pokryte są datowanymi nagłówkami i zapisane niebieskim atramentem. Dziennik! Wstrzymałam oddech, nie wierząc własnemu szczęściu.

- Tylko krótkie zapiski - wyjaśniła Rose Hindmarch. - Różne różności. Nie mogłam się w tym zupełnie połapać, taki groch z kapustą. Ale tutaj jest coś, co panią na pewno zainteresuje.

Podawała mi tanią książkę w papierowej okładce, słownik rymów. Nosiła tytuł, jeśli dobrze pamiętam: „Nowy poprawiony słownik rymów dla uprawiających poezję” autorstwa Spratta.

Gdy Rose mi go wręczała, była tak przejęta poczuciem własnej szlachetności, że jej twarz promieniała.

- Proszę wziąć. U mnie by się to tylko marnowało. Bo cóż ktoś taki jak ja może wiedzieć o prawdziwej poezji?

Chyba jej podziękowałam. Mam nadzieję, że jej podziękowałam. Pamiętam, że zderzyłyśmy się jakoś sztywno. Uścisk będący próbą samoobrony. Czubek jej głowy uderzył mocno w moją prawą szczękę. Torba, którą miałam na ramieniu, rąbnęła ją w biodro. Zaraz potem wsiaadłam do wozu i powoli odjechałam. Wyjeżdżałam z miasteczka pod chłodną koronką liści, a słownik i notes leżały na siedzeniu obok mnie. Wkrótce byłam już na otwartej autostradzie wiodącej na zachód.

Obok błysnęło jezioro z jedną czy dwiema motorówkami na spokojnej powierzchni. Dalej były ogrodzone pastwiska, stodoły i długie, pochylone aleje brzoź. Myślałam o Sylwii Plath, o tym, co ktoś mi powiedział, że pisząc wiersze, posługiwała się leksykonem. Dziwiłam się

nawet, myśląc o tym. I było mi przykro, że w tak pięknym dniu myślę o tezaurysie Sylwii Plath.

Słownik rymów i notes Mary Swann spoczywały na siedzeniu, na wyciągnięcie ręki. Prowadząc wóz, mogłam ich dotknąć. Ten notatnik i jego zawartość, jaką wkrótce przede mną odsłoni, przykuwały moje myśli, ale słownik odciągał moją uwagę i rozpraszał zbyt krzykliwą okładką. Po kilkunastu kilometrach zaczął mi się wydawać czymś złowieszczy, użyczającym dziwnej nierealności notesowi leżącemu obok.

Zatrzymałam się przy pierwszym pojemniku na śmieci, stojącym na poboczu, i wrzuciłam do niego słownik. Potem ruszyłam prosto w kierunku granicy.

### 13.

W kołyszącym wagonie metra, trzymając się plastikowego uchwytu, stoi zdrowy, młody, sympatycznie wyglądający, mocno zbudowany Stephen Stanhope, mój poprzedni kochanek. W przewieszzonej przez ramię torbie ma pełno hantli, kauczukowych pierścieni, mlecznych kul i innych przyborów niezbędnych w zawodzie żonglera. Mówi, że jedzie na dobroczynną imprezę, urządzaną przez Klub Lionsów w Evanston, gdzie daje pokaz żonglerki.

- A może pojedziesz ze mną i dotrzymasz mi towarzystwa? - pyta.

- Czemu nie? - odpowiadam.

Jest sobota. Wracam do domu z porannej wyprawy na rynek, moja torba na zakupy jest wypchana wonnymi dyniami i kabaczkami. Wrócił mój dawny niepokój, moja duchowa egzema, jak to nazywa Brownie. (Brownie wyjechał z miasta, jak zwykle na koniec tygodnia, żeby szperać po okolicy w poszukiwaniu komiksów z „Plastikowym Człowiekiem” i pierwszych wydań Hemingwaya czy Fitzgeralda - albo też drugich wydań lub trzecich - które coraz trudniej znaleźć).

Na imprezie Lionsów siedzę w bocznych rzędach i przyglądam się pokazowi Stephena. Duży mężczyzna, sześć stóp i cztery cale, ma na sobie luźne bawełniane ubranie, a na nogach białe tenisówki. Bezszelestnie, z niebywałą zręcznością porusza się na tych białych stopach, elegancki i błazeński. Ma dar oczarowywania, ten mój Steve, potrafi rzucać urok na dzieci - niektóre z nich są na wózkach inwalidzkich - i rozwiewać obawy skrzępowanych, wierzących się rodziców. Wprawia ich

w dobry nastrój i doprowadza do śmiechu.

- Jeśli będziecie patrzeć bardzo, bardzo uważnie - mówi do publiczności ściszym głosem - zobaczycie, jak upuszczam sobie hantle na stopę.

I w sekundę potem rozmyślnie je upuszcza, podskakuje na jednej nodze w niemej męczarni, a dzieci wyją i klaszczą. Następnie pokazuje, że szybko doszedł do siebie, i wpada pod ulewę pięciu piłek, które odrzuca zręcznie do góry, i kończy pokaz słynną sztuką z trzema płonącymi pochodniami. Widziałam to już przedtem, ale dzisiaj wykonuje swoje sztuki z wyjątkowym arcyzmem. Jest mistrzem w swoim błazeńskim fachu, ten trzydziestopięcioletni syn człowieka, który biliony ulokował w zbożu.

Zdolni mężczyźni sami potrafią się wykreować, ale zdolne kobiety, tak mi się przynajmniej wydaje, wykreowane są przez matki. Kobiety nigdy nie mogą całkowicie wyrwać się spod kosmicznego przyciągania matek, nie mogą uciec przed ich oczekiwaniami, których nie wypowiedzą przez zagryzione wargi, ani przed ich źle pojętą miłością. Chcemy zadowolić nasze matki, dorównać im, przynieść im wstyd, zobowiązać je, obrazić i zagrzebać się we własnych tajemnicach, i szukać pocieszenia w ich obecności. Kiedy matka i ja znajdujemy się w tym samym pokoju, oddziałujemy na siebie w sposób magiczny. Ja staję się nieznośnie wesoła i grzeszę wtórną, wyobrażoną przez nią naiwnością oraz innymi pobłażliwymi sztuczkami, a smutne, bezradne dygotanie matki staje się pieśnią zapowiadającą nadciąganie na odsiecz. W ciągu paru minut zaczynamy zajmować się głupstwami, obydwie - genetyczna maszyna do szycia napędzana bezgraniczną miłością. Jestem przekonana, że między matkami a córkami istnieją swego rodzaju więzy krwi, których w żadnym wypadku nie można rozerwać. (Wszystko to, oczywiście, wykazałam w trzecim rozdziale książki „Przez pryzmat kobiety”, podając liczne przykłady z literatury dziewiętnasto- i dwudziestowiecznej).

Tak czy inaczej, doświadczenie mężczyzn jest zupełnie różne. Patrzę na Stephena i na Browniego, i na wszystkich innych znanych mi mężczyzn i zdumiewa mnie dystans, jaki potrafią wytworzyć między sobą a ojcem. Ojciec Steve'a, którego spotkałam tylko raz, zajmuje w prezydium zarządu Giełdy Zbożowej tak wysokie miejsce, że równie dobrze mógłby się znajdować na szczycie góry, podczas gdy Stephen, wielki, cichostopy chłopiec, radośnie łapie w powietrzu drewniane pałki,

jeździ metrem i wynajmuje mieszkanie w domu w Maywood, jednej z „sypialni” Chicago, nie chcąc, jak się wydaje, korzystać z materialnych dóbr syjących się na niego jak z rogu obfitości. A Brownie, jego śliczne, groźne spojrzenia spode łba, nachmurzone miny i gniewna koncentracja? Jestem pewna, że to jego własne wynalazki, bynajmniej nie odziedziczone po ubogim, lecz uśmiechniętym ojcu (jak go sobie wyobrażam), który stąpa ciężko po gliniastych polach gdzieś na północy. Życie Browniego, podobnie jak życie Steve'a, zdaje się tak zaplanowane, żeby uniknąć losu ojca, moje zaś zostało nakreślone tym samym grubym ołówkiem co życie mojej matki.

Stephen pyta, jak się miewa moja mama. To już jest później, w barze w śródmieściu, przy piwie i kanapkach na grzance. Tłumaczę mu, że guz w boku czasem nie daje jej spać, ale przynajmniej nie wygląda na to, by rósł, i że w przyszłym tygodniu idzie do szpitala na jednodniowe badania. Możliwe, że będzie trzeba zrobić operację, ale najprawdopodobniej guz nie jest złośliwy.

- Brakuje mi ciebie - mówi Steve, składając i rozkładając dłonie. - Tęsknię za tym zadziwiającym czasem, jaki spędziliśmy razem.

- I mnie ciebie brak - mówię, trochę zaskoczona, a potem spontanicznie zapraszam go, żeby u mnie przenocował.

Najbardziej brakuje mi jego twarzy, opanowanej, spokojnej, uderzająco nieprzeniknionej twarzy, o której wiadomo, że na pewno nie ma do niej części zapasowych i że nic się za nią nie kryje. Jest to także oblicze, które korzysta z promieniowania młodości.

- Ma otwartą twarz - powiedziała moja matka, gdy pierwszy raz zobaczyła Stephena. - Ten rodzaj twarzy, która z czasem staje się coraz lepsza.

Pamiętam dokładnie, jak to mówiła. W ogóle pamiętam wszystko, co mówi. Łączącą nas linię napinają szczegóły. Wszystkie jej drobne osądy wyczelowałam, opanowałam co do słowa. W gruncie rzeczy nie ma prawie myśli w mojej głowie, która by nie była rozwinięta lub podkreślona przez jakiś komentarz mojej matki. To umacnia jedną z moich życiowych teorii: kobiety dźwigają w sobie cały ładunek słów wypowiedzianych przez matki. Jest on tą częścią nas samych, której nigdy nie da się wymazać ani skorygować.

## 14.

Jedna ze studentek, uczęszczająca na moje seminarium o „Kobietach w prozie środkowego zachodu”, Betsy Gore-Heppel, urodziła dzisiaj dziecko, córeczkę ważącą siedem funtów. Zrobiłyśmy zrzutkę, żeby kupić jej sprytne urządzenie złożone z rzemyków i pasów, zwane Ma-Terna-Pak, tak że Betsy po tygodniu lub dwóch będzie mogła przychodzić na zajęcia z dzieckiem przymocowanym na piersi. Decyzja o kupieniu prezentu, podpisywanie karty z życzeniami, a potem mały drink, by uczcić urodziny z uczestniczkami seminarium - wszystko to sprawiło, że byłam w domu o dwie godziny później niż zwykle. Toteż na kolację miałam tylko kubek zupy pomidorowej, którą popijałam, czytając ostatni list od Mortona Jimroya.

Jak inne listy Mortona, tak i ten jest utrzymany w tonie pojednawczym i przezornym. „Doskonale rozumie” - powiada - moją niechęć do „dzielenia się” zawartością notatnika Mary Swann. Raz jeszcze prosi o wybaczenie, jeżeli jego prośba była „zuchwała”, i ma nadzieję, że wiem, iż wyrażona chęć, by „choćby zerknąć”, płynęła z neodpartego przymusu, jaki każe mu opierać się na dokumentach, dokumentach, dokumentach!

Długo jeszcze ciągnie w tym nastroju, a podejrzewam, że nie bywa w innym, i wreszcie kończy poniekąd wzruszającym fragmentem fachowego opisu: „Tlenem dla biografisty nie jest, jak niektórzy uważają, spekulacja; są nim drobne, ostrożne próby badawcze, które przygważdża i których się uparcie trzyma”.

Pytam siebie: Czy to stwierdzenie jest otwartą dłonią wyciągniętą na przeprosiny, czy obwiniającym palcem? Odmówiłam mu jednej z tych „drobnych, ostrożnych prób badawczych”, jakich potrzebuje, jeśli pisana przez niego biografia ma być solidna. I czy powinnam dlatego mieć poczucie, że stoję na przeszkodzie systematycznemu napływowi stypendium, prosząc, aby poczekał jeszcze kilka miesięcy, zanim zobaczy notatnik? Tak. Nie! No cóż, być może. Nawet gdybym chciała odłożyć na bok własny interes, trudno przewidzieć, czy zrobiłoby to jakąś różnicę. Ostatecznie i tak zobaczy notatnik Mary, przynajmniej jego fotokopię, a gdy przebada jego stronicę, dozna jedynie uczucia ogromnego zawodu.

Wielkie rozczarowanie przeżyłam, gdy po raz pierwszy otworzyłam notatnik. Chciałam znaleźć w nim jakieś naświetlenie, łaskę, chciałam,

żeby mi przed oczami mignęła ta kobieta, Mary Swann, jak wpływa w swoje wiersze i jak z nich wypływa. A wszystko, co dostałam - to: „Potok zaczął dziś opadać” albo „zielona fasola rośnie”, albo „z forsą kiepsko”, albo „Coraz mocniej wieje”. „Dziennik” nie był niczym więcej niż wyliczaniem lepszych i gorszych dni żony rolnika, jakiegokolwiek żony rolnika, a w dodatku zapisanym straszliwym charakterem pisma. Całymi dniami głowiłam się nad gryzmołami jednego fragmentu z nadzieją choćby na niewielki odprysk światła, ale w końcu zdecydowałam, że te bazgroły trzeba odczytać jako „zepsuła się klamka”.

Notatnik Mary Swann - Bóg wie czemu miał służyć - obejmuje okres trzech miesięcy, lato 1950 roku; autorka opisuje w nim jedynie pasmo bagatelnych wydarzeń („skaleczyłam rękę przy pompie”) albo przedmioty wymagające naprawienia (kociołek, buty), a czasami wymienia małe grupki wyrazów (otwieracz do puszek, woskowany papier, cukier), które, jak rozstrzygnęłam po krótkim namyśle, mogły być tylko listą zakupów. Nawet jej przypadkowe obserwacje świata przyrody są, skromnie mówiąc, prymitywne: „gałęzie połamało”, „rzodkiewki marne”, „słońce piecze”.

I to wszystko pochodzi od kobiety, której cała estetyka sprowadza się do smutku! Kobiety, która stała się dla mnie wzorcem wytrwałości i przetrwania! Czuję się zawiedziona, nawet zdradzona, ale nie chciałam się do tego przyznać. W ciągu następnych tygodni po otrzymaniu od Rose Hindmarch notatnika przerzucałam jego strony po kilka razy, wyobrażając sobie, że pewnego dnia dostarczą mi klucz, który obróci nudne, krótkie zapiski w przejrzyste przesłania. Może miałam nadzieję na takie samo przemieszczenie poszczególnych fraz, jakie często się zdarza w wierszach, uboczny odnośnik, który w rzeczywistości jest sprytnym wprowadzeniem czytelnika w błąd. Jej wiersz o jabłoni, na przykład, będący w istocie przejrzystym wyrażeniem kobiecej zmysłowości, jej wiersze o wodzie, które odtwarzają - chociaż pewni naukowcy z tym się nie zgadzają - czyste kontury narodzin i odrodzenia. Mary Swann jest mistrzynią odwróconego obrazu. Weźmy „Bzy”, pierwszy z jej opublikowanych wierszy. Na pozór jest to błąhy, bierny opis drzewa w rozkwicie, a w rzeczywistości - rozdierająca wypowiedź kobiety odciętej od swoich korzeni, jedna z najbardziej wzruszających, jakie czytałam.

Naturalnie otwierałam notatnik z nadzieją, że znajdę w nim ten sam podwodny temat. A powodem mojej odmowy podzielenia się nim z



Mortonem Jimroyem, czy zresztą z kimkolwiek innym, jest to, że wciąż mam nadzieję, być może głupią, wyciśnięcia jakiegoś pełnego znaczenia soku z tępych komunikatów o pogodzie i spisów rzeczy do kupienia.

Wciąż nie mogę się zdecydować, jak przedstawić notatnik na sympozjum: czy jako zwykły wiejski dziennik („Swann jedną nogą tkwiła mocno w świecie codziennych zajęć, a drugą...”), czy też jako kryptogram spisany przez kobietę, która wpadła w panikę, gdy uświadomiła sobie, że jest artystką. W jej życiu nie było nic, co mogłoby ją przygotować na jasność wizji, jaka ją nawiedziła w połowie życia, albo na to, jakie rzeczy będzie robić za pomocą parkera 51 i słownika rymów. (Nie wspomnę, oczywiście, ani słowem o słowniku, od dawna obróconym w proch i, mam nadzieję, zapomnianym).

Jednak niezależnie od tego, jak przedstawię notatnik, reakcją będzie z pewnością rozczarowanie, zwłaszcza dla Mortona Jimroya, z nabożeństwem podchodzącego do materiałów źródłowych. Będzie rozczarowany - widzę już jego skurczoną twarz, ściągnięte usta i zapadnięte oczy - rozczarowany samym notatnikiem, rozczarowany osobą Mary Swann, a także - nie mam co do tego żadnej wątpliwości - mną.

Ale czy z kolei on mnie nie rozczarował, on i jego biograficzne wykopki? Jak dotąd nie odkrył jeszcze nic, co by dotyczyło matki Mary Swann, nawet jej panińskiego nazwiska, i nie wykazuje najmniejszego zainteresowania, by je wytropić. Czy on nie ma pojęcia o tym, co dotyczy matek? „Dzieciństwo - napisał w jednym z poprzednich listów, w niczym nie ustępującym ostatniemu - bywa przesadnie przeceniane przez dawnych biografów, tak samo jak wpływy rodziny”.

Trudno zgadnąć, czy jest to nowy, ostry kurs w nauce biografii, czy też Jimroy owija w bawelną ubóstwo zebranego materiału. Ale jednego jestem pewna: wiersze Mary pełne są ukrytych aluzji do matki, do siły i gwałtowności rodzinnych więzów. Zwłaszcza jeden wiersz wskazuje na nieuniknioną trwałość więzów krwi, a szczególnie tych, które łączą matki z córkami. Jest to wiersz, który mnie prześladowuje, śpiewa głośno w mojej głowie i bębni w sam środek mojego serca:

Krew po imieniu mnie nazywa  
Pęcherzem wstydu dzień okrywa  
Marnuje to czego mam mało  
Zabiera czas i ściera ciało.

## 15.

Żeby jakoś uporządkować swoje życie, muszę sobie coś wyobrazić. Kwiat byłby dobry, symbol mnie samej; jakiś irys, delikatna, wiotka główka złożona z płatków i długa zielona rzeka łodygi. Mogłabym patrzeć, jak się kołysze przy najlżejszym powiewie, i podziwiać jego wyniosłą, purpurowo-niebieską godność. Nadąsane wargi, których nie opuszczam niżej niż o kilka dozwolonych stopni - przynosiłyby wstyd mojemu obecnemu stanowi przygnębienia.

Ale dlaczego jestem smutna dzisiajszego wieczoru? Kieruję to pytanie do marokańskiej poduszki w rogu sofy, delikatnego trójkąta z miękkiej białej skóry. (Daj spokój, moja damo, przestań się nad sobą rozczulać; właściwie jaki masz powód, żeby się smucić?).

Ponieważ cały dzisiajszy dzień lało, ponieważ zazdrozczę Betsy Gore-Heppel, ponieważ martwię się o zdrowie matki, ponieważ dotąd nie znalazłam notatnika Mary Swann, ponieważ przemówiłam się dziś rano z kochanym, pocziwym profesorem Glidenem na temat intertekstualności w powieściach Edith Wharton, ponieważ jedyne, co mi dziś przyniosła poczta - to rachunek za olejowe ogrzewanie, ponieważ Stephen Stanhope przysłał mi kwiaty, a także z powodu Nikaragui oraz tego, że Papież przemawiał w telewizji, przypominając mi, że straciłam wiarę; ponieważ niedobrze mi się robi na widok moich pięknych strojów (te watowane ramiona, te ciągle wyprawy do chemicznej pralni); ponieważ deszcz ciągle pada i pada - właśnie z tych wszystkich powodów załamalam się dziś wieczór i zadzwoniłam do Browniego, który nie dzwonił do mnie od dwóch tygodni.

Był niewiarygodnie zajęty - wyjaśnia. (Wszystkie moje wyostrzone zmysły skupiają się i mają na baczności). Musiał zatrudnić trzech nowych pomocników w Studio Browna i wziąć księgowego na pełny etat. Spędził właśnie dwa dni w Peorii, szperając w wystawionej na licytację bibliotece jakiegoś „pana-i-pani” (tak to określil). Potem pognął do St. Louis rzucić okiem na komiksy z kobietą-cud, ale były w okropnym stanie, jednak udało mu się wyłowić wspaniałą, sygnowany egzemplarz pierwszego wydania „Sybilli” Disraelega i ma już na niego zdecydowanego kupca. W przyszłym tygodniu jedzie na wyznaczone spotkanie w Montrealu, żeby przejrzeć pewne niezwykle gorące listy miłosne pisane przeszło sto pięćdziesiąt lat temu. To, że jest eklektykiem, utrzymuje

go w formie. Jest zajęty, zbyt zajęty - powiada. Jest całkowicie wyczerpany. Pusty w środku. Po prostu wrak.

Skąd więc ta nuta egzaltacji, wyczuwalna w tym uskarżaniu się? W każdym słowie, nawet w małych pauzach między słowami, wyczuwam to popisywanie się, jaki on jest zajęty i chytry.

- A może wpadniesz? - sugeruję. - Rozpalę w kominku. Moglibyśmy pogadać.

Błagalny ton w moim głosie przeraża mnie. O Boże, dlaczego kocham Browniego?

Dobre pytanie. Jego kręte włosy, na końcach zwijające się w loczki. Kręty sposób, w jaki mówi i myśli jednocześnie. Przeguby rąk. Zegarek na rękę, na którym zawsze sprawdza czas, jakby porównywał go z innym zegarem w swoim mózgu, chodzącym w innym, być może zagrażającym mu rytmie. Chłodne, bezstronne spojrzenie. Drobne ramiona, lekko przygarbione jak u Einsteina. Jego swetry, trochę przetarte na łokciach. Bezradna, ciągła potrzeba robienia pieniędzy i przekonanie, że nigdy nie uda mu się odłożyć dosyć na starość - choć wątpi, żeby jej dożył. Czubki jego palców na moich ramionach, wystukujące to, co chcemy sobie przekazać podświadomie. Jego silne i krótkie nogi, tak krótkie, że kiedy idziemy razem przez park, słyszę szuranie jego stóp po żwirze. Jego kolekcja kostiumów. Wiktoriańskie peleryny, wojskowe kurtki i tym podobne. Chytry sposób, w jaki obchodzi się z cienkimi, starymi książkami, pragnienie, żeby schować je w bezpiecznym miejscu na jakieś dziesięć, dwadzieścia lat, dopóki ich wartość nie wzrośnie wielokrotnie i nie zabrzęczy. Skarby, skarby - zdają się mówić jego krzaczaste brwi, choć dla niego skarb oznacza coś zupełnie innego niż dla mnie. Sposób, w jaki jego wargi układają się w kółko, gotowe przyznać, ale nigdy nie obiecać tego, że mógłby pokochać. I to niemal mnie zabija, że jest ślepy, nie widzi miłości.

- W przyszłym tygodniu na pewno - obiecuje.

Z Montrealu jedzie znów do Kalifornii, żeby obejrzeć Strombergowską kolekcję komiksów z Plastikowym Człowiekiem, jedyne zbiory, jakie zna, które mogą rywalizować z jego własnymi.

Chodzą słuchy, że Stromberg jest gotów coś sprzedać.

- Wezmę ze sobą jakiś pakiecik w żywej gotówce na wszelki wypadek - oznajmia mi Brownie. - Ale jak tylko to załatwię, zdecydowanie postanowiłem zwolnić tempo.

Brownie opowiedział mi kiedyś o pewnym ekonomiście; zapędził w kozi róg cały światowy rynek, skupując meksykańską fasolę, której

cena wciąż szła w górę. To zrobiło na Browniem ogromne wrażenie. Teraz on ma kontrolę nad Plastikowym Człowiekiem i goni po świecie, żeby wykupić ten komiks co do ostatniego egzemplarza, a potem na pewno już odsapnie, jak mówi. Planuje, że nie będzie się już tak przejmował, może poczyta wreszcie trochę książek w swojej księgarni. Twierdzi, że od dziesięciu lat nie przeczytał ani jednej książki. Jeszcze jeden powód, żeby go kochać.

Chyba we mnie jest coś perwersyjnego. Jesteś zepsuta - mówię sobie, i mam w głowie tylko Browniego. Widzę go, jak mruga, kiedy ubija interes, jak oblizuje wargi, oszukując, jak wznosi oczy do góry, jakby się uczył czegoś na pamięć.

Ta myśl podnosi mnie na duchu, więc, rozweselona, robię sobie filiżankę imbirowej herbaty i wędruję do łóżka. Wygląda na to, że deszcz będzie padał całą noc. Leżę na wznak i wyobrażam sobie, że wyciskam namiętne pocałunki na ciepłych wargach Browniego. Deszcz ciągle pada - słodka, miła muzyka na dachu.

## 16.

Dość tych wahań, czas, żeby się zabrać do roboty, sklecić wykład na sympozjum poświęcone Mary Swann i wysłać go wreszcie. Willard Lang w Toronto siedzi mi na karku, w zeszłym tygodniu list, wczoraj po południu telefon, biadoli swoim okropnie uprzejmym, środkowo-atlantyckim piskliwym głosem, przypominając o tym, o czym sama doskonale wiem, że dwukrotnie już przedłużył mi termin (i tylko dlatego, że jestem członkiem Komitetu Organizacyjnego) i że 15 listopada to absolutnie (ap-sou-lutn-niee) ostateczna data, jeśli w ogóle chcę, żeby moja praca została oddana do druku.

Zdecydowałam się wreszcie na tytuł „Mary Swann a forma wyobraźni”, nie płonący, feministyczny sztandar, jak planowałam, ale niejasny, postmodernistyczny salut, ukazujący, że ja też potrafię postmodernizować na równi z najlepszymi z nich. Biorę głęboki oddech, a potem wpisuję tytuł w edytor tekstu.

Komputer nabyłam od pewnego znajomego, Larry'ego Fine'a, behawiorysty, który kupował sobie nowy. Ten stary nazywał czule Gertrudą. Zapłaciłam tysiąc pięćset dolców gotówką - zawsze płacę gotówką, wtedy to jasna sprawa - i czym prędzej unieważniłam tamten chrzest, bo nie

jestem z tych, co przyczepiają martwym przedmiotom śmieszne imiona. Larry przyszedł któregoś wieczoru i pomógł mi zainstalować komputer w kącie kuchni, bo w tym miejscu najlepiej mi się pracuje niejasne, pikantne wyznanie, ale cóż, tak jest.

No tak! Kuchenne szafki wytarte do czysta. Jest sobota, wyjątkowo mroźno na dworze. Żółty czajnik, prezent od siostry, Leny, błyszczy na kuchennym piecyku. Tylko siostra może dać czajnik w prezencie. Tylko starsza siostra. „Zaczynaj wreszcie - sama siebie upominam - taki z ciebie zapalony naukowiec, więc na co czekasz?”

Bardzo by mi pomogło, gdybym miała przy sobie na stoliku mój egzemplarz „Pieśni” Mary Swann, ale Brownie jeszcze mi go nie oddał. Mówi, że „musi się nim nacieszyć”. Nacieszyć! Może wziął go ze sobą. Boże, żeby go tylko nie zostawił gdzieś w hotelowym pokoju albo w samolocie - ale nie, tego by nie zrobił, nie z książką. Książki uważa za świętość. Jeśli tylko...

Mniejsza z tym. Nie potrzebna mi książka. Wystarczy, że zamknę oczy i widzę każdy wiersz tak, jak wygląda na właściwej stronie. Czyż przez ostatnie kilka lat nie żyłam głównie w samym wnętrzu tych wierszy? Czy nie wchłaniałam ich nierównego rytmu, nie przejmowałam ich kształtu? Te wiersze to moje zabawki - przyznaję - drewniane paciorki, które mogę przesuwać na sznurku.

Jesteś niegodziwa. Uspokój się. Dość tego. Pisz!

Zdecydowałam już, że ominę kwestię notatnika Mary Swann. Mam na myśli stopniowe jego dyskutowanie. Może tylko napomknę - „pозwolę sobie jeszcze mimochodem zauważyć” - że pisanie dziennika przez Mary Swann było prefiguracją jej poezji jedynie dlatego, że wiązało przedmiot ze słowem, doświadczenie z językiem. Trochę to płynne, ale mogę jeszcze do tego wrócić. Dodać rozdział pt. „Trudne terminowanie” albo coś w tym rodzaju.

Wybijam palcami rytm na stole. Opadam z sił. A może byłoby nieźle posłużyć się jako przykładem tym dziwnym, krótkim wierszem o rzodkiewkach. Nie jest to jej najlepszy wiersz, nie z tych, które się cytuje, zdecydowanie słabszy: dwanaście zwartych, niezwykle wnikliwych linijek, które naukowcy często przeocząją. Dokonam szczegółowej analizy tekstu i wykażę, w jaki sposób Mary, wykorzystując zwykłą pracę przerywania rzodkiewek w rządki - najcięższa, monotonna harówka, trudna do wyobrażenia - potrafiła wydestylować te dwa wspaniałe, a tak do tychczas lekceważone końcowe wersy, które stały się niemal jej

życiowym credo, dzięki czemu mogła przetrwać. „Jej credo...” - wklepuję w komputer - „znalazło swój wyraz w...”

Już południe. Za cztery godziny mam być na manifestacji przeciw apartheidowi. Spiesz się!

Próbuję inaczej. (Och, ten cudowny, mały, zielony, wymazujący klawisz!). „Przerywanie rzodkiewek było dla Mary Swann symbolem...”

Zaczekaj chwilę, zatrzymaj się! Tu jest luka, która wymaga wyjaśnienia, zbytnio się pospieszyłaś. Cóż to, czy prowadzę jakiś ekspresowy pociąg? Od rzodkiewek do prawdy ostatecznej? Oto przeskok wyrafinowanego estety. Skąd Mary Swann, nieuczona, wiejska kobieta mogła wiedzieć, jak dokonać tego mrocznego, metaforycznego połączenia. Kto ją nauczył, co jest możliwe?

„Mary Swann była pod dużym wpływem...”

Znów ten sam stary problem: Mary Swann nie czytała żadnego współczesnego poety. Nie była pod niczym wpływem.

Rozważania o Mary Swann przywołują mi na myśl - a jest to rodzaj dwupiętrowej pamięci pochodzącej z rodzinnych annałów - mojego dziadka, ojca mojego ojca, mechanika z zawodu, człowieka, który wykonywał pracę ręczną, zmarłego na długo przed moim urodzeniem. Według wszystkich późniejszych relacji był to spokojny mężczyzna o kontemplacyjnym usposobieniu; prowadził warsztat obok szopy za swoim domem, tu, gdzie obecnie jest Evergreen Park. Całymi latami, krojąc i przycinając arkusze blachy, spostrzegał, że istnieje szczególny, lecz stały stosunek między różnymi bokami trójkątów. Prowadził rejestr tych dziwnych informacji, a po pewnym czasie mógł już zauważyć wymierne wzory. To odkrycie zachował dla siebie i kilka lat poświęcił na opracowanie szczegółowej tabeli wzajemnych liczbowych relacji, będącej w istocie zwykłą tabelą logarymiczną. Po prostu na nowo wynalazł trygonometrię, przynajmniej tak opowiadał mój ojciec. A kiedy później, wiele lat później, dziadek się dowiedział, że to już zostało zrobione, wybuchnął śmiechem i wyrzucił swoje tabele. Zdziwiający człowiek. Geniusz.

Lubię sobie wyobrażać, że w nieco podobny sposób Mary Swann wynalazła współczesną poezję. Jej wypowiedzi, ich kształt, są logiczną, utkaną z przeżyć materią. Mary zabierała się do pracy, nie mając pojęcia o poezji Pounda czy Eliota, nie знаła nawet ich nazwisk. W jej wierszach są te wszystkie osobliwe, szorstkie pchnięcia, jak i na nowo tworzone, syntaktyczne abrazy, jakimi charakteryzuje się prototyp. Nie można

czytać jej wierszy i nie uświadomić sobie, że ich forma kształtuje się dopiero w procesie tworzenia.

„Poezja w stadium wykuwania” - wrzucam w edytor tekstu, a potem lecę dalej, ze skupieniem podkładając właściwe słowa, wystukując sobie drogę wzdłuż różanej ścieżki w stronę syntezy.

## 17.

Pierwsze słowa, jakie wypowiada moja matka, kiedy odzyskuje przytomność, brzmią: „Masz brudną buzię, kochanie”.

Unoszę dłoń, żeby sprawdzić.

Właściwie jest to siniec, rezultat utarczki podczas manifestacji, krótkiej bójkki, żenującej, jak teraz oceniam, gdy zaczynam się nad tym zastanawiać, jeden z przypadków mojej buchającej energią wylewności, a także skutek tego, że odwróciłam głowę w nieodpowiedniej chwili i zderzyłam się z łokciem przeznaczonym dla kogoś innego. Oczywiście, matka nie musi o tym wiedzieć. Zapada znowu w sen, wsunąwszy swoją dużą, miękką, zbolalą rękę w moją dłoń. Wolną ręką wyławiam z torby czekoladki, żeby je położyć na stoliku obok łóżka.

Matka leży w pokoju z czterema innymi pacjentkami, lecz namiętnie opiera się myśli, że mogłaby mieć coś wspólnego z tą jęczącą drużyną inwalidów. Rozmawiałam już z doktorem LeBlankiem i z chirurgiem. Stali, opierając się o ścianę, obydwaj uśmiechnięci, świeżo ostrzyżeni - lekarze zawsze wyglądają, jakby wyszli prosto od fryzjera - kciuki wetknięte w kieszenie zielonych fartuchów. Wiadomości, jakich mi udzielili, były dobre, właściwie całkowicie pozytywne: guz, który dzisiaj rano usunęli mojej matce, nie był, jak się obawiali, gąbczastą miazgą nowotworu, lecz zbitym kłębkim kostek i włosów, który - powiedzieli - był skamieniałym płodem, bliźniakiem mojej matki, dziwnym sposobem absorbowanym przez nią jeszcze w okresie embrionalnym, zanim się urodziła. Samoistna, niezwykła osobliwość medyczna, jeden z tych diabelskich wybryków, na jakie pozwala sobie od czasu do czasu ludzkie ciało.

Przez tyle lat matka, nic o tym nie wiedząc, nosiła guz, brata czy siostrę, zasuszony do rozmiarów włoskiego orzecha i zachowujący się spokojnie. Teraz usunięto go, a skórę nic nie podejrzewającej matki starannie zeszyto we właściwym miejscu. Patolog zrobi odpowiednie testy i za tydzień wyniki zostaną potwierdzone, chociaż nie ma żadnej

wątpliwości, co to jest w istocie.

Ależ to chyba niemożliwe - powiedziałam co najmniej trzykrotnie. Jednak doktor LeBlanc zapewnił mnie, że chociaż niezwykle, taki fenomen nie jest wcale rzadkością. Wciąż nie mogę w to uwierzyć: moja matka, która leży tu na szpitalnym łóżku, spokojna i biała jak chmurka, moja własna matka nieświadomie gościła jakąś małą, zaanektowaną małą z ludzkiej substancji, towarzyszkę jej całego życia. Ta cielesna zagadka usuwa z mojej głowy wszystkie inne myśli.

Zapominam o Nelsonie Mandeli, rozśpiewanych demonstracjach z powiewającymi na wietrze transparentami, o cudzym łokciu, który podsiadł mi oko - już mnie nie boli, nawiasem mówiąc. Zapominam nawet o moim ukończonym referacie o Mary Swann, który teraz leci do Toronto, okropnie spóźniony i mniej stanowczy, niżbym sobie życzyła. Forma Wyobraźni! Drogocenna, drogocenna! A notesem Mary Swann, wciąż zdecydowanie zaginionym, już się więcej nie zadręczam - tak, wyrzuty sumienia wyraźnie zelżały - ani milczenie Browniego już mnie nie dotyka, chociaż jestem przekonana, że dawno wrócił do Chicago.

Te wszystkie ostatnie wypadki, te sprawy wydają mi się nagle bez znaczenia, ledwie ich surowe kontury widzę w świetle tego, co się teraz wydarzyło: dziwny poród u mojej matki.

Za chwilę znowu się obudzi. We śnie porusza wargami, jakby deklamowała jakieś gąbczaste orędzie. Obserwuję jej powieki, jak trzepocą na powierzchni czegoś, co musi być wirowaniem kłębiących się snów, snów wywołanych lekarstwami, a w centrum tego wirowania musi tkwić, już tam osadzona, wiedza o rozłące i utracie. Ale czy tak jest?

Nie można przewidzieć reakcji matki.

Patrę na jej duży korpus, na śpiące ciało i myślę, jak mało je znam, i o tym, że nie sposób odgadnąć, jak matka się zachowa, gdy powiedzą jej o „guzie”.

Może zdrygnie się z niesmakiem, zaciśnie powieki i zacznie kiwać głową z boku na bok: nie ja, nie ja. Zawsze była wymagająca, nie pogodziona z różnymi fluidami i siłami ciała. Wyobrażam sobie, jak odchrząkuje, zawstydzona i przepraszająca.

A może zaskoczy mnie i zacznie się śmiać. Przypominam sobie, że czasem wykazywała nieprzewidziany humor. Dowodem jest jej pełne próżności powtarzanie w kółko rodzinnych historyjek albo satyryczne obrazki czy karykatury, które od czasu do czasu wycina z gazet i



przygina w kuchni na ścianie. Może nada pieścizotliwe imię swojemu samorodkowi, Bertuś albo Groszek, i wysnuje z tego całą okrągłą opowiadankę, ze swojej własnej chorobowej przygody, odpowiednią dla uszu kum od kanasty, bardziej interesującą, bardziej dramatyczną niż woreczek żółciowy czy stan tarczycy, i o wiele weselszą teraz, kiedy to już zostało usunięte i umieszczone w słoju z formaliną. Czy poprosi o taki słoje? Będzie go trzymać na półce obok swoich figurek Hummela? Tam siedzi mój mały Bertuś. Albo Groszek. Śmiechy.

A może będzie jej smutno. Boże, mnie jest smutno. Sama myśl o tej bezbarwnej, małej fasolce z ludzkiej materii, która przez tyle lat dzieliła z moją matką krew i ciepło, sprawia, że mam w gardle kulkę łez. Matka była jedynym dzieckiem starszych już rodziców. Była niezgrabną dziewczynką. Wyszła za mąż, urodziła dwoje dzieci, owdowiała, stała się ociężała, zestarzała się; a przez cały ten czas dawała pod swoją skórą schronienie temu ludzkiemu strączkowi. To nie był mój ojciec, to nie była moja siostra ani ja, ale ta skondensowana mała rzecz, która przechodziła wraz z nią przez wszystkie najbardziej sekretne rytuały, przywiązana do jej zmiennych nastrojów i krótkich chwil wytchnienia; lojalna druga istota, która jechała bez biletu, a teraz została wyrzucona.

Pod szpitalną pościelą ciało matki wygląda, jakby było już lżejsze, a jednocześnie moje ciało, które krąży nad nią, poprawia poduszkę, sprawdza igłę od kroplówki w ramieniu, staje się odpowiednio cięższe.

Kusi mnie, żeby sięgnąć na ślepo za pasek spódnicy, chwycić i przytrzymać moje ciało i zobaczyć, co mnie tak obciąża. Może Mary Swann, która tam zamieszkała na stałe, a może chłodne widmo rozciągającej się przede mną samotności - ponieważ to widmo naprawdę jawi się przede mną.

Matka wciąż śpi, oddycha nierówno, chwytając małe, lekkie, dziewczęce kłębki powietrza. Po raz pierwszy w życiu zazdroścę jej, pragnąc choć cząstki tej nowej lekkości. Prawdopodobnie będzie spała jeszcze godzinę. Wokół mnie zaczyna się sadowić ulga. Siniec na policzku znowu zaczyna lekko pulsować. Kiedy matka się obudzi, porozmawiamy trochę, a potem wyśliznę się na chwilę do telefonu, żeby zadzwonić do Stephen, tak jak mu obiecałam.

## 18.

Listy. Zrobiły mi się okropne zaległości w korespondencji, a przez szparę w drzwiach wpadają jeszcze całe bele poczty.

Willard Lang napisał do mnie krótką, ciepłą notatkę, zawiadamiając, że moja praca nadeszła i została zrecenzowana przez komitet programowy, który uważa, że jest bardzo, naprawdę bardzo odpowiednia. Umieszczono mnie już w programie, mam godzinę na wykład i dwadzieścia minut na pytania z sali, jeśli jakieś będą. (Ostrzega, żebym nie przekroczyła limitu czasu, ponieważ lunch - szwedzki stół - planowany jest na 12.30, a po nim następuje urozmaicony program warsztatów). Mam wystąpić na sesji otwierającej sympozjum, zaraz po przerwie na kawę, która jest przewidziana po powitalnym, przedstawiającym program, przemówieniu Mortona Jimroya. Lang daje mi do zrozumienia, że powinnam uważać to za zaszczyt.

Morton Jimroy napisał długi, chaotyczny i nieco paranoiczny list z Palo Alto. Nie ma zaufania do Langa i bardzo się boi ujawnienia czterech miłosnych wierszy, uważając, że to zrodzi absurdalne teorie. Praca idzie mu nieźle, mimo że córka Mary Swann, Frances, stała się niewytłumaczalnie wroga. Rozpacza, że nie może nic więcej z niej wydobyć. W dodatku ciągly kalifornijski blask słońca jest ogromnie uciążliwy, a wokół domu, który wynajmuje, kwitną róże; narzeka, że za dużo tych róż, co daje efekt wulgarnej obfitości i czegoś niewczesnego. Najchętniej poobcinałby im główki nożycami, ale boi się, że to mogłoby pogwałcić warunki najmu. Trzy razy powtarza, iż cieszy się na spotkanie ze mną: w pierwszym akapicie, potem w środku listu, i jeszcze raz pod koniec: „Będziemy mieli sobie tyle do powiedzenia” - sugeruje, deklaruje, przyrzeka.

Frederic Cruzzi napisał, że się zgadza, choć niechętnie, wziąć udział w sympozjum. List napuszony i nieco arogancki, ale autor chwali mój charakter pisma.

Rose Hindmarch z Nadeau, ze stanu Ontario, przysłała kilka słów na odwrocie kartki bożonarodzeniowej, chociaż to dopiero początek grudnia. Święta Rodzina skąpana w strzelistych pędach błękitnego światła. „Jeśli zdrowie mi pozwoli - pisze - przyjadę w styczniu na sympozjum. Mam nadzieję, że Pani tam będzie i znajdziemy trochę czasu na pogaduszkę”. Ten list porusza we mnie drobne fale rozmaitych wzruszeń: przyjemność, że ją zaproszono; poczucie winy (ta szybująca rozmaitość)

na wzmiankę o jej słabym zdrowiu; niepokój, że może pamiętać o słowniku rymów Mary Swann i komuś o nim wspomnieć; przyjemność wywołana ciepłym napomknieniem o „pogaduszkach” - moje niezaspokojone „ja” karmi się każdym objawem siostrzanych uczuć.

Jakaś kobieta z Amsterdamu (podpis nieczytelny) pisze, żeby mi powiedzieć, iż właśnie skończyła czytać holenderskie wydanie „Przez pryzmat kobiety” i to zmieniło jej życie. (Natychmiast po ukazaniu się książki dostałam około dwustu takich listów, w większości od kobiet, chociaż trzy były od mężczyzn; przypisywali mi życiową zmianę, gdyż dzięki książce uwolnili się od biologicznych kleszczy, i tak dalej. Dzisiaj widuję czasem moją książkę leżącą w antykwariatach i zawsze się dziwię, jak mało przykrości mi to sprawia).

Przyszedł też list od Larry'ego Fine'a, który pojechał na zachód, żeby zrobić kilka wywiadów ze świadkami erupcji Góry Świętej Heleny. „Chwilowe niebezpieczeństwo rodzi trwałe obawy - informuje - ale zaskakująco niewielka garstka ludzi potrafi sobie przypomnieć dokładną datę tego nieszczęścia”.

Moja siostra Lena pisze z Londynu - pod spodem jest sznureczek całusów narysowany przez mojego ukochanego sześciolatniego Franklina. Lena błaga, żebym dobrze się opiekowała matką po operacji. Sama by się nią zajęła, gdyby nie była tak daleko i gdyby akurat nie podjęła nowej pracy, porzuciwszy rękodzielniczy wyrób klatek na ptaki dla dziedziny nastawionej bardziej na człowieka: terapii masażami. Polega to głównie na tym, że wspominających z nostalgią szkoły z internatem angielskich czterdziestolatków wali z całej siły, aż im się wszystkie gwiazdy pokazują.

Olaf donosi w liście o ilorazie swojego szczęścia/nieszczęścia i opisuje bezsporną litanię niepowodzeń, wiodącą w kierunku ponurego przygnębienia, szkicuje trzy pozytywne kroki, które mają to poprawić; na początek znowu zapuścił brodę. „A jak Ty sobie radzisz?” - troszczy się w postscriptum.

„Jak się masz?” - pyta Stephen Stanhope na małej widokówce z San Diego (surfing na błękitnym morzu), gdzie daje pokaz na zjeździe naukowym sadowników. Żadnego: „chciałbym, żebyś tu była”. Żadnych dowcipów. Po prostu: „Mam nadzieję, że zobaczę Cię w czwartek wieczorem”.

„Drobny znak pamięci” - głosi karteczka od Browniego, karteczka włożona do uroczej, starej książki esejów Anny Jameson, przesłanej w wysłanej kopercie. Drugie wydanie, 1880. Okładka: ciepły odcień

brązu ze złotymi esami-floresami na rogach. Tytuł: „Charakterystyka kobiet”. „Przepraszam, że nie mogłem tego wysłać w zeszłym tygodniu” - pisze Brownie swoim artystycznym pismem, drukowanymi literami. - „Po uszy w targach książki”.

„Tysiączne dzięki” - czytam w kartce od Betsy Gore-Heppel.

- „Emma kocha swoje nosidełko i powoli przyzwyczajają się do życia poza łonem mamy. Jeśli moje zdrowie psychiczne się poprawi, wrócę na zajęcia wkrótce po świętach”.

List na powielaczu, złożony i spięty zszywką: „Zebranie Komitetu Akcji Uwolnić Nelsona Mándele o 6.30 u Arniego w drugiej salce. PO-TRZEBUJEMY CIĘ”.

„Ty nędzna istoto” - pisze moja przyjaciółka i - czasem - mentorka, Peggy O'Reggis, która pojechała do Meksyku uczyć sztuki batiku. - „Obiecałaś napisać i...”

„Tylko kilka słów, żeby zapytać, czy uszkodziłaś sobie prawy nadgarstek” - pisze Lorenzo Drouin, mediewista, który jest na rocznym urlopie naukowym w Prowansji.

„Ostatecznie wytropiłem ten cytat” - to kartka od kochanego, poczciwego profesora Gilidena - „który, jak sądzę, może rzucić pewne światło na sprawę, jaką usiłowałem...”

Kolejna kartka z San Diego (foki igrające w szmaragdowym morzu): „Deszcz wyrzuca z Kalifornii. Wracam w śr. zamiast w czw.”

„Droga Doktor Maloney” - oznajmia list pisany na maszynie przez Dorę Movius z archiwów uniwersyteckich. - „Napotykam pewne trudności w odnalezieniu materiałów, o które Pani prosiła. Czekamy na telefon pod powyższym numerem między godziną...”

„Od dłuższego czasu nie mam od Pani wiadomości” - donosi czarująco Morton Jimroy; to drugi list w ciągu ostatnich dziesięciu dni. - „Przypuszczam, że obraziłem Panią zbytnią poufalością. Okropny dureń ze mnie”.

I ostatnia kartka: „Przepisz ten list trzy razy i wyślij pod powyższym adresem. W ciągu tygodnia otrzymasz sześć (6) pojedynczych kolczyków dobrej jakości. Jeśli zerwiesz ten łańcuch, grozi ci nieszczęście”.

## 19.

Dora Movius, która zajmuje się literackimi zbiorami mieszczącymi się na drugim piętrze archiwum, zawsze jest w niesłychanie złym humorze i ma solidne podkładki tłuszczu pod oczami. Jej ciężka dolna szczęka wystaje tak, jakby strzegła pełnej gęby gorzkich wód mineralnych. W ciągu tych lat stykałam się z nią wiele razy, zwłaszcza w czasie, kiedy pisałam pracę doktorską, i nigdy nie mogłam zrozumieć, czym mogłam ją tak głęboko obrazić. Oto jedna z walczących siostr - mówię sobie - zaślepiona i kłótniwa.

Pracujący w bibliotece, podobnie jak w piekarni, ze względu na samo otoczenie powinni być ludźmi spokojnymi i szczęśliwymi. Ale zazwyczaj tak nie jest. Dzisiaj pani Movius wygląda na zaabsorbowaną i nieprzenikliwą w czarnym żakiecie z gabardyny - szorstki materiał garbujący szorstką skórę. Ponieważ ma dla mnie jakąś wiadomość - czuję to z daleka - zdobywa się na coś, co przypomina widmo uśmiechu, w każdym razie mięśnie wokół jej warg wysuwają się do przodu.

- Szukałam wszędzie tego egzemplarza, o który pani prosiła - mówi (perfumowany głos na wysokim tonie, w napiętym vibrato). - Szukałyśmy wszędzie - dodaje, jakby chciała rozcieńczyć odpowiedzialność.

Słabe poczucie godności nie pozwala mi odpowiedzieć od razu. Po chwili odzywam się najbardziej rozsądnym tonem:

- Ależ jestem pewna, że tu jest, pani Movius. Przyniosłam go osobiście, żeby był w bezpiecznym miejscu. Może pani sobie przypomina, nie miał być w obiegu, ale...

- Obawiam się, że nie będziemy w stanie go zlokalizować.

Moja asystentka i ja spędziłyśmy prawie całe popołudnie na poszukiwaniach.

Perfumy w głosie ulatniają się.

- Może ja mogłabym zobaczyć...?

- Obawiam się, że to niemożliwe. Jestem przekonana, że pani rozumie, doktor Maloney, iż nie możemy pozwalać na to, żeby ludzie ot, tak, wchodzili prosto z ulicy i...

- Ale on musi gdzieś być - nalegam.

- Niewątpliwie.

Ramiona splecione w poprzek mocnych piersi. Zawsze gotowa do strofowania.

Naciskaj i pchnij, pchnij i naciskaj. Próbuję raz jeszcze:

- Nie chcę być melodramatyczna, pani Movius, ale ten egzemplarz naprawdę jest mi potrzebny do referatu, który mam przedstawić w przyszłym miesiącu. Podkreślam, że liczą na mnie. Sympozjum poświęcone Mary Swann, może pani słyszała. Spotykamy się w Toronto i moja praca jest w programie...

Macha rękami, żeby przestała mówić.

- Mogę tylko zasugerować, żeby pani posłużyła się oryginałem. Możemy ponownie zrobić z niego fotokopię dla pani, jeśli to konieczne, ale nie możemy...

- Kiedy widzi pani - nabieram powietrza, pokorna jak dziewczynka, która ma znowu czternaście lat, skarżąca się płacziwie z poczuciem winy, nigdzie nie widać kwiatu irysa w szklanym wazonie. - Problem polega na tym, że oryginał zginął.

- Zginął?

- Zginął.

- Nie chce pani powiedzieć, że...

- Tak.

Teraz robi pauzę, śmiertelnie długie dziesięć sekund, a potem poczucie własnej słuszności przeobraża jej twarzą, nalaną twarz.

- No cóż - wzrusza ramionami - zawsze bierzemy na siebie ryzyko.

- Wiem, ale...

- Jak pani wie, doktor Maloney, my zawsze usilnie namawiamy, żeby zostawiać w archiwum oryginały, a tylko kopie zatrzymywać dla...

- Ależ wiem, wiem. Jednak kopia musi być... czy nie ma jej w karto-tece... w aktach z resztą materiałów Mary Swann?

- W tym właśnie tkwi cały problem, obawiam się.

Przez górną połowę twarzy pani Movius przebiega drobny skurcz niedowierzania, a potem twarz mięknie; przez chwilę mam wrażenie, że pani Movius chce mnie pogłaskać po ramieniu.

- Nie mamy najmniejszego pojęcia, jak to się stało, ale zdaje się, że wszystkie materiały dotyczące Mary Swann zniknęły. Po prostu - zniża gniewnie głos; wygląda, jakby za chwilę miała mnie uderzyć - po prostu zginęły.

## 20.

Bywają dni, kiedy pełen godności irys wędnie, kiedy trzeba wziąć gorącą lokówkę do zakręcania włosów wobec nieprzewidzianych ofert życia. Albo to, albo wyłączyć fale mózgowe i odpłynąć, jak to sugeruje

Mary Swann w pierwszym ze swoich wodnych wierszy:

Rzeki tego kraju  
Żłobią dno schną uśmiercają  
Wody mojego ciała  
Niewidoczne wzbierają.

Dziś wieczorem, w wigilię Bożego Narodzenia, kiedy pada mokry śnieg i ulice są niebezpieczne, Stephen Stanhope i ja pobraliśmy się. Ślub odbył się o piątej trzydzieści po południu, w moim domu, w salonie. Ogień huczał w kominku i zrobiło się tak gorąco, że Steve, jego ojciec i Gifford („Gwiżdżący Giff”) Gerard, sędzia, który dawał nam ślub, musieli zdjąć marynarki zaraz po zakończeniu uroczystości.

Nowa żona ojca Steve'a, która jest w moim wieku, była ubrana w różowy jedwabny kombinezon i bladoszarą bluzkę. Moja matka, wyglądająca na zmęczoną i skrepowaną, miała na sobie najlepszą niebieską suknię z lekkiej welenki i nie zważając na upał, zarzuciła na ramiona kremowy szal. Lois Lundigan włożyła *paisley* - miękkie wełniane ubranko w barwne wzory, a Virginia Goodchild - która, zawiadomiona na trzy dni przedtem, przyjechała aż z Nowego Orleanu - miała na sobie coś w rodzaju zamszowego smokingu, ściśniętego splecioną w warkocz szarfą.

Ja włożyłam kitel z białego jedwabiu (*challis*) i cudowne białe, koronkowe pończochy.

Ojciec Stephena przyszedł w garniturze koloru niebieskiej sali konferencyjnej, „Gwiżdżący Giff w czerni sali sądowej, a Steve był w pożyczonym blezerze, którego koloru nie mogę sobie przypomnieć. Profesor Gliden (w szarej kamizelce robionej na drutach i kasztanowym krawacie) wznosił toast za zdrowie panny młodej („naszej bardzo kochanej, niepohamowanej Sary”) i odczytał głośno stos telegramów: od Leny z życzeniami szczęścia, od Olafa z wyrazami zadowolenia i od dziewczyn z mojego środowego seminarium z życzeniami sukcesów. Wszyscy dużo jedliśmy i pili, a Steve i ja siedzieliśmy w środku na podłodze i otwieraliśmy prezenty, z których największym był samoskładający się stół z pleksiglasu od mojej Lois Lundigan, a najdziwniejszym - butelka po szampanie od Larry'ego Fine'a, wypełniona popiołem z Góry Świętej Heleny. Brownie przysłał nam drewnianą misę pokrytą dziwnymi wyżłobieniami w kształcie łez, bardzo piękną, a drukowana karteczka życzyła: „szczęścia i powodzenia”. Matka dała mi w prezencie komplet

pościelowej bielizny od Fieldcresta, a ojciec Stephena, wykonując szybki, jakby plemienny ruch, wręczył nam akcje giełdowe, warte kilkanaście razy więcej niż moje roczne pobory.

O północy, po wymianie niezliczonych uścisków i pocałunków, wszyscy rozjechali się do domów taksówkami, a Steve i ja zdjęliśmy nasze stroje i daliśmy nurka do łóżka.

- Hm - zabrzmiał duży, cichostopy głos Stephena.

- Hm - odpowiedziałam.

Hm, hm, leżymy sobie tutaj obok siebie, dwa wyczerpane, dwudziestowieczne ssaki z grupy naczelnych, naga skóra przy nagiej skórze. Co myśmy, na Boga żywego, zrobili?

Przez ułamek sekundy Zwątpienie - ten wędrujący przez moje życie gracz - bezczelnie patrzy z sufitu w dół z błyskiem groźby. Odmruguję porozumiewawczo, a potem zastanawiam się, czy to nie ten sam cień, który przesądził o losie Mary Swann.

Ale nie, równy, nie budzący niepokoju oddech obok mnie przekonuje mnie o czymś innym. Dziwne, jak całe ciało tego mężczyzny zdaje się oddychać, jakby było wyposażone w skrzele.

„Odzyskany”. „Odzyskany” - to uroczne słowo miesza się z widmami. Gromada myśli płynie do mnie pod pełnymi żaglami, armada nocy gna na szczęściem.

Tydzień temu Morton Jimroy przysłał list, w którym napisał: „Żyjemy w wieku spowiedzi”.

Myli się. To wiek sekretów. Nasze tajemnice są naszą bronią.

Pomyślcie o Afryce, o tajnych zgromadzeniach. Pomyślcie o tajemnicach rodzinnych. Pomyślcie o miłości. Jakże inaczej możemy wyrazić bunt, jeśli nie przez skrywanie niewypowiedzianych myśli. „Kocham cię” - mówi Steve nieskomplikowanym oddechem. „Ja także cię kocham” - odpowiadam, wgrzyzając się w ciszę, jakby to był kawałek ryby, i krzyżując palce.

- Jeśli rzeczywiście tego chcesz - powiedział Brownie uprzejmie, gdy zadzwoniłam do niego, że wychodzę za Steve'a Stanhope'a.

- Muszę sobie pewne sprawy w życiu ułożyć - odrzekłam, bo nie miałam ochoty przybierać tonu penitentki. - I może chcę mieć dziecko.

Ostatnio, w ciągu deszczowych, ponurych dni jesiennych, zaczęłam się trochę bać „tej niepoohamowanej Sary”. Jej straszna energia chyba za wiele ode mnie wymaga. I zastanawiam się: Gdzie jest jej dusza? A nawet: czy ona ma jakieś wnętrze?

Chcę przez pewien czas żyć bez ironii, bez teorii, w chłodnej, solidnej metaforze. Koncha muszli - to byłoby pyszne. Albo mocno różowe złoże



granitu. Próbowalam być pilna i pracowita, robiłam, co mogłam, przykładalam się. A teraz chcę mieć z powrotem swoją świeżość, słodkie pochlebstwa dziewczęcości. Nie na zawsze, tylko na trochę. Chciałabym utkwic rozbiegany wzrok w ruchliwej wielkowiejskiej ulicy i wchłaniać strumień ludzi przechodzących obok jak w hipnozie odważnie, odważnie i jakby w hipnozie.

Nareszcie, nareszcie czuję, że moje członki zaczynają się rozluźniać. Świat jest zarówno bezcenny, jak i niepewny. Muszę teraz tylko uregulować oddech, żeby dostosować go do oddechu Steve'a. Jak on spokojnie śpi, niewątpliwie bawiąc ludzi, w mózgu ma długie łańcuchy snów, mamrotane zaklęcia hantli i tenisowych piłek. Najwyraźniej nie miewa nocnych koszmarów. Co za cud, że tak całkowicie ufa temu pochyłemu dachowi! Zresztą nie ma właściwie powodu, żeby nie ufał. Bezpieczny jak dom.

To dziwne wyrażenie. Skąd się, na litość Boga, wzięło?

Średniowieczna angielszczyzna, sądząc po brzmieniu. Jutro to sprawdzę. Jutro.

Obracam się na bok, odurzona rosnącą wagą mego ciała, w miarę jak odpycha od siebie stary, narzucający się świat, a mój oddech dokłada swoją treść do ociążałości i bezpieczeństwa domu. Już prawie tam jesteś - mówią mi płuca; miga już wejściowa furтка; sen gotuje się na wolnym ogniu.

I wtedy przez cienkie, gliniane ściany snu słyszę, że dzwoni telefon stojący obok łóżka. Raz, drugi. Po trzecim dzwonku podejmuję słuchawkę i przykładam do ucha.

- Halo! - mówię, sztywniejąc, bo wiem już, że zaraz uderzy mnie jakaś nie do zniesienia wiadomość. Mama. Śliskie jezdnie. Brownie. - Halo! - powtarzam.

Ale w słuchawce cisza, żadnego dźwięku, tylko mój bezbarwny głos uderza o pomalowane ściany.

- Kto mówi? - pytam. - Proszę, kto mówi?

W sypialni robi się lodowato. Siedzę na brzegu łóżka, a chłód przenika moje plecy i ramiona i sprawia, że trzęsą mi się ręce.

- Halo - mówię w głąb ciszy, a wtedy słyszę wyraźnie delikatny trzask z tamtej strony.

- Halo, halo, halo - wyśpiewuję w płaczkliwy, monotony sygnal w słuchawce.

Najpierw zjawia się uczucie ulgi, które sekundę potem przeradza się w panikę. Siedzę z szeroko otwartymi oczami i cała dygocę.

Morton Jimroy

Jimroy czuł się bardzo samotny w pierwszym miesiącu pobytu w Kalifornii i pewnego wieczoru zdecydował się pójść do studenckiego teatru na „Chorego z urojenia”. Sam był zdziwiony, dlaczego to robi, gdyż sztuki Moliera zawsze uważał za stratę czasu. Ale nagle poczuł się bardzo przygnębiony i pomyślał, że wieczór poza domem dobrze mu zrobi.

Nie było w tym nic niezwykłego, że dozował sobie rozrywki, jakby to były dawki lekarstwa. Ciągłe siedzenie w książkach zacieśniło jego horyzonty, przynajmniej na to żaliła się jego była żona.

- Wyglądasz jak jakiś cholerny mnich - oskarżyła go kiedyś, wsuwając przez uchylone drzwi jego gabinetu długą, sinawą szyję; nigdy nie nauczyła się pukać. - Powinieneś od czasu do czasu gdzieś wyjść - strofowała. - Bywaj u kogoś. Zabaw się trochę. To cię wyleczy z dolegliwości.

Kochana, pocziwa Aud. Pełna dobrych intencji, rozsądna, ale jedna z tych kobiet, których nie przemyślane ataki nieodmiennie przypominały Jimroyowi przykrećcie do ścian metalowych półek. To do niej podobne, zawsze uważała, że najlepiej wie, co mu dolega. Uśmiechnął się na tę myśl. Audrey z kędzierzawą rudą czuprynką, wąskimi ramionami i płaskim biustem. A jej łokcie, które w zimie zawsze zaczynały się luszczyć, tak że musiała je smarować balsamem Jergensa, zanim się położyła; droga, wysmarowana Aud. Często o niej myślał, zwłaszcza wczesnym wieczorem, zwłaszcza pod koniec roku, jesienią, chociaż myślenie o niej było uleganiem słabości, niosło ostre małe strzały bólu. A jednak tak - przyznawał. Brakowało mu filiżanek mocnej herbaty, jakie przynosiła po obiedzie, nawet tego, jak mocno stawiała je na biurku.

Cóż, czas przytłumia drobne irytacje. Czas przewrotnie sprawił i to, że zaczął patrzeć przez różowe okulary i doceniać nawet teuczynki

Audrey, które najbardziej go nękały. Toteż teraz (sprawiała to jesienna nostalgia, z pewnością nie miłość) wspominał jej głos, krzykliwy i zachrypnięty skutkiem palenia zbyt wielu papierosów, a także biały imbrzycek do herbaty, który trzymała w popękanej dłoni.

W Kalifornii nie ma jesieni, co Jimroy uznał za dezorientujące. Jak to, już trzeci tydzień września, a wszędzie dokoła na drzewach i krzakach utrzymuje się ostra zieleń! Liczne kapiące eukaliptusy przydawały przestrzeni błękitnej okrągłości, przecinanej wszechobecnyymi autostradami, pełnymi przerażających pętli i pochyłości. Stanford kwitło. Wszędzie wzdłuż murów i ścieżek uniwersyteckiego kampusu kołysały się kwiaty, i to jakie kwiaty! - jak otwarte usta z małymi, wywieszonymi języczkami. Deprymujące - myślał Jimroy, ale uważał, żeby nie mówić o tym głośno.

Przypomniał sobie, że nie ma tu zimy, której trzeba stawić czoło; za nią nie będzie tęsknił ani przez chwilę. W domu, w Manitobie, dostawał bólu głowy, słysząc, jak znajomi co roku pieją z zachwytem nad pięknoscią drzew w zimowej szacie lub nad muzyką śniegu skrzypiącego pod nogami. Tym razem uciekł przed tym wszystkim, jak również przed kiczowatymi wylewami uczuć, do jakich pobudzała zima. Rok bez śniegu. Jego *annus mirabilis*. Będzie mógł sypiać przez całe dwanaście miesięcy przy szeroko otwartym oknie. Pogratulował sobie tego osiągnięcia, myśląc o ciężkim, włochatym płaszczu, rękawiczkach i śniegowcach zostawionych w Winnipeg, w sypialni, w szafie, zamkniętej przed młodym lokatorem, któremu wynajął dom.

Niech marznie.

W tym roku, pięćdziesiątym pierwszym roku jego życia, zaoszczędzone mu będą zasypy śniegu za oknami i bzdurny obrzęd z płynami przeciw zamarzaniu, z którymi nigdy nie umiał sobie poradzić. Kalifornijczycy byli rozpieszczeni i szczęśliwi, to zielone miejsce było prawdziwym rajem, a jednak, a jednak... Kiedy spoglądał na ludzi, spotykanych w ciągu ostatnich tygodni, nie mógł sobie wyobrazić, jakimi zasadami kierują się w życiu, ani też co napawa ich takim optymizmem.

Sztuka Moliere'a w Stanfordzkim Centrum Studenckim zaczęła się o dziewiątej. Nie mogłoby to mieć miejsca w Winnipeg, gdzie wszystko zaczyna się o ósmej trzydzieści. Były też inne różnice. Tutaj ludzie wciąż napływali, zadziwiając wielu pojedynczo, nosili wygodne ubrania, mieli senne spojrzenie i wyglądali na zaspanych, jakby dopiero co wstali z

łóżka. Dziewczyna, która wskazała mu miejsce, miała na sobie spłowiałe dżinsy i jasnogrnatowy sweter ze źle dobranymi guzikami.

Ubiór dziewczyny jak i wysoki, miły głos z zachodnim akcentem Jimroy uważał za wariacką pozę.

- Tam - powiedziała śpiewnie, jakby nie był nikim ważnym. - Tam, na końcu.

Wręczono mu program, wypisany na czymś, co wyglądało na część gazety: ogromny miękki arkusz, za duży, żeby go trzymać na kolanach. Atrament ścierał się i brudził palce, więc gdy tylko światła przygasły, zsunął program na podłogę.

Molier nie miał serca. Nawet Francuzi - tak mu kiedyś powiedziano - przyznawali, że Szekspir przewyższa Moliera wielkością serca. Nie było w nim także żadnej wartościowej filozofii ani prawdziwej inteligencji. Sama zewnętrzność i sowizdrzalskie psoty, zbiegi okoliczności i bezmyślność, chowanie się w zbrojach lub gramolenie się pod łóżko; tak można by to podsumować.

Jednakże pod koniec pierwszego aktu raz czy dwa złapał się na tym, że się uśmiecha, i powitał ten uśmiech z uczuciem ulgi, używając w myśli nudnego zwrotu Audrey, że to może, mimo wszystko, dobrze mu zrobić na dolegliwości.

Podczas przerwy Jimroy został na swoim miejscu i kątem oka uważnie przyglądał się mężczyźnie, który się spóźnił i usiadł po jego lewej ręce. Był to mężczyzna już pod trzydziestkę, może nieco starszy, z kręconymi kasztanowatymi włosami, szeszanymi do tyłu z bladego czoła. W jego oczach był jakiś tajemniczy wyraz, jakby szedł ostro pod wiatr - być może ostro pił. Miał haczykowany nos; nie tylko: cała jego twarz była haczykowata.

Na podbródku sterczało brązowe znamię, które jednak nie było tak duże, żeby go zniekształcało. Ale najbardziej zadziwiające było to, że nosił obszerną szkocką spódnicę, tzw. kilt. Jimroy objął spojrzeniem stonowane czerwienie i zielenie tartanu i pomyślał, że strój mężczyzny sprawia wrażenie starego i autentycznego; przy pasku wisiała także jedna z tych małych skórzanych sakiewek. (Miały jakąś nazwę, ba, ale jaką?).

Jimroy zadumał się nad znaczeniem tego szkockiego kostiumu. Prawdopodobnie nie było w nim nic szczególnego. Chyba połowa ludzi w Palo Alto chodziła poubierana, jakby występowali w jakiejś sztuce. Przecież wczoraj, gdy przechodził przez campus, widział młodzieńca w satynowych spodenkach gimnastycznych, z nagim torsem, jadącego w jego kierunku na jednokołowym rowerze (unicyklu): utrzymywał równowagę, mając pod pachą wielką pakę książek, i błyskał napiętym,

nerwowym uśmiechem zawodowego aktora. „Bar Pomysłowych Sandwiczów”, w którym Jimroy jadł dzisiaj lunch, pełen był dziewcząt podobnych do Cygarek, odzianych w długie spódnice, a jedna z nich, dopiero co wyrosła z okresu pokwitania, miała biodra opasane czymś, co z wyglądu przypominało chodnik. Inna dziewczyna stojąca za ladą, wygarniająca łyżeczką miąższ z avocado i rozgniatająca go na kromce chleba, ubrana była w ogrodniczki ozdobione maleńkimi, haftowanymi kwiatkami, z wyszytą nad jedną piersią propozycją: „Spróbuj mnie”. (Jimroy wpatrywał się śmiało w to zaproszenie, chcąc pokazać, że nie widzi w tym nic szokującego - bo naprawdę nie widział).

- Przepraszam pana. - To mówił mężczyzna w tartanie.

- Mówi pan do mnie? - Jimroy usłyszał swój głos, pedantyczny, z wyraźnie kanadyjskim akcentem.

- Spadł panu program. - A potem: - Bo to chyba pański program.

- Dziękuję uprzejmie. - Parsknął śmiechem, niezamierzonym, ale w każdej chwili gotowym go wydać.

- Interesująco wystawione, nieprawdaż?

Mężczyzna w tartanie powiedział to pogodnym, liturgicznym tonem, z nutką zdziwienia. Szkocki akcent - zauważył Jimroy - chociaż z pewnością stłumiony, a może nawet udawany.

- Zupełnie niezłe - rzekł Jimroy przyjaźnie, ponieważ akcent wydał mu się zagadkowy. - Zwłaszcza notariusz.

- A tak, notariusz. Cudowny. Niezmiernie wyczulony na terminy płatności. A pokojówka, co pan sądzi o pokojówce, małej Toinette? O, to czarująca rola.

- Bardzo trudna, tak - zgodził się Jimroy i wzrok jego spoczął na mocno ściśniętych kolanach Szkota. Co za nerwowy typ! Może szkocka spódnica pozwala mu rozluźnić członki i to jest powód, dla którego ją nosi.

Zastanowił się nad własnym ubraniem: lekkie, zielone, bawełniane spodnie i koszula w kratę, coś, czego z pewnością nie mógłby włożyć na wieczór w Centrum Teatralnym w Manitobie. Było to awaryjne ubranie, kupione trzy tygodnie temu, kiedy linie lotnicze ostatecznie przyznały, że jak się zdaje, obydwie jego walizki chwilowo zaginęły (chwilowo - ładny żart!). Zabłądziły gdzieś między Manitoba a Kalifornią. Nikt nie poczuwał się do odpowiedzialności. Dzwonił do biura linii lotniczych codziennie, potem co dwa dni, ale jak dotąd nic się jeszcze nie wyjaśniło; tymczasem miał do wyboru dwa zestawy ubrań, które kupił w męskim dziale Stanfordzkiego Centrum Zakupów. Ubrania były tanie,

ale podobały mu się kolory: miętowo-zielone spodnie i druga para w odcieniu łososiowym. Kupił sobie także minimalny zapas bielizny, kilka par białych skarpetek - kiedy ostatni raz nosił białe skarpetki? - i dwie piżamy wyprodukowane na Tajwanie.

Z tą skromną garderobą dawał sobie nieźle radę i właściwie był raczej zadowolony z porządku, jaki miał w szafie, mając tak mało rzeczy. Ale wkrótce będzie mu potrzebny jakiś garnitur i jedna lub dwie wyjściowe koszule. Bardziej niepokojąca była strata niektórych papierów potrzebnych do napisania pracy i oczywiście fotografii Mary Swann. Poczekaj jeszcze tydzień, a potem zaczniesz mocniej naciskać linie lotnicze. Bagaż nie zniknął w rozrzedzonym powietrzu. Musiał gdzieś być. Zdał sobie teraz sprawę, że powinien był zrobić większą awanturę podczas pierwszej przesiadki.

Gdy przedstawienie się skończyło, a oklaski ucichły, mężczyzna w szkockiej spódnicy niespodziewanie zwrócił się do Jimroya:

- Zastanawiam się, czy dałby się pan namówić na drinka.

Jimroy wahał się sekundę, zaskoczony, zmieszany szkockim akcentem, który zdawał się teraz o wiele mniej szkocki niż poprzednio, więc mężczyzna szybko się poprawił:

- To może na małą kawę? Niedaleko stąd dają bardzo dobrą kawę z ekspresu.

Tęgo się właśnie obawiał. Już od momentu, gdy jego sąsiad wypowiedział słowa „ta mała Toinette”, obudziła się w nim czujność. Nieuchronnie zwracał na siebie uwagę pewnego gatunku ludzi; jego ciało było szczupłe, ramiona kształtne, a biodra niezwykle małe. Mając takie warunki, zapewne nie powinien chodzić w zielonych spodniach.

- Bardzo mi przykro...

- Pomyślałem tylko... sądziłem, że pan jest sam.

- Bardzo to uprzejmie z pana strony. - Jimroy pospiesznie wstał, mrużąc krótkie przeprosiny, grzeczne, pełne szacunku i w jakiś sposób, jak sądził, przekonywające: jest późno, a on jest umówiony wczesnym rankiem; zrobił też delikatną aluzję, że spodziewają się go gdzie indziej, że ktoś czeka na jego przyjście.

Nikt na niego nie czekał. Mieszkał sam w domu wynajętym od pewnego sławnego fizyka, laureata nagrody Nobla, który miesiąc temu wyjechał na rok do Stuttgartu. Dom był nieduży, miał tylko dwie sypialnie, parterowy dom w stylu kalifornijskim z białą elewacją wykończoną

drzewem z sekwoi. Cena była zupełnie godziwa, zwłaszcza gdy się wzięło pod uwagę, że do uniwersytetu było blisko, tak blisko, że Jimroy mógł się obejść bez samochodu. Żona sławnego fizyka, Marjorie Flanner, pragnęła jak najszybciej pojechać do Niemiec, do męża, i była szczęśliwa, że znalazła takiego lokatora jak Jimroy, który był mężczyzną dojrzałym i odpowiedzialnym.

Pokazała mu dużą, wykładaną glazurą łazienkę i sterty poskładanej bielizny pościelowej w przeznaczony na to szafce.

W sypialni uciskała materac wewnętrzną stroną dłoni, żeby zdemontować jego wytrzymałość, i objaśniła, do kogo można zatelefonować, gdyby miał problemy z klimatyzacją. Jediną rzeczą, o którą się naprawdę troszczyła, był ogród. Drzewka wymagają przycinania. Od czasu do czasu, w zależności od pogody, trzeba niektóre rośliny podlać lub skropić, dla ochrony przed pajakami. Furka na tyłach ogrodu ma być zamknięta na klucz, żeby dzieci z sąsiedztwa nie znalazły się za blisko róż.

- Mam nadzieję, że pan lubi róże - uśmiechnęła się do Jimroya. Jej twarz kobiety w średnim wieku była miękka i przypudrowana, prawie jak róża.

Nic nie wiedział o różach. Nie znał nazwy żadnego kwiatu w tym ogrodzie ani nazwy pochylego drzewka, zabezpieczonego niskim murem z różowej cegły. W Winnipeg na tyłach domu jego i Audrey nie było nic oprócz skrawka trawy, kilku krzaków bzu i tego, co Audrey nazywała swoim małym warzywnikiem: paru rzędków cebuli, rzodkiewek i pnącej fasoli.

- Mam nadzieję, że pan lubi róże - powtórzyła pani Flanner, zwracając różową twarz w jego stronę.

Nie chcąc zgasić nadziei widocznej w jej oczach, wykrzyknął z przekonaniem:

- Uwielbiam róże! - I usłyszał siebie, dodającego: - Róże, w gruncie rzeczy, tak się składa, są moim ulubionym kwieciem.

I już sobie wyobraził, jak razem z książkami i papierami niesie poranną kawę do ogrodu pani Flanner. Było tam kilka ogrodowych krzesełek ustawionych na patio wyłożonym płytkami. A murek z cegieł może świetnie służyć za coś w rodzaju biurka. Był pewien, że słońce - cały rok słońca - dobrze mu zrobi. A co do róż pani Flanner, rozwiesi jakieś kartki, może da ogłoszenie w lokalnej gazecie: w tej części świata na pewno są tysiące ogrodników.

Marjorie Flanner nie traktowała go jak byle kogo. Przyrzędziła mu gin z tonikiem, zmieszała starannie i ozdobiła żąbkowanym plasterkiem



cytryny, a potem siedzieli przez godzinę na ogrodowych krzeselkach z lanego żelaza, omawiając szczegóły dotyczące domu. Sąsiedzi są nadzwyczajni - przekonywała - wszyscy ze Stanfordu; nie dadzą mu spokoju ciągłymi zaproszeniami na obiady. Hm - mruknął Jimroy, który miał zamiar ignorować sąsiadów. Jeśli idzie o czynsz - powiedziała - to czy nie ma nic przeciw temu, żeby wypisać jej czeki postdatowane.

Ależ nie - zaprzeczył Jimroy i natychmiast wyjął książeczkę czekową, pytając uprzejmym, nieco teatralnym tonem, czy życzy sobie także referencji z banku.

Przy tych słowach niemal zachichotała:

- Ależ skąd, na litość, nie! To jest... przecież na tyle pana znam. Widzi pan - rzekła, układając wygodnie ładne nogi - widzi pan, moja grupa dyskusyjna właśnie skończyła omawiać pańską książkę o Starmanie. Ktoś z grupy zaproponował dość dawno temu, chyba to było w zeszłym roku, żebyśmy spróbowali zająć się jakąś książką Mortona Jimroya.

Utkwił wzrok w ceglany murek i usiłował nie okazywać, jaką mu to sprawiło przyjemność.

- Nie jest pan kimś obcym, profesorze Jimroy. Przepraszam, ale nie czytałam pańskiej drugiej książki, tej o Poundzie.

- Proszę, niech pani nie przeprasza - zaczął Jimroy, świadom, że w okolicy serca otwiera mu się mała, różowa rana, objaw zdarzający mu się zawsze, ilekroć ktoś czynił takie radosne wyznania. Irracjonalny. Paranoidalny.

- Ale przecież nie czytałam także Ezry Pounda - zaśmiała się skromnie Mary Flanner. - To znaczy nie wszystkie jego wiersze.

- Pound bywa trudny - powiedział życzliwie. A nawet bardziej niż życzliwie dodał: - Potrafi być także okropnym nudziarzem.

Obydwoje się roześmiali. Wyobraził sobie, jak śmiech i zmieszany z nim odgłos dzwoniącego w szklankach lodu przepływają przez płot z deszczulek i docierają do uszu zaprzyjaźnionych sąsiadów, tych, którzy niedługo będą mu się narzucali z zaproszeniami. Odważył się raz jeszcze spojrzeć na opalone, nagrzone nogi Marjorie Flanner i zadał sobie pytanie, czy nie powinien zaproponować jej, żeby poszli gdzieś razem na obiad. Nie!

Tymczasem ona wróciła do kwestii róż. Pięć lat temu ona i Josh sprowadzili dużą ilość specjalnej ziemi. Róże lubią glebę, w której humus zmieszany jest z piaskiem i odpowiednią ilością minerałów. Ilekroć Josh wracał do domu z jednej ze swoich podróży, przywoził nową sadzonkę. Przywożenie sadzonek róż do kraju jest, oczywiście, nielegalne,

Josh stał się więc biegłym przemytnikiem. W walizce miał kawałek luźnej podszewki i za nią właśnie chował kontrabandę.

Josh, laureat nagrody Nobla, szmuglujący sadzonki róż! Jimroy uważał ten fakt za dyskredytujący, ale dodający mu cech ludzkich. (Później, gdy już się wprowadził, zwykł wędrować po tym małym domku, myśląc: laureat Nobla siedział w tym fotelu, leżał na tej poduszce, zajmował ten klozet, regulował sobie ten prysznic).

Pani Flanner, zarumieniona - najwyraźniej smakowały jej drinki - naląła mu drugi gin z tonikiem i zapytała, co właściwie sprowadziło go do Kalifornii na cały rok.

- Czy pracuje pan nad nową biografią?

- Chyba tak - powiedział. Oczy spuszczone, skromny wyraz twarzy.

Mężczyzna zawsze spokojny, panujący nad swoim ciałem.

- Czy to będzie także o jakimś poecie? - zapytała wesoło.

- Chyba tak - powtórzył.

- Pewnie nie powinnam pytać, o którym...

- Bardzo wątpię, czy pani o niej kiedyś słyszała - zaczął.

- Ach! - zawołała i klasnęła w dłonie. Opalone ręce z niezbyt długimi palcami i staroświecką obrączką z czerwonawego złota. - O niej! O kobiecie! To cudownie. To znaczy moja grupa będzie bardzo poruszona, że...

- Aczkolwiek, tak jak mówię, nie jest zbyt dobrze znana. Na pewno nie tej klasy co Starman czy Pound. Chociaż była na swój sposób świetną poetką. - Chciał sprawić na pani Flanner wrażenie otwartego i uczciwego, ale zwyciężył stary nawyk stosowania uników.

- Ciekawa jestem, czy naprawdę jej nie znam - powiedziała Marjorie Flanner. - Czytałam mnóstwo poezji, kiedy byłam młodsza. Josh i ja...

- Mary Swann.

- Słucham?

- Jej nazwisko: Mary Swann. Poetka, nad którą w tej chwili pracuję.

- Aaach! - Łagodne, nic nie pojmujące spojrzenie. Upiła spory łyk ginu, a potem spytała uprzejmie: - Czy jej życie było fascynujące?

- Chyba nie - rzekł znowu Jimroy, czując ożywienie w całym ciele. - Sądzę, że powiedziałaaby pani raczej, iż jej życie było jednym z nudniejszych na świecie.

Spojrzała na niego z żywym zainteresowaniem.

- A przecież była świetną poetką.

- I to właśnie jest paradoksalne - parsknął śmiechem, który wyglądał na szczeknięcie. - I temu właśnie, jak sądzę, nie mogłem się oprzeć.

- Wyobrażam sobie - powiedziała Marjorie Flanner z uśmiechem. Zęby jej zabłyśły i Jimroy zobaczył zeszlifowane dawne łakomstwo. - Cóż, to istotnie wyzwanie, profesorze Jimroy.

Istotnie - to wyzwanie. Jimroy zastanawiał się leniwie, czy Marjorie Flanner choć raz wymówiła te słowa: „to istotnie wyzwanie” wobec Joshua Flannera, gdy przesiadywał, rozmyślając nad tajemnicami masy i energii, które sklejały w całość wszechświat. Prawdopodobnie tak. Prawdopodobnie Joshua Flanner, humanista i przemytnik różnanych sadzonek, nie znalazł w tym zwrocie nic niewłaściwego. Dlaczego miałyby być inaczej? Któż, oprócz stłamszonego mizantropa, miałby zastrzeżenia do tak drobnej uwagi?

Później, w motelu, gdzie okresowo się zatrzymał, zasypiając w zapinanej na guziki, wyprodukowanej na Tajwanie piżamie, Jimroy przypomniał sobie krótki błysk napięcia na twarzy pani Flanner, gdy wręczała mu klucze do domu: był jakby sztucznie rozniecony, czysto towarzyski wyraz twarzy, jakby chciał pod nim ukryć drobne rozczarowanie, które jej sprawił. Może jednak spodziewała się, że zaprosi ją na kolację, a może i do siebie, żeby spędzili razem noc. Jedną z wad Jimroya był kompletny brak zdolności odgadywania, czego inni od niego oczekują.

Jak wielu introwertyków Jimroy nie ufa wrażliwemu, wewnętrznemu światu duszy, ale żywi ogromną wiarę w zewnętrzny świat rządów, maszynarii, architektury i nauki. A temu wszystkiemu, według niego, przewodniczą anonimowe, ale zalegalizowane władze, które są odpowiedzialne i trwałe, i - co najważniejsze - mają dobre intencje. Jimroy może na przykład nie poruszać groźby kwaśnego deszczu - każdy głupiec w Kanadzie papie o kwaśnym deszczu - jest bowiem przekonany, że ekolodzy z pewnością lada dzień znajdą rozumne rozwiązanie. Ufa, że znajdą odpowiedź; znajdą głównie dlatego, że domaga się tego od nich ciężar ich troski. AIDS także zostanie zwalczony, Jimroy nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości, przecież są grube pieniądze na badania i ci wszyscy poważni ludzie zbierający się na konsultacjach.

A na bardziej osobistej płaszczyźnie - wierzy, że zawsze ten czy ów gotów będzie wystąpić w obronie jego swobód obywatelskich i że ktoś

inny zadba o to, by nie czuł się zagrożony na autostradzie, czy nawet podczas lotu samolotem. Jakaś niepojęta (dla niego) rasa ludzi, złożona z mężczyzn i kobiet, wzięła na siebie odpowiedzialność za jego bezpieczeństwo i skłonna jest ustalać przepisy, wyznaczać normy i wprowadzać w życie cały system kontrolny, badający wszelkie za i przeciw. Kiedy włącza kuchenkę mikrofalową Flannerów, by podgrzać kupiony z tacką, gotowy obiad, zakłada, że drobnutkie, falujące promienie przenikną jedzenie, a nie jego, i że same tackowe obiadki, chociaż bez smaku, nie zawierają zarazków botulizmu (*Clostridium botulinum*). W ten sposób, kiedy rozmyśla o zaginionym bagażu, jego zmartwienie jest zaledwie marginesowe.

Dwie duże walizy z winylu: jedna czarna, druga brązowa, nie są przecież metafizycznymi figurami, ale przedmiotami fizycznymi, zajmującymi określoną przestrzeń. Liczba miejsc, w których te walizy wedle wszelkich przypuszczeń mogą się znajdować, jest ograniczona. Musi tylko upłynąć jakiś czas, zanim je odnajdą, zidentyfikują i prześlą do Palo Alto, z załączonymi oficjalnymi przeprosinaami i całkiem wiarygodnym wyjaśnieniem, w które on, oczywiście, uwierzy i łaskawie przyjmie.

Ten świat nie jest doskonały - jak dobrze o tym wie - ale jest przynajmniej światem zwróconym w kierunku ogólnej poprawy.

Zresztą widzi teraz, że jego ubrania z Manitoby raziłyby tutaj.

Te garnitury, te ciężkie, sznurowane buty. Aktem brutalności byłoby wnosić ciemne kolory i grube materiały w delikatne, pokratkowane światło Kalifornii. Nosi teraz luźno tkane koszule, najchętniej z czystej bawełny, i odkrywa, że doskonale może się obejść bez krawata, nawet gdy jest zaproszony na obiad.

Sandały, które kupił za 4 dolary i 95 centów, prawie się rozlatują po miesiącu; wygląda na to, że nie są szyte, tylko spajane zszywkami. Ale gotów jest kupić jeszcze dwie pary, bo są bardzo wygodne, zwłaszcza gdy się je nosi na grube, bawełniane skarpetki.

To prawda, że strata niektórych papierów utrudniła mu pracę, ale nic prostszego niż zatelefonować do pani Lynch w Winnipeg i kazać jej przysłać fotokopie. Brudnopisy dokumentów są bezpieczne w zamkniętej szufladzie biurka w jego gabinecie, co jest już pewną ulgą. Co pewien czas jednak zamartwia się fotografią Mary Swann. Nie był to dobry pomysł, żeby ją tu zabierać.

Nie można jej niczym zastąpić, a jest to jedna z dwóch tylko fotografii, o których wiadomo, że istnieją. (Druga, znacznie gorsza, wciąż znajduje się w muzeum w Nadeau; zamglone, migawkowe zdjęcie pani

Swann, która stoi przed swoim domem z zamkniętymi oczami, bo razi ją oślepiające słońce).

Gdyby fotografia naprawdę zginęła, byłaby to poważna, w jakimś sensie nawet tragiczna strata, ale Jimroy, mimo iż upływały dni i tygodnie, uparcie trwa w przeświadczeniu, że bagaż w każdej chwili się pojawi.

Trapiącą go od czasu do czasu troskę o fotografię łagodzi nieco ulga, jaką odczuwa na myśl, że przynajmniej listy od Sary Maloney są u niego bezpieczne. Zdumiewające szczęście! Nie może się nadziwić, że dobry los olśnił go w ostatniej chwili, gdy pakował rzeczy w Winnipeg, i kazał włożyć listy Sary do teczki, a nie do walizki razem z innymi papierami. Kiedy o tym myśli, kręci głową i uważa się za szczęściarza.

Listy od Sary są mu bardziej niż kiedykolwiek potrzebne teraz, gdy został wyrwany z korzeniami z Winnipeg; dają mu poczucie stabilizacji, odsuwają fale smutku, który napływa późno wieczorem, o jedenastej lub wpół do dwunastej, kiedy ziemia zdaje się tracić ciężar gatunkowy. Wtedy właśnie lubi odczytywać na nowo listy Sary, listy, które pulsują i obiecują, i sprawiają, że w gardle mu zasycha na myśl o seksie. Opiera się o wezłowie ogromnego łóżka Flannerów - świeżo spod prysznicu, paznokcie u nóg obcięte, kubek gorącego mleka pod ręką. (Tej zimy, kiedy odeszła Audrey, usunięto mu połowę żołądka. I każdemu, kto jest na tyle uprzejmy, by o to pytać, przyznaje się, że musi teraz wcześniej się kłaść wieczorem i pić gorące mleko, poza tym lubi pamiętać o swoich domowych przyzwyczajeniach, które zabezpieczają go przed popadaniem w zbytnią pychę).

„Drogi Panie Mortonie Jimroy”. Tak zaczyna się pierwszy list, jaki otrzymał przeszło rok temu w Winnipeg. „Czy pozwoli Pan, że się przedstawię? Nazywam się Sara Maloney, a nasz wspólny znajomy, Willard Lang, powiedział mi, że Pan także jest zainteresowany twórczością Mary Swann. Piszę więc, żeby zapytać Pana...”

„Drogi Panie Jimroy” - to początek drugiego listu. Jimroy przechowuje listy w porządku chronologicznym, każdy w oryginalnej kopercie ze znaczkiem St. Zjedn. i ostemplowanej w Chicago. „Jestem mile zaskoczona i szczęśliwa, że tak szybko mi Pan odpisał, w gruncie rzeczy zdziwiona, że w ogóle mi Pan odpowiedział, mimo iż tak bezczelnie wtargnęłam...”

„Drogi Mortonie” - to treść trzeciego listu. „Pana pogodny list przyszedł w dniu, kiedy szczególnie potrzebowałam pogodnego listu...”

Jimroy jest zadowolony, że Sara nie odpisuje mu od razu, ale w przyzwoitym odstepie czasu. Milczenie jest dla niego torturą, lecz Sarze dodaje wartości.

Ach, Sara, Sara! Wyśpiewuje głośno to imię, dźwięk tak pełny, zataczający kręgi - wokół ścian, sufitu, aż do otwartego okna.

Zapach kwiatów wpływa z ogrodu, a on zastanawia się, czy o tej porze roku może to być jaśmin. (Sąsiedzi wspominali coś o jaśminie, ale Jimroy nie umiałby rozpoznać kwiatów jaśminu, nawet gdyby miał je tuż przed oczami, do tego też musi się przyznać. Sąsiedzi ponadto ostrzegają go, żeby nie zostawiał szeroko otwartych okien. Czy nigdy nie słyszał o włamywaczach?).

Nie wiadomo skąd zjawia się przemożne pragnienie, żeby tym pachnącym powietrzem oddychać razem z Sarą Maloney z Chicago. Wdycha je głęboko - ta cisza niewypowiedzianego uniesienia! - i wypuszcza z długim, pełnym tęsknoty jękiem, jak człowiek, który wydycha całe bogactwo pragnienia. A potem znowu bierze do ręki listy Sary. Przynoszą mu - co? - pociechę. I wieź ze światem, światem pachnącym intymnymi przyjemnościami: wzrokiem, dźwiękiem, dotykiem, zwłaszcza dotykiem. Bada teraz językiem ostrość zębów. Wyobraża sobie miękkie wargi Sary Maloney otaczające małe, białe, doskonale utrzymane zęby, usta, które otwierają się i mówią, jej podrzewający głos: *Zdejmij tę śmieszoną koszulę - mówi i pomaga mu rozpiąć guziki. - Pośpiesz się - rozkazuje - teraz te idiotyczne zielone portki, czekaj, pomogę ci z błyskawicznym zamkiem. Tak, teraz dobrze. Och, jak delikatnie! Jak cudownie! Jak drżący, maty ptaszek! Pozwól mi na chwilę dotknąć go ustami. Proszę. Widzisz, mówiłam, że będę delikatna.*

Jimroy wie, że niezdrowe są te wyobrażenia, te pieszczoty wywołane słowami nieznannej kobiety, ale ciepło, jakie ze sobą niosą, staje się dla niego niezbędną iluzją, której, wydaje się, będzie potrzebował, jeśli ma dalej żyć.

W październiku zwrócono się do Jimroya z prośbą, żeby zechciał przemówić do grupy studentów ostatniego roku i grona wykładowców.

Wiedział, że jako Dostojny Gość, taki bowiem oficjalny tytuł miał nosić przez ten rok, będzie od czasu do czasu proszony o „podzielenie się” swoimi doświadczeniami znanego autora literackich biografii. Niemniej wyrażenie „podzielić się” jest irytujące, czym bowiem owe sto czy więcej nagich twarzy wśród publiczności może się z nim podzielić?

Niedowierzaniem, które z nich aż paruje? Skwapliwością, z jaką oczekują „rady”? Czym?

Tam, w Winnipeg, zażądał rocznego urlopu, mając nadzieję, że życie trzyma dla niego w zanadrzu jeszcze jakąś niespodziankę. Urlop przyznano mu bez szemrania (jedna z nagród za sławę), a Stanford, także bez szemrania, przyznało mu tytuł Dostojnego Gościa, ponadto gabinet - jeśli ten mały sześcian ze skrzypiącą podłogą można nazwać gabinetem - i zapewniło mu korzystanie z usług maszynistki, jakby mógł choć przez minutę pozwolić komukolwiek - komukolwiek prócz pani Lynch - prowadzić własną korespondencję. W dodatku został „serdecznie powitany w stanfordzkim środowisku naukowców”, jak ujął to dziekan Evans w swoim wprowadzeniu do popołudniowej prelekcji Jimroya.

Serdecznie powitany? Mgliste słowa. Przypochlebne słowa. Zatluszczona, wytarta moneta. Środowisko naukowców? Takie samo określenie po tańszej cenie, a także absurdalne, skoro oni wszyscy wyglądają jak tenisiści ustawieni przed nim szeregiem. Falowanie twarzy, szparki oczu i ciemne, przyczesane włosy, kolaż z trykotowych koszulek bez kołnierzyków, muskularne przedramiona, zdrowe ręce założone na bicepsach i ta uwarunkowana gorliwość psów gończych; durnie, idioci.

Stop! - syknął Jimroy sam do siebie - na miłość boską, przestań!

Tęsknił do Sary w Chicago, pogodnej, wrażliwej i znajdującej właściwe słowa, jedyne słowa; tęsknił za jesienią, za spokojnym smutkiem, jaki jesień przynosi. Tęsknił za Manitoba i za swoimi próżnującymi, karmionymi skrobnią studentami, którzy pojmowali literaturę jako zabawny rodzinny produkt do pogryzania między prawdziwymi posiłkami. Szekspirowski Ryszard, batonik zwariowanego O'Henry na puste sobotnie popołudnie. I dlaczegoż by nie?

Czy te forsiate cwaniaczki ze Stanfordu nie zdają sobie sprawy, że literatura jest tylko sposobem, w jaki bezradni usiłują sobie dać radę? Wracajcie na korty tenisowe! - chciał wykrzyknąć. Dalej, na dwór, na słońce. Żyjcie! Uniwersytety nie są niczym innym jak ogłuszającymi fabrykami mitów. Boże drogi! Jak my lubimy systematyzować i klasyfikować to, co jest bogate i przypadkowe. Jak nas palce swędzą, żeby rozdzielić splątane nitki tematu i antytematu, duchowej przenikliwości i duchowej ślepoty. Bóg i bezbożność, radość i rozpacz, jak gdyby cała twórczość tkwiła niczym główka kapusty na drewnianym katowskim

pnium, gotowa do tego, żeby ją rozrąbać: najpierw liście, a potem ostre, białe jądro. Erudycja to banialuki - gdyby tylko, gdyby tylko wiedzieli... Nadejdzie czas, że teoretycy dotrą do Mary Swann i będą rozdzielali ją na części, członek po członku, jakby parodiując jej prawdziwą śmierć. Ale teraz nie wolno mu o tym myśleć; jeszcze nie teraz.

Prelekcja, której dał tytuł „Zakręty życia. Poezja i pryncypia”, poszła dobrze. Oklaskiwano go żywo i długo, nawet pod ścianami u wejścia do sali wykładowej, gdzie część słuchaczy musiała stać przez całą godzinę. Kiedy dziekan Evans wezwał uczestników wykładu do zadawania pytań, Jimroy poczuł się mile polechtany, tak wiele rąk podniosło się do góry. Mocne, opalone ramiona, młójące powietrze, błagalnie uniesione. Na swój sposób wzruszające.

- Proszę nam powiedzieć: czy sądzi pan, że biograf ma jakieś moralne zobowiązania wobec opisywanego podmiotu, wobec niej czy też niego? - To z ust najszcuplejszej z młodych kobiet, uroczej. Takie kruche ramiona, można je łatwo zmiażdżyć. I jakie włosy! Głos czysty jak bulion. Rozlej go trochę, moja śliczna.

- O jakich moralnych zobowiązaniach pani myśli? - pyta Jimroy na swój najczulszy, badawczy sposób.

Zawahała się, uniosła urocze ramiona o jedną ósmą cala.

- Mam na myśli, hm, jak się patrzy, powiedzmy, na czyjeś życie... i czuje pan, że jest w nim coś jakby, hm, prywatnego, czy pan mógłby...

- Uszanować to - poddał Jimroy. Jak przystało na dżentelmena. Wątpliwy uśmiech igrający na wargach, ale żadnych zobowiązań. Lubił myśleć, że w jego oczach kryje się ironia.

- Właśnie. Tak. Hm, coś takiego, tak.

- Sądzę, że powinno się mieć na uwadze, czy podmiot jeszcze żyje. Należy z pewnością uszanować żyjących, co do tego nie ma wątpliwości. I to też, być może, wyjaśnia, dlaczego w swojej pracy skupiałem się, jak dotychczas, na poetach zmarłych.

Śmiech. Zaraz po replice. Zniechęcający.

- Ale co - zawołał jeden z młodych ludzi, zrywając się na równe nogi z podniecenia - co, jeśli osoba, o której się pisze, jeszcze żyje i oddycha?! Czy nie czuje pan, że dzieło jest poetą?

Weźmy Sylwii Plath...

- Rexroth mówi - z pierwszego rzędu dotarł głos o fakturze marchewki.

- Przypuszczam - rzekł Jimroy, zagłuszając niewczesnego intruza - że pańska wypowiedź jest aluzją do zasadniczej tajemnicy sztuki, którą jest

-



- przerwał i utkwiał długie spojrzenie wizjonera gdzieś ponad głowami słuchaczy - którą jest fakt, że ze zwykłej gliny wynurzają się dzieła geniuszu. To znaczy, że dzieło często ma w sobie znacznie więcej dostojności niż ręka, która je stworzyła.

- Ale czy to nie jest...?

Jimroy przerwał mu (Krytykant! Osioł!):

- Oczywiście, pracując nad biografią pisarza, należy poświęcić tyle samo uwagi dziełu co życiu. Ale życie to coś więcej niż plotka i ujawnianie faktów. To pokarm, którym żywi się dzieło. Czyjeś osobiste doświadczenie, zanim skazi je sztuka.

- Skazi? - Wyzwanie jak wystrzał armatni.

Jego słowa podawał w wątpliwość ten sam krzykliwy głos.

- Tak, w pewnym sensie. (Dajmy chłopakowi coś górnoletnego). - Najwznieślijsze dzieło, najbardziej oryginalne dzieło, pochodzi, moim zdaniem, z niewinnego, nieświadomego błędzenia po omacku w ciemności.

Młody przeciwnik znowu się podniósł, ale tym razem szukał pojednania.

- Czy może pan powiedzieć, panie profesorze, że Pound miał poczucie niewinności?

„Panie profesorze”? To już lepiej. Ale Jimroy się zawahał - wobec Pounda zawsze przybierał postawę obronną i zawsze był wyczulony na grzech apostazji.

- Na początku tak. Później jednak zdecydowanie nie.

Zawsze ta sama wymijająca dwuznaczność, ten sam stary trik z tak-i-nie. Chryste Panie, zawstydziła go myśl, że wciąż jeszcze może się w ten sposób wykręcać.

- Ale, doktorze Jimroy...

- Po prostu panie Jimroy, niestety. - Obdarzył audytorium otwartym, szczerym spojrzeniem, ręce przyciśnięte do boków, dłonie uniesione do góry, palce zgięte jak u kraba, jakby przytrzymywały je niewidzialne druty.

- Wobec tego, panie Jimroy, w książce o Starmanie mówi pan coś o umiejętności pisarza przedłużania elegijnego nastroju przez...

- Tylko do pewnego punktu.

Popołudnie okazało się sukcesem, tak, zdecydowanie. Jimroy mówił jeszcze przez kilka minut o mistyce elegii, zostawiając za sobą obłok aluzji, w których co wnikliwsi mogliby węszyć.

A także końcowe, srebrne *aperçu*, które nigdy go nie zawodziło - poobiednią miętową czekoladkę owiniętą w piękne frazesy, żeby słuchacze

mieli co trzymać w ustach, kiedy ich dłonie były brawo. Dziekan Evans, podsumowując („nasz znakomity gość jest zbyt skromny...”), był na tyle uprzejmy, że wymienił trzy honorowe stopnie naukowe Jimroya, w tym jeden z Princeton.

Podano kawę oraz polewane czekoladą pączki; dziwne zestawienie - myślał Jimroy, lecz zajął z entuzjazmem. Kalifornijczycy! Owa młoda kobieta - pożądliwość - z plecami o wystających łopatkach podeszła do niego i wzięła za rękę.

- Pound i Starman są dla pana chyba kimś bardzo bliskim - powiedziała - skoro pisze pan o nich tak właśnie. Musi pan rzeczywiście czuć się, wie pan, z nimi zsynchronizowany. To znaczy jako z żywymi ludźmi.

Jimroy nie cierpi popularnego sofizmu, że biografowie zakochują się w przedmiocie swojej pracy. Bardzo wygodne założenie; sama jego atrakcyjność staje się dla niego powodem anatemy. Takie to łatwe, takie skromne; romans między pisarzem a podmiotem badań - tak pogodny, tak kochany, a jaka dogodność, jakie zaproszenie do sentymentalnych dociekań! Ten sofizm jest też w pewnym sensie bratem innego mylnego pojęcia, jakie mają ludzie o pisaniu książek: że w pewnym punkcie książka zaczyna żyć własnym życiem i jak z upodobaniem podkreślają, „sama się pisze”.

Dlaczego, na litość boską - pyta siebie Jimroy - świat tak niecierpliwie chce umniejszyć dźwigany przez pisarza ciężar, udając, że pisanie jest owocem wielkiej pasji, że wypływa z miłości i spokoju? Że jest zabawą?

Pisanie biografii, jak Jimroy doskonale wie, jest pracą najcięższą na świecie i może, choć nie musi, być aktem pogardy. Weźcie na przykład Saitre'a piszącego o Flaubercie. Ach, Boże! A bliżej domu: Kto mógłby kochać Ezrę Pounda? Z pewnością nie on, nie Morton Jimroy, kiepski moralista.

Im dłużej przebywał na osobności z papierami Ezry Pounda - a książka o Poundzie zabrała mu prawie pięć lat (och, co za strata!) - tym bardziej pragnął go ośmieszyć. W ciągu długich miesięcy, kiedy przesiadywał w południowym Winnipeg za dębowym stołem w gabinecie, zwałonymy książkami, zatłoczonym nimi tak, iż był bliski uduszenia, czuł, że opilczy obłęd Pounda powoli zaczyna miażdżyć także jego i że wkrótce go zabije. W miarę narastania okropności rodziło się w nim przekonanie, iż miłośnikom poezji Pounda nie powinno się oszczędzać prawdy o autorze. Daleki od wygładzania obmierzłych teoryjek rasowych

Pounda, Jimroy odkrył, że robi wszystko, by je całkowicie odsłonić. Nie było to wcale trudne; należało tylko zgromadzić solidne, obciążające cytaty na jednej stronie, ani odrobinę nie dbając o to, że są wyrwane z kontekstu. Zresztą jakie znaczenie ma tutaj kontekst? Czy Pound - mówił sobie - nie był zawsze nadętym Ezrą Poundem, bufonem bez charakteru, który sam nieuchronnie znajdował się poza kontekstem? Ależ tak, o tak!

A Dorota, czy ktokolwiek poświęcił choć jedną myśl Dorocie?

Od czasu do czasu, wyczerpany i przerażony świeżą rewelacją, Jimroy przerywał pracę i żądał od siebie odpowiedzi, dlaczego w ogóle zdecydował się pisać o Poundzie. Apoteoza? Skądże!

Musiało go przecież początkowo coś przyciągać, jakiś dźwięk.

Ale jaki? Nie mógł sobie przypomnieć. Był jednak pewien, że nigdy nie pragnął zostać apologetą Pounda. Skrupulatnie zatem i cierpliwie, opatrując minimalną liczbą przypisów, przedstawiał pozornie słuszne społeczne recepty Pounda, tak że ukazywały się na kruchych kartkach maszynopisu w całej swojej ohydnej martwej naiwności, aby świat mógł je zobaczyć. Jeśli jakaś linijka wiersza Pounda nie poddawała się analizie, zostawiał ją jako przykładowy twardy orzeszek pompatyczności. Niech Pound będzie swoim własnym katem - zdecydował Jimroy - a sama korespondencja wystarczyłaby, żeby go powiesić: ta małostkowość, to śmieszne zadufane pogłaskiwanie samego siebie, te odrażające migawkowe wejrzenia w nabrzmiały chorobliwą ambicją umysł, w którego tkankach tkwiło przeświadczenie, że jest geniuszem. Tak, Pound napisał do pewnego znajomego, że pozostanie we Włoszech, dopóki Stany Zjednoczone nie utworzą Departamentu Sztuk Pięknych i nie „wezwą go do powrotu”, żeby został jego dyrektorem. Boże drogi! Elefantiaza własnego „ja”, co za potworność!

Jak biograf ma reagować na tak wyolbrzymione złudzenia, na takiego ciamajdę, który się upiera, żeby fikać koziołki na trzęsącej się i śmiesznej krawędzi próżności? „Szukajcie nowości” - zaklinał ten stary kozioł młodych poetów, naciągając ich, by popełniali głupstwa. Dlaczego oczekuje się od biografów, że wyjaśnią, usprawiedliwią, zinterpretują czy nawet osądzi? Takie czyny popełnia się z miłości, w każdym razie Jimroy zawsze tak uważał.

Niemniej ochota i radość, z jaką gotów był ośmieszyć Pounda, przerażała go trochę i zmuszała do pewnej modyfikacji: wstręt i obrzydzenie zmieniły się w łagodną, cierpką niechęć. (Panna Lynch, maszynistka, zazwyczaj powściągliwa, zachęcała go do tej zmiany).

Wzdragając się leciutko, Jimroy analizował odczuwany wstręt. I rzeczywiście rozpoznał w sobie pewną moralną nieruchawość, która wibrowała rytmem zbliżonym do rytmu Pounda. To, co od początku tak go pociągało do starego pierdoły, leżało, jak przypuszczał, właśnie w tym perwersyjnym, braterskim rozpoznaniu. Jak osobnicy, którzy sekretnie wachają odrażające wonie swojego ciała, tak on był zahipnotyzowany jawną nikczemnością Pounda, swoją własną nikczemnością.

Musiał na nowo przemyśleć strukturę książki. Niektóre barwne anegdoty trzeba było usunąć lub podać bardziej powściągliwie albo umieścić w niezbyt widocznym miejscu pośród przypisów, gdzie nie tak jaskrawo rzucałyby się w oczy. Przepisanie książki - czy też, jak o tym myślał, zneutralizowanie jej - wymagało dodatkowych sześciu miesięcy, ale rezultatem była biografia, którą wówczas oceniono i dotychczas oceniano jako wyważoną, beznamietną, naukową, humanistyczną. Recenzent „New York Timesa”, opisując ją w stylu Ellmana, pochwalił w niej „małżeństwo obyczajności z zachowanym dystansem” - zachwycające określenie. Jimroy lubił je sobie podśpiewywać w bezsenne noce jako coś w rodzaju mantry. Obyczajność i dystans, obyczajność i dystans.

Po trzymiesięcznych wakacjach (w czasie których zabrał Audrey w odwiedziny do Birmingham, i to dopiero była katastrofa!) zaczął pisać książkę o Johnie Starmanie, który z początku nie wydawał się tak obmierzły. W każdym razie jego poezja, pełna zawilosci i śmiałych gimnastycznych popisów, o wiele bardziej przemawiała do Jimroya niż poezja Pounda; ale i w niej nie mógł nie dostrzec chciwego pożądania sławy czy mętnej bujności *pensées* autora. Nawet w jego samobójczej notatce brzmiał samochwalczy krzyk wspaniałego „ja”, pięknego „ja”. Nie można też było przeoczyć dziecinnego mizoginizmu Starmana (biedna Barbara), gdyż ten gbur obnosił się z nim tak otwarcie jak z czymś najzwyczajniejszym. A wiersz z cyklu poezji miłosnych, jak trzymi genitalia w naczyniu, żeby cały świat mógł je widzieć i podziwiać! Chryste Panie! Ostatecznie, we wnętrzu Starmana nie było nic prócz płytkich, zranionych uczuć, prócz zionącego zaabsorbowania sobą, które mogło śmiało konkurować z egotyzmem Pounda. Chociaż Jimroy pracowicie układał kronikę znanych aktów hojności i długą listę przysług wyświadczanych przyjaciółom i kolegom poetom, pustka aż dzwoniła. A dla Jimroya dzwoniła echem podwójnym, głosząc nie tylko martwość samego ośrodka życia, ale także rozczarowanie jego zewnętrznymi stronami. Odkrycie

puszki dotknęło go jak początek długiej choroby. Znowu miał wrażenie, że spogląda w lustro. (Właśnie w tym samym czasie Audrey ostatecznie straciła do niego cierpliwość).

Trzy długie lata. Mimo iż książka o Starmanie została wysoko oceniona, a - jak mówiono - niemal dorównuje tej o Poundzie, Jimroy miał wrażenie, że pisanie jej zabrało mu zbyt wiele energii. Trzy lata z irytującym, nieszczęśliwym, zapatrzonym wyłącznie w siebie Johnem Starmanem; tysiąc dni ślęczenia nad dębowym stołem, długie godziny przrzucania notatek z uczuciem daremności, zwątpienia, mdłości, z uczuciem, że zaczyna go nękać wrzód żołądka, że chudnie, choć nie powinien już tracić na wadze, i wreszcie refleksja, że Starman był człowiekiem, z którym w gruncie rzeczy nie chciałby spędzić ani godziny.

Tłumaczył sobie, że może jest tylko zmęczony poetami ze skromnych północnych stanów: Minnesoty i Idaho. Pracując nad korektą Starmana (w czasie, gdy sytuacja z Audrey pogorszyła się jeszcze bardziej), zadawał sobie pytanie, czy to samą poezją zaczął pogardzać. To prawda, wydawała mu się podejrzana, zwłaszcza jej ubóstwo i skrótowość. Wiersz łatwo może być szalbierstwem, bo, w gruncie rzeczy, jaka jest różnica między elipsą a próżnią? Rzeczywiście, jaka? Nawet jeśli słowa wiersza zbiegają się w prostych, dudniących, rozkosznych rymach, pod nimi bywa pustka, która nie mówi nic o myśli czy o uczuciu. Toteż Jimroy nigdy nie ufał błyskotliwym wierszom i chłodnym okiem patrzył na pirotechnikę, na pustą łądę martwego narcyza. Przemawiajcie do mnie - chciał powiedzieć poetom. I poezji.

Zawsze też uważał za rodzaj cudu to, że czasami poezja istotnie przemawia. A nawet jeśli nie przemawiała, czuł, że żywi szacunek dla niezwyklej, dziwacznej wielkości zamiaru poetyckiego. Kiedy myślał o obrotach planet, wynurzaniu się gatunków, równowadze matematyki, nie uważał, by były bardziej zdumiewające niż zuchwałe ludzkie pragnienie zanurzenia się w morzu zwykłej mowy i wydobycia z niej bogactw, ciemnych, pięknych słów, które można ułożyć w taki sposób, że wypowiedzą niewypowiedziane. Poezja jest przyzmatem, w którym odbija się całość życia. Jimroy wierzył, że w małych cudownych zabawkach, zwanych wierszami, zamrożone są najpiękniejsze i najstraszliwsze ludzkie przeżycia. Zawsze kochał poezję; a kiedy wracał myślą do okresu dzieciństwa, co czynił rzadko, stwierdzał, że wczesne lata, zanim ją odkrył, były całkowicie pozbawione treści.

Nawet w nieudanych utworach uderza Jimroya wzruszająca odwaga. I to właśnie, gdyby można znać prawdę, nęci go: naiwne męstwo poety.

Keats, który odwiedził skromną chatę, gdzie żył niegdyś Robert Burns, zapłakał na myśl, że człowiek może mieszkać w takim miejscu i próbować być poetą. (Kiedy Jimroy opowiada tę historię studentom, sam jest bliski płaczu). I to dlatego, mimo wszystko, wzrusza się, ilekroć rozpałmiętuje zagadkową naturę dwóch wielkich, niedoskonałych ludzi: Pounda i Starmana, gruboskórnych, okaleczonych przez prowincjonalizm, wątpliwych moralnie - ludzi, których niezwykle zdolności upiększyły.

Było więc naturalne (nieuniknione - mówił sobie), że kiedy przyszło do pisania trzeciej biografii, podmiotem pracy uczynił zupełnie innego poetę: nie kwilącego modernistę z pretensjami do lewicowych poglądów, ale kobietę nazwiskiem Mary Swann, kobietę, która przez wszystkie swoje chude, chłodne, niewdzięczne lata mieszkała na wsi w Ontario, w miejscu bardziej wysuniętym na północ i narzucającym większe ograniczenia niż jakikolwiek inny wysunięty na północ stan. Decyzja, że będzie pisał o Mary Swann, zapadła, gdy siedział w swoim gabinecie w Winnipeg. (Audrey już wyjechała). Doznał wtedy krótkiego, chwilowego uniesienia, znany-mu-już-teraz rytuał narodzin. Nowy początek. Odrodzenie. Jajko, geny, wyłanianie się.

Cudowna Swann, paradoksalna Swann. Chciałby ją pomścić. Każę światu powstać i urządzić jej owację. I tak się stanie. Jimroya kręci w nosie, jakby miał płakać, kiedy myśli o czerwonych rękach Mary Swann, chwytających ogryzek ołówka i układających pierwszą, wspaniałą strofkę „Bzów”. (To oczywiście przesada, uważa się przecież, że nawet wcześnie wiersze pisała wiecznym piórem. I skąd może w ogóle wiedzieć, że miała czerwone ręce?).

Odkrycie jej wierszy przed kilkoma laty uratowało go przed moralnym bankructwem i z początku naprawdę ją kochał. Oto Matka Dusza. Oto inteligencja pod maską zwykłego prostactwa.

Jej skromność była niekłamanie ujmująca - cóż za ulga po tych dwóch monomaniakach! Cenił na przykład liścik napisany do „Nowin Nadeau” w 1955 r. „Drogi Panie Redaktorze” - zaczynała swoim drobnym, równym, łatwym do rozpoznania pismem.

„Właśnie otworzyłam list, co mi Pan przysłał, o wydrukowaniu mojego wiersza i nie wierzę własnym oczom. Jestem okropnie przejęta, że będę mieć coś wydrukowanego. A ten dolarowy banknot oprawię w ramki i powieszę na ścianie; będzie dla mnie natchnieniem”.

Naiwne, patetyczne, uniżone, lecz z pewnością szczerze. Jimroy nie

ma powodu, żeby wątpić w szczerść tego listu. Mary Swann miała czterdzieści lat, kiedy „Bzy” zostały wydrukowane. Pewnie myślała, że życie przeszło obok niej, chociaż jej rozpacz była bardziej przenikliwa niż ciężka i - co dziwne - zawsze miało się wrażenie, że kryją się za nią uśmiechy. Może przechodziła klimakterium. Nie tak dawno jeszcze, trzydzieści lat temu, kobiety wcześniej wchodziły w okres przekwitania, zwłaszcza kobiety wiejskie, w każdym razie tak gdzieś Jimroy czytał. Miało to coś wspólnego ze sposobem odżywiania. Pewnie będzie musiał w swojej książce uwzględnić uwarunkowania biologiczne, chociaż na myśl o tym odczuwa zmęczenie i odzywa mu się wrzód żołądka. Będzie musiał także zajmować się jej osobliwymi, zwykłymi listami, a nawet sprawami, które są ich treścią. Przepraszające listy do sklepów Eatona dołączone do zwrotu zamówionej pocztą bielizny. Listy do córki Frances w Kalifornii, listy pełne gorzkich uzależnień na zimę wiecznie trwającą w Ontario, i to pochodzące od kobiety, która napisała „Noc wrześniową” i „Jabłoń pod śniegiem”. Co można zrobić z czymś tak niejednorodnym? Nic. (A jednak Jimroy zdecydował się wycofać z książki list o bielinie, a inny zapodział, ten, który odnosił się do „murzyńskiej rodziny”, jaką zaskoczona Mary Swann zobaczyła pewnego lata w Elgin).

Faktem jest - i nie ma co temu zaprzeczać - że Jimroy przestał dozwierzać Mary Swann. W ciągu ostatnich tygodni stwierdził, że niedowierzanie zmienia się w niechęć. Z jej wierszy przebijał niezgłębiony solipsyzm. Wciąż musiał wyteżać wszystkie siły, żeby uchwycić jej ton. Dalej: nie można polegać na podawanych przez nią datach, wiadomości o wydarzeniach były sprzeczne, czasami nawet nieprawdziwe. W życiu Mary Swann wkradała się fałszywość Pounda, zatapiając, zamazując ją. Starmanowe oszukiwanie zyskiwało na niej, Boże drogi! Miała zostać w końcu sławna, kobieta, która jeszcze kilka lat temu balansowała na odrobinię pochwały. A kiedy została zamordowana zimą 1965, na świecie nie było chyba nikogo, kto by uznawał jej niezwykłość.

Dni Jimroya potoczyły się teraz przyjemnym rytmem.

Chaotyczny z natury, ale porządnym z wyboru, spędza poranki tak, jak od początku sobie zaplanował, w ogrodzie Flannerów. Dokoła niego mnóstwo kwiatów, a ich kolory są tak mocno różowe, tak lekko niebieskie i żółte, tak wilgotne i jedwabiste, że zdają się mu o czymś opowiadać. Jimroy w jednej ręce trzyma ołówek; w drugiej żarzy się papieros.

Jaka to radość znowu pracować, puszczać myśli na fale morza uczoności! Słabiutki są te myśli, ale jak cenne, kołyszą się jak plamki piany, jego małe miłości, jego małe, odkrywane prawdy.

Rozkoszując się ciepłem promieni słonecznych, które padają mu na głowę i ramiona, utwierdza się w przekonaniu, że nadchodzi dobry okres dla jego zdrowia, chociaż zamiast brązowej opalenizny, na jaką liczył, na razie dorobił się tylko błyszczącej, natłuszczonej twarzy i całej kolonii piegów na suchej skórze przedramienia. Nigdy dotąd nie miał piegów. No cóż, przypomina sobie, że ma pięćdziesiąt jeden lat, i można się spodziewać zmian w pigmentacji skóry. *C'est la vie*. Et cetera.

Zasami ciekaw jest i martwi się zarazem, jakie będą te lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, zważywszy, że nie nadaje się na dobrego wujaszka i że nie czuje się pewnie w roli zaszuszonego filozofa ani wielkodusznego mentora. Sfatygowany i prostacki cynik? Co to - to nie, ma nadzieję. Miłość jest słowem, które wyszeptuje do swojego nasłuchującego „ja”. Miłość. Zdaje sobie sprawę, zapewne on jeden na całym świecie, jaką błoną słodczy pokryte jest jego serce. No, słodczy to może za mocno powiedziane. Ale istnieje skrawek psychicznej tkanki - jest tego pewien - której strzeże i o której wie, że jest beznadziejnie podatna. Audrey raz czy dwa dźgnęła beztroskimi palcami w miękkość tej tkanki, droga, poczciwa Aud. Gdyby bardziej się starał ją zatrzymać, mogłaby tu być dzisiaj, miotać się w wymuskaney, małej kalifornijskiej kuchni, wychodzić drzwiami od tyłu z sekatorem w rękę z zamiarem przycięcia kwiatów i żywopłotu, a może nawet zasiewać rządkiem rzodkiewek pod płótkiem z deszczulek. Nie do pomyślenia, a jednak o tym myśli.

Jimroy wprost nie może uwierzyć, jak szybko ogród wymknął się spod kontroli, a on zaprzestał poszukiwania ogrodnika. Na ogłoszenie, jakie umieścił w lokalnym szmatławcu, była tylko jedna odpowiedź. Sąsiedzi, uprzejmi, lecz nieco zakłopotani i lekko rozbawieni, powiedzieli mu, że ludzie, którzy zwykli zajmować się ogrodnictwem, zarabiają teraz grube pieniądze na skomputeryzowanych plantacjach w Krzemowej Dolinie. Kto chciałby tracić czas na pielenie czyjegoś zachwaszczonego podwórka? Ci sami sąsiedzi podkreślają z szowinizmem, który Jimroya irytuje, choć stara się być czarujący, że ogrody na Zachodnim Wybrzeżu troszczą się, w mniejszym czy większym stopniu, same o siebie.

Być może. Ale żywopłot całkowicie już stracił kształt: wypuścił



zielone kolczaste pędy daleko ponad ogrodzenie. W szparach między płytami w patio wyrosły chwasty. Jimroy trąca je czubkiem nowych sandałów ze sztucznego tworzywa i stwierdza, że się mocno zakorzeniły. Róże Marjorie Flanner kwitną wspaniale; Jimroy obserwuje, jak otwierają się ich pąki. Kwiaty kwitną kilka dni, potem ciemnieją. Strzepnięciem palców strąca płatki, które lecą na ziemię. Lubi zapach róż, ale poza tym nie zwraca na nie uwagi.. Ma nadzieję, że sąsiedzi nie pisują listów do państwa Flanner do Niemiec i nie donoszą, że ich ogród jest w oplakanyam stanie.

Pracuje normalnie przy zaimprovizowanym stoliku w ogrodzie codziennie rano od dziewiątej do pierwszej, a potem idzie cztery przecznice dalej do „Domu Steków Lestera”. Wewnętrzna zielona uliczka zakręca i gwałtownie ustępuje ruchliwej arterii obok handlowego centrum, gdzie mieści się restauracja Lestera. Tutaj codziennie zjada hamburgera i pije kufel zimnego piwa. Wywieszka na drzwiach restauracji głosi: „Tylko dla Członków i Nieczłonków”; inna, już wewnątrz, informuje: „Sprzedaliśmy Mniej niż Trzy Miliony Burgerów”. Dla Jimroya te wywieszki - szczerze, niegrzeczne, studenckie - to typowe kalifornijskie poczucie humoru. Kiedy siedzi na kanapce, obejmując dłonią zimną szklankę, ma uczucie, jakby go przeniesiono z powrotem do Manitoby. W tęsknocie za domem znajduje przyjemność; czuje się szczęśliwy, ilekroć odkrywa w sobie coś, co może lubić. (Nie pamięta już, czy cierpiał na nostalgię, będąc w Rapallo). Tu, u Lestera, nie ma żadnych avocado ani nasionek sezamkowych. Ściany są wilgotne, poplamione tłuszczem, zaskakująco zniszczone, ciemne, wydzielają taki zapach jak jakaś graциарnia w wysokiej suterenie. Kiedy otwiera się drzwi wejściowe, światło słoneczne przecina podłogę ostro jak nóż.

W każdą środę po lunchu idzie spacerem do domu, w którym mieszka córka Mary Swann. Trzeba przejść tylko milę. Jimroy potyka się oślepiiony, nie z powodu piwa, ale na skutek szoku, jakiego doznaje, wychodząc z ciemnego wnętrza na rażące w oczy słońce. Zmuszony jest iść wzdłuż ogromnie ruchliwej arterii komunikacyjnej, gdyż z jakiejś przyczyny w Kalifornii brakuje chodników, może to niechęć do wyświadczenia przysługi tym, którzy muszą chodzić pieszo. Jimroy ma uczucie, że jest spychany przez mijające go auta, przejeżdżające niebezpiecznie blisko i zostawiające za sobą obłok kurzu i tlenku węgla. Idąc, rozmyśla, z jaką dumą Kalifornijczycy obnoszą się ze swoim barbarzyństwem; codziennie mija małą kapliczkę, oświetloną nawet za dnia,

z napisem na dachu głoszącym „Sklep Boga”. I niemal codziennie zagarnia go horda spoconych biegaczy, młodych ludzi obnażonych do pasa, z opaskami przeciwpotowymi wokół głowy. (Dopiero po kilku tygodniach uświadomił sobie, że to wciąż ta sama grupa). Mijają go z obydwu stron, nie zmieniając rytmu długich kroków, a pomiędzy jednym a drugim wdechem wykrzykują do siebie („...teoria mechaniki stosowanej”... „test kontrolny na monitorze wykazał...”).

Stopniowo zaczyna rozpoznawać poszczególne twarze chłopców, gdy, sapiąc, przemykają obok niego; teraz kiwa im przyjaźnie głową, wdychając odór ludzkiego potu, który na krótką chwilę przebija się przez spaliny.

Córka Mary Swann mieszka na ulicy zwanej Zaułkiem Largo, w jednym z najpiękniejszych domów, jakie Jimroy kiedykolwiek widział. No dobrze - pyta szorstko sam siebie - czego się właściwie spodziewałeś?

Spodziewał się czegoś szkaradnego. Ponurego salonu z wygniecionymi fotelami. Taniej elewacji zniszczonej przez słońce. Piknikowego stołu w ogródku przed domem. Chwastów. A także uporczywej nieudolności i ciasnoty, odpowiadającej ciasnocie tamtego wiejskiego domu w Nadeau, Ontario, gdzie Frances Swann Moore (1935 - ) wyrosła. Nie brał pod uwagę dążenia wzwyż i cudownego skoku w ciągu jednego pokolenia. Tego nie oczekiwał: pięknego domu, zielonych, wilgotnych trawników. Gdzie się nagle podziła hałaśliwa rzeka ulicznego ruchu? Gdzie opary spalin i spoceni młodzieńcy uprawiający jogging? Nawet żwir na podjeździe państwa Moore wyglądał, jakby go świeżo umyto. Wielkie palmy stanowiły obramowanie szerokich drzwi frontowych - ciemnej lśniącej płyty bez żadnych ozdób. Przy pierwszej wizycie sporo czasu zabrało Jimroyowi odszukanie dzwonka; aha, jest, chytrze ukryty we wgłębieniu z brązu.

Kiedy zapytał pani Moore („proszę mi mówić Frances”), w jakim stylu jest dom, powiedziała, że to mieszanka stylów japońskiego i Zachodniego Wybrzeża. „Architektem był...” i wymieniła nazwisko, które nie mówiło Jimroyowi, ale brzmiało tak, jakby miało wagę międzynarodowej sławy. Niskie przeszła z laminowanego drewna spoczywały na surowym kamieniu i podtrzymywały ogromny chłód przyciemnionego szkła. A wewnątrz - co za spokój! - wypolerowane dębowe podłogi z wysepkami dywanów wykonanych przez Indian Navaho lub wspaniałych dywaników orientalnych, które Frances Moore i jej mąż kolekcjonowali. Czy to - zastanawiał się Jimroy - prawdziwe znawstwo, oko konesera, który syci się rzeźbionymi kształtami i zawiliwym cieniem? Czy

też tylko kalifornijska zachłanność pokryta oglądą? Państwo Moore kolekcjonują także stare samochody (w garażu stoją trzy), peruwiańskie koszyki widoczne na ścianie jadalni i egipskie wyroby garncarskie rozmieszczone na półkach po jednej stronie rozległego foyer. Te wyroby to pierwsza rzecz, jaką widzi Jimroy, kiedy Frances otwiera mu drzwi w środowe popołudnia.

Nie może zrozumieć, dlaczego jest taka dostępna, dlaczego, gdy on przychodzi, zawsze jest w domu, nieskazitelną w wyprasowanych bluzkach i dopasowanych spódniczkach do gry w golfa. Atrakcyjna kobieta o gładkiej twarzy, ciągle jeszcze szczupła. W jej ciemnych, upiętych w kok włosach jest sporo siwych. I Jimroy przypomina sobie, że mówiono mu, iż Mary Swann osiwiła, zanim doszła do czterdziestki. Czy to Rose Hindmarch o tym mówiła? Tak, chyba tak, kto inny mógł o tym wiedzieć? Frances, córka Mary Swann, ma jakieś czterdzieści parę lat. Różowe paznokcie są polakierowane i krótko obcięte. W jej oczach zamyka się błękit nordyckiego lata, chociaż Jimroy jest nieczuły na takie oczy i na takie metafory. Kiedy Frances się uśmiecha, na jej twarz sfruwają zmarszczki. Długo trwa, zanim pytania Jimroya dotrą do niej. Zastanawia się, koniuszkami różowych palców dotyka płatków uszu, a potem powoli zaczyna mówić.

Jest zawsze sama. Jedyne dziecko wyjechało do Princeton. Mąż jest ekonomistą w Stanfordzie, dużo podróżuje jako wykładowca i doradca rządu. („Musi pan go poznać” - mówi Frances Moore, ale jak dotąd do spotkania jeszcze nie doszło i, jak przeczuwa Jimroy, nigdy nie dojdzie).

Prowadzi go do niskiej sofy, obitej grubą tkaniną, i siada obok, zakładając nogę na nogę: seria eleganckich, szybkich ruchów. Siedzą przy niskim stoliku, na którym znajduje się stos pism („The Smithsonian” na wierzchu, „The Atlantic” widać spod niego), mała kamienna figurka (Tybet - objaśnia Frances) i śliczna, produkowana na miejscu ceramiczna popielniczka (Jimroy nie tylko nie odważyłby się strząsnąć na nią popiołu, ale nawet zapalić papierosa) i wreszcie dzbanek świeżo zaparzonej zielonej herbaty.

- A więc - mówi Frances melodyjnym głosem, w którym brzmi jedynie słabe echo rolniczego Ontario - na czym stanęliśmy w zeszłym tygodniu? Ach, tak, pamiętam. Pytał pan o stosunek mamy do sąsiadów. Usiłowałam sobie przypomnieć. Nie mieliśmy, oczywiście, telefonu, dopiero od czterdziestego dziewiątego roku był w domu samochód.

A właściwie ciężarówka. Ale to już pan wie. Nie było więc możliwości, żeby bywać u sąsiadów. Do Elgin mieliśmy dwanaście mil, dwie do Nadeau, a dziesięć z Westport - taki węzeł dróg, jak pan wie. Na ogół mama nie przejmowała się sąsiadami. Zdaje mi się, że raz poszła na weselne przyjęcie. Wychowała się w Belleville - to wszystko już pan wie - a w tamtym okresie to było tak, jakby zjawiał się ktoś z innego świata. Pan był w Belleville, panie Jimroy, prawda? No właśnie, to pan wie. Czy można już nalać herbaty...?

Oszołomiony podaje filiżankę i zastanawia się, dlaczego lęka się tak czarującej kobiety. Głos Frances Moore, rytmiczny, miękko modulowany, ma w sobie jakieś tonalne nachylenie, które sprawia, że chciałby zamknąć oczy, ale nie śmie tego zrobić z obawy, iż zostanie odprawiony. Jedynie dziwne, urwane słowo „mama” wiąże tę niesłychanie odprężoną kobietę z Mary Swann; nie matka, nie mamusia, ale mama - słowo, które wydziera się z jej ust jak gdakanie z gospodarskiego obejścia. Jimroy łyka herbatę.

- Sąsiedzi? - podpowiada.

- Byli ci Hannowie, prawda. Mama chyba lubiła panią Hanna, chociaż ona nie była zbyt bystra. Nie sądzę, żeby umiała czytać czy pisać. Pamiętam, że kiedyś wróciłam ze szkoły, a pani Hanna siedziała u nas w kuchni i mama czytała jej coś z tych książek wypożyczonych z biblioteki. Chyba mówiłam panu, panie profesorze, że w Nadeau była biblioteka.

- O tak, nawet tam byłem.

- Oczywiście była to stara biblioteka. Jakieś dwieście książek, czy coś koło tego, nie więcej. Na półce w urzędzie pocztowym.

Mama brała książki, jak jechała do miasta, tylko dwie za każdym razem. Można było więcej, ale ona brała tylko dwie.

- Ciekaw jestem, dlaczego. - Jimroy odczuł nagłą potrzebę zapytania o ten szczegół, żeby ją przygoździć, choćby tylko po to, by się upewnić, iż naprawdę siedzi w tym pokoju. Nie czuje się swobodnie jako rozmówca; zniecierpliwiony przypomina sobie trudności, jakie miał z wdową po Starmanie. Poza tym rzadko miewa do czynienia z takimi kobietami jak Frances Moore.

- Bóg raczy wiedzieć. Pani Hanna już nie żyje. Nie wiem, co to była za książka, którą mama jej czytała. Może „Przeminęło z wiatrem”. Albo coś Edny Ferber. Lubiała Ednę Ferber.

Jimroy wydaje odgłos oznaczający żal i zapisuje informację w notesie. Oczywiście jest rozczarowany. Czy miał głupią nadzieję na Jane Austen? Tak, mimo że nie jest aż tak niemądry.

- A nie pamięta pani, czy kiedyś czytała poezje? - pytał już o to poprzednio.

- Nie przypominam sobie. Chyba że do poezji zaliczymy „Matkę Gęś”. Na pewno znała wszystkie kołysanki i wiersze dla dzieci. Najbardziej lubiła ten:

Pewnemu panu z księżycą  
tak smakowała pszenica,  
że chciał się najeść do syta.

- Pamięta pan?

W misce była zimna kapusta,  
więc sobie poparzył usta.

- Zaraz, zaraz, aha!

i o nic już nie pytał.

- Pamiętam - mówi Jimroy i znów coś zapisuje.

- Mnie też od czasu do czasu coś czytała. Wieczorami.

- Aha - trzyma ołówek w pogotowiu, w głosie lekka beztroska. - Może pani pamięta tytuły książek, które pani czytała?

- „Pięć ziarenek pieprzu”. Strasznie to lubiłam. I książki o bliźniakach Bobbsey. Nic z tego, co nazywa się wielką literaturą. Dopóki nie urodziło mi się dziecko, nigdy nie słyszałam o „Kubusiu Puchatku” ani o książce „Wiatr w gałęziach wierzb”. Ale siadywałyśmy wieczorami na kanapie w kuchni, tylko my dwie. W zimie nie używaliśmy dużego pokoju lub - jak go nazywaliśmy - pokoju od frontu. Po prostu było za zimno. A w kuchni paliło się drewnem przez cały czas. Pewnie to wygląda trochę na idyllę: miła rodzinka zgromadzona w kuchni. Za oknami zwykle wiał wiatr. Mieliliśmy kilka naftowych lamp. Mama dawała się porwać niektórym przygodom bliźniaków Bobbsey. Jej głos przybierał groźne tony. Bardzo dramatyczne. Była tam mała Flossie, która wiecznie ginęła w lesie. Myślę, że mamę bawiło to wszystko tak samo jak mnie.

- A pani ojciec?

- Chyba przeczytałyśmy całą serię tych opowiadań. Okropne, nie wiem, dlaczego biblioteka je trzymała...

- Czy ojciec pani także tam był? To znaczy w kuchni?

- Jeśli pan pozwoli, panie profesorze...

- Najmocniej przepraszam. Chciałem tylko...

- Zdaje mi się... jestem pewna, że postawiłam sprawę jasno, kiedy

pan po raz pierwszy do mnie napisał w sprawie tych wywiadów, że nie chce rozmawiać o...

- Proszę mi wybaczyć. Nakreśliła pani tak żywy obraz, że ja... zapomniałem... chyba. - Wstydlive jąkanie się.

- Bez względu na okoliczności.

- Rozumiem. Naprawdę rozumiem. - Jimroy zacisnął wargi.

- Może jeszcze herbaty?

- Chętnie, tak, proszę. Staję się coraz większym amatorem zielonej herbaty, której nigdy... - Słyszy swój głos, głupawy i żarliwy, swój niemądry śmieszek. .

- Sąsiedzi. Tak, niech sobie przypomnę. O pani Hanna już mówiłam. Była tam jeszcze jedna rodzina, Enrightów. Mieli większą farmę, niedaleko od nas. Nowoczesną zagrodę.

Jimroy, czciciel obrazów chaotycznego świata, zapisuje tak szybko, jak potrafi: „Enrightowie. Duża farma, nowoczesna zagroda”.

Z początku wieczory były dla niego trudne; co miał począć z długimi, spokojnymi wieczorami?

W mikrofalowej kuchence Flannerów odgrzewał sobie posiłki. Podczas jedzenia włączał wiadomości; wydawało się, że Kalifornijczycy coraz głębiej grzęzną w swoich kryzysach, błotnych lawinach, trzęsieniach ziemi, miejskiej polityce i w coraz bardziej wyszukanych rozbojach. Po zmierzchu chodził na długie spacerunki i czuł, jak płuca rozszerzają się w wilgotnym wieczornym powietrzu. Czysty tlen pokropiony zapachem benzyny. Przyjazna krawędź zanieczyszczenia. Wschodzący księżyc miał obręcz z gazoliny. Jaką zagadką jest Kalifornia, a nawet Palo Alto! Niełatwo ją zrozumieć. A jednak czuł się pewniej, widząc światła w sąsiednich domach. To, że inni byli tu zdomowieni, czasami budziło w nim zazdrość, ale gdy zaciągnął zamek swojej nowej lekkiej wiatrówki, mówił sobie, że dobrze się czuje we własnej samotności. W istocie niezupełnie w to wierzył, ale ta myśl zabezpieczała go przed Audrey.

Po kilku tygodniach najbliżsi sąsiedzi zaprosili go na zimną kolację. Państwo Lee przedstawili go państwu Krause, którzy byli sąsiadami z drugiej strony.

- Poznajcie się: Morton Jimroy, mieszka w domu Flannerów.

Poznał także około tuzina innych osób.

- A więc to pan mieszka w domu Flannerów? Właśnie się nad tym zastanawialiśmy. I to pan jest tym biografem. I cóż, czy już się pan zaadaptował na wybrzeżu?

Wszyscy byli bardzo gościnni. Wkrótce zaczęto go zapraszać także do innych domów. Był wdzięczny za te nieobowiązujące towarzyskie wieczory, chociaż zdawał sobie sprawę, że nigdy nie byłby zapraszany, gdyby nie otaczała go aura władzy, będąca niejako jego reklamą. Tutejsi ludzie byli przyzwyczajeni do sukcesu. Doktora Iana Lee z najbliższego sąsiedztwa zawsze odwoziła na lotnisko jego żona, Elizabeth (zawzięta, wojownicza kobieta o dużych, ruchliwych ustach, przy tym bardzo uprzejma), żeby mógł przelecieć pół świata z wykładami na temat arkadów pewnych gałęzi matematyki. A doktor Krause był światowej sławy filologiem (wyrażenie „światowej sławy” rozpryskiwano na społeczność Stanfordu jak ostrą przyprawę). Jimroy miał wrażenie, że ciężkie ciało Krausego z trudem się porusza pod ciężarem wiedzy. Żona Krausego, Monique, psycholog, była ekspertem od sernika i turystycznych szlaków w parkach narodowych. Tacy właśnie ludzie zaakceptowali Jimroya, zapraszając go na pełne półmiski rostbefu i pieczonej szynki oraz żartobliwie wyciągając z niego opinie i anegdoty, a także wypytyjąc o komentarze na temat metodyki pisania biografii, Ian Lee domagał się odpowiedzi, skąd biograf wie, że ostatecznie dotarł do istoty osobowości. Ukazuje się jakieś światło, czy co? - pytał Jimroya, strzelając palcami. August Krause przesładował go pytaniami o rozbieżności między osobą prywatną a publiczną.

- Ach, ale co to jest osoba publiczna?! - wołała Monique Krause, składając małe rączki. - To tylko nagie ciało noszące nieco lepsze ubrania.

Jacyż oni byli dobrzy: w średnim wieku, cywilizowani, tolerancyjni, światowi, opaleni i wszyscy zjednoczeni pogardą dla Ronalda Reagana. Nie myśląc o rewanzu, zapraszali Jimroya na smakowite jedzenie, dobre-lub-doskonałe wina, na słuchanie nagrań muzycznych, na towarzyskie rozmowy i odsyłali do domu dobrze przed północą.

Wdzięczny Jimroy mógł tylko myśleć: Bogu dzięki za ich godziwe porcje wołowiny i piłeczki śmiechu, jakie wyskakiwały im z ust, gdy opowiadał o swoich „pierwszych wrażeniach” z Kalifornii. Był tu mniej samotny niż w Winnipeg, chociaż i tam znał kilka par małżeńskich: Swensenów, Zieglerów, Mullocków. Dziwił się stałości małżeńskiej miłości, jaka zdawała się przepływać między mężem a żoną. Większość tych par - to małżeństwa od przeszło dwudziestu pięciu lat, a wciąż jeszcze byli wobec siebie grzeczni i pełni czułości. Próbował sobie wyobrazić ich w łóżku - pulchny penis Iana między nogami Elizabeth - ale nie

mógł; zresztą to chyba nie miało żadnego znaczenia. Liczyła się jedynie miłość; wytrwałe, cierpliwe i tajemnicze schronienie. Kiedy wracał samotnie do domu, do nudy łoża Flannerów, unosił ze sobą otaczające ich ciepło.

W jedną z takich nocy przyszło mu na myśl, że od kilku tygodni przestał oddawać się odrażającej słabości, jaką były anonimowe telefony na Florydę do Audrey. Być może ma już za sobą potrzebę usłyszenia jej gderliwego głosu, wybuchającego ze snu. „Halo?!” - wrzeszczy w słuchawkę jak ktoś, kto bada głębokość jaskini. Jimroy zamyka oczy i próbuje sobie wyobrazić przyczepę samochodową, w której Audrey mieszka; zastanawia się, jakie jest jej łóżko, czy potrzebny jej koc w tym śmiesznym klimacie i jak wygląda, siedząc na brzegu łóżka ze słuchawką w dłoni.

- Powiedziałam halo. Kto dzwoni?

Nie odpowiada, trzyma tylko słuchawkę i nasłuchuje.

- Kto tam jest, słucham? - szorstkim głosem domaga się odpowiedzi. To jej brytyjskie warknięcie.

Nadal cisza. Jimroy stara się nie oddychać. Nigdy by się nie zniżył do tego, żeby oddychać w słuchawkę. I tak naprawdę nie chce jej straszyć. Kochana, poczciwa Aud.

- Kto mówi, na litość boską?

Długa pauza. Jimroy znów czeka na głos, który musi się odezwać i wypełnić przerwę. Zamiast tego Audrey często z trzaskiem odkłada słuchawkę.

- Nie uda ci się mnie oszukać! - krzyknęła pewnego razu. - Wiem, kto mówi, ty pedziu!

Ręce mu zadrżały, ale udało mu się odłożyć słuchawkę. Zwilżył usta wargami, strach splótł się z miłością. Pomyślał o jej dużych ustach, nie była atrakcyjną kobietą, z całą pewnością.

Nie telefonował do Audrey w środku nocy już od kilku tygodni. Dobry znak. Powinien to uczcić jak alkoholik po miesiącu suszenia.

Gdyby tylko mógł wymazać - ech! ale nie może. Przrzeka sobie, to uroczysta obietnica, że nie będzie więcej telefonował do Sarasoty. Praca nad Mary Swann posuwa się naprzód; co tydzień wysyła do pani Lynch plik papierów do przepisania. Pełne woni powietrze wpada do pokoju przez otwarte okno. Sypia dobrze. Właśnie wrócił z czarującego wieczoru z wesołymi, inteligentnymi znajomymi, którzy, wie o tym, przypatrują mu się jak pupilkowi z Północy; rola mu się spodobała. A poza tym nie kocha już Audrey. To się skończyło rok temu.



Przyznaje jednak sam przed sobą, że jest głęboko zakochany.  
Jest pijany miłością, oglupiał z miłości. A kobietą, którą kocha, jest Sara Maloney z Chicago, której nigdy nawet nie widział.

24 października

Drogi Mortonie!

Wiedziałaś, że dasz się ubłagać! A więc! Nareszcie się spotkamy - bardzo się na to cieszę. Za kilka dni powinieneś dostać proponowany program, prosto spod prasy. Co o tym wszystkim myślałaby nasza Mary? Kiedy próbuję ją sobie wyobrazić siedzącą w audytorium i przysłuchującą się, jak ktoś omawia jej sposób stosowania cezury, obawiam się, że to wszystko nagle staje się śmieszne. Może się z tym nie zgodzisz. Czy tak? A może nie?

Toronto w styczniu - nie brzmi to zbyt zachęcająco. Zgadza się z tobą, że lepiej byłoby urządzić całą rzecz w Nadeau. I Komitet Organizacyjny istotnie to rozważał. (Czy Komitet Organizacyjny nie jest dziwnym wyrażeniem? Prawie faszystowskim; bez wątpienia wymyślony po to, żeby dać nam fałszywe wrażenie władzy). Gdy idzie o Nadeau, problemem okazał się brak miejsc w hotelu. Chyba że policzymy sześć pokoi nad barem piwnym. Tak, Elgin również było brane pod uwagę, chociaż hotel, jak pewnie wiesz, jest jednym z tych starych wiejskich budynków, gdzie hulają przeciągi. Czasami też w styczniu z powodu śnieżyc zamknięta jest autostrada między Elgin i Toronto. Ustalono więc, że jeśli chcemy przyciągnąć ludzi, Toronto będzie najlepsze. I okazuje się, co zadziwiająco, że będzie nas około sześćdziesięciu osób, a może nawet więcej. Kto by to przypuszczał? Z Harvardu przyjeżdża Herb Block. Kiedy się o tym dowiedziałam, zadzwoniły w mojej głowie srebrne dzwoneczki. Herb Block! Sądzę, że wiesz, iż zaprosiliśmy Frances Moore. „To właściwie nie moja sprawa” - odpowiedziała. Bardzo chłodno.

A teraz, Mortonie, chcę, żebyś wiedział, że byłam głęboko poruszona tym, co napisałeś w ostatnim liście, jak ważne dla Ciebie jest to, aby otrzymywać osobiste listy. Tak, wiem coś o tym, co nazywasz „samotnością na pół sławnego człowieka”. Nie jest to, nawiasem mówiąc, kategoria, do której bym Ciebie zaliczyła. Myślę dużo o samotności, z pewnością to najbardziej rozpowszechniona ze współczesnych chorób - czyż nie wiem o tym! Faktem jest, że to właśnie widmo samotności przyciągnęło moją uwagę w twórczości Mary Swann, że ona i ja odczuwałyśmy tę samą niedobłą oziębłość. Ze wszystkich jej wierszy najgłębiej, wprost

do mego serca, przemawia „Sama w domu”. A zwłaszcza ta strofka:

Żal mojej krwi ukrytej zawartej  
Żal ust zaciśniętych mocno.  
Żal mijających godzin otwartych  
Żal że obok nie czuwa nikt nocą.

Nie jest to jej najlepsza strofa, ale gdy się pomyśli o udreće, jaka się za nią kryje! Jak bardzo ta kobieta potrzebowała kogoś, kto by nad nią „czuwał”. Jak my wszyscy tego potrzebujemy! Nawiasem mówiąc, nie uważam, żeby Mary uzalała się tutaj nad sobą, jak to sugeruje pani profesor Croft w swoim artykule w Biuletynie Stow. Jęz. Now. (Notabene Croft przyjeżdża na sympozjum, najlepszy dowód, że nasza Mary dociera).

Cieszę się bardzo, że nie wzięłaś mi za złe mojej niechęci do przekazania Ci notatnika Mary Swann. Gdybym uważała, że jest w nim materiał, który mógłbyś wykorzystać w swojej książce, oczywiście posłałabym Ci ksero. Jednakże są to tylko zapiski, pomysły na wiersze, mnóstwo zwykłych gryzmołów - o tym wszystkim będę mówić w swoim referacie. Czuję się okropnie w związku z tym, niech to diabli! Ale i Ty wiesz coś o samolubstwie naukowców. Jesteśmy ohydną bandą.

Z najlepszymi życzeniami

Sara

Większość listów, jakie Jimroy dostaje, to urzędowe pisma od wydawców w Nowym Jorku albo od kolegów z Manitoby. Te pisane na maszynie komunikaty, choć mile widziane, ranią jego wzrok. Zbyt nie dbałe, zbyt łatwe. Ludziom się wydaje, że grzmocąc w klawisze maszyny, stają się dowcipni, gdy w gruncie rzeczy są tylko gadatliwi. Rezultatem - stwierdza Jimroy - irytująca rozwlekłość i nadmiar kropek między zdaniami, lub też przeciwnie - musujący rodzaj nerwowości, który wyziera pogardliwie z pisanych na maszynie listów Ezry Pounda do przyjaciół. Jimroy zawsze wyobraża sobie, że nawet najweselsze ze swych listów Pound pisał z mocno zaciśniętymi zębami. Na kopertach Sary Maloney są wesołe znaczki naklejone pod różnym kątem, i Jimroy ośmiela się wierzyć, że przed naklejeniem z wdziękiem je lizała. Listy pisze własnoręcznie. Szorstki, lecz nie za szorstki papier, nie całkiem czysto biały, nasuwa myśl o harmonii i elastyczności. Atrament jest mocno niebieski i spływa ze średniej ostrości stałówki, co według Jimroya wygląda na

nylonową stalówkę. Podoba mu się sposób, w jaki Sara Maloney pisze „honor” i „wnętrze”; u niej te słowa stają się zaokrąglone i świeące. Jej szeroko otwarte litery a i o zachwycają go. Jej duże W to dwa niewinne, dobrze karmione ptaszki, gotowe do wypróbowania skrzydeł. Ma dwadzieścia osiem lat; wie o tym, bo datę urodzenia podano w danych biograficznych obok jej pierwszego opublikowanego artykułu, ale i tak z charakteru pisma mógłby zgadnąć, że ma około dwudziestu paru lat; szczęśliwy wiek, emancypowany wiek. Wystarczy spojrzeć na nieczytelne pismo Mary Swann albo na jego, Jimroya, stłoczone zawijasy. Tona-cja Sary pomrukuje po kobiecemu.

Nie dowierza zdjęciu na okładce książki: długie włosy spadają na długą twarz. Rozmowne usta i zmysłowe oczy. Wyrównuje to kształtny podbródek. Myśli, że jest typem kobiety, która mogłaby w chwilach smutku wieszać w oknach pryzmaty lub kawałki kolorowych szkiełek. Wyobraża sobie, że wystrzega się szkarłatnego lakieru do paznokci. Może ma przysadzistą figurę? Gorąco ufa, że nie. (Audrey przynajmniej nie była krępa). Wie, że Virginia Woolf jest ulubioną powieściopisarką Sary - z zasady nie ufa kobietom przychylnie nastawionym do Virginii Woolf - a V.S. Pritchett jej ulubionym eseistą. Wyobraża sobie, że książki tych dwojga autorów umieściła obok siebie na małej, pomalowanej półce blisko biurka, przy którym pracuje, w miejscu, gdzie siedzi (w ulewie słońca?), pisząc własnoręcznie te urocze listy, liżąc miękkim językiem, nasączonym miodem, podgumowane koperty i znaczki - ach, Saro! *Miękki, różowy język wędruje po jego ciele. Na litość, zdejmijże wreszcie piżamę - szepce Sara - głupie guziki, pośpiesz się! Och, jak dobrze, pozwól mi lizać, lizać, lizać. No tak, czy nie tego właśnie ci było trzeba? Czy nie tego chciałeś? Tak, oczywiście, że tego.*

Jest pewien, że od czasu opublikowania dużej, mocnej, gniewnej książki „Przez pryzmat kobiety” Sara złagodniała, dojrzała, całkowicie się zmieniła. Jej listy to łagodne krawędzie i szorstkie zakamarki. Na przykład odmowa podzielenia się notesem Mary Swann była tak delikatnie sformułowana, że prawie nie czuło się żądła odmowy. No, mały prztyczek. I tylko przez chwilę.

Ostatni list jest dziesiątym, jaki od niej otrzymał. Jimroy kładzie go na spodzie pod plikiem innych i na nowo związuje gumką, przyklepując z zadowoleniem. Dziś wieczorem, ponieważ przyjęcie u państwa Lee skończyło się wcześniej niż zwykle, położy się do łóżka i zafunduje sobie wszystkie dania.

Przyznaje, że jej styl pozostawia nieco do życzenia; tylko od czasu

do czasu zbliża się do tego rodzaju persyflażu, który on uwielbia. Wolałby, żeby nie używała zwrotu „głęboko poruszona”; wyobraża sobie zaczerwienione nozdrza, wilgotność, przerażającą szczerość. Słowami „ohydna banda” czuje się lekko obrażony. Sara najwyraźniej nie potrafi układać długich, rozgałęzionych zdań, jakie on najbardziej lubi, ale nie ma serca czepiać się tego, czemu ona nie może zaradzić. Powiedzenia Sary mają jednak pewną dźwięczność, pewien upór, tylko jej właściwy zuchwały żar. Co więcej, słowa zdają się być ukształtowane dla niego i tylko dla niego. Wyobraża sobie, że listy, jakie Sara pisze do innych - do Herba Blocka, tego nic nie znaczącego oszusta - są cieńsze i nie tak żywe.

Kiedy pisze do Sary Maloney, stara się nie palić papierosów. Nie chce, żeby, otwierając kopertę, wdychała ich zwietrzały zapach. I jeszcze coś: uważa, żeby do listu wprowadzać jedną, i tylko jedną osobistą wiadomość, która, o czym wie, wywoła osobisty oddźwięk. Próbuje pisać o sobie z dezaprobatą, przyznać się do niewielkiej słabości lub nie milej przygody, bo wie, że najbardziej się podoba, gdy jest w czymś kiepski. Racjonuje siebie w obawie, żeby ich stosunek nie stał się cikliwy. Chce być surowy, ostry; chce być siatką, słabszą tylko miejscami, które można raptownie odsłonić i równie spiesznie zakryć. W poprzednim liście przyznał się do winy (lekka przesada, ale mniejsza o to), do jakiej się poczuwa wobec róż Flannerów; opisał, jak siedzi pośród nich, ignorując ich piękno, jak nie docenia ich rozkwitających pąków.

„Nie potrzebują doceniania” - odpisała Sara, rozgrzeszając go. A dalej: „Stanowczo zbyt wielkie znaczenie przypisuje się ludziom, którzy są czcicielami natury, zwłaszcza we własnym mniemaniu”.

To właśnie chciał usłyszeć. Słodka bezkarność. Wszystko, co Sara pisze (Sara! Sara!), jest właśnie tym, czego pragnie.

Oczywiście wie, że można to sobie wytłumaczyć jako podstęp miłości, że każde słowo wypowiedziane przez kochaną osobę staje się olśniewająco trafne i przełożone.

*Sporran* - to słowo budzi Jimroya w środku nocy, zjawiając się nagle, wypowiedziane we śnie. Reszta snu szybko znika - nigdy nie był w stanie zapamiętać nocnych majaceń - zostaje tylko to jedno słowo: *sporran*. Litery tańczą w jaskrawoniebieskim świetle poza zamkniętymi powiekami. Jest też matowoszare tło i wrażenie przenikliwej muzyki granej poza sceną.

Obraz jest zadziwiająco uporczywy; żeby zniknął, Jimroy musi sięgnąć za siebie i zapalić nocną lampkę. Budzik na stoliku pokazuje trzecią nad ranem.

*Sporran*. Oczywiście, słowo, które usiłował sobie przypomnieć, to nazwa małej sakiewki, jaką szkoccy górale noszą na przodzie tartanowych spódniczek. Nie tak dawno widział jedną u dziwnego, młodego niby-Szkota, który siedział obok niego w Uniwersyteckim Teatrze.

Coraz częściej mu się zdarza, że jakieś słowo - zwrot lub drobiazg - całkowicie ulatuje mu z pamięci, żeby zjawić się później, kiedy już nie jest potrzebne. Zarzucone przedmioty, przeoczona data spotkania. Naturalnie, zdarza się to każdemu - wie o tym - i coraz częściej z wiekiem. Od czasu do czasu, zwłaszcza w trakcie wykładu, luka w pamięci wprawia Jimroya w zakłopotanie, budzi jego niepokój. Takie zjawisko ma coś wspólnego z przerwaniem dopływu tlenu do komórek mózgowych. Gdzieś o tym czytał. Czy nie w „Scientific American”? Nie, chyba w „Harpers Magazine”. A może widział jakiś program telewizyjny. Jimroy ma nadzieję, że nie stanie się trzęsącym, zidiociałym staruszkim, który zapomina zapiąć spodnie albo któremu trzeba przyszyć do koszuli numer telefonu.

Może to dobry znak, że zapomniane słowa czy zwroty zawsze wracają do niego, zazwyczaj gdy jest zrelaksowany, lub nawet - jak dziś w nocy - podczas snu. Doprawdy, jak niezwykłą rzeczą jest mózg ze swoimi pogmatwanymi objazdami i poprzecznymi kanałami, osadzony na głębokości kilku cali w wilgotnej, skromnej, demokratycznej tkance. Czasami Jimroy myśli o swoim mózgu jak o niezbyt rozgarniętym, samowolnym, złośliwym i nieobliczalnym w tępcie dziecka, które musi nosić na czubku niezdarne ciało. Ale dziś w nocy jest mu wdzięczny za nagłe zapłony pamięci.

Rozbudzony całkowicie, próbuje sobie teraz przypomnieć, co takiego zdarzyło się w ciągu dnia, co mogło spowodować to nagłe objawienie, to rozjaśnione słowo *sporran*. Ale nic nie znajduje. I minęły przecież tygodnie od spotkania ze Szkotem, tygodnie, od kiedy zadał sobie pytanie, jakim słowem określa się mały woreczek przypasany w talii przez tego gościa. Rzecz jasna, nie jest to pospolite słowo; można żyć całymi latami i nie usłyszeć go. Jednakże nie powinien był zapomnieć.

A przecież słowo to nie oznacza czegoś, co próbowałyby w sobie stłumić, jak wówczas, gdy wypełniał papiery potrzebne do rozwodu i zupełnie nieoczekiwanie nie mógł sobie przypomnieć drugiego imienia

Audrey. Wtedy skłonny był przyznać, że mógł w nim być element nieświadomego zablokowania.

Audrey Joan Beamish Jimroy. Imię „Joan” przypomniał sobie w dzień po wysłaniu papierów do adwokata, kiedy siedział w wannie z gorącą wodą. Natychmiast wstał, wytarł się do sucha i zadzwonił do prawnika, mówiąc, że „być może zaniedbałem wpisania drugiego imienia mojej separowanej żony”. Po czym wszedł z powrotem do wanny, mówiąc sobie i próbując zlekceważyć sprawę, że wdzięczny jest swoim rodzicom, iż nie dali mu drugiego imienia, bo bardzo możliwe, że i tego też by zapomniał.

Po kąpieli usiadł w fotelu przy oknie i zaczął recytować niektóre wiersze z „Cantos” Pounda; przy jednej linijce tylko, ale przy linijce, którą niegdyś bardzo lubił, zaciął się. Będzie musiał na siebie uważać. W jego zawodzie dobra pamięć jest sprawą zasadniczą. Niektórzy wierzą, że pomaga w tym witamina E. Trzeba się tym zainteresować. Jeśli człowiek ma działać, a zapomina drugiego imienia żony...

*Sporran, sporran.* Gasi światło i próbuje zasnąć, ale to słowo dźwięczy mu w uszach. Zastanawia się, jaki jest jego źródłosłów. Chyba irlandzki. Takie ma brzmienie. Z pewnością nie ma nic wspólnego ze sporami ani zarodkami, chociaż zawieszony jest na ciele w miejscu najwyraźniej mającym związek z zarodkami.

Audrey Joan Beamish. Pamięta doskonale, kiedy pierwszy raz zobaczył jej nazwisko, podpis pod podaniem. Przez całą wiosnę poszukiwał asystentki, która pomogłaby mu w zbieraniu materiałów, a podanie złożyła Audrey, która nie rozróżniała kwerendy od fasoli. Typowe dla Audrey, która sądzi, że może opanować wszystko, czym się zacznie zajmować. Przynajmniej umiała trochę pisać na maszynie, to już coś. A jej akcent z Birmingham wpływał na niego pobudzająco. Jej kościstość, niewyrobinienie - miała zaczerwieniony nos i stale przyciskała do niego zwitek wilgotnej papierowej chusteczki - budziły w nim czułość. Miał ochotę chronić ją przed nią samą. Biedna, poczciwa Audrey.

Często, nawet tutaj, w Kalifornii, ojczyźnie długonogich amerykańskich piękności, widuje bardzo nieatrakcyjne kobiety - o ziemistej cerze, zgarbione, z nadwagą lub w inny sposób zdeformowane - jadące autobusem lub powłóczące nogami w domu towarowym. Torby na zakupy i dzieci, które ciągną za sobą, niewątpliwie potwierdzają, że to kobiety zamężne. Kto się żeni z takimi kobietami? - pyta Jimroy. I wtedy sobie przypomina: on przecież ożenił się z Audrey. Pociągała go nawet długa,

końska twarz, wypukłe kostki nadgarstków, błyszczące nad dłońmi jak marynowane cebulki.

Na początku nawet jej ignorancja sprawiała mu przyjemność, gdyż świadczyła, że nie tylko on jeden ma wady i słabości. Zabawiał się, mrużąc do niej różne głupstwa: Czy to nie najbardziej niebieskie niebo, czy to nie najbardziej zurbanizowane miasto, czy nie jest tak-a-tak, gdy ktoś nadeptuje sobie na piętę Achillesa, czy ten-lub-inny nie ogląda się za siebie, dokonując retrospekcji? Obserwował wtedy jej twarz z ostrożną przyjemnością, jak gdyby te uwagi odbijały się od niej niczym gumowe kule. Sztywniała i wznosiła oczy w górę, namyślając się, albo kiwała głową potakująco, unosząc przy tym jedno ramię. Tak, tak - mówiła, traktując pogardliwie jego *jeu d'esprit*, jego uszczypliwość, jakby była na nie ślepa, niepomna na nic, jak tylko Audrey potrafiła być na nic niepomna.

Jeśli za coś ją kochał i jeżeli miłość w ułomnej postaci może być nazwana miłością, to za upartą, choć nie wyrażaną wiarę, że istnieje pewien ład we wszechświecie i że ona sama jest częstką ludzkiej armii, która go podpira. „Służyć i walczyć” - taką dewizę wyznawała Audrey, służąc ślepo, odważnie i robiąc tysiące rzeczy, które, jak była przekonana, warto zrobić. Szaleńczo wymachując ramionami, z niewyczerpanym, hałaśliwym przypiływem energii wytapetowała przedpokój brzydkiego, starego domu, który Jimroy miał w Winnipeg, zdrapała farbę z drewnianych części, założyła „warzywny zagonek” w zarośniętym ogródku na tyłach domu. Przyznawał, że była naiwna - ale ile dobroci kryło się w mylnym pojęciu, jakie o nim miała. Dla niej nie był kalekim cynikiem ze skłonnością do melancholii; dla Audrey był tylko biednym kujonem, którego trzeba podnieść na duchu. Pospolita, niezdarna kobieta. Ale w jej naturze było coś pociągającego, choćby poczucie sprawiedliwości. Kiedyś w rozmowie użył zwrotu „niedźwiedz polarny” i został obrugany, że wyraża się ujemnie o Polakach.

Kiedy ożenił się z Audrey Beamish, był przygotowany na to, że znajomi będą się nad nim litować. Zebrał siły, żeby stawić czoło ich pytaniom. Dlaczego po czterdziestce obarczył się żoną, zwłaszcza taką jak Audrey?

Ale znajomi nie litowali się, tylko cieszyli. Mówili, że właśnie tego było mu trzeba: hałaśliwej, porządnej, dobrej kobiety o sercu wielkości arbuza. (Któryś z nich użył dokładnie takich słów).

Czasami użalał się nad sobą. Jimroy przypuszcza, że każdy ma takie chwile. Jego dopadają w nocy. „Moją raną jest brak rany” - tak czasami

nucił sobie po cichu Jimroy, nie całkiem pewny, czy to właściwe słowa - introspekcja wypacza nawet najinteligentniejsze umysły - i pełen wątpliwości, czy są oryginalne. (Ten zwrot, jego rytm brzmią podejrzenie, jakby ktoś to już kiedyś powiedział, ktoś absolutnie skłonny do wyznań i melodramatyczny - Robert Brooke czy ktoś do niego podobny). Niemniej Jimroy ciągnie dalej: „Moją raną jest...”

Jego raną czy w rzeczywistości brakiem rany jest mały organizm skulony w jego wnętrzu, cierpliwy, potulny niczym śpiący spaniel, spaniel karzełek. Nie pozwala się zidentyfikować. I Jimroy tylko dlatego wie o jego istnieniu, że czasami, choć rzadko, spotyka „spanielka” gdzie indziej, skulonego w innym ludzkim ciele, w którym ku swemu zdziwieniu Jimroy natychmiast go rozpoznaje. Przykładem może być student, który przychodził kiedyś na jego wykłady, Ely Salterton, prosto z farmy, gdzie uprawiano pszenicę; wobec Ely'ego Saltertona zachowywał się z dystansem. A ostatnio ten cudaczny facet w szkockiej spódniczce - no, ten był niezbyt oczywistym przypadkiem. Ale Audrey; w Audrey zobaczył karzelka od razu, tylko go to odrzuciło, przeciwnie - przyciągnęło jak mężczyznę koło czterdziestki, który boi się, że utonie.

- Nie szkodzi, kochanie - powiedziała Audrey po pierwszej (i ostatniej) próbie seksualnego zbliżenia. - To nie ma najmniejszego znaczenia, kochanie.

I, o dziwo, nie miało.

Co za cud! Mógł spokojnie wycofać rękę z wilgotnej szorstkości skręconego łonowego zarostu, z zenująco mokrych warg sromowych - przy najmniej domyślał się, że ta gąbczasta tkanka to srom.

Ulga, jaką odczuł, przeraziła go. A jeszcze bardziej przerażające było przekonanie, że Audrey doznała tego samego mocnego uczucia ulgi. Uznali od razu poniesione fiasko i poddali się. Później leżeli spokojnie w ciemności, objęci ramionami, najszcześniejsza godzina, jaką Jimroy przeżył. Pełnia. Bogata, świeża zieleń, bogatsza, niż mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić, czytając poezję miłosną. A skąd pochodziła? Od Audrey. Głupiej Audrey o skrzcującym głosie. Audrey, która uważała, że Szekspir jest „snobistyczny”. Audrey, która nigdy nie słyszała o pocię Johnie Starmanie. Audrey, która wymawiała „Camus” tak, że brzmiało jak „Kamus”. W takim momencie, na tej płaszczyźnie spotkali się w ukryciu ciemnej sypialni na Fort Garry. Milczenie osiadło na włosach



jego uwolnionej ręki i na smutno uśmiechniętych ustach Audrey. Dobry Boże, co za szczęście!

Gdy się rozwiedli, zadziwiająca liczba znajomych stanęła po stronie Audrey. (To ci, którzy okrutnie żartowali, że jest pierwszą kobietą z gro-  
na znajomych, rozchodzącą się z mężem z powodu sarkazmu). Oczywiście, czuła się odrzucona - mówili ludzie, sznurując lekko wargi i wznosząc oczy. Doskonale rozumieli, jak to wyglądało z jej punktu widzenia. Jimroy wie, że nawet teraz ci starzy znajomi dostają od czasu do czasu kartki z Sarasoty. Pocziwa, dobra Audrey daje o sobie znać.

A co on dostaje? Nic.

Wschodnie Linie Lotnicze nie były w stanie wytropić zgubionego bagażu Jimroya. Przepraszali. Dali mu kilka nowych formularzy do wypełnienia i prosili, żeby nie tracił nadziei. Istniały setki niewiarygodnych opowieści o tym, że bagaż znajdował się nagle w najdalszym i najdziwniejszym miejscu. Naturalnie dostanie czek na sumę odpowiadającą wartości obydwu walizek oraz tego, co zawierały. Czy Jimroy jest absolutnie pewny, że bagaż został zważony w porcie w Winnipeg? (Na to musiał odpowiedzieć „nie”, pamiętał bowiem, że pani Lynch zajmowała się bagażem). Czy po przylocie do San Francisco poszedł prosto na miejsce odbioru bagażu, czy też gdzieś się zatrzymywał, może w męskiej toalecie albo przy automacie z kawą? (Jimroy nie był tego pewny, nie po tak długim czasie). Powiedziano mu, że rzadko się zdarza, aby ktoś ukradł bagaż, ale gdy się nadarza okazja... cóż... oczywiście i o tym się mówi. Pani Myrtle, zajmującej się tą sprawą, było bardzo przykro z powodu zaginionych papierów, które - zdaje sobie sprawę - są niezwykle cenne, a także nie do zastąpienia, ale przy pewnej dozie szczęścia mogą jeszcze wypłynąć na powierzchnię. W ubiegłym roku pewnej pasażerke zginęła kosmetyczka z przyborami toaletowymi podczas lotu między Santa Barbara a Los Angeles, a w sześć miesięcy później, po niewytłumaczalnej podróży dokoła świata, wróciła z Hongkongu i została zwrócona właścicielce. Wszystko może się zdarzyć. Bagaż może się znaleźć w każdej chwili.

I dziesiątego listopada - ulewny deszcz nie pozwolił Jimroyowi pracować na dworze - rzeczywiście się znalazł, chociaż nikt nie był w stanie dokładnie wyjaśnić, jak to się właściwie stało. Pani Myrtle z linii lotniczych zadzwoniła do Jimroya, informując go rozkołysanym, pełnym triumfu kontraltem, iż jak się okazało, bagaż został odnaleziony. Czy

zechciałyby przyjechać na lotnisko, żeby go zidentyfikować?

W godzinę później był na lotnisku i badał zawartość walizek. Znajdowały się w nich ubrania, złożone garnitury i koszule, buty owinięte luźno w gazety tak, jak je owinał dwa miesiące temu. Zajrzał do kosmetyczki i zobaczył, że szczoteczka do zębów pokryła się zielonkawą pleśnią, ale poza tym nic innego nie budziło zastrzeżeń. Krawaty nadal były porządnie owinięte wokół czarnych nylonowych skarpetek. Znalazł maszynkę do golenia na baterię - prezent od Audrey, jeden z jej lepszych pomysłów - i kąpielówki w paski, które zapakował w ostatniej chwili. mSprawdził komplet ręczników i ściereczek do twarzy oraz wełnianą kamizelkę na chłodne dni. Sięgnął ręką pod kamizelkę, szukając papierów i fotografii Mary Swann. Palce natrafiły na szkło, a potem na twardą metalową ramkę.

- Jest wszystko - oznajmił pani Myrtle, tęgiej, czarnej kobiecie z dużymi kołyszącymi się kolczykami w uszach. - Fotografia także.

- Fotografia?

- Pewnej kobiety. - Jak jedwabiście to zabrzmiało: pewnej kobiety. - Która, niestety, już nie żyje.

Jej niebiesko-czarne czoło pokryło się zmarszczkami.

- Taak?

- Wspaniała kobieta. - Zupełnie ogłupiał z radości.

- Mogę zobaczyć?

Podniósł zdjęcie, żeby mogła się przyjrzeć.

- Miłość mojego życia - oświadczył zuchowato.

Zobaczył, że lekko odwraca oczy i łagodnie dmucha przez zęby.

- Dziwne - powiedziała; ten zwrot zranił Jimroya odcieniem wątpliwości.

- To niezwykle rzadka fotografia. - Usłyszał, że brzmi to słabo, jakby o coś prosił. - Jedyna istniejąca odbitka.

- Hej! - zawołała miękkiem, przydymionym głosem. Mógłby przysiąc, że się z niego śmieje. - A nie mówiłam panu, że znajdziemy pańskie klamoty, panie Jimroy?

Po powrocie do domu rozpakował walizki i ubrania starannie rozwiesił w szafie. Fotografię postawił na biurku, a potem siadł na łóżku; pomimo upału ręce miał lodowate. Przez zaciśnięte wargi torował sobie drogę jęk. Kobieta ze zdjęcia zmieniła się. Jej twarz była twarda, nierozsądna, zamknięta i wywoływała w nim rumieniec wstydu. „Jestem sto-sunkowo sławny” - mówił sobie, szukając pocieszenia. „Moje nazwisko

jest dobrze znane i nie mam powodu, żeby się wstydzić”.

Uczucie wstydu było zaskakująco dotkliwe, a fakt, że było niekłama-  
ne, sprawiał Jimroyowi perwersyjną przyjemność i wyposażał go w  
dziwny kapelutek autentyczności. Nie mógł jednak pozbyć się strachu  
przewiercającego się przez wstyd, bo przyszło mu na myśl, że fotografia  
się zmieniła, a Mary Swann niepojętym sposobem stała się jego wro-  
giem.

Taka myśl, irracjonalna i paranoiczna - a przynajmniej przyznawał  
się do paranoi - napelniła go lękiem. Zdenerwował się, wylał kawę na  
spodek i oblał sobie spodnie, chciał za wszelką cenę przestać o tym my-  
śleć. Próbował myśleć o Południowej Afryce, Nikaragui, Środkowym  
Wschodzie. Mały, pokrętny świat słów; z czymże on chce się równać?

A jednak strach nie opuszczał Jimroya. Po tygodniu postanowił  
odłożyć fotografię w bezpieczne miejsce, a potem pogrążył się w pracy,  
jak zawsze, gdy życie źle mu się układało.

W ciągu ostatnich dwóch lat Jimroy przeprowadził obszerne wywia-  
dy z kolejnymi osobami.

Willard Lang, profesor i krytyk (Toronto). Jimroy nie cierpi Langa,  
którego pogląd na *art naïf* jest poglądem ignoranta i który jak dotąd  
odmawia opublikowania czterech wierszy, wierszy miłosnych, jakie  
podobno odnalazł pod linoleum w kuchni Mary Swann. Głupi facet.  
Człowiek, którego fale myślowe płyną w niezamierzonych kierunkach. I  
próżny. Chciałby, żeby go uważano za bystrego. Ale nigdy bystry nie  
będzie Frederic Cruzzi, emerytowany redaktor „Sztandaru Kingston”  
(małomiasteczkowej gazety) i wydawca Peregrine Press. Napuszony  
staruszek, który lubi dźwięk własnego głosu. Źródło wiedzy etc.

George Hanna, siostrzeniec Elisabeth Hanna, sąsiadki Mary Swann  
(Nadeau). Kretyn.

William i Alma Lardnerowie, sąsiedzi Mary Swann (Nadeau).

Nieodpowiedzialni. A może niespełna rozumu.

Rose Helen Hindmarch, bibliotekarka (Nadeau). Placziwa kobieta,  
miała łzy w oczach przy pożegnaniu. Pomocna, oczywiście, bardziej  
pomocna niż ktokolwiek inny, ale trzy dni tego rżącego głosu - to za  
wiele. Nieladna. Koniecznie chce przekazać mu swoje wątle przemyśle-  
nia i księżycowe wspomnienia. Małe usta głośno łykające powietrze.  
Chciwa. Nie, to za ostro. Potrzebująca. To straszne dla kobiety: być w  
potrzebie.

Wielebny W.A. Poison, emeryt (Nadeau). Nic z tego nie wyszło.

Homer Hart, kierownik szkoły, emeryt (Nadeau). Splątany.

Nie można na nim polegać.

Grace Saltman, emerytowana nauczycielka (Belleville, teraz Victoria, Brytyjska Kolumbia). Nos jak kartofel.

Ryszard Eckhardt, urzędnik miejski (Belleville). Pamięć niesforna.

Susan Hansen Kurtz, siostrzenica Mary Swann (Belleville).

Chyba opóźniona w rozwoju. Albo zgrzybiała.

Rupert „Torchy” Torchiński, piekarz, na emeryturze (Belleville).  
Beznadziejny.

Frances Swann Moore, córka poetki (Palo Heights, Kalifornia).

Do tych wywiadów, cierpliwie przepisanych niczym sztuki teatralne przez wierną panią Lynch, trzeba dodać długie dni, względnie pożytecznie spędzone na zbieraniu materiałów dotyczących przeszłości poetki, w miejskim archiwum w Toronto. Jimroy spędził także kilka skrajnie samotnych i straconych dni w Narodowym Archiwum w Ottawie, gdzie nie zebrał nic oprócz straszego bólu i infekcji cienkiego jelita. W końcu zarzucił badania nad przeszłością - wyglądało na to, że nie ma ona nic wspólnego z Mary Swann. Problem był nie w tym, żeby pogodzić Mary z przeszłością, ale żeby ją od niej oddzielić, jak to zrobiła jej poezja.

Nie chce myśleć o notatniku Mary Swann, będącym w posiadaniu ukochanej Sary. Nie żeby pokładał w nim jakieś nadzieje. Widywał już dzienniki i wie, jak mało rzucają światła, a jednak może istnieje tam jakiś ukryty szczegół, który coś oświetli... Ale po co o tym teraz myśleć? Czuje, jak zmniejsza się kłujący ból zastarzałego wrzodu.

Kilka razy czytał jedyny tomik Mary Swann „Łabędzie pieśni”, wydany przez Peregrine Press w 1966. (Idiotyczny tytuł).

Zna te utwory tak dobrze, że mógłby, gdyby go o to poproszono, recytować je z pamięci. Niektóre wersy samorzutnie stają mu przed oczami, kiedy rano się goli albo gdy wędruje żwirowanym skrajem szosy do wspianiałego domu Frances Moore.

Zielone światło z błękitu spada  
Czeka jak zima w słoju ze szkła  
Zgnięłej pogody kłamstwo opowiada  
Lub historie zniszczeń i strat.

Któregoś popołudnia Jimroy półgłosem zacytował ten czterowiersz Frances Moore, która spojrzała na niego obojętnie i szybko podniosła do ust filiżankę z herbatą.

Faktem jest, że wiersze i życie Mary Swann nie dają się pogodzić. Pewnego ranka, pracując w ogrodzie, Jimroy rozkłada swoje odręczne notatki w grudniowym słońcu i wpada w rozpacz. Niebo jest dzisiaj obrzeżone u góry smugami rozrzedzonego błękitu. „Nie jestem takim głupcem - mówi sam do siebie Jimroy - żeby wierzyć, iż integralność ducha poetów, artystów, muzyków jest większa niż innych ludzi”. Nie, oczywiście nigdy nie posunął się do takiego nonsensu. Jakim, na przykład, absurdem jest w krytyce termin „jedność wizji” - jak gdyby ktoś na tym świecie miał lub chciałby mieć coś takiego.

A jednak - przesuwa papiery, które tego chłodnego i wietrznego ranka przycisnęła kamykami wykopanymi z obramowania kwiatowej części ogrodu - w jaki sposób ma połączyć szarzyzną biografii Mary Swann ze świetnym osiągnięciem „Łabędzich pieśni”? Wielokrotnie wracał do chronologicznych wydarzeń z jej życia. Sporządził nawet szczegółowy wykres z nadzieją, że kreślone atramentem ramki, strzałki i kropkowane linie pozwolą mu wejrzeć głębiej w ten fenomen, odsłonią ważny moment, w którym ta kobieta utorowała sobie drogę do życia. Naturalnie Jimroy nie wierzy naprawdę w oddziaływanie dzieciństwa, choć wie, że to dość śmiało odwrócenie powszechnej teorii w biografii. Freudyści! Ale jak można sprecyzować wartość dzieciństwa? - zadaje sobie pytanie. To zagadka, której nie warto rozwiązywać; czas pierwotny poprzedzający naukę czytania i pisanie, nudny okres, w którym władzę sprawują nudni rodzice. Pomimo to raz jeszcze przelatuje wzrokiem kartki z danymi biograficznymi.

Narodziny Mary Moffat Swann: w domu, w pobliżu Belleville, na stuakrowej farmie. Pochodzenie nienadzwyczajne. (O ile wie - tak było. Geniusz nie ma żadnych zobowiązań wobec rodziców; wystarczy, żeby spojrzał na własny smutny układ: nie tyle zdławił pamięć o rodzicach, ile po prostu o nich nie myśli, a w dodatku nie ma ekscentrycznych ciotek ani zabawnych wujków. Prawdziwa Sahara). Dzieciństwo: ograniczone, biedne, bez żadnych wydarzeń; w każdym razie nie zanotowano nic, co by temu przeczyło. Wykształcenie - minimalne; skromna, mieszcząca się w jednej izbie szkoła. Ocalało jedno świadectwo wskazujące na to, że Mary Moffat nie wyróżniała się nawet w tym ograniczonym

środowisku. Praca: przez rok sprzedawała chleb w piekarni „Złoty Snop” w Belleville, zlikwidowanej w 1943 roku. Małżeństwo: z farmerem, Angusem Swannem, podczas popołudniowego nabożeństwa w sobotę w Zjednoczonym Kościele w Belleville; brak istniejących fotografii. Ale jeden ze świadków (tępa siostrzenica) przypomina sobie, że panna młoda ubrana była w niebieską suknię z gabardyny, zapinaną z tyłu na guziki. (Jak ona poznała tego farmera? Nikt nie wie, tylko notatnik może to ujawnić, jeśli Sara zdecyduje się go udostępnić). Późniejsze życie: Przeniósła się na nie przynoszącą dochodu farmę w pobliżu Nadeau, w stanie Ontario; urodziła jedno dziecko, Frances. Nigdy nie zapuszczała się dalej niż do Kingston, a i tam tylko z rzadka. Zmarła gwałtowną śmiercią w wieku pięćdziesięciu lat. Cynik mógłby nazwać jej śmierć jedynym dramatycznym epizodem w życiu, które było jednym długim poddaniem się surowym porom roku. Pochowana pod Nadeau na protestanckim cmentarzu.

Nawet z materiałem omawiającym pochodzenie Mary Swann i komentarzem krytycznym będzie to cienka książka. Porażka. Jimroy myśli teraz raczej o czymś w rodzaju długiego artykułu. Pewnego wyjątkowo chłodnego dnia zdesperowany przetrząsa wszystko w poszukiwaniu fotografii Mary Swann, w nadziei, że dozna wstrząsu, który pozwoli na głębsze wejrzenie, jakiego potrzebuje. Zagląda najpierw na półkę w szafie, potem do szuflad biurka, wreszcie, już z pewną wściekłością, do szafki z bielizną pościelową pod stopy prześcieradeł i koców Flannerów. Pamięta, że położył fotografię w bezpieczne miejsce, szczególnie miejsce, gdzie było mało prawdopodobne, żeby się natknął na oczy Mary - przebiegłe, odmawiające mu jakichkolwiek wyjaśnień. Ale gdzie? Gdzieś przecież musi być. To nieduży dom, o gładkich powierzchniach i bez sekretów. Gdzie? Spędza całe popołudnie na szukaniu, tracąc cenny czas, i jest zupełnie wykończony.

Zarzuca sobie zgrzybiałość. Oskarża się o butną pychę, o pogrzebanie ziarnistej podobizny Mary Swann, o to, że usunął ją z zasięgu wzroku i gdzieś zamknął - miniaturowy akt morderstwa.

A teraz, kiedy jest mu znowu potrzebna, uparła się, żeby go ukarać. Jest przebiegła, podstępna. Kobiety, kobiety! Wiecznie się wymykają i zdecydowane są zwyciężyć.

Przyznaje: Mary Swann pokonała go, przynajmniej w tej chwili.

Ostatecznie Jimroy stwierdza, że to sezonowe prace, ich ogrom i skrajność, wykreślają osobistą biografię Mary Swann. Każdy rok życia odnawia i zaostrza jej anonimowość, bo chociaż skrupulatnie przeprowadza wywiady, ponaglanie i sondowanie nie przynosi nic, co byłoby specyficzne dla Mary Swann. Wspomnienia tych, którzy ją znali, z wyjątkiem Rose Hindmarch - dziękować Bogu za tę płaczącą, odpychającą Rose! - są irytująco ogólnikowe i trzymają się stale corocznego cyklu, owych sezonów. „Na wiosnę Mary Swann zawsze...” albo „Zwykle w okresie późnej jesieni zajęciem mamy było...” lub też „latem był ogród do skopania i chwasty, a potem robienie przetworów...” Potęgą tych powracających pór roku przygniata Mary Swann i udaremnia delikatne próby ucieczki zapoznanej żony farmera, a to, co zostaje, jest świadectwem harówki i monotonii. I rozdzierający serce brak jakiegokolwiek uroczystości; „Życie przeżyte tak, aby uniknąć biografii”, jak to się mówi.

Oczywiście, można się domyślać pewnych rzeczy, na przykład wpływów. Jimroy jest niemal pewny, że zetknęła się z poezją Emily Dickinson, wbrew temu, co mówi Frances Moore. Jimroy ma zamiar nadmienić o tym, a właściwie nawet obszernie skomentować wpływ Emily Dickinson, ale nie widzi powodu, żeby podejmować temat wpływu Edny Ferber; to zbyt śmieszne.

Niekiedy boleje nad notesem, który, jak sobie wyobraża, Mary mogła wypełniać w dobre dni wzniosłymi przemyśleniami. Jest zmęczony udawaniem, że jego cząstkowa wizja niesie z sobą wyższą, opartą na intuicji prawdę. I boli go również myśl, że zgubione wiersze miłosne znalazły się w rękach skończonego zera, tego głupca Willarda Langa, który robi na nim wrażenie człowieka chorego na przerost ambicji. Cały metr brzoskwiń, może zresztą pół metra (nie pamięta dokładnie, ale tak czy inaczej pogardza przekupstwem), w każdym razie właśnie brzoskwinie jako łapówkę dał Lang agentowi od nieruchomości w zamian za niezwykle istotną dokumentację, która prawnie należy do biografą. Do niego.

Jednak bardziej niż do notatnika czy wierszy miłosnych Jimroy wzdycha do tego, by ktoś powiedział mu o jednym zasadniczym wydarzeniu, stanowiącym centralne katharsis w życiu Mary Swann. Przecież musi takie istnieć. Tego właśnie domaga się dobra biografia, tego żąda ludzkie życie. Ale teraz, w grudniu, zaczął tracić dawną wiarę, że można przywrócić przeszłość. Dużo dałby za jeden, chociażby najzwyklejszy cytat pochodzący wprost od Mary Swann, lecz nawet Rose Hindmarch,

jedyne prawdziwa przyjaciółka, jaką miała Mary, wstrzymuje się od przytaczania słów Mary, a rodzona córka Mary, Frances, nie może sobie dokładnie przypomnieć niczego, co jej matka mówiła.

- Och, ciągle zrzędziła, że mam zablocone buty albo żebym odrabiała lekcje, ale wie pan, mama nigdy nie lubiła dużo mówić.

Jimroy przeklina milczenie Mary Swann i w końcu przyznaje, że się na niej zawiódł. Część tego rozczarowania przenosi na córkę, Frances. Przecież przyjechał do Kalifornii w nadziei, że z ich rozmów wyłoni się nagle jakaś podświadoma rewelacja, coś, co będzie kluczem do zagadki talentu Mary Swann. I tu także doznał zawodu, musi to sobie powiedzieć. Rewelacje Frances, choć tak przekonująco marszczy brwi i przygryza dolną wargę, próbując się skoncentrować, są dalekie od prawdziwych rewelacji. Jej pamięć jest zamglona, brak w niej szczegółów, i Jimroy nie może się zdecydować, czy ta chęć, żeby się nie odsłaniać, jest defektem jej osobowości, czy odzwierciedloną w córce jeszcze większą nieprzezroczystością, jaką było życie Mary Swann. Frances nie chce rozmawiać o śmierci matki, a Jimroy wie, że nie można będzie wejść w jej życie bez zrozumienia ostatniej chwili. Potrzebna mu jest siateczka szczegółów, a tej mu się systematycznie odmawia. Jeden przelotny błysk, a wiersze otworzą się i rozjaśnią.

Z drugiej strony żywi dla Frances przewrotny podziw, zwłaszcza zaś dla dystansu, jaki potrafiła wytworzyć między przykrym, ograniczonym krajobrazem dzieciństwa a promiennym, prześwietlnym słońcem kalifornijskim salonem. Ma łatwość stwarzania dystansu. Utrzymuje też dystans wobec Jimroya, po tylu miesiącach jest wciąż chłodna, wciąż uprzejma, nigdy ani przez moment nie udając, że to przyjaźń, zamknięta w tak patrycjuszowski sposób, jakiego Audrey nigdy nie mogłaby się nauczyć. Ręka, którą mu podaje, mimo iż dziwnie intymnie sucha, jest tak subtelnie zgięta w przegubie, jakby to było królewskie powitanie.

A potem pewnego popołudnia, na tydzień przed Bożym Narodzeniem, usadowiona na kanapie w tańczącym świetle, po raz pierwszy nieoczekiwanie zmniejszyła dystans, mówiąc:

- Wie pan, panie profesorze, trochę jestem zdziwiona, że obrał pan za przedmiot swoich badań kobietę.

- A to dlaczego? - spytał. - Żyjemy w wieku kobiet.

- Hm, to tylko... - Przerwała, wykonując niezgrabny ruch ręką.



- Tylko co? utkwiał wzrok w jej oczach, czekając na odpowiedź i przygotowując się na cios.

- Cóż, tylko to, że wygląda pan na mężczyznę, który nie jest, hm...

- Tak? - wstrzymał oddech.

- Hm, na mężczyznę, który nie lubi... zbytnio przepada za kobietami.

Wzrok Jimroya umknął ku zwiniętym paluszkom figurki z terakoty na stoliku. Przez chwilę ani on, ani Frances Moore nic nie mówili, wreszcie milczenie stało się tak ciężkie, że miał wrażenie, iż zamienia się w wodę. Wyraźnie czuł, że tonie. Jego nos, gardło i płuca napępniały się wodą. Bał się otworzyć usta ze strachu, że ją wypluje.

- Myśle... - zaczął.

- Przepraszam. Głupio mi się wyrwało - powiedziała szybko Frances Moore. - Czasem chlapnę jakąś bzdurę, to okropny zwyczaj.

- Jeśli sprawiłem takie wrażenie. - Czuł, że po omacku próbuje chwycić równowagę. - Jeśli powiedziałem coś, co nasunęło pani tę myśl, że...

- Nie, oczywiście, że nie. Nic takiego pan nie powiedział. Ani nie zrobił. Nic w ogóle. Byłam po prostu... no cóż, zbyt frywolna. Proszę mi wybaczyć.

- Nie muszę pani nic wybaczać. Tylko że... - i ku własnemu przerażeniu wydał z siebie coś w rodzaju płaczącego śmiechu.

- Może trochę podgrzeję herbatę, panie profesorze? Zupełnie wystygła.

- Ja...

- Na pewno jeszcze by się pan napił. I ja bym się napiła. Dogotowanie trochę wody potrwa nie dłużej niż pół minuty.

- Hm, tak... - Zakasłał obrzydliwie. Miał wrażenie, że coś wpadło mu do gardła i utkwili tam: pestka z awokado, oleista i gęsta. Poczul oburzenie, ale oburzenie na kogo? Na tę pełną wdzięku, gładkowsą mężatkę, która wstaje i podnosi ze stołu ładny dzbanek do herbaty? Czy na siebie, na swoje straszne, tonące w grzęzawisku serce, na drżące ręce?

Wróciła po kilku minutach, trzymając w jednej ręce dzbanek, a w drugiej niewielkie wąskie pudełko od jubilera, pokryte granatowym aksamitem.

- Pomyślałam, że chciałby pan to zobaczyć - rzekła. - Otworzyła pudełko. - Mamy parker 51.

Jimroy wydał stosowny dźwięk i zapytał, czy może obejrzeć.

- Przesłano mi pióro, kiedy umarła. Nie wiem dlaczego, ale agent zajmujący się domem pomyślał, że zechcę je mieć. W każdym razie, kiedy mama dostała pióro, to było wydarzenie, ponieważ w naszej części kraju posiadanie takiego pióra nie było rzeczą zwykłą. Dostała je w podarunku na urodziny, chyba wkrótce po wojnie. W tamtych czasach, jak pan pewnie wie, spodziewano się, że wieczne pióra będą trwały wiecznie. A mama zawsze trzymała je w tym pudełku, kiedy go nie używała.

- Ono było od...? - W porę się pohamował. Bezwstydna, jedwabista chciwość biografą.

- Pisała wiersze ołówkiem, a potem przepisywała je atramentem. Później brudnopisy paliła w piecu.

- Co za strata! - Jimroy słyszał już historię o spalonych wierszach, ale nie mógł się powstrzymać od mruknięcia: - Byłyby dzisiaj ogromnie interesujące dla uczonych...

- No, tak, ale...

- Pierwsze wersje są dzisiaj niezwykle cenne, prawie...

- Tak, no cóż...

Nalegał dalej nieustępliwie:

- To byłoby cudowne, gdyby choć jeden czy dwa ocalały.

- Ale nie ocalały - powiedziała stanowczo, zamykając sprawę. - Chyba herbata już naciągnęła. Można panu nalać?

- Proszę.

- Przyniosę czystą filiżankę.

- Proszę sobie nie robić kłopotu.

- To żaden kłopot - zaprzeczyła i przeprosiła go na chwilę.

To, co zrobił teraz, po prostu się stało. Stwierdził, że trzyma rękę na pudełku. Podniósł wieczko, dziwiąc się przy tym, jak mocna jest sprężynka. Żeby po tylu latach tak sztywno odszkakiwało! Na jedwabnej wyściółce błysnęło ciemnoniebieskie pióro z pięknym marmurkowym wykończeniem. Po chwili miał je w rękę, a potem w wewnętrznej kieszeni nowej sportowej kurtki. Zamknął pudełko i położył je na stole między misą z ciętymi kwiatami a stertą czasopism.

Żłodzięj. Rabuś. Wiedział, że naraża się na zawstydzające ryzyko. Frances Moore od razu go będzie podejrzewać. Nawet jeśli minie kilka tygodni, zanim otworzy pudełko, będzie pamiętała, że był ostatnią osobą, która je widziała.

Ale nigdy nie uwierzy, że byłby zdolny do zwykłej kradzieży, nie Morton Jimroy, biograf. Dostojny Gość. W swojej gościnności ofiarowała mu wiele godzin, żeby dzielić się z nim wspomnieniami. Ufała mu, dlaczego miała nie ufać? Człowiekowi z jego reputacją. Z pewnością nigdy

nie nadużyłby takiego zaufania!

Będzie szukać pióra pod haftowanymi poduszkami na kanapie, przesuwając dłonią po zdobnym we wzory dywanie. Będzie zadawała sobie pytanie, czy na stole nie leżała gazeta, czy nie położyła na niej pióra, a później, porządkując pokój, czy nie wyrzuciła go z gazetą? W końcu może zdecyduje, że tak właśnie było, że to jedyne wytłumaczenie.

Będzie siebie winić za nieostrożność, będzie sobie wymyślać - na tę myśl Jimroy lekko zadrżał z perwersyjnej przyjemności. Przypomni sobie, że była wzburzona. Teraz Jimroy był wdzięczny za żenującą scenę. A jednak może zdecyduje się zapytać go wprost. Musi być na to przygotowany. Czy pamięta popołudnie, kiedy pokazywała mu parkera 51 ? Tak? Może sobie przypomina, czy włożyła pióro z powrotem do pudełka? „Chyba mi zginęło” - powie ze smutkiem, a on wykrzyknie: „Jaka szkoda!” Czy zajrzała pod kanapę, pod dywan? Może kiedy sprzątała ze stołu...

Rozluźnił się, opierając wygodnie o poduszki, i czekał na herbatę. Ciężko westchnął, prawie gwizdnął przez wargi, sięgnął ręką do wewnętrznej strony kurtki i dotknął pióra. Pióra Mary Swann. Pióra, które napisało:

Lód to ostatni złodziej  
Po kuzynie nieszczęściu przychodzi.

Prawdopodobnie nie zobaczy już Frances Moore. Stwierdziła, że nic więcej nie ma, o czym mogłaby mu opowiedzieć, będzie też bardzo zajęta w najbliższych dniach przygotowaniami do Bożego Narodzenia: syn przyjeżdża z Princeton, a mąż skończył wykłady i wraca z długiej podróży. A on, Jimroy, wkrótce poleci do Toronto na sympozjum poświęcone Mary Swann.

Przy drzwiach uroczyście uścisnęli sobie ręce. Cieniowane lustro na ścianie foyer odbiło refleks serdeczności.

- Wesółych świąt, panie profesorze - powiedziała Frances, znowu opanowana, wyciągając mocną rękę, pokrytą delikatnymi żyłkami.

- Wesółych świąt - odwzajemnił się, znowu w swojej skórze, przesadnie uprzejmej, i pośpieszył podjazdem obsadzonym kwiatami, niemal biegnąc. W wyobraźni widział, jak wiatr rozwiewa mu włosy na głowie, ukazując różowe miejsca, miękką czaszkę niemowlęcia. W powietrzu czuło się zapach eukaliptusów. Zielono, zielono, wszędzie, gdzie spoglądał, było zielono. Pędząc znaną trasą, wykonał dziwny, drobny podskok w powietrzu.

Niezwykle miło ze strony Iana i jego żony, Elizabeth, że włączyli go po sąsiedzku do swoich uroczystości wigilijnych. Zaproszenie przyszło, co prawda, w ostatniej chwili, ale nie wyprasowane spodnie świadczyły, miał nadzieję, wiarygodnie o jego bezinteresowności, o towarzyskiej swobodzie. „Ogromnie się cieszymy, że jest pan z nami” - powiedziała Elizabeth i złożyła świąteczny pocałunek na policzku Jimroya. Czy zechciałby pomóc zmiksować poncz? Czy może ją wyręczyć, wziąć tacę z serami i podawać gościom? Prawda, że drzewko wygląda jak marzenie? Przybysze z innych części kraju zawsze się dziwią, że mieszkańcy Kalifornii mają choinki, prawda? Oczywiście kosztują majątek. Czy zna pan już Gordenów, a Kapletterów? Tak, to prawdziwy ostrokrzew, nie żadna imitacja. Czy na pewno nie ma ochoty na nic więcej, może zjadłby jeszcze drugą porcję? Ale z pewnością jeszcze kieliszek wina, specjalne wino Iana, zawsze wyciąga je na Boże Narodzenie; kojąco łagodne. Wiadomości z Afryki wstrząsnęły nią. Świat przemocy. Wydaje się, że tak niedawno, niemal wczoraj, ona i Ian zapalali bożonarodzeniową świeczkę w intencji Polski, chociaż oboje uważali to tylko za gest podobny do gestu Reagana, teatralny i pusty; ale w końcu dłaczego nie? Boże Narodzenie jest czasem pamięci o innych, mniej szczęśliwych, czasem pokoju. Nikt nie powinien być samotny w wigilię Bożego Narodzenia, zgodzi się pan ze mną, prawda? O, tak, oczywiście, że się zgadza; zdecydowanie. (Odrobina ironii, lecz nie za głębokiej). Tak, tak - głosem pantoflarza, płynącym jak syrop kukurydziany.

A potem wrócił do domu. Była północ, podgrzewał sobie mleko w nadziei, że będzie mógł zasnąć. Jak bardzo ciążyła cisza w małym domu, jak przenikliwie zimny był ten spokój! Starą wełnianą kamizelkę włożył na piżamę (błogosławiąc panią Lynch) i w sypialni przypadkiem zobaczył się w lustrze. Przeraził się; tej nocy wyglądał jak starzec. Oczy zaczerwienione, twarz blada, chudy jak robak, był podobny do zreumatyzowanego starego eleganta z własnych koszmarów sennych, wargi obwisłe, tania piżama pognieciona przy kołnierzyku i niezbyt czysta Przypominał sobie, że ma dopiero pięćdziesiąt jeden lat. Właściwie prawie pięćdziesiąt dwa. Znow spozjrzał w lustro. To chyba jakaś sztuczka godziny duchów, a może pory roku. „Stary - powiedział głośno. - Stary, stary”. Za ramy lustra powtykał otrzymane kartki z życzeniami wesołych świąt - w sumie sześć. Jedna od księżycowej Rose Hindmarch o twarzy

jak biały ser, wysłana z Nadeau, ze stanu Ontario. Ośnieżone wzgórza, stodoły, chłopiec ciągnący sanki.

Stary, stary. Wypił za dużo wina Iana i Elizabeth. Ba, ale dlaczego by nie, w końcu jest Boże Narodzenie - jak co najmniej trzy razy zauważyła Elizabeth swoim trochę nudnym głosem hostessy. (No i masz, znowu wypłynęło jego kostyczne „ja”, owa zgorzkniała złośliwość podnosząca łeb nawet takiej nocy. Tak, ale to regulowana złośliwość, praktykował powściągliwość, czasem się powstrzymywał, świadomy, nawet jeśli nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, złoża nieufirmowanej dobroci na dnie własnej istoty. A poezja, niech będą dzięki bogom poezji, bez poezji jakimże byłby potworem?).

Powoli ciepłe mleko spływało przez gardło. Ach, już lepiej, znacznie lepiej. Co to takiego powiedział dr Johnson o potędze ciepłych napojów? - coś w tym rodzaju. Czuł przyływ sił pokrewny szczodrobliwości. We- sołych świąt! - pogodnych świąt! - radosnych wieści! Czas, w którym nikt nie powinien być sam. Już trzymał dłoń na telefonie, gotów nakre- cić magiczne cyfry łączące z Sarasotą z ruchomym domem Audrey (*quel euphémisme!*). To zdumiewające, że zna jej numer na pamięć. Gdzieś w zakątku mózgu złożył sobie gratulacje. Nieźle, Jimroy, w twoim wieku. Możesz zgubić cenny bagaż i zapomnieć jakiegoś nazwiska, ale istotne soki wciąż płyną.

Telefon Audrey dzwonił i dzwonił. Sprawdził, która godzina, i obli- czył różnicę czasu. Pewnie tak mocno śpi, że nie słyszy telefonu, chociaż pamiętał, że sypia lekko. Nawet gdy wyłączał się elektryczny koc, tyk- nięcie budziło ją. Audrey, Audrey, Audrey, kochana Audrey. Gdyby był bardziej cierpliwy, gdyby jego natura skłaniała się ku... ku czemu?... zamiast stale pomniejszać, oskarżać, wygłaszać mowy, pełne grzmiących słów o niezgodności charakterów. Gdyby poczekał, był lepszy, Audrey mogłaby dziś być tutaj.

Ponownie nakreślił numer; i znowu telefon dzwonił, i dzwonił. Czuł, że dawny gniew powraca, niech ją lichy porwie! - ale zaraz pojawiła się myśl o puszystej koronie jej włosów, o dużych, łagodnych dłoniach. Teraz już nigdy nie zaśnie. Nie będzie spał całą noc, dygocąc, gapiąc się w lustro i nasłuchując własnego oddechu.

Wtem, nie wiadomo dlaczego, przypomniał sobie Sarę Maloney, któ- ra śpi w Chicago. Mógłby zapytać o jej numer zamiejscowej telefonistki. Dlaczegoż by nie? Nagle najważniejszą rzeczą na świecie było dowie- dzieć się, jak brzmi głos Sary Maloney. Kochał ją, kochał. Miał wszelkie

prawa, żeby usłyszeć jej głos. Był kochankiem, mężczyzną, który kończy pięćdziesiąt jeden lat i jest trochę zalany, z lekko pijanym sercem, zredukowanym bez własnej winy do drżącej walentynki. Droga, kochana Sara.

Nie, to byłoby nikczemne dzwonić, zwłaszcza o tej porze. Gorzej: to perwersja. Podszedł znowu do lustra, przyjrzał się sobie badawczo i bez litości powiedział: „Nie, o tym nie można mówić”. Z ciekawością stwierdził, że wróciły mu na twarz kolory. Uczucie niesmaku odświeża ducha, fakt, który zawsze ożywczo wpływa na Jimroya w chwilach deprymującego niepokoju. A drżenie ręki - oznacza lubieżność czy tylko nerwowość? Nerwy - stwierdził, i znowu sobie pogratulował. Jak bardzo kłopotliwe i jak nieodzowne jest ciało!

Przy pierwszej próbie linia do Chicago była zajęta. Naturalnie, przecież to święta; naturalnie, linia będzie zajęta tej nocy, najważniejszej ze wszystkich nocy. Rodziny i przyjaciele dzwonią do siebie ze wszystkich stron kraju: kochankowie, mężowie, żony, dzieci, nawet najbardziej samowolni próbują się połączyć, szukając miłości. Mógł ich niemal zobaczyć, całe miliony ludzi o twarzach skupionych i pełnych nadziei, stojących w nie oświetlonych korytarzach, nakręcających numery w ciemności. Jaka cudowna więź łączy ludzkie istoty! To prawdziwy akt wiary, wiary wyższej niż rozsądek. Niż cielesna materia.

Nakręcił drugi raz i dostał połączenie. Po trzecim sygnale usłyszał, że ktoś podnosi słuchawkę. Głos kobiecy - jakby pochodził z sąsiedniego pokoju - mówił: „Halo? Halo? Proszę, kto mówi? Halo!”

To wystarczy. Uszczęśliwiony, spokojnie odłożył słuchawkę.

Nie do wypowiedzenia. Nie do wybaczenia.

A jednak w świetle nowego poranka wydało się Jimroyowi zupełnie nieszkodliwe. Właściwie jaką szkodę wyrządził i kogo skrzywdził? Nigdy nie pojmował zasad kazuistyki, jej bolesnych trudów i głupich konkluzji.

Oto siedzi za domem Flannerów w ogrodzie i czuje się rześki i zdrowy. Wstał wcześniej, malutki akt pokuty, potem zjadł miseczkę owsianki i wypił kubek gorącej kawy, a teraz w jednym ze swetrów przywiezionych z Winnipeg, zapiętym po samą brodę, w ciepłych skarpetkach i w sandałach, pracuje nad swoją książką w ciszy ogrodu. Poranek Bożego Narodzenia. „Ujrzałem trzy statki”... Oddycha głęboko, wznosi poważną modlitwę ku błękitnemu niebu. Zadziwiająca ta niebieskość. Kwiaty i

zielska wokół niego mają nowe przyrosty, przez co zrobiły się pospolite, drzewa wyglądają jak świeża sałata - jak absurdalne, jak rozkoszne jest to, że wszystko ciągle rośnie nawet w grudniu!

Przegląda notatki dotyczące środkowego okresu życia Mary Swann (1940-1955), uzupełnia je, dopisuje świeżo zaostrzonym ołówkiem. „Jest bardzo prawdopodobne, że Swann czytała w tym okresie Jane Austen, ponieważ”...

Słońce stopniowo przesuwa się coraz wyżej i grzeje go w plecy. Około południa może już rozpiąć sweter i złożyć na oparciu krzeselka.

Słyszy mocne pukanie i patrzy w górę. To sąsiadka, Elizabeth Lee, macha do niego z okna pierwszego piętra. Chwilę potem zjawia się za nią Ian, skacowane cielsko, i oboje machają ręką. Jimroyowi wydaje się, że coś do niego mówią. Wesołych świąt? Tak.

Dobrze wie, co sobie myślą. Tam siedzi Jimroy. Sam. Pracuje, chociaż jest Boże Narodzenie. Naprawdę pracuje! Smutne, godne współczucia. Żeby życie do tego doprowadzało! Za chwilę będą się całowali; dłoń Iana już dotyka piersi Elizabeth albo z daleka tak to wygląda. Mają siebie nawzajem, swoje erotyczne uniesienia, a biedny Jimroy nie kocha nikogo i musi obejść się bez pociechy świątecznego seksu i rodzinnej atmosfery - biedny, smutny Jimroy.

Ach, jakże się mylą! Bardzo chciałby im opowiedzieć o swoim szczęściu. Ale krępują go warunki tego szczęścia: nie potrafiłyby nigdy ich opisać. A nawet gdyby potrafił, oni by mu nigdy nie uwierzyli, pomyśleliby tylko: Jimroy to dzielny facet, jeden z tych twardych kanadyjskich stoików. To właśnie jest szczęście - chce im powiedzieć - nabazgrane notatki, skromne, zawile przypisy, które, przy odrobinie pracy, za parę tygodni rozwiną się w ponumerowane poematy logiki, porządku i wyjaśnienia. Chaotyczne fragmenty, jakie teraz pisze, z trudem zmierzają ku epickiej całości, jaką jest ludzkie życie: złoto wprawione w złoto. To prawda, że całość nigdy nie będzie doskonała. Są w niej luki, jak w każdym życiu, przypadkowe milczenia i błędne interpretacje, szalone spirale pomysłowości, ale także uwodząca przypadkowość, która ukazuje prawdę. I, rzecz jasna, także tajemnica. Nieprzenikniona, niewysłowiona tajemnica.

Jimroy wierzy lub zaczyna wierzyć, że tajemnice, które istnieją między zdarzeniami, wynagradzają długą drogę pomiędzy narodzinami a śmiercią, wyrównują wcześniejszy niedostatek i dodają wartości nudnej jednostajności ciągnących się dni i nocy. To, co niewytłumaczalne,

zawsze wskazuje na autentyczność. Myśli z wdzięcznością o nieznanym w szkockiej spódniczce z przywieszonym - co to było? - *sporran*: siedział obok niego i szukał przyjaźni. Myśli teraz ciepło o tym, że linie lotnicze zwróciły mu bagaż. O zaginionej fotografii, na którą na pewno natknie się jutro albo pojutrze. O pachnących różach Zachodniego Wybrzeża, wypuszczających pąki, kwitnących, ginących i zmieniających się bez skargi. O uzdrawiającym zaskoczeniu i cielesności głosu Sary Maloney. O drobnym, prawdziwym fakcie, że ma wieczne pióro Mary Swann, niezwyklej poetki, która niegdyś trzymała je w śmiertelnej ręce, o piórze spoczywającym teraz wyjątkowo pod bawełnianymi skarpetkami w szufladzie biurka w stanie Kalifornia. Zadziwiające, zadziwiające; przenika go radość.

Państwo Lee, sąsiedzi, wspaniali ludzie, wielkoduszni przyjaciele, machają do niego ponad wierzchołkami różanych krzewów i wysokiego zielska, a on chciałby wykrzyknąć do nich, że jest w objęciach szczęśliwości. Dowodzi tego grafit, który szybko ściera się w ołówku poruszającym jego dłonią.

Nie uwierzyliby; nie oni, tak uparcie zadowoleni z siebie. Niemożliwe. Niemniej unosi ramię, pozdrawiając ich i wykrzykując radosnym, załamującym się tenorem: *wesołych świąt!* Uśmiecha się przy tym szeroko, by pokazać, że jego życie może jest niemądre, wykołejone, dziwaczne i zboczone w pragnieniach, ale jest wszystkim, co posiada, i niczego więcej prawdopodobnie nie otrzyma.



# Rose Hindmarch

## *Co Rose Hindmarch ma na głowie*

Rose Helen Hindmarch niejedno ma na głowie.

Często się słyszy, jak mówi: „Mam tyle na głowie dla własnego dobra”.

Jeśli na przykład chcesz sprawdzić szczegółowe plany kawałka gruntów rolnych w okręgu Nadeau albo się dowiedzieć, kiedy trzeba zapłacić następną ratę podatku, wystarczy pójść któregoś zwykłego dnia między dziesiątą a dwunastą przed południem do okręgowego urzędu w dawnej szkole na parterze, a Rose Hindmarch, urzędniczka miejska, z chęcią przerwie pisanie na maszynie, księgowanie czy cokolwiek innego, żeby ci służyć pomocą. To jedno z jej zajęć.

Po południu przechodzi przez hall do biblioteki. (Zabiera do pracy paczuszkę z lunchem, kanapkę z tuńczykiem albo sałatkę z jajkiem i zjada to przy biurku w bibliotece, a potem parzy sobie herbatę w czajniczku, gotując wodę na małej maszynie w magazynie na zapleczu. Można by rzec, że to wyroki losu skazują kobiety w wieku Rose, mające podobne zajęcia, na schyłanie się nad płytką w ciasnych, źle wentylowanych magazynach). Czasem w zimowy dzień w bibliotece jest tak spokojnie, że Rose przez całe popołudnie musi co chwilę pić herbatę, żeby nie zasnąć. Światło słoneczne wpadające przez okno, suche powietrze, siarkowy odór drukowanych kart bibliotecznych przysyłanych pocztą z centrum zaopatrzenia w Ottawie - wszystko to powoduje senność. Na szczęście czytelnia ożywia się po drugiej, gdy młode mężatki, wyglądające grubo w kożuszkach z kapturem i elastycznych džinsach, wpadają, ciągnąc za sobą dzieci. Jest ich niemało. Kate Frondice, na przykład, przeraźliwie otyła, lecz z jasną różową buzią, przepada za lekkimi romansami. Kate zawsze zatrzymuje się przy biurku, żeby zapytać Rose Hindmarch, co by jej poleciła. I rzadko się zdarza, żeby Rose od razu jej czegoś nie podsunęła.

Późniejszym popołudniem, między czwartą a piątą, przychodzą gromady dzieci ze szkoły. Rose pomaga im wynajdywać różne informacje w „Encyclopedia Britannica”, a także próbuje odnaleźć potrzebne im broszury w swojej słynnej kartotece broszur. To bardzo wyczerpująca pora dnia. Rose musi uważać na dzieci, zwłaszcza na chłopców, żeby nie wchodzili w mokrych butach, wlokąc za sobą błoto i zmokłe żółte liście; musi też bacznie rozglądać się wokół, czy nie wynoszą książek bez uprzedniego wpisania do karty czytelnika, a wszystko to trzeba robić w sposób stanowczy, przyjazny i łagodny, bo tego oczekują od niej przychodzący tu ludzie.

Oprócz tego Rose występuje w roli kustosza Regionalnego Muzeum Historycznego w Nadeau. Muzeum nie ma stałych godzin. Jeśli ktoś do niego przychodzi, Rose po prostu opuszcza swoje biurko w urzędzie miejskim albo stanowisko bibliotekarki i towarzyszy zwiedzającym na górę, na pierwsze piętro, prosząc ich najpierw, żeby przed wejściem wpisali się do księgi. Odpowiada ponadto za klasyfikację darów dla muzeum - takich rzeczy, jak: stare lampy naftowe, rzadkie talerze czy szklane pieczęcie - załatwia sprawy ubezpieczenia oraz zarządza niewielką dotacją przyznaną na działalność muzeum przez rząd federalny. Kiedy pięć lat temu zaczęto interesować się osobą Mary Swann, to właśnie Rose Hindmarch wysunęła pomysł utworzenia sali poświęconej pamięci poetki, i nikt inny, tylko Rose swój wolny czas przeznaczyła na zwiady, gdzie można by znaleźć jakieś przedmioty, żeby wystawić je w tej sali. To też spoczywa na głowie Rose.

Jakby tego nie było dosyć, każdej środy wieczorem, punkt ósma, musi zjawić się w niedzielnej szkółce Zjednoczonego Kościoła w Nadeau w stroju członka rady kościelnej. Ona i pani Homerowa Hart (Daisy) są jedynymi kobietami w zarządzie; Rose traktuje swoje stanowisko bardzo poważnie. To jej zdania słucha się z największą uwagą, jeśli trzeba napęlić przed komunią pateny czy zmienić ornaty, chociaż ona sama musi bardzo uważać, żeby nigdy ani na chwilę nie zdradzić się z faktem, że nie wierzy już w sakrament komunii, a nawet, jeśli o to chodzi, w istnienie świętej hostii. Już kilka lat temu dokonała się konwersja Rose na ateizm. Pewnego wieczoru, a była wówczas stosunkowo młodą kobietą, siedziała w domu, słuchając przez radio filozoficznej debaty, gdy raptem usłyszała jak jeden z dyskutantów mówi: „Któż naprawdę uwierzy w to, że tam w górze w olbrzymiej centrali telefonicznej siedzi jakiś Bóg i słucha modlitw każdego człowieka?” Rose głośno się przy tym

roześmiała i w tej samej chwili stało się: straciła wiarę, co nie sprawiło jej ani trochę bólu, zostawiło zaledwie ślad nostalgii. Jedynie przykrą niewygodę: musiała pamiętać, żeby nikomu się nie zwierzyć, nie zdradzić swojej tajemnicy.

Ale to jeszcze nie wszystko, co Rose ma na głowie. Zmiana wcieleń staje się znacznie bardziej zawikłana w czwarty poniedziałek każdego miesiąca, kiedy po zjedzeniu lekkiej kolacji złożonej z zupy i grzanki Rose wraca do urzędu miejskiego, żeby zająć miejsce przy biurku jako radna. Jest jedną z siedmiu radnych miejskich i zajmuje to stanowisko już od piętnastu lat. Sprawa dość skomplikowana, bo w pewnym sensie musi składać sprawozdania samej sobie; najpierw jako bibliotekarka, potem urzędniczka miejska i wreszcie jako kustoszka muzeum. Przez ostatnie dwanaście lat pełniła w radzie także funkcję protokółantki, a to stawiało ją w zabawnej sytuacji, gdyż protokołowała zebrania, w których sama występowała w jednej z ról. Pisze na przykład: „Protokół odczytała Rose Hindmarch, a potem Rose Hindmarch przedstawiła okresowe sprawozdanie z działalności biblioteki”, zupełnie jakby Rose Hindmarch była oddzielną osobą z inną twarzą, której uczucia miały różne zabarwienie. Ta Rose, o której pisuje, jest dzielniejsza niż ta, za jaką siebie uważa. „Mocna kobieta - myśli o niej - aktywna w środku życia”. (I to niemal prawda: pięćdziesiątka Rose stanowi połowę życia. Jej babka żyła sto lat, a matka osiemdziesiąt pięć. I to są dodatkowe, żeby tak rzec, zajęcia Rose: obowiązki córki i wnuczki, chociaż akurat te już jej odpadły).

Przez krótki czas po ukończeniu szkoły Rose pracowała jako telefonistka, siedząc przy takiej samej centralce, przy jakiej, jak wierzą dobroduszni ludzie, urzęduje nie istniejący Bóg Ontario. Ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że praca dla towarzystwa telefonicznego jest bardzo ciężka, a ona, chociaż tak o niej niektórzy myśleli, nie była osobiście zainteresowana męczącym obiegiem plotek. Przeważnie słyszała jedynie rolników, którzy zamawiali części do maszyn, i gospodynie domowe, które wymieniały przepisy na owocowe galaretki. Nie miała jeszcze trzydziestu lat, gdy zaczęła się starzeć, siedząc na niewyścielanym stolku w centrali telefonicznej, wyciągając wtyczki i wbijając je z powrotem. W tym okresie zauważyła, że cały czas jest sama.

W urzędzie miejskim zwolniła się posada urzędniczki, więc się zgłosiła. Ta praca zdobywa jej powszechny szacunek. Nawet mężczyźni w

Nadeau patrzy z respektem na równe rzędkie cyfr i podziwiają jej znajomość nowych przepisów. Stanowisko bibliotekarki przynosi Rose coś innego: niezaskłużoną reputację osoby uczonej, ponieważ mieszkańcy Nadeau uważają widocznie, że Rose czyta wszystkie książki, jakie wypełniają regały biblioteczne, skoro z łatwością odnajduje książki dla innych, zręcznie posługuje się ich wykazem i z przekonaniem mówi, marszcząc brwi: „Proszę, oto książka, której pani szuka”.

Ale gdyby ktoś zapytał Rose, które zajęcie najwięcej dla niej znaczy, powiedziałyby, że rola kustosza muzeum. W gruncie rzeczy to dopiero wybawiło ją od nocy niepojętej rozpacz, nocy, które ją niegdyś dręczyły. Przekonała się o tym zwłaszcza w ostatnich latach, kiedy zainteresowała się życiem Mary Swann. Co ciekawe, zainteresowanie cudzą historią otworzyło przed Rose nie tyle przeszłość, co przyszłość. Życie zaczęło się zmieniać. Ma teraz kontakty ze światem zewnętrznym, ze światem akademickim. Wielu uczonych i historyków przyjeżdża do Nadeau, żeby odwiedzić Rose.

„Co za cholerny skandal, że nigdy nie wyszła za mąż!” - mówią od czasu do czasu mieszkańcy Nadeau, chociaż Rose nigdy nie wzbudzała wielkiej litości. Pewna jej subtelność, delikatność w sprawach cielesności czy wrażliwość, sposób, w jaki przesuwają dłońmi po otwartej stronie lub wymawia niektóre wyrazy - wskazywałyby, że nie wyszła za mąż z wyboru.

A więc jest kobietą, która ma tyle na głowie i czuje się szczęśliwa i dumna, niemal się tym pyszni. Chociaż bywają chwile, kiedy doświadcza zatrważającego poczucia straty i zjawia się dokuczliwe podejrzenie, że poza tymi zajęciami nie ma nic oprócz zimnej przestrzeni; oprócz cichego skrzypiącego głosu, który każe jej innym sprawiać przyjemność.

Kiedy wraca z pracy do domu Broadwayem do ulicy Drugiej, a ulicą Drugą do rogu Euklidesa, porusza się jak kobieta znająca swój cel i pełna życzliwych uczuć; stąpa po suchych liściach, jakby była przyzwyczajona do dokonywania wyboru. Dziś błyska nagle coś u jej nóg: moneta jednopensowa, grosz na szczęście. Schyla się, żeby go podnieść, a potem idzie dalej. Zamszowy płaszcz koloru cynamonu i zgrabne nowe buty (kupione w ubiegłym roku w Toronto) wskazują na jej wewnętrzną ekstrawagancję, ale nie taką, która wzbudza zazdrość czy litość. Inne kobiety z Nadeau, wyglądając z okien i widząc, jak przechodzi, myślą z czułością: „Oho, idzie Rose. Musi być pół do szóstej, czas nastawić ziemniaki”.

## Pewne znaki orientacyjne

Ludzie często się dziwią, gdy się dowiadują, że geograficzny środek kontynentu Ameryki Północnej nie znajduje się w Kansas ani w stanie Minnesota czy Indiana, jak zawsze myśleli, ale dalej na północ - ściśle rzecz biorąc, na wysokości 49 równoleżnika, a więc wyraźnie w granicach Kanady.

Jeśli położysz palec na mapie Kanady w miejscu, gdzie jest ten geologiczny środek, a później przesuniesz palec o cal albo dwa na prawo (i ćwierć cala w dół), odkryjesz, że dotykasz kropki, która oznacza małe miasto w Ontario, znane jako Nadeau (wymawiaj naa-dou, akcent na obu sylabach).

W Nadeau, liczącym 1750 mieszkańców, są tylko dwie główne ulice, to znaczy te, które stanowią handlową część miasta. Ulica Broadway prowadzi obok spółdzielni serowarskiej do miasta i dalej do ulicy Kellog (przy której mieści się wytwórnia paszy i fabryka trykotaży), nazwanej tak dla upamiętnienia rodziny Kellogów. Bo to oni byli pierwszymi osadnikami na tym terenie, a nie, jak się często uważa, rodzina Nadeau. (Nadeau jest miejscem, gdzie warstwy społeczne są tak przemieszane, że aż piszczy, ale przemieszanie to równoważy tolerancja, przyzwyczajenie, i - można by rzec - pewna prostoduszność).

Na północno-wschodnim narożniku skrzyżowania ulic Broadway i Kellog znajdują się zamknięte rok temu garaże Esso, które wkrótce mają być ponownie otwarte jako filia *Burger Kinga* (dostał na to koncesję). Na drugim rogu widnieje śliczna wysmukła wieża z szarobiałego piaskowca, należąca do Zjednoczonego Kościoła. W tej chwili na dziedzińcu przed kościołem rośnie zielsko po kolana, wstyd i hańba, ale niebawem ktoś ma się tym zająć. Na trzecim (południowo-zachodnim) narożniku jest firma „Czerwone i Białe” (*Red and White*) z artykułami żywnościowymi i pełnym asortymentem towarów żelaznych, plus męskie ubrania, czapki i tak dalej. A na czwartym rogu stoi zwrócony fasadą ku ulicy Broadway, lecz cofnięty i oddzielony od niej szerokim pasem trawnika, stary piętrowy budynek z czerwonej cegły, który przez wiele lat służył społeczności Nadeau za szkołę średnią. Było to jeszcze przed wybudowaniem nowej, połączonej szkoły na ulicy Highway 17.

Stara szkoła w Nadeau - niektórzy w mieście nazywają jeszcze ten budynek „starą szkołą” - pochodzi z roku 1885 i jest zbudowana w stylu, o którym czasami się mówi, że skłania się do gotyku, niekiedy też nazywa się go wiejsko-wiktoriańskim. Wyróżnia się ozdobnym fundamentem

z kamienia, który sięga okien parteru, a od frontu łączy się z pięknymi zewnętrznymi schodami, prowadzącymi do głównego wejścia.

Podwójne drzwi wejściowe zasługują na szczególną uwagę, mają bowiem framugi z ciężkiego dębu i są wyposażone w długie szyby z okantowanego szkła, na którym wytrawiono czarujące owalne wzory derenia przeplatane trillium - kwiatem stanu Ontario. Zawiasy u drzwi po lewej stronie zablokowały się całe lata temu, ale drzwi po prawej otwierają się dość łatwo, co można sprawdzić, przekręcając gałkę.

Zauważmy, że parter starej szkoły został podzielony na dwie części: pierwsza (po lewej) to Urząd Miejski, druga (na prawo od wejścia) - Biblioteka Publiczna. Biblioteka, otwarta od poniedziałku do piątku w godzinach od 13.00 do 17.00, jest zaskakująco obszerna jak na małe miasteczko. Ale to nie biblioteka nas tu sprowadza ani z całą pewnością nie urząd miejskiego archiwisty.

Zwróćmy się na prawo i wejdźmy szerokimi, starymi, drewnianymi schodami na piętro. Stwierdzimy, że schody uginają się nieco pod nogami, czego można się było spodziewać po wysłużonych szkolnych schodach, gdy się pomyśli o tylu młodych nogach, które gnały po nich z tupotem, ścierając deski na gładko. Mimo całej elegancji schody wyglądają, jakby były lekko zakurzone, chociaż w rzeczywistości są czyste; to tylko zapach kurzu pokutujący w starej, dudniącej echem studni klatki schodowej. Koniecznie trzeba przystanąć na podeście i przeczytać tablicę, która upamiętnia fakt, że w roku 1967 szkoła średnia w Nadeau (jako taka) przestała istnieć. Ta sama tablica głosi, że jednocześnie powstaje tutaj nowe Regionalne Muzeum Historyczne w Nadeau.

Muzeum, które zajmuje całe piętro dawnej szkoły, według uznanych kryteriów jest niewielkie, choć udaje mu się przyciągnąć nawet pięciuset zwiedzających rocznie. Dwa pokoje po prawej wypełniają oszklone gabloty, które zapraszają, żeby przyjrzeć się zadziwiająco starym grotom strzał, skamielinom i monetom wykopany w okolicy. Można też obejrzeć takie osobliwości, jak kołowrotek, zestaw grępli do czesania wełny, a także kolekcję naczyń glinianych i porcelanowych, z których część została wykonana w okolicy (pod koniec ubiegłego stulecia). Koniecznie trzeba zobaczyć ciekawą starą pralkę (około 1913), i rzucić okiem na rozmaite części garderoby, wśród których jest sukienka do chrztu z lat „dziewięćdziesiątych” oraz kobiecy kostium spacerowy z szarej wełny z czerwoną lamówką (1902). Co najmniej pół godziny powinno się

poświęcić na oglądanie nie tylko tej ciekawej wystawy, ale także oprawionych map i aktów nadania ziemi, zawieszonych w hallu, nie wspominając już o cennym zbiorze starych fotografii, z których jedna nosi podpis „Piknik Szkołki Niedzielnej, 1914” i ukazuje proste rozrywki podczas wypoczynku w dawno minionych dniach.

Na lewo od schodów mieszczą się dwa pozostałe pokoje (dawne klasy 11 i 12). Nad wejściem do jednego z nich (drzwi zdjęto z zawiasów i wywieziono) wisi nieduża kartka z napisem: Sala Poświęcona Pamięci Mary Swann.

„Kim, do licha, jest Mary Swann?” - pytają ludzie.

Odpowiedź na to pytanie znajduje się na starannie maszynowo wypisanej informacji na białym arkuszu przypiętym do framugi: Zmarła Mary Swann, 1915-1965, była tutejszą poetką, która spędziła większość życia, a przynajmniej okres małżeństwa, na 160 akrach gruntu dwie mile od Nadeau. Dobrze znana w okolicy ze swoich wierszy, z których kilka opublikowały nie istniejące już „Nowiny Nadeau”, Mary Swann została ostatnio uznana za wybitną, choć nie pierwszego rzędu poetkę, która ma swój wkład w kanadyjską literaturę. Są i tacy, którzy posuwają się dalej, przyznają jej miano Emily Dickinson Północnej Kanady. Sala Poświęcona Pamięci Mary Swann, otwarta zaledwie przed dwoma laty, zawiera liczne pamiątki z życia poetki: stół kuchenny, kredens ze złotego dębu, żelazne łóżko, ręcznie robioną kołdrę oraz liczne przedmioty używane w gospodarstwie domowym (proszę zwłaszcza zwrócić uwagę na mocno zniszczony drewniany tłuczek do ucierania rzepy). Oprócz tego znajdują się tutaj wzory jej ręcznych robótek (głównie szydełkiem) i fotografia (niestety, niezbyt wyraźna) samej poetki stojącej na frontowym ganku z rękami skrzyżowanymi na piersi i spoglądającej w słońce. Jeśli macie państwo czas, może zechcecie chwilę zostać i przeczytać kilka wierszy Mary Swann, oprawionych i wywieszonych na ścianie. Polecamy zwłaszcza proroczy wiersz zatytułowany „Silos”, który był pierwotnie drukowany w „Przeglądzie Ateńskim” z 4 czerwca 1958, na siedem lat przed przedwczesnym zgonem poetki.

Obok sali poświęconej Mary Swann znajduje się pokój, który zyskał największą popularność wśród publiczności. Zwiedzający, stojąc w otwartych, przegrodzonych linką drzwiach, mogą podziwiać to, co jest w gruncie rzeczy odtworzeniem sypialni z przełomu wieku w Ontario. Zainteresowanie wzbudza tapeta w kwiaty, dokładny duplikat autentycznej tapety kanadyjskiej z tego okresu. Przez cały pokój pod sufitem



biegnie długa rura prowadząca ciepło z opalanego drewnem pieca, jaki - możemy sobie to wyobrazić - stoi w sąsiednim pokoju. W rogu sosnowy stolik-umywalka, typowy dla tego okresu, gdzie wstawia się miednicę (proszę zwrócić uwagę na umieszczone z boku wieszaki na ręczniki). Sosnowa jest również skrzynia na koce u stóp łóżka. Samo łóżko jest niezwykle: obrotowe łóżko ontariańskie, jak się zdaje ręcznej roboty i prawie na pewno z amerykańskiego orzecha. Oczywiście, jest tutaj także nieodzowne nocne naczynie wycierające spod łóżka. Materac powinien być wypchany gęsim puchem - tak w każdym razie głosi notatka na ścianie - ale może wypchano go słomą.

Niezwykle atrakcyjną kołdrę na łóżko zrobiły kobiety ze Zjednoczonego Kościoła w roku 1967 dla uczczenia jego stulecia.

Jest to, jak państwo widzą, kompozycja z kwadratów, a każdy kwadrat pięknie wyhaftowany i sygnowany przez jedną z kobiet kongregacji. Z dala możecie państwo podziwiać indywidualnie haftowane wzory (najczęściej kwiaty i ptaki), a może nawet rozróżnicie niektóre podpisy wykonane prostym ściegiem łańcuszkowym; panie: Mrs. Henry Cleary, Mrs. Al Lindquist, Mrs. Percy Fleming, Mrs. Clarence Andrews, Mrs. Thomas Clyde, Mrs. R. Jack Rittenhouse, Mrs. Floyd Sears, Mrs. Homer Hart, Mrs. Joseph Fletcher, i tak dalej. Widząc te nazwiska, niektórzy z państwa mogą się pod nosem uśmiechać - zależy to, oczywiście, od wieku i sytuacji. Może pomyślicie: „Czy te kobiety nie miały własnych imion? Czy w roku 1967 wyzwolenie kobiet nie dotarło jeszcze do małego miasteczka w Ontario?” Możecie sobie nawet wyobrazić, jak te kobiety mogły wyglądać: niezdarne, ciężkie, solidne małżonki, mocne zarówno w igle, jak i w języku, ale pozbawione twarzy i wyzbyte imienia. Może powiecie, że to smutne. A nawet tragiczne.

Ale chwileczkę. Jest jeden kwadrat blisko środka kołdry, o jakiś cal czy trochę więcej w prawo - tak, tam właśnie! Wyhaftowano na nim niebieską nicią ptaka, a pod nim podpis: Rose Hindmarch.

## Teraz ukazuje się Rose

Teraz ukazuje się Rose, przysadzista kobieta o pochyłonych ramionach, z niewielką wystającą okrągłością brzucha, którą planuje zrzucić jeszcze tej jesieni.

Pominąwszy skórzany płaszcz, buty i rękawiczki, w wyglądzie Rose jest coś, co przywodzi na myśl welon i lato. A przy tym Rose niemal wyśpiewuje: „dobry wieczór”. Kiedy stoisz na rogu; rozmawiając, widzisz poza jej lekko ondulowaną głową wspaniałą jesienny zachód słońca, przesłonięty po chwili przez kolumny ciemnognanatowych chmur.

- Jaka cudowna pogoda! - woła Rose, wznosząc ramiona i zmuszając cię, żeby się z nią zgodzić.

Pyta o twój bronchit i czy byłeś ostatnio w Kingston, żeby zobaczyć nowe centrum handlowe; potem chwali twój dom, że ładnie wygląda teraz, kiedy ganek i elewacja zostały pomalowane na miły, ciepły odcień szarości; wspomina, z jakim wrzaskiem przelatywały w zeszłym tygodniu gęsi nad miastem; mówi, że jezioro w tym roku bardziej wezbrało niż w latach ubiegłych i że firma *Red and White* znowu obniżyła cenę za ćwierć wołu (nie żeby jej była potrzebna cała ćwiartka wołu, Boże uchowaj, właśnie ma zamiar zostać wegetarianką!).

Ogólniki i sympatyczny, na wpół przepraszający sposób bycia, leciutkie usuwanie w cień samej siebie i trochę rozproszona uwaga - wszystko to tak doskonale odpowiada zapętlonym warstwom połowy życia Rose. Nie mówi nic o sobie, jak spędzi dzisiejszy wieczór - jeden z piątkowych wieczorów - ani o tym, że ostatnio nie miewa już menstruacji, ani o groszu na szczęście w kieszeni; nie mówi nawet o kwadratowej beżowej kopercie, którą niesie w torebce do domu. Koperta zawiera (gdybyście tylko wiedzieli!) zaproszenie na sympozjum (tak, sympozjum), które odbędzie się w pierwszym tygodniu nowego roku w Toronto, a poświęcone jest twórczości poetki Mary Swann.

Dlaczego Rose nie zwierza ci się z tym wszystkim? Przecież znasz ją od lat, właściwie przez całe życie.

Może dostrzega brak zainteresowania z twojej strony. Czuje, że jesteś nieco znużona przypadkową, powierzchowną pogawędką, że przestępujesz z nogi na nogę, chcąc już iść, dokąd idziesz, do swojego domu, gdzie czeka cię znajomy bałagan, gdzie możesz klapnąć na kuchenne krzeselko z torbą pełną zakupów i powiedzieć: „Uff, na litość boską, ta Rose Hindmarch gada i gada, a nigdy nic nie powie”.

A może Rose, tak użyteczna, tak ciągle uśmiechnięta, strzeże swoich sekretów jak ostrożna mniszka? Bo w pewnym sensie można by powiedzieć, że jej piątkowe wieczory są sekretem, choć raczej niewinnym, i że menopauza przynosi jej, gdyby nie bóle głowy, doznanie potajemnego miłego uczucia, zasłużone, lecz wstydlive uspokojenie, nieomal uwolnienie; nareszcie wyzwolona, może żyć swobodnie w aseksualnym zmierzchu, który jej sprawia najwięcej przyjemności. A co do drukowanego zaproszenia spoczywającego w wewnętrznej jedwabnej kieszonce torebki - to promienieje ono jak rozżarzony węgiel, drogocenny, znany, jak dotąd, tylko jej, Rose.

Zaledwie piętnaście minut temu, gdy wracała z biblioteki do domu, wstąpiła na pocztę, żeby odebrać listy. Były dla niej trzy przesyłki - ależ nie, nic w tym niezwykłego - rachunek za telefon, widokówka, prawie nie do odcyfrowania, od przyjaciółki, Daisy Hart, która pojechała odwiedzić siostrę na Florydzie, mieszkającą nad zatoką, i wreszcie, zagadkowa sprawa - duża, kwadratowa, beżowa koperta (wysokiej klasy papier), zaadresowana po prostu: Rose Hindmarch, Nadeau, Ontario. Bez numeru skrytki pocztowej (nie żeby to miało jakieś znaczenie), bez „panna” czy „pani”, samo nazwisko: Rose Hindmarch, twarda, chytra Rose, energiczna pani prowadząca miesięczne sprawozdania miasta Nadeau i okolic.

Otworzyła kopertę na miejscu - mniejsza o to, co pomyślał sobie Johnny Sears - uważając, żeby nie zniszczyć kremowej całości. Sympozjum? Poświęcone Mary Swann. Styczeń. Toronto. Zapraszają ją do wzięcia udziału w czterodniowym sympozjum. (To musi być jakieś zebranie albo zjazd, coś między jednym i drugim, sprawdzi to u Funka i Wagnalla, jak wróci do domu). I załączona była także mała, dość pomyślowo wyglądająca koperta na odpowiedź, taka, jakie nadchodzą z zaproszeniami ślubnymi, ze stemplem „odpowieź opłacona”, ładny gest, zważywszy obecną wysokość opłat pocztowych.

Rose szybko oblicza: od września do stycznia - jeszcze cztery miesiące; mnóstwo czasu. Dzień Wszystkich Świętych, Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie: strasznie długo. Jej podniecenie gaśnie, zmienia się w apatię i Rose czuje ucisk, jakby lzy napływały jej do oczu. Ale nie, zastanówmy się chwilkę: w cztery miesiące będzie mogła zrzucić jakieś dziesięć funtów - przecież czekała tylko na jakiś pretekst. Pięć funtów z każdego biodra i trochę z brzucha. Trzeba też wybrać się do Kingston po zakupy, poszukać czegoś stosownego na tę okazję, może jakiś kostium,

coś w kolorze burgunda, za którym teraz wszyscy szaleją, chociaż Rose nie rozumie, dlaczego; turkusowy, któremu ufa, trudno teraz dostać.

Hotel Harbourview. Toronto. Styczeń. Może ta miła Sara Maloney przyjedzie z Chicago. Dla niej to przecież żadna droga, przy jej sposobie podróżowania. I profesor Lang. Z pewnością tam będzie, nie ma żadnych wątpliwości. A może, choć to głupio mówić hop, dopóki... i tak dalej, ale może tam będzie także pan Jimroy Morton. Od razu pierwszego dnia, kiedy się poznali, prosił, żeby go nazywała: Morton. „Wszyscy moi bliscy znajomi mówią do mnie Morton” - powiedział.

Jego bliscy znajomi. Tym właśnie jest Rose Hindmarch: jedną z bliższych znajomych Mortona Jimroya.

## *Gdzie Rose mieszka*

Dochodzimy teraz do miejsca zamieszkania Rose Hindmarch. Oto jej apartament, oto jej mieszkanie. Aleja Euklidesa 16 1/2. Być może nie jest to miejsce, jakie ludziom przychodzi na myśl, gdy słyszą słowo: apartament; nie ma tutaj betonowych wież ani wind, ani podziemnego parkingu. Rose zajmuje trzyizbowe mieszkanie (stołowy, sypialnia i kuchnia) na pierwszym piętrze drewnianego osiemdziesięcioletniego domu na rogu alei Euklidesa, domu będącego własnością młodego małżeństwa: Howarda i Jean Eltonów (pochodzących z Kornwalii), którzy uczą w nowej szkole okręgowej przy szosie Highway 17. (Howard wykłada nauki przyrodnicze, Jean prowadzi zajęcia z wychowania fizycznego). Eltonowie planują zrobić kiedyś dla Rose oddzielne wejście, ale na razie przechodzi przez ich ciemny, wąski frontowy przedpokój.

- Cześć, Rose! - woła Jean z kuchni, gdzie zazwyczaj kleci coś na kolację. Takiego właśnie wyrażenia używa: sklecić coś.

- Jak ci leci, Rose? - wrzeszczy Howie. Może pomaga Jean robić mielone kotlety w kuchni, a może siedzi w stołowym, pije piwo i ogląda coś w TV.

- Cześć - odpowiada Rose wesołym głosem i szybko wchodzi po schodach do siebie.

Jest zadowolona, że u szczytu schodów są porządne drzwi, mimo że nie ma zamka. Dosyć lubi Howarda i kocha Jean, ale prywatność jest ważna. Ma wrażenie, że oni też tak czują.

A teraz co? Wiesz płaszcz na przeznaczonym do tego drewnianym wieszaku, rzuca okiem na łokcie, czy się nie przecierają. Posiadanie zamskiego płaszcza nakłada pewną odpowiedzialność. Potem szybko, jednym długim, nieprzerwanym ruchem nastawia czajnik i przekręca gałkę małego kuchennego radia, w samą porę, żeby złapać wiadomości o szóstej. Mniej więcej raz na tydzień, przeważnie w piątek - a dzisiaj jest piątek - Rose funduje sobie żytniówkę z imbirową oranżadą, którą sący w czasie ubijania omlotu: dwa jajka, jedna siekana zielona cebula, odrobina mleka. I tylko jedna grzanka dziś wieczór. Jeśli ma schudnąć do stycznia o dziesięć funtów, musi zacząć traktować to poważnie. No, ale troszkę masła nie zaszkodzi. W łyżeczce masła jest tylko dwadzieścia pięć kalorii - mniej, niż ludzie myślą. W kuchni na ścianie wisi małe lustro, przed którym Róża czasami staje, pytając: Czy ta twarz także zmieni się w ciastowatą masę jak twarz matki? A także babci?

Teraz chyba wszystkie wiadomości dotyczą tylko Libii i Południowej Afryki. Kiedy Rose myśli o Południowej Afryce, widzi na dole mapy dowolnie uformowany kształt, otoczony wodami. Najpierw pojechali tam Holendrzy - przypomina sobie niejasno - a może Anglicy. W Południowej Afryce niechlujni policjanci bez marynarek zakazują ludziom, czarnym ludziom, chodzić na pogrzeby, a także zakładać związki zawodowe. Przecież - myśli Rose - to nic wielkiego, chyba mogą się tego domagać, chociaż wdzięczna jest, że sama nie musi mieć do czynienia ze związkami zawodowymi. Howie i Jean należą do związku nauczycieli, ale Howie mówi, że to wszystko bzdura, tylko dwóch czy trzech podżegaczy próbuje mieszać niby to w imieniu wszystkich. W Południowej Afryce jest człowiek nazwiskiem Nelson Mandela, żonaty, wpakowali go do więzienia. Rose widziała jego zdjęcie w telewizji, a także zdjęcie jego żony; przystojna kobieta o poważnej twarzy, w chustce na głowie.

Z przyzwyczajenia je powoli, ze smakiem. Potem otwiera lodówkę i na deser nakłada sobie łyżkę czekoladowych lodów. Jutro rano pójdzie do *Red and White* i kupi karton jogurtu. Jean i Howie polecają jogurt, a Jean nawet zaproponowała, że pożyczy Rose elektryczny przyrząd do robienia jogurtu. Ale Rose uwielbia czekoladowe lody. W letnie wieczory matka zwykła je robić na trawniku przed domem - jeszcze wtedy mieszkali na ulicy Drugiej, tam gdzie teraz mieszkają Hartowie. Rose pamięta, że kiedy miała dwanaście lat, obracała korba, czekając, aż lody

się uformują. Nieduża bryłka soli, trochę wysiłku i stawał się cud. Jedy-ny chyba cud, jakiego była świadkiem.

Rose jest szczęśliwa; codzienny tok zajęć napawa ją takim uczuciem. Kiedy wczesnym rankiem wygładza prześcieradła i koce i wzrusza poduszkę na łóżku, z nadzieją myśli o nadchodzącym dniu. Przegląd drobnych przyjemności - jak dzisiaj ta moneta na szczęście - daje jej pewność, pozwala wierzyć, że jest częścią świata. A w piątkowe wieczory wcześniej wkłada piżamę i wsuwa się do łóżka, żeby czytać. Dopiero wpół do ósmej i na dworze jeszcze prawie jasno. Przeciera twarz mleczkiem kosmetycznym, myje zęby i wczolguje się pod prześcieradła. Z zadowoleniem wyciąga gołe nogi. Może czytać do północy albo i dłużej. Jutro sobota; może spać tak długo, jak zechce.

W tym łóżku sypiali jej rodzice, ale Rose nie może sobie przypomnieć nic, co by dotyczyło ojca, który był żołnierzem i zginął pod Dieppe. Jego matka była mieszkanką Nadeau i pochodziła w prostej linii od Martina Nadeau. To wygodne podwójne łóżo z węzłowiem fornirowanym drewnem orzechowym, a materac pochodzi z dobrej firmy (Rose kupiła go po ostatniej chorobie i śmierci matki); gładko obciągnięte prześcieradła z elanobawełny w wesoły kraciasty wzór. Kiedy Rose czyta w łóżku, wyprostowana opiera się pośrodku tak, że poduszki z obydwu stron obejmują ją i grzeją.

Tylko raz dzieliła łóżko z kimś innym. Było to dwa lata temu, w piątkowy wieczór podobny do dzisiejszego. Czytała jak zwykle. Była chyba jedenasta albo i później, kiedy usłyszała, że ktoś puka czy lekko drapie w drzwi. A potem usłyszała chrypliwy szept: „Rose? To ja, Jean. Czy możesz mnie wpuścić?”

Duża, koścista Jean o muskularnych barkach i ramionach, absurdalnie wystających z koronkowych rękawów bladobłękitnej, nylonowej nocnej koszuli. Jej wielkie stopy były bose, a włosy jak zawsze ściągnięte do tyłu ciężką drewnianą kłamrą. Tego wieczoru szerokie usta Jean błyszczwały w przyćmionym świetle hallu niczym prostokąt udreki.

- Och, Rose! Och, Rose - mówiła płacziwie.

Siedziała u Rose w kuchni i bezradnie płakała, a płacząc, uderzała delikatnie i rytmicznie pięścią w stół. Rose nalala jej do szklanki trochę czystej wódki i kazała wypić.

- Nienawidzę go, nienawidzę - jęknęła Jean i położyła głowę na stole. Rose usiadła obok i gładziła ciężkie włosy Jean, z pewnym

zakłopotaniem, nieobowiązująco. A potem wstała i zaparzyła herbatę.

- Och, jaki z niego skurwysyn, och. Rose, co za łotr, co za cholerny skurwysyn, nie masz pojęcia, jaki jest naprawdę! Nie wiesz nawet, jaka jesteś szczęśliwa. O mój Boże, o mój Boże!

Rose piła tylko herbatę, ale naląła Jean jeszcze odrobinę wódki. Miała ochotę zapytać: „Czy możesz mi powiedzieć, co się stało?” albo: „Chcesz o tym porozmawiać?” W takiej sytuacji ludzie zwykle tak mówią. Ale jakiś kamień ciążył jej w piersi i nie pozwalał mówić. Czowała straszliwy ból. Jaka z niej idiotka!

Nos Jean był czerwony i błyszczący, a na twarzy pojawiły się nieregularne, barwne plamy. Rose przypuszczała - miała nadzieję - że to skutki płaczu i wódki, a nie mocnej pięści Howarda Eltona. Obydwoma rękami przysunęła Jean pudełko papierowych chusteczek.

- Masz - powiedziała.

Po chwili Jean wytarła nos. Światło jarzeniówki wyostrzało jej trochę lisi pyszczek i wargi. Wyprostowała się.

- Co ja teraz zrobić? - jęknęła. A potem: - On nie wie, że tu jestem. Myśli, że wybiegłam tylnymi drzwiami.

- Możesz tu zostać - zaproponowała Rose - jak długo zechcesz. - Czowała się w tej chwili jak bohaterka.

- Och, Rose, mogę? Jesteś pewna, że ci to nie będzie przeszkadzało? - I Jean zaczęła znowu szlochać.

Ten szloch bulgotał jak woda, która wydostaje się z dna głębokiego jeziora, i Rose objęła Jean ramionami. Miała wrażenie, że obejmuje córkę lub siostrę.

Żadna nawet nie pomyślała o kanapie w drugim pokoju. Spały razem w dużym, podwójnym łóżku i wydawało się to zupełnie naturalne. W każdym razie Jean spała, a jej obfite, kręcone włosy, rozwichrzone i pachnące, uwolnione od klamry, rozrzucone były szeroko na poduszce. Rose przez większość nocy nie spała. Leżała, wpatrując się w ciemne zagłębienia w narożnikach sufitu, i czuła się oszalamiająco szczęśliwa. Łzy napływały pod powieki. Nie pragnęła dotknięcia ciężkiego, pomrukującego, śpiącego obok niej ciała. Oddzielał je wąski, doskonale wyważony rowek przestrzeni, który zdał się Rose żywym organizmem. Kiedy Jean się odwracała, Rose robiła to samo. Kiedy Jean mruzczała coś z głębin snu, Rose słyszała siebie pomrukującą także bezsłownym, bezkształtnym pomrukiem przyjemności. Cudowność tego. Zadziwiające zaskoczenie. A więc to tak wygląda, gdy ma się tak blisko obok siebie inną ludzką istotę. O kilka cali zaledwie, tak blisko, że czuła

najdrobniejsze wibracje, odgłosy wdychania i wydychania śpiącej Jean. Dobry Boże! Mając blisko pięćdziesiąt lat, wreszcie zaczęła pojmować, że ciało jest czymś więcej niż aparatem na zawiasach do poruszania się, do przyjmowania i przetwarzania pokarmu, aparatem, który doświadcza cyklicznych, przyprawiających o mdłości zniewag. To samo ciało, które trzeba myć, stroić, pielęgnować, a czasem usypiać za pomocą wilgotnego palca, tęskni także do bliskości innego ciała. Jak mogła nie wiedzieć tak prostej rzeczy? Nie ma tu nic, czego trzeba się wystrzegać, nie ma żadnego niebezpieczeństwa w tym, że leży tutaj w łóżku, mając obok siebie Jean Elton.

Rano Jean już nie było. Na stole w kuchni leżała karteczka: „Dzięki”.

Więcej o tym nie mówiono. Howie i Jean zniknęły, pojechali do Konwalii na weekend i wrócili późno wieczorem w niedzielę. Rose słyszała, jak w kuchni na dole robili sobie kawę, znajomy, niski głos Jean, zawsze gotowy wezbrać i zmienić się w rżący śmiech. Co wtedy zaszło? Co takiego zrobił Howie? Rose nie wiedziała albo, mówiąc ściślej, wiedziała, a przynajmniej podejrzewała. Kobiety, inne kobiety, ufnie otwierały swoje ciała. Howard musiał zrobić coś ohydneho, coś, co przeraziło Jean, coś występnego, związanego z seksem, coś nieludzkiego; chyba wszedł na nią i pozwolił sobie na coś mrocznego, zwierzęcego. Rose nie wiedziała ani nie potrzebowała wiedzieć, jakiego rodzaju gwałtu się dopuścił. Patrzyła odtąd na Howarda ze swego rodzaju nabożnym lękiem. A Jean kochała.

Sytuacja taka nigdy się już nie powtórzyła, lecz nawet teraz, po dwóch latach, Rose spędza piątkowe wieczory na czytaniu i czekaniu. Powoli przewraca stronicę książki, nastawiając ucha, czy Jean Elton nie skrobie do drzwi. To dla niej ważne: być tutaj na wypadek, gdyby Jean jej potrzebowała.

Ach, kocha swoje piątkowe wieczory. W ciągu tygodnia jest zbyt zmęczona, żeby czytać, i może się zdobyć tylko na oglądanie telewizji. Ale w piątki wieczorem: czajniczek z herbatą obok łóżka, jedwabne oblamowanie koca pod brodą, czysta pościel z bawełny z domieszką sztucznego włókna, okrywająca nogi, przed nią podparta książka. Rozkoszując się tymi wygodami, przemawia do siebie ostro: „Ejże, Rose, dziecino, stajesz się prawdziwą starą panną, chowając się tutaj jak pustelnica piątek po piątku. Powinnaś wyjść, pojechać czasem do Elgin do kina, chociaż trochę pohulać. A jakby tak do Teatru Małego w Kingston? Jeździłaś tam przecież z Hartami na każde przedstawienie. Stanowczo



robisz się okropnie nietowarzystka. Nabierasz nawyków, a to zły znak”.

Kiedyś przemknęło Rose przez myśl, że ktoś powinien zbadać, co bibliotekarki w małych miastach czytają w wolnym czasie. W końcu to bibliotekarki przecież zamawiają nowe książki i zawsze polecają komuś taką czy inną lekturę. „To się pani na pewno będzie podobało!” - wołają, usiłując zapamiętać, kto lubi kryminały, kto opowieści wojenne, a kto woli poważniejsze rzeczy. Ale w Nadeau tylko Homer Hart czyta książki, które można nazwać ważkami.

Nie można powiedzieć, że Rose Hindmarch jako czytelniczka ma wąskie zainteresowania. Jeśli tylko ma czas w bibliotece, pogrąża się w tym i owym; wybiera coś z historii regionu, biografię kogoś z Hollywood, nowe powieści sensacyjne, nowe romanse, ostatnie bestsellery grube na dwa cale (choć te stają się takie drogie, że Rose zamawia miesięcznie tylko jeden lub dwa), a czasami także przypadkowy tom współczesnej poezji.

Jednak poezja stanowi dla Rose pewien problem. Ma trudności ze zrozumieniem, o czym w wierszach jest mowa, z wyjątkiem tomiku Mary Swann, a nawet w tym wypadku nie zawsze jest tego pewna.

W mojej głowie pusty dom  
Moje włosy czesze grom.

Ba, co ona próbuje powiedzieć w tym wierszu? Oczywiście, dom jest jakimś symbolem, ale grom?

Lustro po drugiej stronie  
Otwiera miejsce gdzie się chronię.

Kto się w tym połapie? Może pan Jimroy. Morton.

Poezja, biografia, romans, opowieść podróżnicza - Rose czyta wszystko. Ale jako pożeracz książek najbardziej lubi i uważa za najlepszą rozrywkę na piątkowe wieczory historie szpiegowskie.

Myśli, że powinna usiąść kogoś dnia i zrobić listę wszystkich szpiegowskich opowieści, które przeczytała. Chyba będzie ich około pięciuset. Knowania, ucieczki, syreny przeciwmgielne w porcie, obowiązek i patriotyzm. Zalicza co najmniej jedną taką książkę na tydzień, zależnie od grubości tomu, Ian Fleming - ale teraz gardzi nim i jego sztuczkami - Ken Follet, John le Carre, Robert Ludlum - oto jej ulubieńcy. Smakowite tytuły, mroczna ponurość północnej pory, bohaterowie z włosami wijącymi się nad uszami, ich zagmatwane przebrania i szybki

refleks, specjaliści od szyfrów pracujący ciężko na zapleczu w magazynie sprzętu elektrycznego, pulchna monachijska prostytutka z odbiornikiem radiowym przywiązany do uda...

W większości szpiegowskich opowieści Rose najbardziej ceni dwie rzeczy: wyraźny brak okoliczności łagodzących - choć może inaczej by to określiła - i to, jak świat się w nich litościwie rozpada na dwie równe części: - dobro po jednej stronie, zło po drugiej. Nie ma nic nie planowanego w świecie szpiegostwa. Zło nie wybucha przypadkowo, jak to bywa w życiu, skądże znowu! Zło, cóż, zło jest częścią sprawnie przeprowadzanego spisku, uknutego przez anonimowych ludzi, którzy obdarzeni są ciemnymi mocami. A śmierć? Śmierci nigdy, nawet na minutę, nie zostawia się w rękach kapryśnych bogów (wśród nich jest także posępny Bóg Ontario, którego łatwo obrazić). Śmierć jest zwykłym zleceniem, czysto wykonywanym przez wynajętego zabójcę. Szczupły mężczyzna wchodzi do jasno oświetlonego pokoju; jego szeroki aksamitny kołnierz urzeka wdziękiem, ale prawa ręka znacząco kieruje się ku wewnętrznej kieszeni.

Rose pociąga także ponury chaos pulsujący za żelazną kurtyną: te dziwaczne, dobrze strzeżone granice, głęboki Dunaj, pigułki z cyjankiem ukryte w polskich wiecznych piórach i oprawkach do szminek, umówione spotkania w nędznych barach Warszawy albo na ulicach pod przygasającymi słowiańskimi latarniami. Szybko pędzące pociągi, które przejeżdżają przez Niemcy i Węgry zawsze nocą, przewożą również Rose, jej zdyszane serce, suche dłonie i całe wagony ideowych namiętności, nie mających dla niej w ogóle żadnego znaczenia, oprócz obsesji, żeby dostać się do samego jądra zła, słuchać rozkazów, ryzykować wszystko. Pan X (zielonkawa skóra pod zielonkawym garniturem), człowiek o nie ustalonej profesji, mimo to strzeżony przez zakapturzonych ochroniarzy, i niemieckie owczarki z rozwartymi pyskami. Dlaczego? Rose czyta dalej. Ponieważ jest częścią gigantycznej intrygi, mającej na celu przejście Zachodniego Świata - oto dlaczego. Powiązania jarzą się jak klejnoty pod lustrzaną powierzchnią. Rozwiązania pojawiają się w końcowych rozdziałach, oczyszczające jak jodyna, chociaż Rose przeczytała już tyle szpiegowskich powieści, że mniej więcej w połowie domyśla się, jak się uda specjalnemu wysłannikowi. Nie powstrzymuje to jej jednak od dalszego czytania.

Kolejny rozdział, kolejny zatruty gin z tonikiem („Już po pierwszym łyku zdała sobie sprawę...”), kolejna nie doręczona wiadomość - i znowu

odjęła z życia Rose godzina. Oczy jej błyszczą i nabierają głębi. Nie ma już powrotu. „Nazywam się Smith” - czyta. „Przysłano mnie, żeby panią ostrzec”.

Zegarek przy łóżku Rose wskazuje drugą nad ranem. Późna godzina i siwy chłód w pokoju zwiększają uczucie duszności podchodzącej pod gardło. Jeszcze jeden rozdział - przyrzeka sobie, ale nie może się zatrzymać. Przez szparę w zasłonie widzi księżyc, zestrugany na wiórek. Herbata w filiżance dawno wystygła, ale upija trochę, żeby zaspokoić dręczące pragnienie.

„Nie jest pan prawdziwym Smithem, przyjacielu, tak się składa, że wiem, iż jest pan”... - Rose odwleka wycieczkę do łazienki, chociaż pęcherz aż ją pali. - „Oto koperta. Są w niej bilety na samolot i niewielka mapka”...

Wreszcie ostatnia strona. Na zegarku czwarta rano. Jacob Smith okazuje się w istocie księciem Ramuskim, jak Rose przez cały czas podejrzewała, a ponieważ jest podwójnym agentem, znalazł się po stronie dobra, na co Rose liczyła. Podczas małej prywatnej uroczystości otrzymuje pochwałę i jego sen tylko w niewielkim stopniu zakłóca liczba morderstw, jakich w imię sprawy dokonał. Częściowo jednak został odkryty. Zostanie mu wyznaczone nowe zaszyfrowane nazwisko. Przyjmuje to, wzruszając ramionami. *C'est la vie!* Rose gasi światło i ma nadzieję, że natychmiast zaśnie.

Jednak z jakiegoś powodu nie zasypia, nie dzisiejszej nocy. Coś ją dręczy, nie daje spokoju. Przypomina sobie: zaproszenie na sympozjum. Myśl o nim rozbłyska w głowie Rose jak płomień zapalniczki. (Dla Rose, która dużo paliła, dopóki w ubiegłym roku nie zapisała się do Gwarnej Grupy Niepalących w Elgin, jest to właściwe porównanie). Klik, klik - wyskakuje posłuszny płomyk.

Wypala małą, błyszczącą pomarańczowo dziurkę w jej przyszłości. Sympozjum. Sympozjum. Pozbawiony widoku, szczelnie zamknięty pokój zostaje tym małym słowem spuszczonej na szerokie wody i długa noc Rose kończy się nagłym przyływem radości.

## *Sobotni wieczór w Nadeau*

W Nadeau, w stanie Ontario, jak w innych miastach i miasteczkach na kontynencie Ameryki Północnej, a w gruncie rzeczy na całym świecie, istnieje pewna struktura społeczna, która w mniejszym lub

większym stopniu decyduje o tym, jak ludzie spędzają wolny czas. Socjolog mógłby sporządzić wykres parametrów wolnego czasu. Wygląda na to, że pewne zajęcia stosowne dla jednych są nieodpowiednie, a nawet nie do pomyslenia dla innych. Rose Hindmarch, na przykład, czułaby się ogromnie skrepowana, gdyby poszła do Związku Byłych Kombatanów na drinka, tak jak i ty byłbyś, gdybyś przyjechał do miasta po raz pierwszy i wpadł tam na piwo dla odprężenia. (Mimo to nikt by cię stamtąd nie wyprosił. Mógłbyś sobie znaleźć stółek w wilgotnym piwnym chłodku, a Susan Marland Jones, która ma lat dziewiętnaście i sypia z 'młodym Dickiem Strayerem z Elgin, przyniosłaby ci kufelek i obdarzyła jednym z nieokreślonych, zasupłanych uśmiechów). Ale, w przeciwieństwie do Rose Hindmarch, podczas jednego pobytu nie byłbyś w stanie zrozumieć nastroju i znaczenia Legionu Nadeau. Przepływające przed tobą twarze i krótkie skrawki zasłyszanych rozmów będą pozbawione sensownego kontekstu, jakbyś obserwował pojedynczą scenę, wyrwaną przypadkowo z niezwykle długiej i zawilej sztuki. Przy najmniejszej próbie sprowokowanego rozpoznania spotkałbyś się z odpowiadającą jej próbą zbiccia z tropu; przelotne spojrzenie na „życie w Nadeau w sobotni wieczór” więcej zataja, niż odkrywa. Chociaż bacznie się przysłuchujesz (i być może robisz notatki), scena przed tobą nigdy nie odsłoni całej pełni znaczenia. Rozmawiający są pewni, że wszyscy wiedzą, o co chodzi (Hy Crombie, Sel Ross, bliźniacy Switazerowie oraz ich grube, uśmiechnięte żony), a rzucane aluzje są różnorodne, ulotne i osadzone w długich, wspólnie dzielonych historiach. To prawda, że tutaj, w Legionie, nie zwracają uwagi na obcych, że są zamroczeni piwem, ale nie ma w tym niegrzeczności ani chęci zatajania informacji. To samo może się zdarzyć, gdybyś zaszedł do *Buffalo Bingo* w piwnicy hotelu „Nadeau” lub wstąpił do jednego z miłych starych domostw na ulicy Drugiej, gdzie ludzie (dwoje, troje lub czworo - liczba się zmienia) zbierają się, żeby wspólnie spędzić wieczór.

Tęgi Homer Hart o wrażliwej twarzy siedzi na przykład w swoim saloniku, tasując karty i słuchając, jak Rose Hindmarch papie o sympozjum w Toronto.

- Brałem kiedyś udział w sympozjum - mówi po chwili. - W Lake Placid. Było bardzo interesujące, jeśli dobrze pamiętam.

- Czego nie mogę pojąć, to dlaczego zadali sobie tyle kłopotu, żeby zaprosić właśnie mnie - dziwi się Rose i spogląda na siedzących przy brydżowym stoliku. Mieszkały razem z matką w tym domu, zanim kupili

go Hartowie, ale było to chyba wieki temu.

- Przekładasz, Rose - ponagla Belle Waterman, wyraźnie zniecierpliwiona. Zaproszono ją dzisiaj na czwartego, żeby zastąpiła Daisy, która jest jeszcze na Florydzie. Dzieje się tak co roku o tej porze.

- A ja nie rozumiem, dlaczego, u diabła, nie mieli cię zaprosić - mówi Homer. - Przecież jesteś ekspertem. Rose. Jeśli w ogóle ktoś coś wie o Mary Swann, to tylko ty. Jesteś jedyną osobą, która ją naprawdę знаła.

- No tak - ustępuje Rose - być może. Ale jak pomyślę, kto tam jeszcze będzie, jestem po prostu wstrząśnięta! Sami naukowcy i tak dalej.

- Naukowcy, hę?

- Co do jednego. Wybitni w swojej dziedzinie. Morton Jimroy pisze książki, biografie, historie życia sławnych ludzi. Także profesor Lang. Był tu kiedyś w Nadeau raz, nie, dwa razy. I może Sara Maloney tam będzie.

- O, Sara! - To Homer, który poznał Sarę Maloney, kiedy przyjechała do Nadeau pięć lat temu.

- Właściwie to pani doktor Maloney - wyjaśnia Rose pozostałym. - Dowiedziałam się już po jej odwiedzinach. Chyba ma stopień doktora filozofii. Ale nigdy byście się tego nie domyślili.

- Co licytujesz? - pyta Floyd Sears, mężczyzna z czerwoną, pergaminową twarzą; grywa w brydza regularnie co sobotę. Jego żona, Bea, chodzi grać w bingo.

- Dwa trefle.

- Aha. Znowu jesteśmy przy treflach, tak?

- Nie mam dzisiaj szczęśliwej passy. Ani razu nie miałam jeszcze dobrej karty.

- No cóż, Rose, uważam, że to fantastyczne. Zaslugujesz na to zaproszenie, słowo daję. Spójrz, ile już działałaś, zarządzając salę w muzeum.

- To brzmi rzeczywiście ho-ho-ho.

- Teraz sobie przypominam - wtrąca Homer - to było sympozjum o Platonie...

- No dobra, cztery trefle.

- Pas.

- Niech tylko nie oczekują, żebym wzięła udział w dyskusji - zarzeka się Rose. - Nawet gdyby chcieli, nie ośmieliłabym się otworzyć ust.

- Wcale ci się nie dziwię.

- No, nie, Rose, to do ciebie niepodobne. Nigdy dotąd nie zauważyłem, żebyś była nieśmiała czy żebyś się wahała.

- Cóż...

- Cóż, jeśli pytasz mnie o zdanie - odzywa się Belle - znasz się na tej sprawie lepiej niż ktokolwiek z nich. Pewnie, oni może i piszą książki, a ty nie, ale tylko ty rzeczywiście znałaś panią Swann. Czy chociaż jeden z nich kiedyś się z nią spotkał? To znaczy twarzą w twarz? Nie!

- Hm - mówi powoli Rose, rozglądając się wokół stołu. - Nie, chyba nie.

- A widzisz! Ty jedna wiesz, co i jak naprawdę było; wiadomości z pierwszej ręki. Dowiedziałaś się bez tych wszystkich profesorów i pisarzy. Ty znałaś Mary Swann. Osobiście.

- I to prawda, Rose - potwierdza Homer. W jego głosie jest czułość, w twarzy również.

- A jednak...

- Atu.

- Cholera! Przepraszam za mój francuski.

- Ale przecież nie znałam jej aż tak dobrze.

- Nikt jej nie znał aż tak dobrze, jeśli o to chodzi. Sam nigdy nie zamieniłem z nią więcej niż dwa słowa. No, może jakieś: „ładny dzień”, czy coś w tym rodzaju, jeśli się zdarzyło, że przyszła na pocztę. A ona niewiele więcej odpowiadała.

- Gadułą nie była pani Swann, to pewne.

- Robiła lalki na Jesienny Jarmark. Pamiętacie?

- Ale chyba tylko raz.

- Straszna z niej była dziwaczka - dodaje Foyd Sears. - Bea zawsze to mówiła.

- Właściwie nie nazwałbym jej dziwaczką.

- Tylko dziwną? - Rose obrzuca rozmówców spojrzeniem.

Homera poznała, gdy miała sześć lat, Belle Waterman, gdy miała pięć, Floyda Searsa zna od... nie może sobie przypomnieć; Floyda zna od zawsze.

- U diabła, przecież poeci muszą być dziwni, czy nie tak?

- Według mnie wcale nie była taka dziwna. Po prostu znerwicowana i tyle. I musiała się wstydzić, jak wygląda; co też ona miała nieraz na sobie!

- Pamiętacie wiersz o tej wielkiej burzy śnieżnej? Kiedy to właściwie było?

- Matko moja! tak, doskonale pamiętam.

- W pięćdziesiątym dziewiątym, w listopadzie. Spadło dwadzieścia

dwa cale. O rany, kupa śniegu, a zaspę! Nigdy tego nie zapomnę.

- Jak ten czas leci!

- Im człowiek starszy, tym prędzej...

- To był ładny wiersz. Naprawdę ładny. Wiesz, Rose, o którym mówię? Był w gazecie. Wszystko o bieli...

- Pogrzebana w ślubnej bieli - mówi Rose. - W każdym razie tak się jakoś zaczynał.

- W ślubnej bieli?

- Jak suknia panny młodej. Porównywała ją do...

- Aha!

- Ktoś chce kawy? - proponuje Homer, dźwigając się z krzesła. - Czy wystarczy herbata?

- Czekaj, pomogę ci.

- Była tylko trochę nieśmiała, tak myślę. Mary Swann należała do nieśmiałych kobiet. Trochę wsiowa, chyba się ze mną zgodzicie. Nie lubiła gadać po próżnicy.

- No, a teraz jest sławna. Czy nie tak, Rose?

- Hm...

- Musi, u diabła, być sławna, skoro ci wszyscy ludzie zbierają się w Toronto na... co to ma być właściwie?

- Sympozjum.

- Sympozjum o Platonie, przypomniałem sobie...

- Biedna pani Swann. Wyglądała zawsze, jakby była wystraszona, taki bojaźliwy typ. Nigdy nie miała grosza przy duszy. Jak kupowała znaczek na list, to zawsze tylko jeden. Choć to prawda, że ludzie ze wsi tak wtedy robili.

- To były cholernie ciężkie czasy.

- Tylko jeden znaczek za każdym razem. Wyobraźcie sobie!

- Przepraszam was, kochani - przerywa Homer. - Mam jedynie kupne ciasteczka. Czekoladowe herbatniczki.

- Ale smaczne.

- Dzięki, Homer, chętnie.

- No i chociaż jej nie ma, ale dzięki niej nasze miasto zaistniało na mapie. Dzięki Mary Swann. Nigdy nic nie wiadomo.

- Nadeau w Ontario, gdzie żyła Mary Swann.

- Sławna na cały świat poetka.

- Pamiętacie to czarne palto, w którym stale chodziła?

- Ja pamiętam jej trampki. Biedaczka. Przychodziła do *Red and White* w tych cholernych starych trampkach.

- Biedaczka.

- Nie była wcale taka stara. Nie można powiedzieć, że pięćdziesiątka to starość.
- Nie dzisiaj w każdym razie.
- Ani wtedy też.
- Kto wie, mogłaby napisać o wiele więcej książek z wierszami, gdyby pożyła jeszcze z dziesięć albo dwadzieścia lat.
- Bracie, ta kobita naprawdę umiała pisać wiersze. Jeden zrobił na mnie duże wrażenie. O cielaku, co się topił. Pamięta ktoś z was ten wiersz?
- Był chyba w gazecie w Elgin, jeśli się nie mylę.
- Okropnie smutny. Ale i wzruszający.
- Miała talent. Trzeba rzeczywiście mieć talent, żeby pisać wiersze.
- Jak to nigdy nie wiadomo, to znaczy, kiedy się kogoś widzi, jaki talent chowa pod korcem.
- Jaka ona była, Rose? Przecież ta kobita musiała się czasem przy tobie ożywiać. Kiedy przychodziła pożyczać książki?
- Nie za bardzo, Wtedy jeszcze biblioteka była w podziemiu kościoła. Kiedy ją przeniesiono z urzędu pocztowego...
- No dobrze, ale jaka ona była? Zamknięta jak w skorupie orzecha? Jak byś ją opisała?
- Och, gawędziłyśmy sobie o tym i owym. O pogodzie. Znałam trochę jej córkę, Frances, ze szkoły. Pytałam, jak się Frances powodzi w Kalifornii, takie różne rzeczy.
- To była ładna dziewczyna, Frances.
- Pewnie jeszcze jest. Nie jakaś wyjątkowa piękność, ale za młodu szykowna dziewczyna.
- I dostała stypendium królowej. Nieźle, jak pomyśleć...
- Jej mąż to gruba ryba, słyszałem. Jeździ po całym świecie i uczy ludzi, jak mają inwestować pieniądze. Napisał książkę...
- Naprawdę?
- No, pani Swann musiało być cholernie ciężko kształcić dzieciaka, nie mając grosza przy duszy.
- A Frances zawsze była czyściutka. I dobrze wychowana. To trzeba o niej powiedzieć.
- Biedna pani Swann. Co to za życie było dla kobiety z jej zdolnościami? Tkwić na nic niewartej farmie z nic niewartym mężem...
- Ale wyszła za niego. Musiała, bracie, myśleć, że jest okej. W każdym razie na początku.
- Cóż, kiedy się przekonała, że jest inaczej, prawda?
- Ano, przekonała się. Bolesnie, na własnej skórze.



- Rzecz jasna, nigdy nie poznamy całej historii.
- To prawda, to prawda. Do tego potrzeba dwojga. Tak mi właśnie wtedy powiedziała Bea.
- Dwojga, żeby wplątać się w kłopoty.
- Biedna Mary Swann.
- Zabawne, jak czasem wszystko się odmienia. I to z dnia na dzień. Nigdy nie wiadomo, co się może w życiu zdarzyć.

## *Bezladne rozmyślania Rose Hindmarch*

Nie obchodzą już nas żywoty świętych, a jednak łakniemy własnej świętości.

O tym, lub o czymś podobnym, myśli Rose Hindmarch, kiedy pochyla głowę w czasie cichej medytacji w niedzielny poranek. I to tak rozwlekłej cichej medytacji! Nowy pastor, Bob Holly, który przyjeżdża z Kingston w niedzielę rano, żeby odprawić poranne nabożeństwo w Nadeau (jego młoda żona siedzi na zewnątrz, w pontiacu, rozwiązując krzyżówkę, a obok niej na siedzeniu leży drugie śniadanie przygotowane na piknik), narzuca, z jakichś sobie tylko wiadomych względów, męcząco długie okresy cichej modlitwy, czasem trwające nawet pięć minut. Tego ranka poleca kongregacji modlić się za walki w Południowej Afryce, co jest w porządku, jednak Rose nie jest w stanie skupić myśli. Czarne dzielnice, kolczaste druty; coś wpływa w pobożną ciszę kościoła, jakaś oleista substancja o zielonej barwie, a potem znowu wypływa. „Ojczyzna” - zaczyna Rose, ale wypełnia ją niepokoje.

Nie powinna była przychodzić, nie dzisiaj, nie w tym stanie, dręczona zdradą własnego nieszczęśliwego ciała. Lubi wpływać do wnętrza kościoła z uczuciem lekkości i suchości sprasowanego liścia dębu. A dzisiaj wczesnym rankiem po obudzeniu się znalazła między nogami kałużę krwi. Po jedenastu miesiącach - taka rzecz! Odór i lepkość doprowadziły ją do łez, a kiedy płukała prześcieradła w wannie, wyrwał jej się ostry krzyk udręki. Coś takiego!

- Coś się stało, Rose?! - wrzasnęła z dołu Jean Elton.

- Nic takiego! - odkrzyknęła Rose wesoło. - Wszystko świetnie.

Zdecydowała, że zostanie w domu, nie pójdzie do kościoła. Potem zmieniła zamiar.

W nieliczne niedzielne poranki, kiedy zostawała w domu, siadywała

sztywno, jakby ją kto przykleił, na brokatowej kanapie we frontowym pokoju i czuła, jak samotność przedmucha jej ciało. Najdłuższą godziną tygodnia jest ta, którą wyszarpniemy z maszynierii nawyków.

Święty, święty, święty Pan Bóg Wszechmocny,  
O wczesnym dniu wznosimy do Ciebie naszą pieśń.

Już lepiej, o wiele lepiej mimo wszystko siedzieć tutaj, w surowym świetle woskowych świec, z pochyloną głową, modląc się. „Ojcze nasz”...

Jak zawsze Rose ma oczy wpółotwarte i kieruje modlitwy w stronę balustrady odgradzającej pulpit, balustrady składającej się z czterech sosnowych płaszczyzn uwieńczonych śliczną listwą rzeźbionych liści. Uroda tego rzeźbienia, które według zasad powinno być neutralne, stanowi poważne wyzwanie dla Rose Hindmarch, która musiała w życiu dokonać kilku moralnych wyborów. Stąd, gdzie siedzi tego ranka, z szóstego rzędu, widzi światło lśniące pomiędzy listkami, i do tych oświetlonych przestrzeni adresuje swoje modlitwy, a raczej pytania. Dlaczego? - zazwyczaj pyta, a owe „dlaczego” bombardują jak elektrony - dlaczego, na przykład, myśli tego ranka o Mary Swann zamiast o biskupie Desmondzie Tutu i Nelsonie Mandeli?

To zadziwiający fakt, że Mary Swann nigdy nie chodziła do kościoła, a przynajmniej, jak dotąd, nikt o tym nie wiedział.

Zadziwiające, ponieważ w każdym jej wierszu jest co najmniej jedna linijka, którą można uważać za religijną. Morton Jimroy zwrócił na to uwagę Rose, kiedy odwiedził Nadeau rok temu. Nie, już blisko półtora roku temu. Jak ten czas leci - myśli Rose. Był nadzwyczaj uprzejmy, przeciągał odwiedziny w muzeum, wyraźnie oczarowany eksponatami, zwłaszcza dwiema fotografiami Mary Swann, zadawał też mnóstwo pytań, kiwał głową i robił notatki. Zaprosił Rose na obiad w starym hotelu w Elgin.

- Nie musi pan mnie zapraszać - protestowała.

- Ale chcę - nalegał. - Naprawdę chcę.

Wziął do restauracji swój egzemplarz „Łabędzich pieśni”, dosyć zresztą sponiewierany i niezbyt czysty. A kiedy już zamówili podwójną porcję wieprzowych kotletów z tłuczonymi ziemniakami, rzepą i ogromną ilością jabłkowego sosu, pokazał Rose te linijki wierszy Mary Swann, które, jak uważał, ukazują jej głębokie religijne porywy.

- Tutaj - mówił, wskazując cierpliwie palcem - i tu. I tu.

- Rozumiem, co pan ma na myśli - odezwała się po chwili Rose, zdezorientowana.

- Proszę spojrzeć na ten wers - powiedział Morton Jimroy. - To odniesienie do wody - kapitalny wers, prawda? - który jasno wyraża pragnienie chrztu, swego rodzaju akceptacji. Lub nawet przebaczenia.

- Czy nie myśli pan... - zaczęła Rose. - Chcę powiedzieć, że, jak panu może wiadomo, na terenie farmy Swannów nie ma żadnej studni.

- Oczywiście, oczywiście, ale patrząc z innej strony - wpadł w ton wykładowcy - prawdziwa poezja funkcjonuje na różnych płaszczyznach. A w twórczości Mary Swann impuls duchowy odbija się światłem w każdym szczególe pogody, zwyczaju czy zwykłego przedmiotu. Poszukiwanie duchowości. Pożądanie duchowości.

Duchowość u Mary Swann? Tej kobiety o grubych rysach, która ani razu nie poszła do kościoła? (Chociaż zawsze - powiedziała Rose Mortonowi Jimroyowi - darowywała kilka swoich szydełkowych robótek na Jesienny Jarmark).

- Ależ dlaczego nie? - naciskał Jimroy. Siedział naprzeciw niej przy małym stoliku, jedną ręką zwijając rozek papierowej podkładki pod talerze, drugą sięgając po ołówek do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Dlaczego, jak pani myśli, była tak pobożnie daleka od kościoła, proszę wybaczyć ten żarcik. Dlaczego nie chodziła do kościoła?

- Może z powodu ubrania - odważyła się powiedzieć Rose. Zdawała sobie sprawę, że przepenia ją hałaśliwa szczęśliwość. Tylko raz w życiu była dotychczas zaproszona na obiad przez mężczyznę, a był nim Homer Hart, na wiele lat przed ślubem z Daisy.

- Ubrania? - Ołówek Jimroya poruszał się szybko.

- Hm, może nie miała właściwego stroju. Czegoś, w czym można pójść do kościoła, wie pan.

- Tak pani myśli? Naprawdę?

Spostrzegła, że jest zawiedziony.

- Tak - potwierdziła. - Myślę, że to musiało być przyczyną.

- A nie przypuszcza pani, że duchowość Mary Swann była, hm, nie tak wyraźnie sprecyzowana jak u ludzi, którzy regularnie uczęszczają do kościoła w tej okolicy? Że nie mieściła się niejako w granicach kościelnej doktryny? - Przyjrzał się Rose uważnie. - Jeśli pani rozumie, co mam na myśli.

- Rozumiem, co pan ma na myśli, panie... to znaczy Mortonie.

Ale ja naprawdę uważam, no cóż, że to była kwestia braku odpowiedniego ubrania.

- Ona to pani powiedziała?

- Och, na litość boską, nie! Po prostu czuję, że tak było.

- O?!

- Wiem, że to brzmi głupio, ale kilka lat temu było inaczej niż teraz. Po prostu nie można było iść do kościoła bez kapelusza, nie w Nadeau przynajmniej, i nie do Zjednoczonego Kościoła. I bez rękawiczek. Pani Swann nie miała ani kapelusza, ani rękawiczek. No, może robocze rękawice, ale nie miała ani przyzwoitej sukni na niedzielę, ani pończoch, ani nic takiego.

Złączył czubki palców.

- Chyba ją widzę - zawahał się - jako osobę, której wiara jest niezwykle prymitywna i mistyczna. Czy tak ją pani spostrzegła, panno Hindmarch?

- Rose - upomniała go.

- Rose, naturalnie. Czy tak ją...

- Ja, hm, myślę, że tak. - Skinęła głową, co miało oznaczać tolerancję i wielkoduszność.

- Jak w tej strofie? - otworzył książkę ponownie i czytał głośno. (Rose była zadowolona, że w sali jadalnej nie było nikogo poza nimi).

Krew po imieniu mnie nazywa  
Pęcherzem wstydu dzień okrywa  
Marnuje to czego mam mało,  
Zabiera czas i ściera ciało.

Rose czekała, pełna szacunku, dotykając ręką broszki.

- I cóż - powiedział Jimroy, może trochę za głośno. - To mi się wydaje - oczywiście pani może się z tym nie zgodzić - ale dla mnie to się bezpośrednio odnosi do sakramentu komunii świętej. A być może, i to jest moja teza, może jeszcze bardziej do żywiołowego przymierza krwi, zjedania boskiej głowy, i tego rodzaju rzeczy.

Rose milczała, nie chcąc go powtórnie rozczarować. Nie była zresztą w stanie wymówić słowa: menstruacja. Wolałaby umrzeć. To słowo zawsze ją niepokoiło. Skinęła głową, najpierw z wahaniem, potem energicznie. I dalej przeżuwała mięso. Odkroiła tłuszcz, uważała bowiem, że zjedzenie go byłoby nietaktem, ale było to nie lada poświęcenie, tak go lubiła!

Na deser zaproponowano do wyboru ryżowy pudding i ciasto z rabbarem. Rose się zdawało, że Morton Jimroy lekko się wzdrygnął, gdy

mu to przedstawiono, i przez chwilę nie mógł podjąć decyzji, ale potem zaakceptował pudding. A kiedy go podano, bezkształtną masę przetykaną rodzynkami, przesuwał ją odwrotną stroną łyżki z jednego brzegu talerza na drugi, wciąż jeszcze tropiąc sens wiersza Mary Swann o krwi.

- Poeta - pouczał Rose - potrafi mówić o takich stanach świadomości, o których osobiście nie ma żadnej wiedzy.

- Ale jak? - kiwnęła ręką trochę zbyt radośnie.

Jimroy podniósł wzrok na sufit z tłoczonej blachy, jakby kwadratowe wzory miały klucz do jego teorii.

- Bardzo dużo o tym myślałem - powiedział. - Co odróżnia poetów od reszty ludzi? A mówię o niezwykłych poetach, którzy przewyższają o głowę wdzięczących się małych wierszokletów gazetowych. To, że prawdziwi poeci dźwigają o wiele większą część pamięci ludzkiej rasy niż my, gorsze istoty.

Rose się uśmiechnęła, bo wcale nie była niezadowolona, że została zaliczona do kategorii gorszych istot, gdzie pan Jimroy, Morton, najwyraźniej umieszczał i siebie. On zaś ciągnął dalej:

- Ich rzeczywiste doświadczenie, wszystko, co im się przydarza w życiu, jest w zasadzie bez znaczenia. To genetyczna predyspozycja, mutacja, oczywiście, która ich ponagla, pcha naprzód, dzięki czemu przesącza się przez nich szersza wiedza.

- Obawiam się, że niezupełnie rozumiem - rzekła Rose.

Nie było to całkowitą prawdą. Rozumiała, o czym mówił, ale sądziła, że na miejscu będzie pokora.

Jimroy perorował, gestykulując:

- To jest właśnie główna tajemnica poetów, panno Hindmarch. Badamy korzenie naszych poetów, ich źródła, doświadczenia, z których czerpią, i nic z tego nie wynika. Nigdy. Jest jednak coś, czego pani - nareszcie spojrzal Rose prosto w oczy - czego pani i ja nie umiemy wytłumaczyć. Można to nazwać dodatkowym wymiarem. Trzecim okiem.

Z niewiadomego powodu Rose czuła się niegodna tej wnikliwej analizy. Poczowała przyływ prawdziwej pokory i pragnęła, żeby Jimroy przestał na nią patrzeć.

- Rozumiem - powiedziała niejasno.

- Weźmy na przykład dogłębne uczucie zwane *Angst* - rzekł Jimroy.

- *Angst*? - Rose spuściła oczy i dziabnęła swoje ciastko.

Wiedziała, że pani Ryan w obszernym fartuchu stoi w drzwiach do kuchni. Normalnie w sobotnie wieczory hotelową restaurację zamykano o ósmej.

- Może lepszym słowem jest „rozpac” - sprostował uprzejmie Jimroy. - Nie sędę, żeby nasza Swann czytała egzystencjalistów, w każdym razie nie ma na to konkretnych dowodów, ale z całą pewnością była dotknięta sączącą się rozpaczą, którą ocieka nasze stulecie.

- Myślę, że wszyscy jesteśmy nią dotknięci - zauważyła Rose. - Wszyscy. Wiem, ja także mam chwile depresji...

Jimroy odsunął na bok nie zjedzony pudding. Pochylił się do przodu.

- Ale, widzi pani, Swann miała rzadki dar przetłumaczenia swojej rozpacz. Nie pisała wierszy o smutkach gospodyni domowej. Mówiła o uniwersalnym poczuciu straty i wyobcowania, a nie o psujących się pralkach czy też...

- Och - wtrąciła Rose. - Swannowie nie mieli pralki.

- Słucham?

- Maszyny do prania. Nie mieli pralki. - Czują się w obowiązku wyjaśnić. - Oczywiście byli w okolicy i tacy, co mieli pralki nawet w tamtych czasach, ale zaopatrzenie w wodę tam, na farmie Swannów...

Jimroy wyglądał na zmęczonego.

- Posłużyłem się pralką jako przykładem - wyjaśnił. - Była tylko metaforą dla, hm, dla wszystkiego, co nie jest duchową stroną życia.

Niemniej wyciągnął ołówek i coś zanotował.

- Miałem na myśli to, że percepcja wielkich poetów, gdy piszą, jest ogólna, uniwersalna, a wiersz Mary Swann o krwi moim zdaniem stanowi główną, natchnioną deklarację.

Przerwał, by się upewnić, czy Rose nadaża za argumentami.

- Widzi pani, krew jest symbolem. Przedstawia kontinuum wierzeń, metafizyczne przymierze z niewytłumaczalnym wszechświatem.

- Tak - zgodziła się Rose i zamknęła usta.

„Odwagi, odwagi” - mówiła sobie - słowo, które nauczyła się rozpościerać w mózgu, ilekroć rodziła się w niej straszliwa nieśmiałość. Natychmiast zaczynała głośniej mówić - miała nadzieję, że niezbyt piskliwie - i nabierała odwagi.

- Ale widzi pan - zaczęła - pani Swann była kobietą i...

- Tak?

- Nie, to nieważne.

- Wszystko jest ważne.

- Nie pamiętam już, co chciałam powiedzieć. - Spuściła wzrok na

ciastko z rabarbarem i ślubowała sobie, że nie zepsuje reszty wieczoru.

- Ojciec nasz - powtarza tego niedzielnego poranka, zwracając się ku rzeźbionym listkom na balustradzie pulpitu. - Pozbaw mnie tego, odejmij mi to. Spraw, niech ustanie, gdy wyjdę z kościoła.

Pan Jimroy napisał miły list, dziękując jej za pomoc. Odpisała: „Ależ to ja powinnam dziękować Panu. Była to dla mnie wielka przyjemność”...

Wielka przyjemność. I zaszczyt. Morton Jimroy był przecież sławnym autorem. Dopiero później zdała sobie sprawę, jak bardzo sławnym. Znalazł się w „Kto jest kim”. Wypatrzyła go. Był światowym autorytetem. Wiedział o poezji wszystko, co tylko można, łącznie z tym, o czym ona traktuje. Z wyjątkiem wiersza Mary Swann - nie mógł jakoś pojąć jego prawdziwego sensu. Naturalnie, jest mężczyzną, w dodatku nieżonatym czy będącym w separacji - wspominał coś o byłej żonie - a może mężczyźni skłonni są przeoczyć rzecz całkowicie jasną dla kobiet. A może uważał ją za kłopotliwą albo nieczystą; ani trochę nie miałyby mu tego za złe. Rose wydawało się to oczywiste, ale ona nie jest przecież żadnym autorytetem, a poezja bywa tak... tak niejasna. A jednak była pewna, stuprocentowo pewna, o czym mówiła Mary Swann. Rose podejrzewała, że musiała się obejść starymi szmatami, jak do tej pory robią czasem wiejskie kobiety. Wiecznie bez grosza przy duszy, biedna kobieta. I żadnej sukni odpowiedniej do kościoła; jeszcze jedna sprawa, w której pan Jimroy nie mógł się jakoś zorientować, chociaż może w końcu zrozumiał. W każdym razie zrobił sporo notatek, kiedy ona mówiła i mówiła.

To było naprawdę cudowne, jak uważnie przysłuchiwał się wszystkiemu, najdrobniejszej nawet uwadze o Mary Swann, obojętne jak drobnej czy błahej. Kiedy siedziała tam, rozmawiając i rozmawiając, zdała sobie sprawę, że go właściwie nie lubi. Ale chciała, żeby on ją lubił. Był zbyt niespokojny, jakoś zbyt zachłanny, ale pod niepokojem i zachłannością było jeszcze coś innego, jakiś naiwny pęd, który dorównywał jej własnemu, jawnemu niedoświadczeniu. „Odwagi” - powiedziała sobie i zaczęła opowiadać inną anegdotę.

- Pewnego dnia pani Swann i ja...

Chciał usłyszeć o wszystkim. Proszę mi powiedzieć, jak wyglądała - słynny autor i uczonego prosił Rose Hindmarch, miejscową bibliotekarkę. Jak Mary Swann się czesała? Jak chodziła? Jaki miała głos? Czy pani

rozmawiała z nią czasem o poezji? O czym zwykle rozmawiałyście? I o czym jeszcze?

Był cierpliwy, czekał, aż znalazła właściwe słowa i uporządkowała wspomnienia. Oczy mu płonęły.

- Nadzwyczajne - mówił i robił notatkę. - Bezcenne! - A potem: - Proszę mówić dalej...

Zapełnił jeden notes i zaczął drugi.

- Teraz niech mi pani powie, panno Hindmarch, Rose, czy dyskutowałyście czasem...

Wydawał się szczęśliwy, gdy siedział w hotelu „Elgin”, wychylając się skwapliwie do przodu, zapominając o puddingu. A ona? Ona także czuła się szczęśliwa, jak gąbka nasączona poczuciem użyteczności, że chociaż raz została włączona w coś, co ma znaczenie: *Szczupła w ramionach Rose Hindmarch, tutejsza znawczyni sprawy Mary Swann, kobieta obdarzona niezwykłą pamięcią i posiadająca dar szczegółu, zdolna do zapamiętania całej rozmowy słowo w słowo, zdolna ustalić dokładne daty dotyczące... epizody, które miały miejsce w dalekiej przeszłości... i...*

Podał jej rękę na pożegnanie. Pragnęła, żeby jeszcze został, ale uściśnął jej dłoń pośpiesznie, jakby już nie mógł się doczekać, żeby zasiać znowu przy maszynie, zanim to, co powiedziała, zblednie. Odrobinę zawiedziona, a nawet trochę łzawa, chciała przytrzymać dłużej jego rękę i wyrzucić z siebie coś jeszcze. Cokolwiek: „Zapomniałam powiedzieć panu o tym, jak Mary i ja”...

Później, w kościele, po powrocie Mortona do Winnipeg, błagała drewnianą balustradę pulpitu o przebaczenie. Wcale nie miała zamiaru mówić nieprawdę. Nie było jej intencją wyolbrzymianie przyjaźni z Mary Swann. Przyjaźni! Prawdą było, iż nie robiła nic więcej ponad to, że spędzała część dnia z Mary Swann. „Dzień dobry, pani Swann. Ładną mamy pogodę, pani Swann. Tylko patrzeć, jak śnieżek spadnie”.

Nie chodziły razem na długie spacery. Ani razu nie omawiały książek, jakie pani Swann wypożyczała z biblioteki. Mary Swann nie dawała Rose Hindmarch swoich wierszy do przeczytania, żeby powiedziała, co o nich myśli. Nie rozmawiały - i to nigdy - o wspólnie głęboko odczuwanych doznaniach dotyczących literatury, rodziny lub przyrody. Nic takiego nie miało miejsca. To mit, że ludzie z wiejskich środowisk wszyscy się znają i wszystko o sobie wiedzą. Mary Swann była całkowicie obcą osobą dla Rose Hindmarch, tak samo zresztą jak dla każdego mieszkańca



Nadeau, w stanie Ontario. Całkowicie zamknięta w sobie - oto jaka była Mary Swann.

„Przebacz mi, przebacz mi! Wybacz mi grzech mijania się z prawdą”.

Nasze najbardziej nieprawdopodobne modlitwy bywają wysłuchane. Z upływem tygodni Rose poczuła się rozgrzeszona. Jej wina zaczęła tracić na znaczeniu z zadziwiającą szybkością już w kilka dni po wizycie Jimroya, choć na długo przedtem, nim poczuła balsam całkowitego wybaczenia. Nie przyszło ono zwykłą drogą cyklu spowiedzi i rozgrzeszenia, kary i przebaczenia, ale przez z grubsza oszacowaną równowagę wzajemnych wykroczeń. Istoty ludzkie nie są bez skazy; taka jest rzeczywistość. Rose daleko jest do moralnej doskonałości. Tak samo daleko jest Mortonowi Jimroyowi. Ich niedoskonałości, zderzając się gdzieś na błękitnym niebie, pomiędzy stanami Ontario i Manitoba, łączyły się i skreślały wzajemnie. Gdyż to Morton Jimroy zabrał - to znaczy ukradł, nie ma co owijać w bawełnę - fotografię Mary Swann z muzeum w Nadeau. Nie było co do tego wątpliwości. Prawdopodobnie, jak sądzi Rose, wsunął ją pod kurtkę, kiedy patrzyła w inną stronę. Tak, jest przekonana, że tak się właśnie stało. Były dwie fotografie: jedna, trochę niewyraźna, na której Mary stoi w słońcu; druga, znacznie wyraźniejsza, ukazująca kamienną twarz bez uśmiechu, z szeroko otwartymi oczami i z zaciśniętymi wargami, które pilnie strzegły sekretów. Właśnie to drugie zdjęcie zniknęło. A tego dnia w muzeum nie było zwiedzających, ani jednego.

Pierwszą jej myślą było napisanie do Jimroya i oskarżenie go wprost: „Drogi Panie Jimroy, obawiam się, że muszę poprosić Pana o zwrot”...

Ale ten impuls zgasł niemal natychmiast. Mijały tygodnie.

Przeszło kilka miesięcy. Teraz, jeśli w ogóle myśli o fotografii, to z poczuciem, że jest w rękach prawego właściciela. (Tak samo słuszne jest, że notatnik Mary Swann ma dr Maloney, Sara). Uświadamiając to sobie, doświadcza cichego przyływu ulgi. Dokonał się akt restytucji, nieokreślone zło zostało naprawione. A jeśli chodzi o Jimroya - coraz bardziej go lubiła. Jego przyjaźń, jego zaufanie jest namaszczeniem, którego pragnęła, a wieczór w hotelu „Elgin” lśni jak jeden z malowanych na szkle ptaków, które ludzie wieszają w oknach: oni obydwójce razem, niewinni, pełni radości, a na stoliku między nimi książka Mary Swann. Był moment, kiedy jego dłoń sięgająca po rachunek musnęła jej rękę. Zawstydzła ją, że delektuje się tą chwilą, gdyż wie, że był to tylko

przypadek, który inni odrzuciliby jako bezwartościowy. A jednak ten moment należy do niej i nic jej nie zmusi, żeby się go wyrzekła.

## *Rose Hindmarch nawiedza listopadowa chandra*

Wieża ciśnień na skraju miasta jest zwieńczona śniegiem, chociaż to dopiero połowa listopada. Od dwóch dni śnieg pada nieprzerwanie. Jezioro całe zasypane. Na bocznych drogach, a także na małych, prostych uliczkach Nadeau pełno białego puchu. A nad miasteczkiem zwiesza się kurzące bielą niebo późnego popołudnia. Akwarelista, który próbowałby uchwycić ten widok, potrzebowałby tylko niewielkiej palety barw: białej, niebieskiej i odrobiny fioletu. Fiolet, szczególnie późnym popołudniem, niesie z sobą potęgę melancholii.

Przez śnieg przedziera się jakiś ludzki kształt, trudny do rozróżnienia. Tak, to kobieta; tak, to ktoś już niemłody, postać opatulona dla ochrony przed śnieżycą, poruszająca się niezgrabnie, idąca z widocznym trudem, jakby ją coś bolało. To Rose Hindmarch z wielką torbą zakupów w objęciach. Czy sądzicie, iż jakaś uprzejma osoba zaproponuje, że ją podwiezie?

No, wreszcie, zza rogu wyjeżdża niebieski volkswagen, a skaczące, nerwowe wycieraczki latają jak szalone. Za kierownicą siedzi Homer Hart, dobrotniwy, tęgi mężczyzna o wypukłej klatce piersiowej, wciśnięty w staromodne palto. Zatrzymuje mały samochód z lekkim poślizgiem, odkręca okienko i odzywa się charakterystycznym, wibrującym tenorem:

- Rose? To ty? Właż, to cię podrzucę do domu.

Zanim Homer zachorował na rozstrój nerwowy, był kierownikiem szkoły średniej w Nadeau. Potem kuracja elektrowstrząsowa wymazała z jego pamięci łacinę i francuski, pozostawiając mu tylko bełkocącą, zająkliwą, piskliwą angielszczyznę.

- To nie jest pogoda, żeby wychodzić z domu, Rose - gdera. - To nie dzień na spacer po mieście.

- Tysiączne dzięki, Homer - mówi Rose, sadowiac się koło niego. - Potrzebowałam kilku rzeczy ze sklepu, więc pomyślałam, że... - Potem hamuje się i pyta: - Wciąż nie ma wiadomości od Daisy?

Homer powoli bierze zakręt.

Ani słowa od dwóch tygodni. Znasz Daisy, jak się już raz znajdzie pod słońcem Florydy...

- Ale pisała, że wraca? W ostatnim liście, zdaje się.

- Pod koniec przyszłego tygodnia, tak mówiła, ale znasz Daisy. - Spogląda na Rose z bolesnym, pozbawionym nadziei uśmiechem. - Co roku zostaje trochę dłużej.

- Teraz już niedługo wróci - pociesza Rose. A potem dodaje z westchnieniem: - Spójrz tylko na śnieg, pewnie go nie zobaczy! Widziałeś kiedy taki śnieg?

Homer chce wnieść na górę torbę z zakupami, ale Rose zapewnia, że da sobie radę.

- Niemniej dziękuję ci, Homer. - I dodaje: - Daj mi znać, gdybyś czego potrzebował, chętnie ci pomogę.

Mnóstwo ludzi mówi to Homerowi. To naturalny odruch - zaproponować pomoc starszemu mężczyźnie, który przez jakiś czas sam prowadzi dom, jest samotny i zagubiony. Oczywiście Homer jest chronicznie zagubiony, toteż ludzie obdarzają go mnóstwem drobnych uprzejmości, które potulnie uczy się przyjmować. Zdarza się to zwłaszcza wtedy, gdy Daisy wyrusza w doroczną podróż na południe.

Rose czeka, żeby Daisy wróciła z Florydy i wlała w nią trochę życia. Daisy oprócz swojej skórzanej opalenizny przywiezie nowy zapas historyjek: o ludziach poznanych u siostry, która mieszka w przyczepie samochodowej na specjalnym parkingu; o tym, z kim grała w brydża; o nowej restauracji, którą odkryła wraz z siostrą na terenie Sarasoty. Na pewno kupiła sobie dwa lub trzy nowe komplety bielizny, a dla Rose szalik koloru tęczy albo naszyjnik z muszelek z Wysepki Świętego Armanda. Rose ma nadzieję, że namówi Daisy, aby wypuściła się z nią do Kingston po przedświąteczne zakupy. Choć Daisy nie trzeba długo namawiać: uwielbia robić zakupy z przyjaciółkami, bierze je pod pachę i skłania przymilnymi słówkami, żeby wejść do *Eatona*, doradza i dzieli się cennymi informacjami. To się dobrze nosi - mówi - a to nie. W tym ci do twarzy, to podkreśli twoją cerę, zakryje szyję, schowa wysunięte łopatki, zmniejszy biust. Daisy ma oko. Niektórzy mówią: złe oko.

Pół roku temu, zaraz po Wielkanocy, Rose dostała pocztą bilecik. Na kopercie był miejscowy znaczek. Zaproszenie na weselne przyjęcie - pomyślała rozradowana Rose; nie była na przyjęciu całe wieki. W środku znalazła kilka ładnie wyglądających, pośpiesznie skreślonych słów - w rogu bilecika niebieski kwiatek. Ktoś pisał drukowanymi literami:

„Droga Rose, jestem Twoją znajomą i nie umiem wymyślić innej drogi, żeby Ci to powiedzieć, ale na brodzie rośnie Ci mały włos. Jest tam już od dłuższego czasu, więc pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć”.

Oczywiście, bilecik nie był podpisany. Rose wiedziała, że mogła go przysłać tylko Daisy Hart.

Zrobiła jej się niedobrze. Nie będzie mogła już nigdy spojrzeć Daisy w oczy. Poszła do łazienki i przejrzała się w lustrze, przechylając głowę, jak tylko mogła. Rzeczywiście był tam mały siwy włos długości mniej więcej cala; mały sztywny włos, zakręcony jak ogonek prosiaka. Usunęła go nożyczkami od manicure i natychmiast poczuła się lepiej, a także życzliwiej usposobiona do Daisy. A teraz co wieczór sprawdza, czy włos nie odrasta. Wymieniła żarówkę w łazience na dwa razy mocniejszą i kupiła małe powiększające lustro, chociaż musi się niemal zmuszać do patrzenia w nie, tak nagle ujawniła się cała kolonia porów obok nosa i siatka zmarszczek pod oczami. Rose ma zamiar poradzić się Daisy, kiedy wróci z Florydy, jaki kupić sobie nowy podkład pod makijaż. Chce jak najlepiej wyglądać na sympozjum poświęconym Mary Swann, od którego to wydarzenia dzieli ją już tylko dwa miesiące. Nie chciałaby wyglądać na zmęczoną i mizerną, ale na rześką i mądrą, nie według ostatniego krzyku mody, byłoby to śmieszne, ale na kogoś, kto ma werwę i świeżość prowincji. *„Mc się pani nie zmieniła, Rose!” - woła Sara Maloney, Morton Jimroy, a także profesor Lang.*

No, przynajmniej udało jej się stracić trochę na wadze. Jak dotąd dwanaście funtów, i to bezboleśnie, bez specjalnej diety czy jedzenia jogurtu. Zagadkowe jest to, że straciła apetyt na czekoladowe lody i już prawie zrezygnowała z wieczornych omeletów. Nie zawraca sobie głowy niczym więcej poza herbatą i grzankami. Niebieska spódnica wisi na niej, jednak męczy ją sama myśl o konieczności zwięzania. Kiedy patrzy w lustro, widzi tylko zamglony obraz. Ale akceptuje fakt, że starzenie się oznacza zniechęcenie wobec własnej twarzy. Ostatnio jest niemal bez przerwy zmęczona, a cóż dopiero mówić o długich godzinach pracy, wieczornych zebraniach i tak dalej. Naturalnie ludzie zwalniają tempo o tej porze roku. Homer nie tak dawno mówił coś takiego, coś o niedobrze żelaza. Na dodatek dochodzi jeszcze zmartwienie z powracającym okresem.

To nie do zniesienia: zaczyna się i ustaje, ustaje i znów się zaczyna. Choćby dzisiaj, w sobotę po południu, Rose musiała iść do miasta do *Red and White*, żeby kupić nową paczkę tamponów. Naturalnie przy

kasie był Stan Fortas, który wielkimi łapskami chwycił pudełko i wrzucając je do torby na zakupy, terkotał niczym karabin maszynowy, jak to planuje tej zimy łowić ryby pod lodem, zupełnie jakby kupowała ryżowe chrupki, a nie sanitarne podpaski, których potrzebuje, żeby zatamować śmieży, mętny, ciemnoczerwony strumień.

Powinna zgłosić się do lekarza. Kobietom w jej wieku stale się przypomina, żeby robiły badania raz do roku. Daisy Hart jeździ dwa razy do roku do kobiecej kliniki w Kingston. Zapyta Daisy, jak tylko wróci, gdzie jest ta klinika, i może zapisze się na badania. Z pewnością nie pójdzie Więcej do doktora Thomsa w Elgin, żeby nawet miała się wykrwawić na śmierć.

- Proszę tylko zsunąć majtki - powiedział skrzypiącym głosem młodego mężczyzny - i spróbować się rozluźnić.

Jakby można się było rozluźnić, kiedy ktoś wpycha ci do wnętrza gumową rękawicę! Cicho zaskomliła z bólu, aż ją zdziwił ten beczący dźwięk, ale gumowa rękawiczka zagłębiła się jeszcze dalej, kręcąc się i badając bezbronną wewnętrzną miążgę jej ciała. Później posadził ją w małym gabinecie i bez żadnych wstępów zaczął zadawać pytania: „Czy pani życie płciowe zadowala panią?” Miała ochotę znowu zaskomlić. Uczuła w krtani coś jakby pokrzywkę. Pióro lekarza zachwiało się niecierpliwie. Udało jej się skinąć głową: „Nie odczuwa pani bólu przy stosunku?” - nie dawał jej spokoju. Potrząsnęła głową, a on zrobił kolejny znaczek: „Libido słabnie czy zanika?” Był bezlitosny, a na to ostatnie pytanie nie mogła ani skinąć, ani potrząsnąć głową, skrzywiła się więc głupawo i leciutko wzruszyła ramionami, za co została nagrodzona jeszcze jednym znaczkiem na karcie pacjenta. Już po chwili mierzył jej ciśnienie i wypytywał o sposób odżywiania, a ona odpowiadała krótko i lodowato, czego zdawał się nie zauważać.

Przez cały następny dzień żołądek Rose burzył się z upokorzenia. Postanowiła, że tam więcej nie pójdzie. Fakt, że jest nowym lekarzem w tej okolicy, pogarszał tylko sprawę, bo wcześniej czy później musiał się dowiedzieć, kim ona jest: dziewczyną urzędniczką w miasteczku, starą panną z biblioteki. Zastanawiała się, czy mógł odgadnąć, jak usypiała w niektóre wieczory, dając zajęcie palcom.

Oświadczył, że jest okazem zdrowia, ale to było pięć lat temu. Co powinna zrobić teraz z upływającą krwią?

Musi się pozbierać - mówi sobie, i potrząsa głową. Zacząć się znowu interesować różnymi sprawami tak jak dawniej. Głowa do góry,

dziewczyno! Umysł ponad materią. Nowy John le Carre na nocnym stoliku, przeczytany dopiero w połowie, ten jednak nie przykuwa uwagi tak jak czytane poprzednio. Akcja tej opowieści rozgrywa się bardzo daleko, ogromnie trudno to sobie wyobrazić. W gruncie rzeczy wszystko wydaje się trochę głupie, okropny galimatias, chociaż pewnie na końcu jakoś się poukłada. Ale dotarcie do końca przekracza w tej chwili jej siły. Taka gruba książka, tyle stron. Czy inne jego powieści też były takie długie? Dziwnie ciężka, trudno utrzymać ją w ręku. Cóż, takie są kłopoty z książkami w twardej oprawie. Inne wydanie, w cienkiej okładce, nie odbierałoby siły rękoma Rose, a teraz bołą ją ramiona i drętwieją palce.

Postanawia, że odłoży powieść le Carre'a dzisiejszego wieczoru i dla przyjemności raz jeszcze przejrzy egzemplarz „Łabędzich pieśni”. Oczywiście zna większość tych wierszy, nawet jeśli ich nie rozumie, ale minęło sporo czasu, od kiedy czytała cały zbiorek od pierwszej strony do ostatniej. Zamierza poważnie zająć się wierszami, poświęcić im więcej uwagi przed zbliżającym się terminem sympozjum. Nie chce sprawiać wrażenia ignorantki. Przecież ludzie będą patrzeć na nią - na nią! - jak na eksperta.

Ale małej książeczki nie ma na zwykłym miejscu pod stojakiem na czasopiśmie. Pewnie wyśliznęła się i spadła na podłogę. No cóż, poszuka jutro rano. Teraz jest zbyt słaba, żeby się schylać. Szczególnie oczy ma zmęczone i ciężą jej powieki; czasem Rose myśli, że są jak dwa ciężkie kamienie, położone na w półmartwej twarzy.

## *Rose i Homer jadą na niedzielną przejażdżkę*

- Czujesz się na siłach, żeby przejechać się do Westport? - Homer pyta Rose dwa tygodnie później.

Dzwoni w środku zimnego, bezwietrznego popołudnia. Właśnie Jean i Howie Eltonowie głośno kłócą się na dole. Jakiś ciężki przedmiot spada na podłogę, pewnie znowu nieostrożność Jean, i Rose słyszy, jak Howie wrzeszczy i trzaska drzwiami kuchennego kredensu; a potem kontrapunkt Jean, która się broni. (Trwa to już ponad godzinę; najpierw Rose przysłuchiwała się skwapliwie, z obezwładniającym uczuciem podniecenia. Potem doszedł do niej jeszcze jeden głośny łomot i

odgłosy płaczu, oczywiście Jean). Rose przykłada wargi do telefonu i szepce do Homera, że tak, że bardzo chętnie pojedzie do Westport, że Bóg go jej zesłał, co - wydaje się - sprawia mu niezmierną przyjemność.

Droga do Westport jest szklista od lodu, a blask bijący od pól pokrytych śniegiem tak oślepiający, że Rose czuje, jak napęnia ją optymizm.

- Och, jak cudownie - mówi. - To wspaniały dzień na przejażdżkę. Po prostu rozkosznie.

Ludzie w Nadeau, a przynajmniej starsi jego mieszkańcy, którzy podpisują się pod ideą niedzielnego „ruchu”, często jadą dwanaście mil do Westport. Jest to miasteczko jeszcze mniejsze od Nadeau, ale ładniejsze. Białe domy z błyszczącymi szybami okien i malowanymi drzwiami nie stoją równymi rzędami jak w Nadeau, lecz są uroczo, asymetrycznie rozrzucone wzdłuż brzegu jeziora. W Westport możesz stanąć tuż nad wodą obok starej budy przewoźnika i podziwiać piękny widok na zatokę, gdzie łowią ryby pod lodem. Potem, jeśli masz ochotę, możesz wstąpić do „Stodoły ze Starociami u Lou”, gdzie niebieskie szklane izolatory i różowe szklane naczynka do przypraw ustawione są na półkach z surowego drewna, a wreszcie możesz rozgrzać się filiżanką kawy z bułeczką w barku „Westport”.

Homer Hart, smarując masłem drugą bułeczkę, jest w wesołym nastroju. Przeczuwa - mówi do Rose - że Daisy wróci do domu pod koniec tygodnia. Jest na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewny, że w poniedziałek rano dostanie list z wiadomością, kiedy przyjeżdża.

Radosne przewidywanie budzi w nim ryzykancką chęć przygód, więc proponuje Rose, żeby wracać do Nadeau boczną drogą. Jest przekonany, że do tej pory musiał tamtędy przejść pług śnieżny. Jeszcze wcześniej, dopiero wpół do czwartej, a tamta droga jest ładniejsza.

- Hm - waha się Rose. - Sama nie wiem...

Ale po chwili się zgadza. Ma skrupuły wobec Jean i zastanawia się, czy dobrze zrobiła, wychodząc z domu. Z drugiej strony, boczna droga jest rzeczywiście ładniejsza, tak jak Homer mówi, nawet jeśli zajmie to trochę więcej czasu. Przez pierwszą milę albo dwie biegnie wzdłuż jeziora, a potem skręca na północ, wijąc się wesoło między niskimi, zaokrąglonymi pagórkami. Rose uświadamia sobie, jaką przyjemność sprawia jej błysk krajobrazu za oknem samochodu, jak zaraża ją dawną gorączką niewinności i odsuwa drobne codzienne przykrości i trudne sprawy.

Jakby narzucono namiot na jej myśli. O krajobraz prześlizgujący się przed oczami nie trzeba się martwić. Przelatuje - i to wszystko - szybki jak mrugnięcie oka, i nie żąda nic w zamian.

Raz za razem wzdłuż bocznej drogi pojawiają się stare farmy, a Rose z pozycji miejskiego urzędnika jest w stanie wymienić nazwę każdej z nich, określić, ile ma akrów i jakie podatki płacą jej mieszkańcy czy ile są winni. O, tutaj mieszka stara Hanna. A tam mieszkali Enrightowie. Przeważnie są to biedne farmy, chociaż głęboka warstwa śniegu nadaje im fałszywy pozór dobrobytu. Gleba pod śniegiem jest chuda i kamienista, nie nadaje się do niczego więcej niż do wypasu bydła albo obsiania kilku akrów sianem lub kukurydzą. To dziwne - zauważa Rose - że ludzie zostają na tych farmach i nadal jakoś żyją, z trudem wiążąc koniec z końcem.

Farma, na której mieszkała Mary Swann z mężem i córką, jest najmniejsza i najuboższa w okolicy, cieszy jednak fakt, że nowy właściciel, młody człowiek ze Stanów, który kupił to miejsce jako azyl na weekend, zreperował przynajmniej ogrodzenie i położył na domu nowy dach. Widok brudno-srebrzystego silosa obok stodoły zawsze działa na Rose przejmująco. Odczuwa to tak, jakby jakiś nienazwany organ wewnętrzny trzepotał w jej piersi i wyciskał z niej oddech.

- Biedna pani Swann - odzywa się Homer, jakby czytał w myślach Rose, zwalniając trochę.

- Nie rozumiem - mówi Rose, mając na względzie nowego właściciela - jak mógł się zdecydować na kupno miejsca, gdzie stało się coś tak strasznego.

- Pewnie nigdy się nad tym nie zastanawia - odpowiada Homer. - To było bardzo dawno temu.

- Nie aż tak dawno.

- Ludzie zapominają. A on nie jest z tych stron. Nie znał tej rodziny.

- A jednak - Rose bezradnie unosi ręce w rękawiczkach, a potem z westchnieniem opuszcza je na kolana.

- W gruncie rzeczy - mówi Homer, ściągając cienkie wargi - nie przypuszczam, żeby ten młody człowiek dbał o farmę. Pewnie broni się przed podatkami. Wygląda na to, że pozwala, aby pola zdziczały.

- Farma jako hobby - wyjaśnia Rose. - Tak właśnie nazwał to pan Browning, kiedy przyszedł do urzędu. Tylko na weekendy. Ale zdaje się, że i tak nigdy tu nie przyjeżdża.



W okolicach wokół Nadeau mnóstwo jest obecnie farmerów weekendowiczów. Rose, która przegląda wykazy podatkowe, zna to zjawisko, ale wciąż uważa je za dziwne. Pamięta jeszcze, że za czasów jej dzieciństwa, do rzadkiej przyjemności należała wyprawa do Kingston. Dzisiaj ludzie za drobiazg uważają przyjazd z Montrealu, Toronto czy nawet ze Stanów jedynie na weekend.

- Cóż - dodaje Rose - na tej farmie na pewno nie zarobiłby na życie. I ten silos. Co on tam będzie trzymał?

Oboje, Rose Hindmarch i Homer Hart, pamiętają rok, w którym Angus Swann zadziwił sąsiadów, wznosząc na farmie silos. Było dużo gadania. Wiadomość wędrowała szybko i spotkała się z ogólną dezaprobatą. Wszyscy uważali, że stała się jakaś wielka niesprawiedliwość. Mary Swann nie miała ani pralki, ani lodówki. Posiłki dla rodziny gotowała na poczerniałej kuchni, w której paliła drewnem, przez cały czas aż do dnia, kiedy została zamordowana. Chociaż mówiono, że miała wieczne pióro marki Parker 51, którym pisała wiersze. Ale pomijając pióro, brakowało jej tych wszystkich wygód, zupełnie zwyczajnych nawet na mniej zamkniętych farmach, wygód, o których zwykło się mówić, że „dzięki nim los kobiety staje się łatwiejszy”.

Co miało kompensować te domowe braki: pralkę, lodówkę, poza nowym, w srebrzystość przyodzianym silosem Angusa Swanna? Było bowiem oczywiste, nawet dla osoby niezainteresowanej, że farma Swannów nie zasługiwała na taki symbol przydający jej dostojności. Silos był odpowiedni na dobrze prosperujących farmach mlecznych, gdzie dotrzymywał towarzystwa przestronnym stodołom o szerokich krokwiach i wdzięcznym szeregom wiązków. Ale nie na starej farmie Swannów, a raczej na starym gospodarstwie Swannów, byłoby przecież przesadą nazywać farmą to zrujnowane miejsce zamieszkania. Płoty, w których brakowało sztachet, wałca się szopa, popsute maszyny, rdzewiejące w zachwaszczonym obejściu, gdzie płątały się kury, ociekające wodą części garderoby, wiecznie wiszące na obwisłym sznurze, skandaliczna tektura zamiast stłuczonej szyby w oknie sypialni, a nad tym wszystkim górujący nowy, betonowo-stalowy silos, zapłacony - jak mówiono - gotówką.

Niech nikt nie myśli, że gospodarstwo Swannów przypomina w jakiś sposób obrazy zrujnowanych farm, tak chętnie wieszane w salonach na przedmieściu w późnych latach pięćdziesiątych i wczesnych sześćdziesiątych; chwilowa moda, która szybko przeminęła, bo dokąd może dojść upadek, jeśli nie niżej, do jeszcze głębszego upadku? W posrebrzanych,

zniszczonych farmach sztuki popularnej niewiele jest rzeczywistej cierpkości sta rej szopy, smrodu ustępu czy wsysającego błota między domem a stodołą. Nawet gdybyś mógł wyważyć drzwi i wejść do kuchni któregoś z tych domów, niewielkie masz szanse zobaczenia taniego linoleum we wzory, które odpada pod nogami i nigdy nie jest wymieniane. Oto jeden z wierszy Mary Swann, opublikowany już po jej śmierci przez Frederica Cruzziego i stanowiący zagadkę dla uczonych:

Stopy na podłodze zimy  
Zdepcą kwiaty w plamę czarną  
To korytarz gdzie chodzimy  
Nazwany bezradność.

Rose Hindmarch odwiedziła farmę Swannów dwukrotnie. Pierwszy raz z Sarą Maloney oraz Homerem i Daisy Hartami. Nie wchodzili wtedy do środka, obeszlili tylko podwórze i postali parę minut na ganku. Drugi raz była tam przed dwoma laty, kiedy urządziła Salę Poświęconą Pamięci Mary Swann w starej szkole w Nadeau. Russell Donegal, dobroduszny półalkoholik, pośrednik w handlu nieruchomościami, działający zarówno w Nadeau, jak i Westport, przywiózł ją tutaj swoim oldsmobilem (w chłodne niedzielne popołudnie, bardzo podobne do dzisiejszego) i pozwolił jej do woli chodzić po domu.

Było to w czasie, kiedy dom był jeszcze na sprzedaż, zanim nowy właściciel przyjechał ze Stanów i kupił to miejsce. („Kto, u diabła, chce kupić dom, gdzie popełniono morderstwo?” - Tak mówił Russel Donegal). Rose przechodziła z jednego pomieszczenia do drugiego, powoli, z wahaniem, na palcach: weranda (gdzie pani Swann stała kiedyś, uśmiechając się do kamery), kuchnia z wiszącym w niej zapachem zimna i podartego linoleum, pod którym profesor Lang znalazł kilka ukrytych tam wierszy. W oknach bawialni wisiały plastikowe zasłony. Stąd nie wykończone schody bez poręczy prowadziły na górę do dwóch pokoi sypialnych. Russell szedł tuż za Rose; denerwowało ją to, a jednocześnie czuła ulgę, że ma go w pobliżu.

- I cóż? - zapytał zdecydowanym głosem kupca. - Co pani o tym myśli, Rose?

Zrobiła miękki ruch ręką, a potem spytała odważnie:

- Co się z tym wszystkim stało?

Do siebie zaś powiedziała: „Czego się spodziewałaś?” Słowo, które wypływało jej na wargi, jak dziecięcy balonik unoszący się zakosami pod sufit, nie było słowem „plugastwo” ani „hołota”. To są wyrażenia klasy

średniej, zawierające surowy osąd. (A do tego czasu można się było przekonać, że Rose Hindmarch brakowało ducha, hemoglobiny, do osądzania. Jest dotknięta społeczną anemią - chociaż na pewno ma coś innego, co można by określić jako „wyostrzenie”) - „Biedacy” - oto słowo, które jej przyszło na myśl: biedacy. Oszczędne, opisowe, wybaczące określenie, cienkie jak ostrze noża, i cokolwiek niemodne. Biedacy.

W kuchni Mary Swann było kilka zwykłych krzesłek i pomalowany stół, w dużym pokoju drugi stół, na którym stało stare radio firmy Westinghouse, i jeden fotel z brakującą poręczą, w sypialni - żelazne łóżka oraz dwie stare, tanie komody; nikt by się nie połakomił, żeby je zabrać i sprzedać jako antyki w „Stodole ze Starociami” w Westport.

- Gdzie się wszystko podziało? - zapytała Rose Russella Donegala. A on, odchrząknąwszy, odpowiedział, zwracając ku niej szkarłatną-od-whisky twarz:

- To jest wszystko. Tak było. - A potem dodał: - Mamy takie powiedzonko w naszym zawodzie, że prędzej ktoś dom kupi, gdy meble są w kupie. Ha, ten dom jest wyjątkiem. Chciałbym wyczyścić to cholerne miejsce jak najprędzej.

- Pewnie niektóre rzeczy, rodzinne pamiątki i tak dalej, poszły do Kalifornii, do córki pani Swann. - Rose niezbyt chętnie wysunęła tę hipotezę. Okazało się, że oprócz dwóch fotografii i szuflady pełnej szydełkowych serwetek nie było żadnych pamiątek. Chyba że profesor Lang, kiedy Russell oprowadzał go po domu, wyniósł coś więcej niż plik pomiętych wierszy.

- Na pewno nie - zaprzeczył Russell. Zapalił papierosa, pocierając zapalką o ścianę kuchni. - Zabrał tylko to, co znalazł pod linoleum. Ona już taka była. - Zaśmiał się głupekowato. - Była jeszcze tylko krew. Musieliśmy ją porządnie zmyć i wszystko wyczyścić, zanim wystawiliśmy dom na sprzedaż. Nie ma co gadać.

- To prawda - zgodziła się Rose. A potem dodała z odcieniem zawstydzenia: - Pewnie było okropnie dużo krwi.

- Stary był całkiem wykrwawiony, jak go znaleźli. Do ostatniej kropli. Wie pani, rany głowy są najgorsze dla krwi, a on wpakował sobie kulę prosto w łeb. Może sobie pani wyobrazić, co to była za breja. No i oczywiście nie wiadomo było, od kiedy ona już nie żyła.

Od tygodnia - stwierdził koroner.

I w ten sposób Rose musiała pobudzić wyobraźnię, gdy przyszło

do urządzania Sali Poświęconej Pamięci Mary Swann. Miała szczęście, że rada miasta Nadeau wyasygnowała 300 dolarów na nabytki (miała ochotę ucałować to cudowne słowo „nabytki”) i że druga dotacja z Ottawy podniosła tę sumę do 500 dolarów. Russell Donegal zachęcił ją, żeby z domu Swannów wzięła sobie, co zechce, mówiąc, że z radością odda jej cały kram, nad którym miał pieczę. Dodał, że podziękuje, jeśli weźmie, ile się da. Rose wzięła kuchenny stół, dwa co lepsze krzesła z kuchni (składane - poinformowała ją Daisy Hart) i kilka naczyń kuchennych, dość żalonych, ze zniszczonymi rączkami i śladami długiego używania. Nie wzięła pokrzywionego i zardzewiałego noża do krajania mięsa ani niklowanych widelców i łyżek.

Inne przedmioty do Sali Pamięci kupiła w „Stodole ze Starociami” i w „Antykwariacie Selmy” w Kingston: ładny, drewniany tłuczek do rzepty, tarę do prania z drewna i szkła, maselnicę z wiśniowego drewna, fantazyjne, kobiece, żelazne łóżko, a także orzechową szafkę i należący do niej zbiór wystrzępionych książek w nieciekawych okładkach (Dickens, sir Walter Scott). Na aukcji w miasteczku Lyndhurst kupiła trzy stare koldry, serwis z niebiesko-białej porcelany i obrazek w ramkach, przedstawiający cocker-spaniela. Odczuwała poniekąd dumę, gdy robiła te zakupy, których celu nie ukrywała, i z radością, a także z twórczym zdziwieniem obserwowała, jak pokój nabiera kształtu i zaczyna sprawiać wrażenie autentycznego, a nawet ukazuje znaczenie ubogiego, użytecznego życia, jakie się tu toczyło. Tak, Rose mogła sobie wyobrazić Mary Swann schyloną nad malowanym stołem i gryzmołącą wiersze przy świetle lampy naftowej. (Stół został świeżo odmalowany, a lampę naftową znalazła na wyprzedży staroci w Westport).

Krąg światła i czerwień chłodu  
Grzeją serce późną nocą.

Gdyby ktoś podsunął Rose myśl, że pokój został siłą powołany do istnienia za pomocą fałszu i niezliczonych drobnych aktów oszustwa, z pewnością byłaby boleśnie zraniona i z urazą temu by zaprzeczyła. Mimo wszystko zgromadzone przedmioty pochodzą z okresu i z okolic, do których należała także Mary Swann, toteż nic tu nie zostało fałszywie przedstawione: ani koldry, ani porcelana, ani nawet obrazek z cocker-spanielem. Może przyznać, owszem, że rozważała pomysł, choć potem go odrzuciła, umieszczenia u wejścia niewielkiej kartki informującej zwiedzających, że przedmioty w Sali Pamięci są podobne do tych, które

znajdowały się w wiejskim domu Mary Swann. Jednak zupełnie słusznie zdecydowała, że taka notatka rozpraszałaby uwagę i mogła nasuwać cię wątpliwości, czy sala nie jest tylko niewystarczającą namiastką. (Urok fałszerstwa nie leży w tym, że wypacza rzeczywistość, ale że kreuje rzeczywistość na nowo). Rose całym sercem pragnęłaby umieścić na wystawie papiery znalezione przez profesora Langa pod linoleum, a także parkera 51, wieczne pióro, które, jak głosiła fama, należało do Mary Swann; ale ten przedmiot (zdaniem Russella Donegala, który słyszał to od Cecila Deacona, urzędnika z Kingston, powiernika zajmującego się nieruchomością Swannów) został jako pamiątka odesłany Frances Swann Moore do Kalifornii.

Brakujące pióro jest próżnią, która wsysa Rose. Wiele razy była już bliska napisania do Kalifornii, do Frances, żeby spytać, czy nie zechciałaby ofiarować muzeum - lub chociaż wypożyczyć - pióra matki. Tymczasem na miejscowym pchlim targu czujnie wypatrywała podobnego roznika.

Pozostaje zagadką, dlaczego Angus Swann zarabiał żonę w grudniu 1965 roku. Homer Hart i Rose Hindmarch, przejeżdżając obok starej farmy Swannów, omawiali rozmaite teorie. Angus Swann był człowiekiem gwałtownym. Nikt temu nie przeczył. Wiadomo było, że drób zabił brutalnie siekierą i tym się przechwalał. A także, iż raz wpadł we wściekłość w *Red and White* z powodu ceny młotki. Innym razem widziano w mieście Mary Swann z sińcem pod okiem i z ręką na temblaku. Niektórzy mówią, że był zazdrosny o jej poezję, o tę odrobinę lokalnej sławy, jaka na nią spływała, i skąpił jej na znaczki, kiedy wysyłała wiersze do miejscowych gazet. Ale nie ma na to żadnych dowodów. Inni znowu mówią, że przeciwnie, że był z niej dumny na swój sposób, i to on dał jej w prezencie na urodziny wieczne pióro. Ostatnią osobą, która ją widziała żywą - oprócz męża i, być może, kierowcy autobusu - był wydawca z Kingston, Frederic Cruzzi. Pan Cruzzi, jak zeznał wobec koronera po znalezieniu ciała Mary Swann, pewnego zimowego popołudnia siedział spokojnie w domu, kiedy w drzwiach nagle zjawiała się pani Swann. Wysunęła w jego kierunku grubą papierową torbę, a on, ponieważ był człowiekiem uprzejmym, zaprosił ją do środka i przeczytał luźne kartki papieru składające się na manuskrypt tego, co miało później stanowić przeważającą część „Łabędzich pieśni”.

Powiadano, że od razu zdał sobie sprawę, iż są to wiersze godne uwagi. „Chciałbym je wydać” - oświadczył. Ale ona robiła wrażenie

skępowanej, zakłopotanej i niespokojnej, czy zdąży na powrotny autobus. Kierowca autobusu - nie ten, który zwykle jeździł, lecz zastępujący go w okresie świąt - niejasno sobie przypominał, że wysadził ją na poboczu szosy w pobliżu farmy Swannów, a potem ona prawdopodobnie weszła do domu, gdzie mąż załkł ją na śmierć.

Rose o mało co nie powiedziała Homerowi, kiedy jechali boczną drogą, że czasami śni jej się ta straszliwa scena; zakłócone sny o bryzgającej krwi i pociętych, otwartych, delikatnych naczyń krwionośnych, rozrzuconych na linoleum w kuchni.

Milczenie przerwał Homer:

- To musiało być coś wyjątkowo paskudnego, że tak się uniósł. Ba, nigdy się nie dowiemy.

- Nie - potwierdza Rose i patrzy na rozjaśnione blaskiem wzgórza. Nie mówi Homerowi - i nigdy nikomu o tym nie powiedziała - że to ona, w jedynej dłuższej rozmowie z panią Swann, podsunęła jej myśl, że powinna pokazać swoje wiersze Fredericowi Cruzziemu. Rose czytała kiedyś w „Nowinach Bibliotecznych” o Fredericu Cruzzim, jego żonie i ich wydawnictwie Peregrine Press. Wydawnictwo interesowało się regionalnymi poetami, których twórczość nie znalazła dotąd dostatecznego uznania. Kiedy pewnego grudniowego dnia w 1965 roku Mary Swann przysłała do biblioteki zwrócić książkę i wyglądała na rozgorączkowaną, włosy miała splątane i nie uczesane, a na sobie trampki i to okropne palto, w Rose wzbudziła się chęć, żeby jakoś okazać jej życzliwość. Wyciągnęła z kartoteki wycinków artykuł o Fredericu Cruzzim i pokazała pani Swann.

- Powinna mu pani posłać trochę wierszy - przekonywała Mary. - A jeszcze lepiej jechać i zobaczyć się z nim.

Pani Swann wyglądała na niezdecydowaną, ale Róża spostrzegła nerwowe podniecenie, wskazujące na zainteresowanie; od razu bibliotecznymi nożyczkami wycięła artykuł - nie bez ukłucia żalu - i wsadziła go do książki. Była to ostatnia książka, jaką Mary Swann wypożyczyła z biblioteki w Nadeau: *The Ice Palace* Edny Ferber.

Można by pomyśleć, że Rose Helen Hindmarch dręczy się tym epizodem i rolą, jaką mogła niechęć odegrać w zabójstwie Mary Swann. Ale, rzecz osobliwa, nie zadręcza się. Od czasu do czasu myśli o tym, dziwi się, ale nie czuje się wcale odpowiedzialna.

Przed poczuciem winy chroni ją zwykły balsam skromności, usuwanie własnej osoby w cień. Ona przecież nie może być kimś, kto wprawił

w ruch łańcuch wydarzeń prowadzący do śmierci Mary Swann, ponieważ nigdy nie byłaby zdolna nadać czemuś ruch. Mniejsza o pracę w urzędzie miejskim, w bibliotece i w muzeum; zawsze wiedziała i wie - nie czuje, lecz wie - że nie ma siły. Tak wiele osób podkreślało jej słabość: najpierw niejasno pamiętany ojciec żołnierz, któremu nie udało się wrócić do Nadeau, żeby zająć należne miejsce rodzica, i babka, która jej wmawiała, poruszając twardymi niczym skóra działkami wypełnionymi śliną, że ma najgorszą postawę, jaką można widzieć u młodej dziewczyny, także matka, która mówiła, że wygląd nie jest wszystkim, i dawna nauczycielka, od najmłodszych klas nazywająca ją głupią gęsią, a potem Daisy Hart, która zauważyła włos na jej podbródku, dr Thomas chytrze wypytujący o jej libido i Bóg Zjednoczonego Kościoła, który opuścił swoją centralę rozdzielczą, i Morton Jimroy, który z wyjątkiem jednego krótkiego listu nie odpowiedział na żaden z jej zuchwałych bilecików czy kartek, i Jean Elton, która nigdy więcej nie przyszła, żeby z nią spać, a nawet Homer Hart, który do tej pory nie był na tyle dobry, żeby zapytać o sympozjum poświęcone Mary Swann, i ta zbuntowana krew, która leje się z niej dzień w dzień, przez co Rose jest coraz słabsza, tak że ledwie może pozbierać myśli - wszystko to przeszkadzało jej w życiu i sprawiało, że we własnych oczach była słaba i pełna braków, i to właśnie strzeże ją teraz litościwie przed samooskarżaniem się, przed uwierzeniem, że jest kimś, kto mógłby odegrać jakąś rolę w śmierci poetki Mary Swann. Rose nie ma mocy wzbudzania miłości, skąd więc wzięłaby się u niej moc i zdolność sprawiania bólu czy niszczenia?

### *Rose dostaje list, a także sama pisze*

Rose bardzo często dostaje pocztówki z wakacji od przyjaciół i sąsiadów; kartki nadchodzą z różnych stron: z White Rock w Kolumbii Brytyjskiej, z Nowego Jorku i oczywiście od Daisy Hart z Florydy. Otrzymuje także sporo małych, wykwintnych, pastelowych kopert, zawierających zaproszenia na przyjęcia (z obowiązującym upominkiem) lub podziękowania i tym podobne. Poza tym jest poczta urzędowa: z Państwowego Stowarzyszenia Bibliotek, z Departamentu do Spraw Kultury, z SUMO (Stowarzyszenia Urzędników Miejskich w Ontario), czy też z KdSZK -

(Komitetu do Spraw Zjednoczonego Kościoła).

Rzadko jednak dostaje prawdziwy list. Ten, który dzisiaj do niej nadszedł, od profesora Willarda Langa z Toronto, budzi w niej mieszane uczucie dumy i obawy.

- Jest list dla was, Rose! - woła Johnny Sears na poczcie, kiedy Rose wpada tam po pracy. - Do licha, oj, do licha, dostaje pani kupę poczty!

Ręka jej drży; na kopercie nazwisko Willarda Langa. Pisz, że sympozjum zostało odwołane. Albo że jej obecność wcale nie jest potrzebna. Albo że zaszła jakaś pomyłka, że w ogóle nie powinna dostać zaproszenia. Jakiś administracyjny bałagan. Zechce to zrozumieć. Ma nadzieję.

Rose otwiera list, przez cały czas wesoło gawędząc z Johnnym: jak się miewa mamusia, jak się skończyła rozgrywka hokejowa w ostatni piątek; ach, te łobuzy z Elgin, jaka była pogoda...

„Droga Panno Hindmarch” - pisze profesor Lang. - „Bardzo nas cieszy, że, będzie Pani z nami na sympozjum. Pozwoli Pani, że poproszę Ją o wyświadczenie nam dwóch szczególnych przysług”.

Pierwszą przysługą ma być przywiezienie ze sobą fotografii Mary Swann, tak aby można było ją włączyć do specjalnej wystawy, jaką projektuje komitet. „Jak Pani wie, jest to jedyna fotografia naszej poetki, jaką mamy”.

Druga prośba jest bardziej skomplikowana. Profesor Lang pisze:

„Frederic Cruzzi, mocno starszy pan z Kingston, po wielu namowach zgodził się wziąć udział w sympozjum i, być może, powiedziec kilka słów o swojej roli jako wydawcy pani Mary Swann. Nie wiem, jak chce zorganizować sobie podróż, ale w jego wieku może mieć trudności. Przyszło mi więc na myśl, że skoro Państwo mieszkacie w najbliższym sąsiedztwie i niewątpliwie się znacie, może nie będzie Pani miała nic przeciw temu, żeby zaproponować starszemu panu, iż zawiezie go do Toronto. Jest dobrze po osiemdziesiątce, jak sędzę, i w nie najlepszej formie, odkąd umarła jego żona (była to czarująca pani, bardzo inteligentna). W każdym razie podaję numer telefonu, gdyby Pani zechciała zadzwonić do niego i uzgodnić plany podróży”.

Rose prędzej by założyła worek na głowę i skoczyła w głąb jeziora Whitefish przez dziurę w lodzie, niż zadzwoniła do Frederica Cruzziego. Pan Cruzzi jest emerytowanym wydawcą „Sztandaru Kingston”. Raz



słyszała, jak wygłaszał przemówienie na dorocznym zebraniu Państwowego Stowarzyszenia Bibliotek. Jest wysoki, kanciasty, ma cudzoziemski akcent, cytuje Szekspira i nie rozumiałaby za chińskiego boga, dlatego dzwoni do niego Rose Hindmarch z Nadeau, ze stanu Ontario.

Zamiast dzwonić pisze więc do niego list, długi list, którego ułożenie zajmuje jej cały wieczór. Przedstawia się: Rose Hindmarch, bibliotekarka i niegdyś znajoma Mary Swann. Wyjaśnia, iż do Toronto na sympozjum będzie jechała pociągiem, i sądzi, że mogliby sobie, być może, dotrzymać towarzystwa. (Dwukrotnie przeprasza, iż nie jest w stanie zaproponować mu jazdy samochodem, a to z tej prostej przyczyny, że nigdy nie nauczyła się prowadzić). Wysyła list w nastroju wesołości, niepewności i niewiary: wesołości, ponieważ poczuła się nagle wyzwolona; niepewności, ponieważ jest całkowicie przekonana, że pan Cruzzi odrzuci jej propozycję, i niewiary, gdyż nie jest w stanie sobie teraz wyobrazić, że rzeczywiście siedzi w pociągu zmierzającym do Toronto.

To się nigdy nie stanie. Będzie nadal udawała, że jedzie, pakowała torbę, kupowała bilet na pociąg i tak dalej, ale krew, która sączy się w ukryciu z jej ciała, skraca jej przyszłość, liczoną już teraz nie na tygodnie, ale na dni. Codziennie rano budzi się i ten cykl się powtarza: strapienie, krótki okres optymizmu i znowu strapienie. Śmiechu warte. Do pierwszego tygodnia stycznia nic nie zostanie z Rose Hindmarch oprócz ubrań w szafie, szeregu kryminałów w tanim wydaniu na aparacie TV, pół kartonika wiejskiego sera w lodówce oraz łóżka z prześcieradłami w kratę i narzutą z kordonku. Mogłaby zostawić pożegnalną kartkę. Ale do kogo? I z jakiej racji?

## *Rose Hindmarch wydaje przyjęcie*

Przyjęcie z „jajecznikowym klinem” u Rose Hindmarch w dniu Bożego Narodzenia stało się już niemal tradycją. Jeszcze kiedy mieszkała z matką w domu przy ulicy Drugiej, zawsze „zapraszały do siebie” między piątą a siódmą po południu na kieliszek ajerkoniaku i kawałek świątecznego ciasta. (Obiad w Boże Narodzenie jada się w Nadeau około drugiej lub trzeciej, tak że goście Rose przychodzą już opchani indykiem i senni z przejedzenia).

Rose robi lepszy ajerkoniak niż jej matka. Przede wszystkim do utartych jajek hojniej dolewa rumu. Oprócz tego do wyboru oferuje wódkę z imbirową oranżadą tym, którzy to lubią, a większość lubi. Ciasto świąteczne kupuje, ale na stole znajdują się także krewetki z puszki w szklanym pucharku i talerz krakersów od Ritza. Ponadto Rose podaje swój słynny Bożonarodzeniowy Kloc z Sera Velveeta, pełen błyszczących kawałków zielonej papryki i plasterków nadziewanych oliwek.

Mimo że czuje się po dziadowsku - to jej określenie - postanawia wydać przyjęcie, a jej pokój mieszkalny wygląda zadziwiająco wesoło w ten pochmurny, śnieżny dzień Bożego Narodzenia. Na sznurku nad oknem powiesiła świąteczne kartki, z których jedna jest od Sary Maloney z Chicago; sztuczną choineczkę postawiła przy oknie między kaloryferem a odbiornikiem telewizyjnym. Ozdoby choinkowe zawsze sprawiają jej przyjemność: ten mały, przybrudzony święty Mikołaj z waty, z oczkami z paciorków, miniaturowy słomiany osiołek, przywieziony kiedyś przez Daisy z Florydy, renifer z czerwonego szkła, kupiony w sklepie o nazwie „Różności” przy ulicy Markham. W tym roku powiesiła nawet sznur lampek, czego nie robiła od czasu, gdy umarła jej matka.

Pierwszy przychodzi, sapiąc na schodach, Homer Hart, który wygląda jeszcze potężniej niż zwykle; przynosi pudełko ulubionych przez Rose migdałów w czekoladzie firmy Laury Secord. Przychodzi na przyjęcie sam; Daisy nareszcie napisała z Sarasoty, żeby oznajmić, iż ona i pewna rozwódka nazwiskiem Audrey Beamish, którą poznała na podwórzu przed wozem mieszkalnym swojej siostry, wsiadają właśnie do samochodu, by odbyć podróż po południowych stanach, i wobec tego nie wróci do Nadeau wcześniej niż w lutym.

Następnie przychodzą z dołu Jean i Howie: Jean w mglisto-różowym welurowym dresie, który dostała od Howarda na gwiazdkę, a Howie w dresie granatowym - podarunku na gwiazdkę od Jean. Przynieśli Rose w prezencie elektryczną maszynkę do robienia jogurtu oraz broszurkę z instrukcją i przepisami. W poprzednich latach jeździli na święta do Kornwalii, ale w tym roku, ponieważ Jean jest w czwartym miesiącu ciąży, postanowili nie ryzykować, zwłaszcza że drogi są śliskie. Howie wydaje się niezwykle uszczęśliwiony z powodu dziecka. Przerzywa w samym środku dyskusję na temat reżimu w Libii, głaszcze Jean po brzuchu i mówi: „Ha! Już niedługo, a i my będziemy mieli własnego małego dyktatora”. Jean uśmiecha się przy tym sennie. Ma nadzieję, że to

będzie chłopiec - zwierza się Rose po cichu, ze względu na Howarda.

Na przyjęciu są także Floyd i Bea Searsowie. Floyd jest w dobrym humorze, kończy właśnie drugą kadencję jako burmistrz okręgu Nadeau. Bea, jego żona, z braku bardziej określonego tytułu często opisywana jako „gospodyni numer jeden”, dała Rose w podarunku własnej roboty szydełkową poduszkę ozdobioną wstążką. Belle Waterman, od wielu lat wdowa, przyszła z Floydem i Beą, przynosząc Rose kompozycję z suszonych kwiatów i wyrzuconych na brzeg kawałków drewna; ozdobę tę można położyć na telewizorze. Percy Flemming i jego żona, Peg, zabrali z sobą syna, Bobby'ego, który waży trzysta funtów, dwukrotnie usiłował popełnić samobójstwo i nie można go zostawić samego nawet na godzinę. Joe i Marnie Fletcherowie spóźnili się trochę, gdyż Marnie rano nie zdążyła w porę wsadzić indyka do piekarnika, z czego dobrodusznie pokpiwają sobie jej mąż i Floyd Sears.

- Dopiero wstaliśmy od stołu - mówi Marnie, odmawiając kawałka „kloca serowego”.

Vic Brower, kawaler od urodzenia, wcisnął się obok Homera na kanapę. Ktoś kiedyś napomknął przy Rose, że Vic odwiedza dom prostytutek w Kingston. Ale Rose, patrząc na Vica, na jego nieśmiałe oczy i małe usta, nie rozumie, jak to możliwe. Hank Cleary, jego żona Agnes i siostra Elfreda, która przyjechała w odwiedziny z Sarnia, rozbawili się ogromnie, pijąc ajerkoniak, i teraz Hank opowiada długi dowcip o Libii; przekręca go i gubi pointę, za co żona beszta go z krzykiem, który zaraz rozplywa się w ataku śmiechu.

Wesołość, wesołość, radość świątecznej pory roku. Czas ucieka. Rose jest zadowolona, że zdecydowała się w końcu wydać to przyjęcie. Ludzie w małym mieście liczą się z pewnymi tradycjami, a to przyjęcie może się okazać pożegnaniem ze starymi przyjaciółmi, pożegnaniem z życiem.

Ogarnia ją uczucie szczęścia, chociaż jest wyczerpana utratą krwi i przygotowaniem przyjęcia. W ciągu ostatnich tygodni miała uczucie, że jakiś trujący smutek wsącza się w jej życie, a teraz, tego wieczoru, nagle zjawia się skądś blask radości.

Co Homer mówi? Przyciszonym głosem wyjawia Rose, że w ciągu ostatniego miesiąca strasznie doskwierała mu samotność i że ma ogromne wątpliwości, czy Daisy wróci do domu przed nadejściem wiosny. Vic Brower zasnął słodko, złożyłwszy głowę na nowej, dzierganej poduszce. Joe i Marnie przyglądają mu się, mrugając do siebie,

i szczerząc zęby jak wariaci. Marnie śmieje się przeciągle i czule szepce mężowi do ucha:

- Chodźmy dzisiaj wcześniej spać, zabawimy się jak za dawnych, dobrych czasów.

Bobby Flemming opowiada Floydowi Searsowi o nowej diecie, jaką lekarz mu przepisał. Zaczyna od pierwszego stycznia: tylko trzysta kalorii dziennie, głównie sok z cytryny, woda sodowa i truskawki. Bea Sears tłumaczy Howardowi, że ojcostwo trzeba brać poważnie. Zwierza się po raz pierwszy w życiu, że jej własny ojciec nigdy, ani razu, nie spytał, jak sobie radzi. Jean żuje krewetkę i patrząc na Howarda, usiłuje sobie wyobrazić mały organizm w kształcie krewetki, jaki nosi w sobie, a także jak będzie go uczyć, ile znaczy życzliwość i łagodność, i myśli, że nie będzie wcale rozczarowana, jeśli to będzie dziewczynka.

Elfreda wyjawia bratowej, że prawdziwym powodem, dla którego odchodzi z urzędu pocztowego w Sarnia na wcześniejszą emeryturę jest to, że naczelnik dał jej do zrozumienia, iż ma nieświeży oddech, a ona z pewnych względów nie może strawić tak strasznego oskarżenia. Percy Flemming opowiada swojej żonie Peg o powtarzającym się nocnym koszmarze, że ściga go lew i odgryza mu piętę. Peg głaszcze go po żyłastym ramieniu.

- Następnym razem obudź mnie - mówi - to mu dam po łbie.

Rose podaje Homerowi szklanekę napoju imbirowego i opowiada mu o krwi, która od dwóch miesięcy bez przerwy z niej cieknie, ale za nic nie pójdzie do doktora w Elgin, ponieważ jego szorstkie badanie uświadamia jej, że jest zupełnie sama, że należy do tych, o których nikt się nie upomni. Homer w odpowiedzi ujmuje jej rękę, kładzie sobie na piersi i przyrzeka, że w poniedziałek rano zawiezie ją do Kingston, gdzie pójdą prosto do kliniki, do której chodzi Daisy, i dowiedzą się, co jest przyczyną jej zmartwienia.

Rose rozgląda się po pokoju, patrzy na przyjaciół, na stół z jedzeniem, na choinkę, na stojący w kącie telewizor; dźwięk jest wyłączony, ale na ekranie migoce ciemna, ordynarna, stężała twarz Muammara Kadafiego. I wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, przypomina jej się pewien wers z któregoś wiersza Mary Swann.

Wpada jej do głowy jak mała rybka:

Funt radości więcej waży  
Gdy przedtem smutek nie znikał z twarzy.

Frederic Cruzzi

## *Okrężna introdukcja*

Świat oklaskuje intelektualnych nomadów: oto naukowiec z Islandii w Trynidadzie, cierpliwie tłumaczący swoje sagi na hiszpański; albo kwakierka, lesbijka podróżująca do Peru z plecakiem, fletem i notesem pełnym współczujących wierszy; albo młoda barmanka w Dubrowniku z naukowym stopniem doktora fizyki, podająca koktajle z rumem wraz z własnym monologiem, w którym rozcieńcza i odtwarza siedem języków, jakimi włada; albo francuski egzystencjalista w irlandzkiej chacie, kontemplujący miejscową florę i ludowe opowieści, aby wyciągnąć z nich przesłanie, które wkrótce nawróci setki czy chociażby garstkę ludzi na uproszczonej, pokrzepiającej wizję jedności rzeczy. Kochamy wędrowców za ich wspaniałe zdolności, za to, że przystosowują swój wygląd do otoczenia, za znajomość wielu języków i za odważne akrobacje; ale głównie kochamy ich za niewinność i radość, z jaką zakopują się i ryją w tym samym świecie, na który wielu z nas już machnęło ręką.

Emerytowany redaktor i wydawca Frederic Cruzzi z Grenoble, Casablanca, Manchesteru i Kingston, z Ontario, lat osiemdziesiąt, jest właśnie jednym z nich - zawsze taki sam, gdy szczepi jabłoni, gdy nielegalnie łowi lososie, czyta jakąś stronę poezji w urdu, czy też gdy pisze do jednej z kolumn gazety o czarnej magii współczesnej technologii. Ostatnio wystąpił przeciw telefonom. Wstrętny instrument do obmawiania i paplania. Grubianin przerywający ciszę wieczoru pod lampą. Pomrukujący pochlebca, chytry szalbierz, jedwabisty kochanek, przebiegły żebrak, pomysłowy posłaniec przynoszący niepożądane wieści o długach, o proszonych obiadach.

- Nakręcając numer, przyśpieszamy przedwczesny pogrzeb - powiada osiemdziesięcioletni weredyk Cruzzi, który ma słabość do aliteracji. Wydzwoniony, wynudzony, wiszący na słuchawce. Przywiązany do

miedzianego drutu, połączony ze śliskim plastikiem. Zarejestrowany, zajmowany, obrażany, uwodzony i wreszcie ostatecznie pokrzywdzony rachunkiem długim jak kość udowa.

Siedząc w sypialni na górze stuletniego domostwa (wapień, pnącza) w Kingston, w stanie Ontario, Frederic Cruzzi, który wstał o wpół do ósmej, pisze na maszynie cotygodniowy artykuł do swojej stałej rubryki. Maszyna to underwood 1950, duży, krzepki model biurowy, solidny i niemuzykalny. Cruzzi pochyla się nad czcionkami, podniecony do najwyższego stopnia. Chociaż uparcie wierzy, że ludzie muszą jakoś dojść do porozumienia z historią, do której zostali zrodzeni, crescendo własnych dziejów przekonuje go, iż telefony muszą zniknąć. Cóż to za widok, gdy tak siedzi otoczony tysiącami książek, z grzywą białych włosów, indyczą szyją, podrygującymi ramionami i z ogryzkiem ołówka tkwiącym między mocnymi starymi zębami! Ma silnie zarysowaną, zabawną twarz i ręce jak z dębowego drewna. Spod ciemnowiśniowego szlafroka wystają długie i chude jak patyki nogi, a żółtawe wąskie stopy uderzają raz po raz o podłogę. Drabina słonecznego światła wspina się po rękawie szlafroka, sięgając trójkątnego układu krzaczastych brwi i oczodołów. Bzym... przesuwa się karetką, plink-plunk stukają klawisze. To cud, że nie bucha para z otwartych ust, cud, że jego serce to wytrzymuje.

Przepraszam, pomyłka. O, nienawistny telefoniczny słupie, nikczemne druty, wulgarny automacie do polykania monet! Ranę, jaką świat sam sobie zadaje, oznajmniają rozdzwonione automatyczne sekretarki. Barbarzyńskie, odłączone od ciała ujarzmienie ludzkich głosów, zatrajkotanie, bombardowanie, roztrzaskanie czystego powietrza. Profanacja. Hańba. Plotki w koronach drzew, nocne alarmy.

Jeszcze jeden akapit, a będzie miał swoje pięćset słów na ten tydzień.

Szlafrok rozsuwa się, odsłaniając obkurczone jądra i penis. Stopa wybija takt. Delikatna pajęczyna zbiera się w lewym kąciku ust. Jeszcze tylko ostatnie zdanie, końcowe słowo. Dobiera je troskliwie. Jak zawsze.

## *Kilku przyjaciół Cruzziego*

Frederic Cruzzi z Kingston, stan Ontario, były redaktor i wydawca, dziennikarz, podróżnik, ateista, amator kobiet i poezji, czuły syn dobrych rodziców, uczony, imigrant, ogrodnik, socjalista, mąż i ojciec -

jest także człowiekiem, o którym można powiedzieć, że ma szczęście w przyjaźni. Przyjaźnie - myśli czasami - są wszystkim, co posiada, żeby zapobiec ścigającemu go chaosowi starości. Dają mu interludia uciszenia, a także chwile radości i uznania. Od czasu do czasu przypomina sobie nieco zbyt wypracowane słowa dziewiętnastowiecznego poety Indianina, który tak opisywał przyjaciół:

Klejnoty o niepewnej barwie  
Kwiaty o ulotnej woni  
Gwiazdy w zmiennej odległości  
Ręce które nigdy się nie wahają.

Niejasna ironia poety przemawia do wyobraźni Frederica Cruzziego, gdyż podkreśla stałość przyjaźni, a odrzuca powszechny i nieciekawy pogląd mówiący o otwieraniu serca i rezygnacji z własnego ja. Cruzzi uważa, że jest coś zżerająco samolubnego w chęci poznania kogoś „na wkróś”.

Oczywiście do tej pory już wielu przyjaciół zabrała mu śmierć.

Brat Hilary, mając lat dwadzieścia, uległ wypadkowi podczas wspinaczki. Hervé Villeneuve, przyjaciel ze studenckich czasów w Grenoble, popełnił samobójstwo w wieku lat czterdziestu sześciu. Nie żyje kolega ojca, profesor Nicholas Guincourt, któremu zawdzięcza swoją znajomość angielskiego. Marokański kuzyn, Sami Salah, z którym przez rok podróżował po Dalekim Wschodzie, zginął później w pożarze hotelu w Cleveland, Ohio. *Tante* Maleka, rozchichotana, pobłażliwa ciotka z Casablanki, namiętnie paląca papierosy, obawiała się bronchitu, a umarła na odrę.

Odeszli: Max Robinson, w latach trzydziestych redaktor działu literackiego pisma „Manchester Guardian”, mężczyzna o bujnej wyobraźni, skłonny do łez; i żona Maxa, May, o naturze kontemplacyjnej, uduchowiona, ponętna. I Estella Berger, stosująca terapię Jungowską, której przejmujący głos ciągle jeszcze nawiedza Frederica w snach, i Glen Forrestal z Ottawy, fizyk, sybaryta z wygoloną głową, eseista i poeta, sangwinik, chętnie popijający whisky z wodą sodową. I Monkey La Rue z Kingston, przyrodnik, rybak, narciarz, kompozytor. I Barney Quillette, także z Kingston, malarz amator i znakomity matematyk (niezależnie od poziomu wódki w głowie). I wielu, wielu innych.

Jednak ze wszystkich zmarłych przyjaciół najbardziej brak Cruzziemu żony, Hildy, która w ciągu pięćdziesięciu lat wyprowadzała go czasem z równowagi, ale z którą nigdy się nie nudził.

To prawda, iż Cruzzi jest już w tym wieku, że ma więcej przyjaciół



wśród zmarłych niż wśród żyjących, ale wciąż żyje między przyjaciółmi. Wprawdzie coraz częściej szuka samotności, ile się czuje, niecierpliwia go zwierzenia, czuje się wykorzystywany albo zmęczony i dziwnie niespokojny, ale nie może sobie wyobrazić życia, w którym przyjaźń nie odgrywałaby najważniejszej roli.

Odczuwa pewien strach przed ludźmi, którzy dają sobie radę z życiem bez przyjaciół, i zastanawia się, skąd ci nieszczęśnicy biorą siłę. We wszystkich wierszach Mary Swann, na przykład, słowo „przyjaciel” można znaleźć tylko raz, a nawet tutaj użyte jest refleksyjnie i ukryte w metaforze, spointowanej przerażającą, zdaniem Cruzziego, elipsą.

Jak kubeczek na półce  
Który gdzieś się zatracił  
Jak utopiony w lustrze  
Mój jedyny przyjaciel  
Tak godzina zabita, chwila utracona,  
I oprócz kosztów wszystko policzone.

To, co pozbawiało przyjaciół Mary Swann: obawa, paralizująca nieśmiałość, izolacja, harówka - jest tak obce Fredericowi Cruzziemu, jak pewne cielesne schorzenia, na przykład liszajec czy beri-beri. Jego życie zawsze było zorganizowane i wciąż jest zorganizowane, toteż żyje wśród ludzi, których „ręce nie wahają się nigdy”.

Do takich przyjaciół należy Bridget Riordan, mimo iż widywał ją rzadko w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Uwodzicielska, długonoga, ze skłonnością do kierowania, jest mistrzem wszystkich sztuk miłosnych i wszystkich sposobów kochania. Stosunkowo niedawno wycofała się z teatru, osiadła w Londynie, w mieszkaniu wypełnionym lekkimi meblami i ciężkimi obrazami, i pisuje nie kończące się listy do przyjaciół - wśród których jest i Cruzzi - taktowne listy pełne dowcipu, sceptycyzmu, wspomnień, plotek i wesołych sprośności.

Do swoich przyjaciół Cruzzi zalicza także mężczyznę nazwiskiem Bud McWilliam, który obsługiwał linotyp w „Sztandarze Kingston”, mężczyznę kochającego strzelbę, psy myśliwskie, maszyny, solidne jedzenie i teoretyczną rozmowę. (Jakieś fizyczne uwarunkowania czy braki - Cruzzi nie wie, jakie - sprawiły, że Bud McWilliam nie potrzebuje kobiet, niemniej potrafi drwiąco rechotać z paradoksów, jakie zdarzają się w jego życiu). Teraz jest trochę niezdrowszy i musi leżeć, więc chętnie wita cotygodniowe odwiedziny Cruzziego. Skutkiem kilku operacji ma

pokiereszowaną krtań i gardło pełne bliznowatej tkanki, ale trzyma się mocno i nie pozwala sobie na drżące świergotanie starca. Cruzzi zdaje sobie sprawę, że jego walka, by przewyciężyć cielesne słabości, jest heroiczna, i często odczuwa pokusę, żeby o tym napomknąć. W ubiegłym tygodniu ich dyskusja skoncentrowała się na spostrzeżeniu, że w prasie codziennej pojawiają się niektóre bardzo błyskotliwe neologizmy, a dwa tygodnie temu mówili o refrakcji światła.

Cruzzi kocha, zawsze kochał Pauline Quillette. Jej namiętność do perfum, pedicure i kosztownej bielizny sprawia wrażenie frywolności, najzupełniej mylne. Czasami, kiedy siedzą we dwoje, zazwyczaj na różowo-szarej, słonecznej werandzie Pauline, i rozmawiają, Cruzzi zamyka na sekundę oczy i wdycha, oprócz jej zapachu, dziewczęcą wesołość głosu, sposób, w jaki koziółkują jej samogłoski, ujmujący spadek muzyczny, który formuje małe pagórki, sygnał, że zacznie się śmiać. Gdyby Pauline zobaczyła, że zamyka oczy, na pewno by się nie obraziła, ani by nie podejrzewała, że się nudzi. Jest świadoma swoich możliwości, docenia znaczenie smacznego jedzenia, wie, że książki, a zwłaszcza powieści, kształtują wartościowe jądro doświadczenia, i wierzy, że może całkowicie zaufać Fredericowi, iż rozumie i śledzi wszystkie zawilości jej obserwacji.

Cruzzi zastanawia się czasami, jak by dawał sobie radę bez Dennisa i Caroline Cooper-Beckmanów, którzy z trójką dzieci mieszkają naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, w domu z cegły. Dennis ma czterdzieści lat, dostarcza mu wycinki z przeróżnych dzienników, świeże truskawki i obrazoburcze poglądy na rządy i uniwersytety. Caroline, lat trzydzieści pięć, wnosi w jego życie straszliwą szczerotę zainteresowań społecznych i lekko odchyłoną od normy ambiwalencję seksualną, która przypomina delikatny, kokieteryjny łuk świetlnych iskier, przeskakujących między przewodnikami, i wskrzesza w Cruzzim wspomnienia zapomnianych namiętności. Dla Dennisa i Caroline zrobiłby wszystko, tak jak oni dla niego.

Mimi Rusell, znana skądinąd jako siostra Mary Francis, także podbiła serce Cruzziego. Dobiegając pięćdziesiątki, nie wyszła jeszcze z przedłużonego okresu dzieciństwa; jest pełna werwy, elokwentna i rozmiłowana w angielskiej literaturze. Potrafi recytować z pamięci większość wierszy Keatsa (z wyjątkiem „Endymiona”, który uważa za kicz). W literaturze węszy coś w rodzaju boskiego tlenu, przywiązującego jedną

ludzką istotę do drugiej i skracającego dystans, jaki musimy przebyć, żeby odkryć, iż nasze osobiste postrzeganie jest odbierane powszechnie. Tutaj - uważa Cruzzi - Mimi ma rację. (Raz w tygodniu jedzą razem lunch i często rozmawiają przez telefon, a raczej rozmawiali, dopóki telefon Cruzziego nie został wyłączony). Biografia Laury Jane Oldfeld, pionierki, żyjącej w Ontario w dziewiętnastym wieku, autorstwa Mimi Rusell, jest bez zarzutu, żywa i zabarwiona rzadko spotykaną przyjazną życzliwością. Kiedy biograf Mary Swann, Morton Jimroy, przyjechał do Kingston rok temu czy więcej, Cruzzi zorganizował obiad, żeby tych dwoje mogło się spotkać i porozmawiać o swoich zainteresowaniach. Nigdy jeszcze tak wielka słodycz nie zetknęła się z taką zgorzkniałością. (Cruzzi przypuszcza, że smutny, skwaszony, śliniący się Jimroy weźmie udział w sympozjum poświęconym Mary Swann, więc już teraz zbiera siły ducha).

Simone Cruzzi jest synową Frederica, chociaż on nie wiąże tej niezręcznej nazwy z tak szczupłą, tak jasną, tak pełną życia kobietą. Mieszka w Montrealu, ma kształtną spokojną twarz i dobrze się ubiera. Często przyjeżdża do Kingston na weekend, a między odwiedzinami pisze do Frederica czułe karteczki na firmowej papeterii. Od wielu lat pracuje w agencji turystycznej, jest też przewodnikiem wycieczek i stale wylatuje do Salzburga, Pekinu czy Oslo, ciągnąc z sobą „swoje kurczęta”. Z tych odległych punktów na kuli ziemskiej przysyła Cruzziemu widokówki, oblepione znaczkami (które on udaje, że zbiera). Wiadomości nabażrzone na odwrocie są zawsze żywym kontrpunktem dla przedstawionych na kartkach widoków - zachodów słońca, fontann. Prawie nigdy nie robi aluzji do męża, Armanda (jedyne go syna Hildy i Frederica Cruzzich), który zmarł na guz mózgu, mając trzydzieści sześć lat.

Jest jeszcze Frank Hurley, właściciel firmy Hurley i Synowie, Zakład Pogrzebowy w Kingston. W swoim podziemnym świecie Frank balsamuje ciała oraz sprzedaje trumny powlekane brązem i wykładane jedwabiem. Poza tym przemierza pieszo okolice (cóż to jest te pięć mil) w poszukiwaniu polnych kwiatów i traw. Potrzeba badania i klasyfikowania działła w jego mózgu jak mała brzęcząca piłka; i w pewnej mierze za tę właśnie brzęcząca ruchliwość kocha go Cruzzi. Nie ma humorów, okazuje zawsze ogromną życzliwość i jest w nim coś z metafizyka. „Społeczność ludzka - mówi do Frederica, miękko grasejąc - wyróżnia się dzięki czterem sposobom uzewnętrznienia: istnieniu narzędzi, obecności sztuki, szacunkowi dla zmarłych i przymusowi nadawania nazw

zjawiskom przyrody”. W osiemdziesiątym czwartym roku życia jest dla Cruzziego bratem w starości.

I jeszcze ktoś: Tom Halpenny, obecny wydawca „Sztandaru”. Urodził się i kształcił w Ameryce, ma czterdzieści cztery lata, głośno mówi, czasem o rzeczach, o których nie ma pojęcia. Żywo się śmieje, otwarcie ziewa, nosi czarne koszulki i złoty łańcuch na szyi. Znany jest z eksploatujących pierdnieć, którymi ostatnio popisał się podczas dorocznego jesiennego bankietu drużyny Sójek znad zatoki Ontario. Już dwie żony go porzuciły. Z czworga dzieci z jednym tylko utrzymuje kontakt. Postrzępione włosy, a raczej ich resztki, zwisają mu na uszy. Z powodu lenistwa, a może tego, że został pozbawiony miłości, przygarbił się. Korzeniami tkwi w starej Nowej Lewicy, to znaczy nigdzie. Purytanizm Nowej Anglii wyczerpał się w nim szybko niczym złoża węgla. Jest pełen czci dla Cruzziego, wielbił Hildę, uważa, że Kingston jest niebem, a „Sztandar” - sztandarem niebios.

Co najmniej raz na miesiąc Tom Halpenny próbuje straszyć Cruzziego i zmusić go do pisania historii swojego życia.

- Zanim będzie za późno - popędza go złośliwie.

Dzisiaj, we wtorek, w początkach listopada, obaj jedzą lunch w restauracji „Stara Remiza” w Kingston. Cruzzi jest w połowie zwykłego omletu; popija go wodą mineralną „Perrier”, pragnąc, żeby zmieniła się w wino; nie przyjmuje też do wiadomości drwinek Toma. Halpenny, który właśnie rzucił się na sałatkę z homara za dziewięć dolarów i łyka zimne mleko, a z samego dna szuflady z pomysłowymi chwytami wyciąga ten, który uważa za ostateczny argument, mianowicie, że życie nie spisane to życie samolubne.

Cruzzi kiwa głową, słysząc taką głupotę, ale nic nie mówi. (Nie dość, że ktoś w jego wieku niepewnie chodzi i jest pokrzywiony, to jeszcze ma być obciążony gadulstwem!). Prawda jest taka, że uważa autobiografię za formę, która go obraża, z wyjątkiem autobiografii Orwella i Pritcheta. Rozkoszne cackanie się ze sobą jest tylko częścią problemu. Nieunikniony jest brak dystansu, nie wspominając już o wstrętnych unikach, załatwianiu porachunków, wzbudzającej grozę afektacji i przerażającej, roztopionej tłustości przemyśleń - pełne tego becзки, barki, buklaki.

- Większość ludzi na świecie - mówi Cruzzi Halpennowi - zmieściłaby swoją autobiografię w jednej linijce.

- Ha! - krzyczy Tom, rozpryskując mleko. - Niemożliwe.

- No, więc w jednym zdaniu - ustępuje Cruzzi.

- Jezu, Boże! - dyszy Tom. - To cynizm, tani cynizm. I to mówisz ty, właśnie ty! Nie wierzę. Ty, humanista?!
- Ekshumanista.
- Od kiedy eks?
- Od... - Cruzzi wymijająco patrzy na sufit.
- I ty, siedząc tutaj, uczciwie możesz mówić mi, że całe ludzkie życie da się streścić w jednym głównianym, pieprzonym, krótkim zdaniu?
- No, to może w jednym długim zdaniu? - chytrze poddaje Cruzzi.

## *Nie napisana autobiografia Cruzziego w jednym zdaniu*

Frederic Georges Cruzzi urodził się osiemdziesiąt lat temu we francuskim mieście Grenoble, jako drugi szczęśliwie nieodpowiedniego małżeństwa (Mohamed Cruzzi, uprzednio w Casablance, profesor języków środkowowschodnich, i Monika Roche Cruzzi, nieśmiała, ładna, muzycznie uzdolniona kobieta), i w tym ślicznym, otoczonym górami mieście, teraz okropnie zatrutym przez przemysł chlorowy, młody Cruzzi kształcił się formalnie i nieformalnie, nastawiając się na języki i na sztukę - choć nie na naukę - i na ludzi, którzy w większości byli życzliwi, po czym spędził kilka lat, podróżując i wypróbowując szok obcości w takich miejscach, jak: Maroko (jego drugi dom), Turcja, Indie, Japonia i Stany Zjednoczone (gdyż świat był w tamtych czasach, zanim wynaleziono wizy i inflację, bardziej dostępny i chętniej witał), po drodze nabierając upodobania do kobiet i do literatury i utrzymując się z dziennikarstwa - zawód, który zaprowadził go do wręcz nieprawdopodobnych miejsc, a jednym z nich było Gap, w pobliżu jego rodzinnego miasta Grenoble, gdzie zdarzyło mu się spotkać na małej kolacyjce młodą studentkę, Hildę Joubert, trochę grubokościstą dziewczynę o prostych, żółtych włosach z rozdziałkiem pośrodku, dziewczynę, która wyrosła w wiosce LaMotte-en-Champsaur (gdzie jej ojciec hodował kozy) i która miała twarz tak jaśniejącą, że Cruzzi dojrzał w niej obietnicę przyszłego szczęścia, chociaż minął tydzień, zanim zdobył się na odwagę, żeby oznajmić o swojej miłości (w muzeum w Gap, tak się złożyło, stojąc przed obrzydliwym olejnym malowidłem, już wówczas wypadającym z

ram całymi płatami, przedstawiającym Prometeusza, przed którym krygował się tuzin tłustych dziewic), potem ich dwoje mieszkało przez kilka lat w Anglii, Hilda kończyła dysertację o poecie Rilke, a Cruzzi pracował w redakcji gazety w centrum Manchesteru, gdzie kupili połowę bliźniaczego domu na przedmieściu (Didsbury) z ogrodem i drzewami owocowymi, spłodzili synka, Armanda, i pewnego wieczoru w środku lata, kiedy angielskie niebo jarzyło się na zachodzie lawendowo i zdawało się przyzywać, zdecydowali, że wyemigrują do Kanady (gdzie, jak naiwnie wierzyli, będą mogli znaleźć oparcie w języku francuskim), wspomniały wybór, jak się okazało, gdyż w małym (pięćdziesiąt tysięcy ludności), leżącym nad brzegiem jeziora, mieście Kingston (King's town, miasto króla, w nazwie kryła się obietnica historii) gazeta poszukiwała właśnie nowego redaktora naczelnego - stanowisko umożliwiające niezwykle rzadką kombinację niezależności i bezpieczeństwa, którym Cruzzi, mimo socjalistycznych poglądów, miał cieszyć się przez przeszło trzydzieści lat, chociaż śmierć Armanda o mało nie złamała mu serca, a może by złamała, gdyby nie miał zajmującej pracy w gazecie, jak również małego literackiego przedsięwzięcia, wydawnictwa Peregrine Press, które wraz z Hildą założyli, żeby móc drukować twórczość kilku nowych poetów kanadyjskich, jacy przyciągnęli ich uwagę, zwłaszcza Mary Swann z okręgu Nadeau, najciekawszej indywidualności, poetki, która, zdaniem Hildy, rozczulająco „nieokrzesała” technicznie była jednak poetką tej miary co Rilke - może przesadne porównanie, ale Cruzzi częściowo z nim się zgadzał, chociaż zarówno on, jak i Hilda trzymali swoje oceny dla siebie z przyczyn, których starali się nie roztrząsać nawet między sobą, a Cruzzi, teraz osiemdziesięcioletni, musi te oceny sam wyrażać.

## *Kilka ostatnich zaproszeń i odpowiedzi*

3 września

Drogi Redaktorze Cruzzi:

I znowu mamy jesień i my, Sójki znad zatoki Ontario, zbieramy się na dorocznym wystrzałowym bankiecie. Ten wielki dzień wypada 30 września i jak zwykle robimy wszystko, żeby nasz wieczór wspaniale się udał. Przypadła mi w udziale szczególna przyjemność wystosowania do Pana prośby, aby zechciał Pan nas zaszczyścić i zostać mówcą na tegorocznym bankiecie. Mamy nadzieję, że Pan nam nie odmówi. Cienimy

sobie przemówienia krótkie, żywe i pełne humoru. Piętnaście minut to absolutne maksimum. Stwierdziliśmy, że po indyku z dodatkami nikt nie jest w nastroju do odbierania głębokich myśli. Krązą pogłoski, że Pańskie poobiednie przemówienia to beczka śmiechu i że wszyscy niezwykłe je sobie cenią. Obiad będzie, oczywiście, gratis. Mamy nadzieję, że odpowie nam Pan jak najszybciej ze względu na fakt, iż musimy oddać do druku nasz program *pronto*.

Z poważaniem

J. Wade Hollinghead (Towary Żelazne Hollinghead), Bath, Ontario.

8 września

Drogi Panie Hollinghead:

Dziękuję za miłe zaproszenie, ale obawiam się, że zarówno Panu, jak i mnie pogłoski źle się przysłużyły. Nie jestem już redaktorem *Cruzzim*, gdyż przeszedłem na emeryturę ze „Sztandaru” więcej niż dziesięć lat temu. Beczki śmiechu nigdy nie były moją specjalnością. Jestem całkowitym wegetarianinem, nie jadam ptactwa ani żadnych zwierzęcych protein. Gadam rozwlekle i zrzedzę, a od czasu, gdy miałem mały wylew, przykro na mnie patrzeć. Krótko mówiąc, obawiam się, że nie jestem „odpowiedni” dla Sójek z zatoki Ontario.

Pański  
Frederic Cruzzi

7 września

Kochany Freddy!

Przyjdź i rozwesel mnie trochę. Obiecuję Ci pieczone jagnię i butelkę dobrego wina. Może jeszcze karczochy. I z pewnością mój zwykły sos musztardowy. Każdy wieczór będzie dobry, ale postaraj się przyjść wkrótce. Wybacz, Freddy, lecz zbyt często bywasz sam, od kiedy Hilda umarła. (Brak mi jej także, ale samolubnie tęsknię za Twoim towarzystwem).

Twoja  
Pauline

8 września

Kochana Pauline!

Właśnie przed chwilą napisałem niegodziwy i pompatyczny list do pewnego pana Hollingheada od Towarów Żelaznych Hollinghead w Bath, odmawiając zaproszeniu, na które nie miałem ochoty, i przedstawiłem się jako wegetarianin i gbur. Mam nadzieję, że w Twojej

obecności potrafię się lepiej zachować. Czy przyszedł piątek ci odpowiadają?

Twój stary, źle wychowany przyjaciel F.C.

15 września

Drogi F.

Przejdę prosto do rzeczy. Uważam, że już najwyższy czas, żebyś się ruszył i przyjechał z wizytą do Montrealu. Konkretnie mówiąc, na Święto Dziękczynienia. Przyjeźdź! Nie mogę znieść myśli, że siedzisz w tym wielkim domu sam i czas przecieka Ci przez palce. I nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego, na miłość boską, wyłączyłeś telefon? A jak się nagle coś stanie? Jak będziesz musiał wezwać doktora albo co? I jak ja mam Cię złapać? Pomyśl o tym. I pomyśl, jak przyjechać na Dziękczynienie. Mógłbyś przyjechać pociągiem. Kiedyś lubiłeś pociąg.

Uważaj na siebie  
Simone

3 października

Droga Simone!

Dziękuję ci bardzo za kartkę. Obawiam się, że Święto Dziękczynienia nie wchodzi w rachubę, chociaż bardzo mnie nęci myśl o rodzinie. Niechętnie teraz opuszczam dom na dłużej. Chyba coraz bardziej potrzebne mi są różne rzeczy z mojego otoczenia, zwłaszcza moje książki. I ciągle jeszcze zaglądam od czasu do czasu do „Sztandaru”, no i oczywiście mam tę swoją piątkową szpalnę. Ten felieton staje się dla mnie coraz większym obciążeniem, bo (mówiąc prawdę) coraz trudniej jest być sympatycznym i uszczypliwym jednocześnie, a nawet wymyślać tematy warte, żeby o nich głądzić i grzmieć. W ubiegłym miesiącu pisałem o fałszywej szlachcie, uchybieniach technologicznych, zbrodniach miejscowych polityków i grzechach przeciw językowi - a teraz muszę dźgnąć coś nowego i potwornego. Załączam artykułik o tyranii telefonu, częściowo wyjaśniający, dlaczego obecnie jestem wyłączony. (Rzeczywistym problemem, skoro już naprawdę chcesz wiedzieć, jest nawał zaproszeń od długowiecznych wdów, głównie od kochanych, starych przyjaciółek Hildy, które codziennie błagają mnie, żebym przyszedł na kolację, na lunch, na brydża, na koncert, na piknik, na cokolwiek. Uważają, że potrzebują pociechy, a jak wiesz, pociecha zawsze stanowiła i stanowi centralny punkt mojego najgłębszego sceptycyzmu). A są jeszcze i antykwarusze, *les bouquinistes* (zwłaszcza jeden), którzy dręczą mnie via



telefon, żebym im sprzedał swoje książki i inne rupiecie - jakbym kiedykolwiek miał to zrobić.

Twój kochający  
F.

8 października

Drogi Panie Cruzzi!

Od dłuższego czasu próbuję porozumieć się z Panem telefonicznie, ale bez powodzenia. Jako przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Sympozjum poświęconego Mary Swann, które ma się odbyć w styczniu, w hotelu „Harbourview” w Toronto (prowizoryczne szczegóły w załączeniu), chciałbym prosić Pana, żeby wygłosił Pan przemówienie wprowadzające, które przedstawi główne zagadnienia interesujące zebranych. Jesteśmy w pełni świadomi Pańskiej roli jako pierwszego (i jedyne) wydawcy Mary Swann i człowieka, który najwcześniej ujrzał niezwykły (moim zdaniem) geniusz jej tekstów. Dlatego członkom Komitetu (w tym wypadku jednomyślnym) wydaje się rzeczą nadzwyczaj właściwą, aby Panu powierzyć prowadzenie tego pierwszego - choć, mamy nadzieję, nie ostatniego - naukowego zebrania zwołanego dla uczczenia poetki.

Zdaję sobie sprawę, że ostatnio nie czuje się Pan najlepiej, niemniej mamy nadzieję, że zrobi Pan nam ten zaszczyt i przyjmie zaproszenie. Czy będzie Pan tak uprzejmy i skontaktuje się ze mną, jak tylko to będzie możliwe?

Szczerze oddany  
Willard W. Lang, Przew. Wydz. Ang.  
Uniwersytet Toronto

PS. Być może nie przypomina Pan sobie, że poznaliśmy się jakieś cztery lata temu, kiedy przejeżdżając przez Kingston, ośmieliłem się zapukać do Pańskich drzwi. Mieliliśmy interesującą (dla mnie) dyskusję o współczesnej poetyce, jak pamiętam, a także o twórczości pani Swann. Proszę przekazać wyrazy szacunku Małżonce, która, pamiętam, była tak uprzejma i poczęstowała mnie filiżanką herbaty i kawałkiem wspaniałego orzechowego ciasta.

15 października

Drogi Profesorze Lang!

Przykro mi bardzo oznajmić Panu, że z powodu obecnego stanu zdrowia i samopoczucia nie mogę wziąć udziału w Pańskim „sympozjum”. Zawsze mi się zdawało, że wspaniałość twórczości Mary Swann

leży w jej niewinności, a tym samym nie zachęca do naukowego wścibstwa czy kapryśnej interpretacji. Jako dokładny czytelnik jej „tekstów” pamięta Pan zapewne te wersy zamykające drugi z jej wierszy o wodzie:

Pozwól mi skryć się daleko  
Niech ból zwalający na kolana  
Moja rana  
Bezpiecznie w środku czeka.

Oczywiście śmieszne byłoby interpretować tę strofkę jako obronę przed jej czytaniem. W końcu poeci po to piszą, żeby ukazać innym swoją jedyność serca i umysłu. Ale wierzę, że pani Swann opierałaby się całym swoim „bólom zwalającym na kolana” każdej próbie analizy i usystematyzowania tego, co wydobyło się z niej tak naturalnie jak oddech. Często myślę o mędrцу, który rzekł: „Krytycy są dla sztuki tym, czym ornitolog dla ptaków”. Zawsze będę wdzięczny za słowa i melodię, jakie pani Swann nam zostawiła, i nie chcę dobierać się do ich znaczenia. Co więcej, przykro byłoby mi słuchać, jak inni to robią.

Pański  
F. Cruzzi

PS. Wiem, że mojej nieżyjącej żonie byłoby miło, że pamięta Pan o niej, a także o jej orzechowym cieście. Co do mnie, dobrze pamiętam Pańską wizytę i często się zastanawiam, co się stało z wierszami, które Pan odkrył pod kuchennym linoleum u pani Swann.

20 października

Drogi Freddy!

Kwiaty są śliczne i jesteś kochany, że mi je przysłałeś. Jestem pewna, że ich widok przyśpieszy moją rekonwalescencję i poprawi mi humor. Ale ciągle się zastanawiam, czy to nie Ciebie trzeba rozweselić. Kiedy byłeś tutaj kilka dni temu, wyglądałeś nieco spokojniej niż zwykle, trochę zatopiony w myślach. Czy wciąż jeszcze rozmyślasz nad Południową Afryką? Mam nadzieję, że nie, bo cóż my wszyscy możemy na to poradzić? Umówmy się na przyszły piątek, kiedy zechcesz, najlepiej po piątej po południu, na drinka, który nas rozweseli. Niestety muszę Cię prosić, żebyś przyniósł gin, ponieważ jeszcze przez dziesięć dni nie wolno mi wychodzić o tych wstrętnych kulach.

Twoja  
Pauline

Kochana Pauline!

Tylko kilka słów, żeby Ci powiedzieć, iż będę u Ciebie w piątek z butelką beefeatera. Będziemy się wzajemnie pocieszać. Ja będę Cię wypytawał o Twoje nieszczęsne złamanie i Twoją bezsenność, a Ty będziesz mogła wścibiać nos w moje obecne utrapienia, z których większość sam sobie zafundowałem. Po pierwsze brak mi telefonu, ale pycha nie pozwala mi zwrócić się do Ma Bell. Oprócz tego znowu ostatnio odrzuciłem złośliwie, drwiąco i arogancko, hojnie szafując szyderczymi cudzysłowami, zaproszenie na sympozjum poświęcone Mary Swann, które, jak mi się teraz zdaje, mogłoby mi sprawić przyjemność. (Co za niegodziwość każe mi tak pochopnie robić afronty akademickiemu światu?). Trochę duchowej trucizny przedostało się do mojej rubryki w gazecie - nie mów mi tylko, że nie zauważyłaś - i na pewno mój ostatni artykuł o psach wałęsających się bez opieki wzbudził nieprzyjemne uczucia. Ty wiesz, że to Hilda kontrolowała moją złośliwość, jej codzienne szczepionki dobroci, coś w niej tak delikatnie zrównoważonego. Ech, cóż...

Do piątku

F.

1 listopada

Drogi F.C.

Brawo, i tak trzymaj, bracie! Od ukazania się Twojego sławnego artykułu o psach spływa do redakcji ulewa listów (pro, contra, niezdecydowane, do wyboru). A ten kawałek o zniesieniu senatu też żywo wzburzył czytelników. Judy, Fran i ja siedzieliśmy wczoraj nad workiem z pocztą i zastanawialiśmy się, czybyś nie mógł robić dla nas dwóch kolumn tygodniowo zamiast jednej. Powiedzmy, na wtorek i na sobotę, coś takiego. Wiem, że to wyłom w tradycji, ale fantastycznie podniosłoby nakład, a biedne ludziska przeżuwaliby coś więcej oprócz tego cholernego Środkowego Wschodu. Daj mi znać, co o tym sądzisz. Zdaje się, że nie ma szans, aby Ci podłączyli telefon, co? Równie dobrze mógłbyś mieszkać na księżycu, a nie na drugim końcu miasta.

Sugestia do przyszłego artykułu!! Jak się zapatrujesz na to, żeby w stosownej chwili chlunąć trochę vitriolu na różowe flamingi z plastiku? Judy przesyła Ci ucałowania. Fran też. No i ja.

TSH

6 listopada

Drogi mój Tomie!

Twoja kartka właśnie doszła; sześć dni trzeba, żeby ćwierć uncji papieru zrobiło trasę długości pół mili. Naprawdę jesteśmy na księżycu!

Niestety, pełen wdzięczności muszę odrzucić Twoją ofertę na wypełnianie dwóch kolumn tygodniowo, gdyż trudno mi zgromadzić wystarczającą porcję gniewu na jedną. Moja umiejętność doprowadzania się do furii zanika wraz z różnymi częściami ciała, a poza tym dochodzę do wniosku, że wystarczy, jeśli raz na tydzień pakuję się w kłopoty, pienię się z wściekłości. Tak naprawdę to ja lubię psy. Wierzę też, do pewnego stopnia, w senat. Uwielbiam kurtuazję - fałszywą czy prawdziwą. Większość polityków ma dobre intencje, chociaż to się może wydawać dziwne. Język angielski musi być giętki i otwarty na wpływy, niezależnie od pedantów takich jak ja. A telefon jest jednym z największych udogodnień na świecie. (Mam zamiar podłączyć się znowu po Nowym Roku, jak tylko ucichnie trochę to całe zamieszanie). Jak więc widzisz, folgowanie złym humorom teraz, kiedy stało się sztucznym ćwiczeniem, pozbawia mnie owych przekonań i przyjemności, które wypełniały mi życie. Mimo wszystko będę nadal pisał do piątkowej kolumny jeszcze co najmniej przez rok, skrzypiąca wytrwałość jest bowiem naczelną chorobą starości. Myślę jednak poważnie, żeby w przyszłym tygodniu wystąpić z aprobatą czegoś, tylko po to, żeby się przekonać, czy jestem jeszcze zdolny napisać artykuł, który nie „uraza i obraża”.

Jeśli mogę Ci coś zasugerować, Tom - to, moim zdaniem, jedna kolumna porad dla nieszczęśliwych w miłości wystarczy. I może zechcesz pomyśleć o skreśleniu tego faceta od „Porad dla Złotego Wieku”. Wszyscy; tak czy inaczej, zsuwamy się po równi pochyłej, a promyki słońca tego idioty są obraźliwe.

F.C.

PS. Obawiam się, że nie mogę włożyć całego serca w potępienie flamingów ani banalnej bezczelności ogrodowych krasnali, ani nawet Czarnego Sambo obok słupka przy bramce. Jestem pewien, że ozdóbki zostały nabyte i wystawione przez ludzi, którzy w swej prostoduszności usiłują w ten sposób upiększyć nasz niewesoły świat, czy można więc atakować impuls tak naturalny i ludzki?

7 listopada

Drogi Panie Cruzzi:

Proszę o wybaczenie, że znowu Panu zawracam głowę czymś, co na pierwszy rzut oka może wyglądać na handlową ofertę. Może Pan pamięta, że rozmawialiśmy przez telefon dwa czy trzy razy na początku jesieni i wtedy dał mi Pan jasno do zrozumienia, że nie jest zainteresowany sprzedażą żadnej części swojego prywatnego księgozbioru; nie wyraził też Pan zgody na to, by pomóc Panu w zrobieniu czegoś w rodzaju re-manentu (spisu) i wyceny, a są to usługi, w których nasza firma się specjalizuje.

Otwarcie mówiąc, piszę ten list w nadziei, że może Pan przemyślał naszą propozycję i zechce teraz oddać to, co jest w Pana posiadaniu, oraz skorzystać z innych możliwości inwestowania lub przeznaczyć dochód na podróże, dobroczynność i tak dalej. Wiemy z doświadczenia, iż wiele osób zbyt długo zwleka z rozporządzeniem cennymi rzeczami, tak że podczas porządkowania mienia rzeczy najbardziej cenione i szanowane w życiu bywają lekceważone lub zostają przeoczone przez spadkobierców. Kolekcjonowane z troską i upodobaniem zbiory (w szczególności książek), zamiast znaleźć się w rękach ludzi, którzy je naprawdę doceniają, ulegają rozproszeniu i rozpadowi, a czasami nawet, przy beztroskim obchodzeniu się - zniszczeniu.

Nasza firma skupia się przede wszystkim na doborze książek dla wytrawnych kolekcjonerów. Jesteśmy szczęśliwi, gdy możemy brać pod uwagę kompletny zestaw, ale zajmujemy się także zbiorami niekompletnymi lub nawet poszczególnymi tomami. W tej chwili, na przykład, mamy kupca namiętnie poszukującego pierwszych wydań Hemingwaya. Inny rzutki kolekcjoner, którego jesteśmy przedstawicielami, specjalnie interesuje się poetką Mary Swann, której wiersze Pan ogłaszał drukiem w niedawnej przeszłości.

Mogę Pana zapewnić, że nasza firma docenia takie książki i płaci za nie najwyższą cenę rynkową. A nawet w takich wypadkach, jak dość niezwykła książeczka pani Swann, jesteśmy gotowi zaoferować o wiele wyższą cenę niż rynkowa, zależnie od stanu książki, oczywiście.

Prosimy, aby zechciał Pan chociaż wziąć pod uwagę nasze usługi i skontaktować się z nami listownie pod adresem w Nowym Jorku bądź telefonicznie, zamawiając na koszt abonenta numer podany w nagłówku.

Z prawdziwym szacunkiem

Książka Browser, Spółka Akcyjna

11 listopada

Szanowny Panie Książko Browser:

Zwracam się tak do Pana, ponieważ nie poda! Pan innego nazwiska. Proszę, niech Pan się dłużej nie martwi o to, co się stanie z moim „mieniem” po mojej śmierci. Mam niezwykle energiczną synową, doceniającą w pełni wartość księgozbioru, którego zgromadzenie zajęło mnie i mojej żonie pięćdziesiąt lat. Co ona zrobi z tym zbiorem, kiedy stanie się jej własnością, zależy tylko od niej, ale dopóki żyję, a mam nadzieję pożyć jeszcze jakiś czas, zamierzam dopilnować, żeby biblioteka pozostała nietknięta. Książki, drogi Książko Browser, są mi bliskie, są pociechą, pamiątką mojego życia. Cóż mogę więcej powiedzieć?

Jeśli to uspokoi Pana i zapobiegnie dalszym kontaktom, to zapewniam, że nic ze szkoły Hemingwaya nie zajmuje miejsca na moich półkach. Co do czterech ostatnich egzemplarzy „Łabędzich pieśni” (to wszystko, co zostało z 25 egzemplarzy, które moja żona i ja wydaliśmy jako druk Peregrine Press), zrobiłem zastrzeżenie w moim testamencie, że mają być przekazane Bibliotece Uniwersytetu Królowej, tutaj, w Kingston.

Tak więc, Książko Browser, niestety ani ja nie będę mógł służyć Panu pomocą, ani Pan mnie.

Z poważaniem  
Frederic Cruzzi

16 listopada

Szanowny Panie!

Nazywam się Sara Maloney i jestem tak jak Pan zafascynowana Mary Swann. Zadzwoił do mnie ostatnio Willard Lang, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Sympozjum dla uczczenia Mary Swann, zawiadamiając, iż odmówił Pan zaproszeniu, żeby zostać wprowadzającym mówcą. Mogę tylko powiedzieć, że jesteśmy wszyscy przybici tą wiadomością.

Piszę z nadzieją, że może uda mi się Pana przekonać, aby zechciał Pan wziąć udział chociaż w nieformalnej sesji i dyskusji dotyczącej pierwotnej publikacji „Łabędzich pieśni” wydanych przez Pańskie wydawnictwo Peregrine Press. To hipotetyczne wydarzenie odbyłoby się na drugi lub trzeci dzień naszych spotkań, kiedy z naszych gości zostanie już odfiltrowana akademicka sztywność. My, tkwiący po uszy w Swannowym przemyśle, możemy spekulować bez końca, ale Pan jest akuszerem oryginalnego tekstu i jedynym człowiekiem, który ujrzał (i

wziął do ręki) manuskrypt - zaginiony, jak rozumiem, kilka lat temu ku naszemu żalowi. Prawdziwa tragedia.

Powiem samolubnie, że bardzo chciałabym poznać Pana i posłuchać Pana wrażeń dotyczących Mary Swann. Dla mnie pozostaje wciąż szalenie enigmatyczna nie tylko jej twórczość, ale ona sama. Jak te wszystkie słowa dostały się do wnętrza jej nieskomplikowanego umysłu? Może Pan wie. Myślę, że mógłby Pan wiedzieć. Mam nadzieję, że Pan mi powie. Proszę to rozważyć i przyjechać na sympozjum. Będziemy rozmawiać bez końca.

Ze szczerymi, najlepszymi życzeniami

Sara Maloney

26 listopada

Miła Panno Maloney!

Pani czarujący list dotarł do mnie dzisiaj. (Proszę mi wybaczyć podejrzenie, że czarujące listy są pewnie Pani specjalnością. Niewątpliwie pochlebia mi Pani, sugerując, że posiadam sekret siły Mary Swann; w gruncie rzeczy jestem tak samo jak wszyscy zbity z tropu jej nadprzyrodzoną zdolnością postawienia dwóch zwykłych słów obok siebie i wyciągnięcia z nich kilowata mocy, a czasami znacznie więcej). W każdym razie skusiła mnie Pani i przekonała swoim zaproszeniem, i dzisiejszego rzeńskiego, jesiennego poranka jestem zdecydowanie w nastroju oczekiwania - choć zapewne za tydzień będę żałował mojej decyzji.

Jeśli chodzi o mój możliwy wkład w sympozjum, to może byłoby z pożytkiem dla jego uczestników, gdybym w ciągu kilku minut powiedział krótko jako „położnik”, w jaki sposób poznałem Mary Swann, chociaż sądzę, że opowieść o tym, jak dawno temu pewnego sypiącego śniegiem dnia przyniosła mi swoje wiersze, jest dobrze znana. Mógłbym także, gdyby to kogoś interesowało, opisać tę, nazwaną przez Panią „manuskryptem”, osobliwą, nieporządną kupę papieru, na którym pisała wiersze. Wcale nie jestem pewny, czy nazwałbym taką górę świstków „manuskryptem”, i nie mogę się z Panią zgodzić, że strata ich jest „tragiczna”. (Prawdę mówiąc, moja droga zmarła żona użyła ich do zawinięcia rybich ości po niezwykle smacznym daniu z soli czy halibuta, ale zdaje mi się, że ta historia także jest już w dokumentach).

Ponadto, jako raczej stary dziennikarz niż zawodowy naukowiec, mam może mniej szacunku niż wy dla świętości papieru, który służy do pracy. Jeśli wie Pani coś o poezji urdu lub o ustnej tradycji większości

literatur świata, musi Pani też wiedzieć, że pielęgnowanie oryginalnego rękopisu jest zjawiskiem stosunkowo nowym, i uważam je za zagadkowe. Rękopis, mimo wszystko, jest tylko surowym przedstawieniem kroku pomiędzy twórczą myślą a jej wytworem, i równie dobrze może służyć za podpałkę do rozniecenia ognia lub do zawijania ości.

Szczerze mówiąc, nie kończące się sprawdzanie jednego tekstu z drugim, tyrania dokładności, jaka rządzi światem akademickim, są raczej męczące. Odkryłem, że czasem lepiej patrzeć na wszechświat z przymrużeniem oka, poddać się dobrowolnemu skrzywieniu i ufać, że z zagmatwanej wizji lub z zagmatwanych notatek, jeśli Pani woli, wypadnie trafem jakaś rzecz uboczna, która będzie prawdą. Proszę więc, Panno Maloney, niech Pani nie „żałuje” kilku świstków papieru. Jak Pani z pewnością wie, są inne sprawy, których trzeba żałować.

Oddany Pani  
F. Cruzzi

PS. Czy mogę pogratulować Pani charakteru pisma - te niemal wygrawerowane duże litery, zwłaszcza C, i niezwykle kapryśny, staroświecki sposób, w jaki wcina Pani kolejne akapity - naprawdę bardzo ładne.

7 grudnia

Kochany Freddy!

Pozwól mi najpierw powiedzieć, że nie masz sobie nic, nic, nic do wyrzucenia. Nie jestem, jak to sugerujesz w bileciku, obrażona, i jestem pewna, że Hilda i mój drogi Barnie uważaliby to za najbardziej naturalną rzecz na świecie. Nie jesteś jeszcze gotów, żeby stać się dobrodusznym wujaszkiem, bo i dlaczego miałbyś nim być? Byłam tylko trochę zaskoczona, i to wszystko - tyle czasu minęło. Och, mój kochany! trudno mi o tym pisać. Wiem tylko, że słowa są czasami zbyt patetyczne i że najbardziej chcemy je pominąć i dotknąć się nawzajem. I tylko to się stało, taka drobna rzecz, ale dała mi wiele szczęścia, chociaż Ty, wydaje się, jesteś innego zdania.

Przyjdź, proszę, siedemnastego. Zrobię przepiórki z sosem sauterne, o którym wечно mówisz, a przy odrobinie szczęścia na rynku będą truskawki.

Twoja  
Pauline



10 grudnia

Moja najmiłsza Pauline.

Będę, jak każesz, przyniosę tort orzechowy prosto z pieca i gotowy do skąpania w koniaku.

Do zobaczenia  
F.

11 grudnia

Szanowny Panie Cruzzi!

Pan zapewne nie przypomina sobie, że spotkaliśmy się na zebraniu Stowarzyszenia Bibliotek przed kilkoma laty, kiedy Pan był zaproszony do wygłoszenia przemówienia. Trochę wtedy gawędziliśmy. Może pobudzi Pańską pamięć, jeśli powiem, że jestem bibliotekarką (na pół etatu) w Nadeau i że byłam serdeczną przyjaciółką Mary Swann, zanim umarła. Czy nie byłaby zdziwiona, że stała się taka sławna? Mam nadzieję, że jakoś o tym wie.

Nie tak dawno otrzymałam zaproszenie na sympozjum w Toronto, a w ubiegłym tygodniu napisał do mnie miłą kartkę profesor Lang, zawiadamiając, że Pan także jedzie, i, rzecz jasna, wygłosi jedno z przemówień.

Otóż, przystępując do rzeczy, profesor Lang zaproponował, iż gdybym jechała samochodem do Toronto, mogłabym Pana zabrać, ale problem polega na tym, że - choć to głupio wygląda - nigdy nie nauczyłam się prowadzić, toteż pojedę autobusem do Kingston w poniedziałek (3 stycz.) rano, a potem pociągiem o 10 rano dalej. Zawsze, kiedy jadę do Toronto, czego nie robię nawet w połowie tak często, jak bym chciała, jeżdżę pociągiem. Raz tylko jechałam całą drogę autobusem, ale nie podobało mi się to wcale, w dodatku dostałam choroby autobusowej i przez część drogi było mi niedobrze, co jeszcze pogorszyło sprawę.

Może to będzie strasznie bezczelne z mojej strony, ale pomyślałam, że moglibyśmy pojechać razem pociągiem i dotrzymać sobie towarzystwa w drodze. Moglibyśmy spotkać się na stacji w Kingston około 9.30, żeby mieć dużo czasu na kupienie biletów, chyba że postaramy się o nie wcześniej, jak to zawsze robię. A więc, żeby Pan mógł mnie poznać, mam pięć stóp i cztery cale wzrostu, i mówią, iż ostatnio zeszczuplałam dzięki temu, że przez pewien czas czułam się pod psem, chociaż muszę się niedługo pozbierać. Noszę okulary w szaroniebieskiej oprawce i będę ubrana w brązowy kostium, jeśli nie będzie padał śnieg, ale jeśli będzie

padał, a pewnie będzie, to włożę mój stary podniszczony niebieski płaszcz z szarym futrzanym kołnierzem (sztucznym, oczywiście).

Tymczasem pewnie zorganizował Pan sobie podróż inaczej, proszę więc nie myśleć, że zrani Pan moje uczucia, jeśli przyjadę (na stację), a Pana tam nie będzie. To tylko profesor Lang pytał, czy nie mogłabym Pana zabrać samochodem, ale jak już wyjaśniłam, nie prowadzę samochodu. Co jest oczywiście śmieszne, gdy się mieszka na wsi, tak jak ja. Ale i tak lubię jeździć pociągiem, lubię każdą spędzoną w nim minutę, zwłaszcza gdy jedzie wzdłuż jeziora.

Z poważaniem  
Rose Hindmarch

PS. Wesołych Świąt!

18 grudnia

Droga Panno Hindmarch!

Pewnie profesor Lang napisał i mówił Pani, że jestem stary, niedołężny i mam zmacony umysł, i trzeba się mną zaopiekować; wszystko to jest prawdą lub częściowo prawdą, z wdzięcznością więc przyjmuję Pani miłe zaproszenie, żeby towarzyszyć Pani w podróży.

Ja także bardzo lubię pociąg, zwłaszcza o tej porze roku. Będziemy wyglądać przez okno, a Pani mi opowie o swojej przyjaciółce, Mary Swann, z którą, przykro mi to wyznać, zetknąłem się tylko na krótko. Minęło kilka lat, od kiedy przejeżdżałem przez Nadeau, ale mówiono mi, że w tamtejszym muzeum regionalnym jest specjalna wystawa poświęcona Mary Swann.

Przesyłam Pani najlepsze życzenia zdrowia i szczęśliwych Świąt Bożego Narodzenia.

Pozdrawiam Panią  
F. Cruzzi

PS. Skoro spotkaliśmy się już poprzednio, łatwo mnie Pani pozna, chociaż chodzę teraz trochę bardziej chwiejnie niż wtedy, kiedy rozmawialiśmy w Stowarzyszeniu Bibliotek.

## Sny Cruzziego

Chyba dobrze jest znany perski poeta Raszid i to, co napisał o potęgze snów: gdyby wszystkie sny śnione tylko jednej przypadkowo wybranej nocy zebrać w jedno zawiniątko i cisnąć w poranne niebo, ich blask

...zawstydzilby  
Nędzne, uwiędłe  
Płomienie słońca.

Kiedy żona Frederica Cruzziego, Hilda, żyła i gdy przygotowywali w wielkiej staroświeckiej kuchni śniadanie, czasem wzajemnie obdarzali się swoimi snami. Hilda, rytmicznie smarując masłem tosty, opisywała dzikie zwierzęta, jaskrawokolorowe potrawy, nagłą nagość i zarzucone przedmioty, przedmioty, które uparcie nie pozwalały się zidentyfikować.

Cruzzi zaś, niepoprawny redaktor, grzeszył niekiedy wygładzaniem chaotycznych snów dla dobra żony, nadając im sensowny kształt i stosując drobne, eleganckie, dekoracyjne poprawki. (Istnieje wiele rodzajów odseparowania się, jak zauważył poeta Raszid, jednym z nich jest elegancja). Sny Cruzziego, opowiadane Hildzie, wypełnione były kwiatami, długimi, kojącymi rozmowami, kapryśnie lub bohatercko urągające powadze. Brak linearności dodawał i wciąż dodaje czar. W istocie Cruzzi we śnie stale wali głową o niespodziewany mur, walczy ze złą pogodą albo też, nawet po osiemdziesiątce, ogląda swoje dłonie, które są symbolami, posłańcami jego samego, wędrującego przez krajobraz tajemnicznych kobiecych ciał, piersi, szczelin, ud, kostek - a te wszystkie góry i doliny przygwożdżone cierpliwym, kobaltowym wzrokiem żony, Hildy.

Odkąd przed rokiem umarła - nagłe i gwałtowne pęknięcie tętnicy śródczaszkowej - Cruzzi zatrzymuje swoje sny dla siebie. Prędzej zanurzyłby rękę we wrzątku, niż zanudzał przyjaciół swoimi snami. (Podczas gdy ci sami przyjaciele dość często roztrząsają treść swoich snów, a kiedy to zaczynają robić, Cruzzi wie, że wpadł i czeka go nuda).

Niemniej nadal miewa sny, i to bardziej urozmaicone, żywsze, bardziej dadaistyczne w narracji, i uporczywiej sięgające po przypadkowe, odrzucone klocki przeszłości. To, że ścigają go aż po późną starość, zadziwia go, zawsze też jest zakłopotany ich całkowitą bezużytecznością, przyrównując ich treść do magicznie miękkiej, milimetrowej płóciennej

powłoczki z niteczek, jaką ściąga ze stalowej siatki w drzwiczkach elektrycznej suszarki do bielizny. (Myśli, że w tym ściąganiu kryje się pewna przyjemność; ale jaki użytek można zrobić z czystej, zebranej garstki puszku?).

Pogląd, że sny są mimowolną poezją umysłu, przemawia do niego, ale go odrzuca. Z natury jest także sceptyczny wobec teorii, że sny się kumulują i stają częścią tworzenia i niszczenia wszechświata; nie ufa również myśli, że sny są egzorcyzmami, wypędzającymi winę lub strach, bądź pobudzają wyobraźnię. Cruzzi nie wie, w co wierzy, i wciąż jest tak samo zagubiony jak poetka Mary Swann (w kosmosie kuzynka wielkiego Raszida), która czuła, że dręcą ją

Okruchy rozbitej pamięci  
Co nerwy zbielełe kroją  
Jak sny zbyteczne  
Przez noc zawekowane  
Zalakowane pieczęcią  
W nieśnionym słoju.

Na początku września, a może pod koniec sierpnia, po krótkim popołudniowym spacerze do lasu, który zaczyna się tuż za domem, Cruzzi zasnął w fotelu przy otwartym oknie i ledwie przymknął oczy, mignęła mu biała dłoń matki, która próbuje otworzyć butelkę wody mineralnej, i podaje ją, po krótkim zmaganiu, mężowi. Na pierwszym planie rozłożony na trawie czerwony obrus, trwa piknik i śpiący Cruzzi widzi okrągłą, muzułmańską twarz ojca: delikatną, lekko przejrzałą, gładką i bezwłosą jak gruszka, a rozlewająca się na niej cudowna łagodność czyni ją jeszcze bardziej okrągłą. Jakże tych dwoje się uśmiecha! Ich uśmiechy tak promieniają, że przekształcają się w melodię, która utrzymuje sen wysoko w górze, nawet wtedy, kiedy ucho Cruzziego chwytą brzęczenie muchy, grożące zdmuchnięciem sprzed oczu czerwonego obrusa i przewróceniem butelki z wodą mineralną. Uśmiechy dwojga wycieczkowiczów kierują się ku górze w listowie zakurzonego drzewka, na siebie nawzajem, na ciurkającą wodę nalewaną z butelki i na Cruzziego, który jakimś cudem jest tam i nie ma go zarazem.

Przez ten sen i przez wszystkie sny Cruzziego wędrują mocne, opalone nogi jego żony, Hildy. Jak z mahoniu - myśli o tych nogach - solidne, wypolerowane kawałki twardego drewna pomiędzy szortami a sznurowanymi butami, nogi, które doskonałą wytrzymałość wykazują w czasie

dorocznych pieszych wędrówek w Appalachach albo Szlakiem Bruce'a. Kragłość brązowych bioder Hildy na czerwonym, piknikowym obrusie przytłacza różnorodność innych form i gestów i sprawia, że Cruzzi czuje w pachwinach żaloszny skowyt, wydzierający się z kruchego układu kanapek i owoców i wyciągający go stamtąd powoli i boleśnie do stanu świadomości.

W październiku, w tę szczególną sobotnią noc, kiedy urzędowo cofa się zegary o godzinę, Cruzzi śpi zdrowym snem dzięki wieczornej szklance ciepłej whisky. Włókna jego mięśni, jeszcze mocne pod postarzałą, łuszczącą się skórą, stapiają się niemal z włóknami gładkiego płótna prześcieradeł.

Jednakże blisko ranka, być może skutkiem przestawienia godziny, do której trzeba się przystosować, sen zostaje zakłócony przez przemoc. Przemoc w postaci głosu, który odznacza się siłą, rzadką w jego snach. Rozlega się i trwa, grzmiąc i bijąc w gęsto tkane płótno pościeli, a Cruzzi, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, usiłuje przez sen usłyszeć, co ten głos mówi, lecz słyszy tylko ryk gniewu i krzywdy. Jest to, oczywiście, jego własny głos, na skutek czego niemożność rozróżnienia słów staje się jeszcze bardziej frustrująca. Staroświecki zegar wybija godzinę i oznajmia, że podłoga - bo nagle w próżni zainstalowała się posadzka we wzory - niebezpiecznie się przechyla. Hilda biegnie, jej mocne, brązowe nogi w przerażeniu usiłują złapać równowagę; ale głos, teraz wystarczająco mocny, żeby napiąć mięsień ramienia Cruzziego i kazać mu przewrócić się na bok, grozi, że ściągnie w dół podłogę razem ze śliskimi, wykładanymi glazurą ścianami i pięknym sufitem znaczonego niebiesko-czarnymi hieroglifami, które przez surowe kolory i konfiguracje są irytująco nieczytelne.

Cruzzi, ciągle we śnie, dźwiga ciało i wkłada kościsty palec w jamę ust.

Krajobrazy, trzęsienia ziemi, ostre skały ustępują nagle alpejskiej łące i ciepłemu światłu słońca. (W Kingston jest zimna noc, temperatura sięga minus dziesięciu stopni, niska jak na tę porę roku, i Cruzzi przez sen szuka po omacku wełnianej koldry, trzymanej w nogach łóżka).

Hilda ze śmiechem się wyrывa, a uśmiech ten staje się zdawkowy. Potem układa owoce w misie, starannie obracając śliwki tak, żeby miękka, błękitna szczelina, którą każda jest oznaczona, uchwyciła smugę

słonecznego blasku. Ale nie - to nie słońce ,to księżyc. Hilda tańczy lekko w ramionach Cruzziego, darząc go uściskiem, który niczego nie obiecuje, potem odsuwa się, wirując, a jej nogi są cieńsze, bielsze i świecą od łydki po udo dziwną, mleczną białością. (Cruzzi budzi się na krótko, drapie się po genitaliach, stwierdza, że bołą go stawy, ale następny wydech przenosi go przez drzwi wiejskiego domku, gdzie odkrywa klatkę schodową, korytarze, wielki hall jaskrawo oświetlony, stół nakryty na dwanaście osób i... majestatyczną muzykę).

Twarz na ekranie telewizora mówi już od kilku minut. Tematem jest Libia, porwany samolot, rozmowa telefoniczna z terrorystą, niemożliwe żądania. Na krótko ukazuje się Kadafi, fanatycznym wzrokiem patrzy badawczo w kamerę, która chwieje się i migoce. Po minucie jego szeroki, oddalający się wizerunek zdaje się odpływać. Cruzzi czuje, że jego własna twarz zaczyna zanikać i rozpływać się w miazmacie kropek - a potem także dłoń pokryta brązowymi plamami, trzymająca filiżankę kawy, i długie ramię. Światło go pożera. Jest młodym człowiekiem, stoi w pociągu na korytarzu, a w rękę trzyma kartkę pocztową. Znowu hieroglify, ale tym razem z większym uporem próbuje je odczytać. Słowa po francusku są pisane dużymi literami i obiecują głupstwa, wesołość, namiętność, miłość... zwłaszcza miłość.

Wszędzie pełno śniegu, wypełnia lasy za domem Cruzziego i szczeliny między unoszącym się oddechem. Skądś zjawia się ocalająca ręka, ciepła, blada, bladość wzbogacona talkiem, błyszczący złoty pierścionek, kilka stłumionych słów, wskazujących na sen wewnątrz tego snu, jaskinia przypominająca dom, wbudowana w zbocze wzgórza.

Drzwi jednak zamknięte pod ciśnieniem, znowu ten pęcherz, potem napad kaszlu i drętwienie nóg, i hałaśliwy głos wypełniający kuchnię. Hilda płacze, zakrywa oczy opalonymi ramionami, a on wali w nią głosem, ręką, nawet pięścią i Hilda się przewraca, pokrywa ją śnieg, głębszy teraz niż kiedykolwiek i tak ciężki, że musi rozgrzebywać go jak szalony, usiłując ją uratować.

## *Krótką nie przepisana historia wydawnictwa Peregrine Press: 1956-1976*

„Sztandar Kingstonu” (zanim jeszcze Frederic Cruzzi przyjechał z Anglii i został jego redaktorem) z konieczności stanowił pewną anomalię jako gazeta regionalna, gdyż jej abonenci składali się z nietłatwej mieszaniny ludności miejskiej, farmerów, urzędników państwowych i drobnej burżuazji. W gazecie reklamowali się właściciele małych, konserwatywnych, rodzinnych firm, takich jak „Herbaciarnia Księżniczki” czy „Skład Mebli Kolonialnych Braci Diamond”. Ale najbardziej krzykliwymi czytelnikami byli rewolucjoniści i postępowcy akademickiego pokroju. W rezultacie linia pisma biegła kapryśnie, ślizgając się między „pragmatycznym walcem” a udającym atak „stąpieniem na palcach”, i z tego powodu zawsze była i jest jeszcze czytana z porozumiewawczym przymrużeniem oka. A to akceptuje każdy. Tak samo akceptuje się fakt, że prawdziwe bitwy toczą się na stronie „Listów do redakcji”, przelewającej się czasami na drugą stronę, a raz nawet - w 1970 r, gdy ukazała się Ustawa o Zapobieganiu Wojnie - na trzecią. Tutaj, mimo niezwykle okresowych sojuszy i ucieczek w jednomyślność, walka przybiera pozory klasycznej polaryzacji między tymi, którzy chcą siedzieć cicho, a tymi, którzy chcieliby iść naprzód.

Zdaniem Cruzziego burzliwa ciągła wojna na stronie „Listy do redakcji” stanowi w większości wypadków analogię do zdrowych towarzyskich rozgrywek tenisowych, tak samo zabawnych i ożywionych. Niekiedy także oświeca czytelnika. Ale działania wojenne raptownie urywają się na stronie poświęconej rozrywkom. Nawet wśród czytelników, którym nigdy by się nie śniło, żeby wykupić abonament do Okręgowego Teatru w Kingston czy do nieopierzonej Filharmonii Wschodniego Ontario, i którzy raczej wskoczyliby nago w pokrzywy, niż dali się przyłapać na czytaniu którejs z książek recenzowanych w „Sztandarze”, istnieje cicha zgodna opinia, że sztuka jest czymś uprzywilejowanym i zasługującym na ochronę. Nieprzyzwoita książka wykryta w szkolnej bibliotece może wywołać krótką wrzawę, ale ogólne pojęcie o sztuce jest w okolicach Kingston święte. I jeśli niczym innym, to chociaż słowem składa się jej hołd.

Kiedy Cruzzi przejął „Sztandar”, jego i Hildę rozbawiła prowadzona od dawna rubryka w dziale rozrywki, znana jako „Kącik poetów”. Wielu miejscowych poetów, w większości starszych, zawsze eleganckich, ubiegało się co tydzień o tę trochę miejsca, zarzucając redakcję „Sztandaru” na ulicy Drugiej garściami sonetów, cztero wierszy, sestyn, limeryków, haiku, kulawych jambów i daktyli jak krewetki, a wszystko to było podczepione pod tak bezwstydną tytuły, jak: „Serenada mew”, „Marzenie wiosenne”, „Oda do fortu Henry”, „Brzozy o wieczorze”, „Wierny sztandar”, „Stary Sadie”, „Pierwszy błękitnik”, „Ahoj! żeglarze”, „Kupido w akcji”, „Lilijka”, „Stara dzielna załoga”, „Dziewiczy wieczór”, i tak dalej. Honorarium, niezależnie od długości czy formy wiersza, wynosiło pięć dolarów, ale ta raczej niewielka suma nie zniechęcała licznych petentów. Już w pierwszym miesiącu w Kingston Cruzzi zobaczył, jak wiele jest tych utworów, i przypatrzył się ich jakości, po czym natychmiast ogłosił zamiar skasowania „Kącika poetów”.

Jakim głupcem był w owym czasie! Nosił ciężkie wełniane garnitury, nie strzygł włosów, a ten cudaczny sposób rozmawiania, maniery, oświadczenia! Powszechny krzyk oburzenia z powodu skreślenia „Kącika poetów” był bezprecedensowy i zdawał się pochodzić ze wszystkich sfer społeczności. Przyczepiono mu etykietkę filistra i nieokrzesanego dziennikarzyni nowoczesnej szkoły. Przywołano słowo „cudzoziemiec”: Francuzik, Angliczanin; było w tym zrozumiałe zamieszanie. Czytelnicy tolerowaliby nową typową twarz, którą im narzucono, nie żalowali starej rubryki „Ciasto tygodnia”, kiedy zniknęła ze strony dla kobiet, ale nie chcieli zrezygnować z Li'l Abner i „Kącika poetów”. Kultura - to kultura. Nawet ci, którzy dawali ogłoszenia, zaniepokoiłi się, i Cruzzi w imię przyjaznych stosunków, zakłopotany swoim postępkami heretyka, skapitulował i podał do wiadomości, że ogłasza dwuletnie bezkrólewie dla wierszy o mewach.

Z czasem, ponieważ literacka społeczność w Kingston była nieliczna, Frederic i Hilda zaprzyjaźnili się z miejscowymi poetami i polubili ich. Niektóre z okropnych wytworów ich wyobraźni budziły nawet w Cruzzim pewną wesołość. Na przykład wiersz Herba Farlinghama „Marzenie wiosenne”:

Pani Robin ma w ciapki kalosze  
odrobinę za duże,  
właśnie wdepnęła w kałużę  
i ćwierka: O, mój Bosze!

przyniósł mu chwile cennej wesołości, nadzwyczaj mile widzianej po



przyniósł mu chwile cennej wesołości, nadzwyczaj mile widzianej po dniu spędzonym nad komponowaniem dobrze przemyślanego, zjadliwego, wyważonego i skazanego na zignorowanie artykułu wstępnego o wyścigu zbrojeń i zagrożeniu maccartyzmem.

W 1955 roku, pod koniec długiego, złotego lata, Cruzzi otworzył kopertę zaadresowaną do „Kącika poetów”. Wypadł z niej jeden wiersz, choć raz w maszynopisie, zatytułowany „Anatomia przelotnej myśli”, napisany przez niejakiego Kurta Wiesmanna z alei Williama, oddalonej zaledwie o dwie przecznice od ulicy Byrona, gdzie mieszkał Frederic i Hilda. Wiersz składał się z szesnastu linijek i odznaczał się wdziękiem i siłą wyrazu. Biło z niego światło. Cruzzi przeczytał wiersz szybko, ze zdumieniem. Jedna linijka, pod koniec, zaniepokoiła go przez chwilę, jakby miała prowadzić do sentymentalizmu, ale już następna odpowiadała jej drwiąco, dowcipnie i zawierała ów przestronny, konieczny most, który w najlepszej poezji łączy klarowność widzenia z wizją uniwersalną. Nadzwyczajne.

Była 5.30 po południu. Wziął głęboki oddech i przeciągnął dłonią po gęstej, wciąż nie strzyżonej czuprynie. Hilda czekała na niego w domu, mieli zjeść kolację na powietrzu z przyjaciółmi. Pewnie już nakryła do stołu pod drzewami: czerwony obrus, kieliszki do wina odwrócone dnem do góry, złożone papierowe serwetki, przyciśnięte nożem i widelcem. Usiadł jednak z powrotem przy biurku i napisał do pana Wiesmanna, wyjaśniając, dlaczego jego wiersz nie nadaje się do „Sztandaru”. Był nie rymowany. Pisany nieregularnym metrum. Nie wysławiał natury, nie napomykał o Bogu ani nawet o Kingston czy okolicach. Nie poruszał strun serca, nie wyciskał łez ani też w żadnej mierze nie był obliczony na wywołanie grubego rechotu uznania; krótko mówiąc, był za dobry dla „Kącika poetów”. Zakończył list i podpisał: „Pański zrezygnowany F. Cruzzi”, sam tym zaskoczony. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest zrezygnowany. (Rozumowe uzasadnienie nie uratuje tej sceny, jak, powiedzmy, przypis nie uratuje mętnego akapitu, ale można argumentować, że Cruzzi do tej pory nabrał zrozumienia, a nawet uznania dla wrażliwości czytelników).

Kurt Wiesmann, chemik i miejscowy producent oleju jadalnego, był zachwycony odrzucającym wiersz listem Cruzziego i nadal przysyłał do „Sztandaru” utwory nie nadające się do druku. W ciągu roku Frederic i Hilda przeczytali ich blisko pięćdziesiąt i oboje ponaglali Wiesmanna, teraz już przyjaciela i częstego gościa, aby zwrócił się do jakiegoś wydawcy książek. Byli zdumieni, poruszeni i rozbawieni tym, co pisał,

i czuli, że powinien mieć szersze grono czytelników niż ich dwoje.

Okazało się jednak, że wydawcy w Kanadzie uznali wiersze Wiesmanna za „zbyt europejskie”, amerykańscy wydawcy za „zbyt kanadyjskie”, a wydawca brytyjski wietrzył w nich „wpływ amerykański, który może być kłopotliwy” dla czytelników angielskich. Hilda, wyprowadzona z równowagi, zaproponowała pewnego wieczoru - siedzieli we trójkę w kuchni, pijąc przesączoną przez filtr kawę i jedząc sernik - żeby wydali te wiersze sami.

W ciągu miesiąca były w produkcji. To Kurt Wiesmann zaproponował nazwę Peregrine Press (Wydawnictwo Wędrowiec). Był człowiekiem niespokojnym, przywiązany wprawdzie do miejsca rodziną i pracą, ale miał wrodzony instynkt wędrowca. Jego książka nosiła tytuł „Drogi wewnętrzne” (pomysł Hildy) i miała przychylne recenzje jako „odważny głos wypowiadający się z całą siłą wyobcowanego”. Jedna z gazet w Toronto pisała: „Należy pochwalić nowo powstałe wydawnictwo Peregrine Press za odkrycie nowego, świeżego głosu Kanady”.

Drugim wydanym przez nich poetą był elegancki Glen Forrestal z Otawy, ten, który później miał zdobyć Nagrodę Generalnego Gubernatora. Napisał do Peregrine Press, przedstawiając się jako członek klubu fanów Kurta Wiesmanna i weteran wielu własnych poważnych peregrynacji. Trzecią była krucha Rhoda MacKenzie, a po niej przyszli: Cassie Sinclair, Hugh Walkley Donaldson, Mary Swann, Mavis Stockard, W.W. Wooley, Burnt UMBER, Serge Tawowski, i wielu innych poetów, którzy potem wyrobili sobie nazwiska.

Drukowali po godzinach urzędowania w „Sztandarze”, a koszta pokrywał Cruzzi z własnej kieszeni. Hilda urządziła biuro w sypialni na górze, gdzie czytała rękopisy, które wkrótce zaczęły napływać. Miała bystre spojrzenie i, z wyjątkiem kilku widocznych pomyłek, świetne rozeznanie.

- We wszystkim, co decydujemy się wydać, musi brzmieć nowy ton. - Mówiła to głosem, którego dźwięczna modulacja była coraz bardziej kanadyjska.

Do miejscowego przedsiębiorcy, którego próbowała namówić na objęcie patronatu, powiedziała:

- Jesteśmy niewielkim wydawnictwem, a więc tym większa ciężka na nas odpowiedzialność za pionierską pracę na tych terenach.

W pionierskiej pracy nieuniknione były pomyłki. Nawet Hilda

przyznała, że dała się nabrać na wiersze Rhody MacKenzie, mimo iż za ich kunsztowną ornamentyką kryło się niewiele treści. I oboje, Hilda i Frederic, żalowali, że dla wierszy Mary Swann wybrali tytuł „Łabędzie pieśni”. Niewytłumaczalny lapsus wrażliwości. Błąd w obliczeniach, prawdziwy ambaras.

Wydawnictwo działało w domu Cruzzich na ulicy Byrona przez dwadzieścia lat. Systematycznie, pracując od wczesnego ranka po codziennym spacerze brzegiem jeziora, Hilda czytała prace nadesłane do oceny, redagowała rękopisy, załatwiała korespondencję i zajmowała się, jeśli było trzeba, sprawami finansowymi - chociaż księgowość nie zabierała wiele czasu, gdyż Peregrine Press nie osiągała żadnych zysków, a nakłady były małe, wynosiły zazwyczaj od dwustu do trzystu egzemplarzy. Zawsze w ostatnim stadium przed publikacją nowej książki grupa przyjaciół, oficjalny zarząd, jak się sami nazwali, zbierała się w jadalni Cruzzich na długi wieczór przy śliwownicy i ciężkiej pracy polegającej na kolacjonowaniu stron, zszywaniu i przyklejaniu okładek, z których najlepsze i niezwykle piękne projektował Barney Quillette, z ukłonem w stronę modernizmu. Sugerowały coś, co Hilda lubiała nazywać „ogniem rozniecanym przez osadników”.

Istne katusze sprawiał jej jedynie problem, co robić z nieudanymi rękopisami. Ponieważ miała czułe serce, męczyła się nad listami zawierającymi odmowę i starała się połączyć uczciwość z uprzejmością, zakazując sobie jednak fałszywej zachęty i starannie wyjaśniając, czego wydawnictwo oczekuje. Wyjaśnienia sprawiały jej przyjemność, jakby odmawiała wciąż tę samą modlitwę. „Nowy ton - wyjaśniała - i nowatorska technika, ale praca oparta na solidnej podstawie językowej”.

Mimo iż była taktowna, zdarzało się, że ktoś wylał na nią żółć, raz był to obsceniczny telefon, kilkakrotnie listy z wymysłami, kwestionujące jej smak literacki. Herb Farlingham, który chciał sfinansować publikację swoich „Sonetów na każdą porę roku”, gdyby Hilda się zgodziła, otwarcie płakał.

- Ogromnie mi przykro - powiedziała Hilda, częstując go herbatą i papierowym ręcznikiem do otarcia łez. - Może pan być pewny, że nie kierujemy się osobistymi względami.

Wydawnictwo Peregrine Press - wyjaśniła, dziękując sobie za tę gotową wymówkę - od początku zajęło zdecydowane stanowisko, jeśli chodzi o wydawanie własnym sumptem, gdyż pragnie uniknąć nawet najmniejszego pozorów, że popiera próżność.

Ten starannie przestrzegany krytycyzm został wiele lat później

narażony na próbę, kiedy sama Hilda zaczęła pisać wiersze. Miała wtedy pięćdziesiąt lat, utyla w talii, a włosy, krótkie i proste, z grzywką zakrywającą czoło, były prawie całkiem białe. Miała mnóstwo zainteresowań, chociaż jej żarliwość w pochlebny sposób skupiała się na Cruzzim. W ustalonych godzinach czytała i oddawała się muzyce, a także próbowała malować olejno; ponadto grała w tenisa, chodziła na piesze wędrówki i pracowała z ociemniałymi. Była mocna, wesoła, niecierpliwa, uprzejma, zawsze zajęta, zawsze zdecydowana i pełna pasji w przedsięwzięciach, zadowolona jak dziecko z sukcesów, a na jej okrągłej twarzy widniał uśmiech, nawet gdy jej się coś nie udało. Ta okrągła twarz, jak mówili przyjaciele, była wyjątkowo otwarta, a przecież minął rok, zanim pokazała mężowi to, co pisze.

- Masz - powiedziała do niego pewnego wieczoru, rzucając mu teczkę. - Chcę, żebyś był ze mną absolutnie szczerzy.

- Poezja? - uniósł brwi.

Wzruszyła ramionami.

- Próba. - Minęły lata, od kiedy przestali mówić w domu po francusku.

Wiersze, jak zauważył ze smutkiem, były zbyt gładkie, nie miały w sobie żadnej chropowatości, żadnej ostrości. Same słowa, melodyjne i trochę jak ze snu, sprawiały przyjemność, ale w niektórych liniijkach było coś kokieteryjnego - i to go zdziwiło. Przypomniawszy sobie rok, w którym Hilda rzuciła się na malarstwo: jej ciekawe, szalone abstrakcje wirowały, nie zważając na linię czy kompozycję; płótna - pozostałości po utraconym entuzjazmie - tkwiły teraz w suterenie, dotrzymując towarzysztwa letnim żaluzjom i narzędziom ogrodniczym. Zastanawiał się, czy leżąca w naturze żony wrodzona uprzejmość nie zatamowała przenikliwej, bystrej imaginacji. (Dobrze znał poetów, ich ekspansywne „ja”, ich prawość).

- No i cóż o tym myślisz? - spytała Hilda. Czekwała w napięciu, siedząc na stołeczku o kilka cali od jego fotela. - Chcę, żebyś był bardzo surowy.

- Są dość wzruszające - rzekł. - Niektóre z nich.

Nie dała się oszukać.

- Myślisz, że Peregrine Press mogłoby...

Pozwoliła, żeby ta sugestia odpłynęła. Jedną ręką wygładzała spódnice wokół krągłego kolana.

Spojrzał na nią ze zdziwionym politowaniem. Czulość pomieszana z ostrożnością poddyktowała mu odpowiedź.

- Pamiętasz - zaczął powoli - że już na początku podjęliśmy decyzję, iż będziemy unikać...

- Nie są wiele warte - przerwała Hilda, bardziej zmieszana niż złamana. Zaśmiała się ostrym, gwałtownym śmiechem. - Próbowałam tylko wyrazić, ba, nie wiem dokładnie, co. Może na tym polega problem.

Podniosła się niezgrabnie, z lekkim wysiłkiem, żeby zrobić kawę, a ten gest samoobrony pokutował w pamięci Cruzziego dłużej niż jej słowa.

- Masz rację - powiedziała stanowczo. - Podjęliśmy decyzję i musimy się jej trzymać.

Około 1977 roku Hilda zaangażowała się w ruch antynuklearny, a Peregrine Press zaczęło upadać. A potem Hilda umarła.

Cruzzi zrozumiał, że życie małego wydawnictwa literackiego nie trwa dłużej niż dwadzieścia lat. Zużywają się witalne soki, a także energia i chęć podejmowania ryzyka. Rękopisy, które jeszcze od czasu do czasu przychodzą, nabierają pomiętego i niezbyt czystego wyglądu. Zawijają się rogi. Niektóre noszą okrągłe ślady po filiżankach z kawą.

Sporo czasu upłynęło, odkąd Cruzzi widział coś, co by przypominało „ogień rozniecany przez osadników”. Niekiedy budzi się w nim sumienie, wtedy gromadzi uzbierane rękopisy, przypina do każdego małą drukowaną fiszkę, oznajmiającą, że wydawnictwo Peregrine Press przestało istnieć, i odsyła do nadawcy. „Życzymy szczęścia gdzie indziej” - dodaje zawsze, tak jak to zwykła robić Hilda, kiedy jeszcze żyła.

## *Nie napisana relacja z dnia 15 grudnia 1965 roku*

Frederic Cruzzi ma w swoim życiu dwie miłości: pisane słowo i żonę Hildę. Te dwie miłości dają się pogodzić, ale rządzą się innymi prawami, zajmują oddzielne miejsca w mózgu i opierają się wyjaśnieniu czy opisowi, co wcale mu nie przeszkadza.

Ojciec powiedział mu niegdyś - a teraz ze wzruszeniem wspomina tę rozmowę, spacerując po lesie za domem; drzewa stoją nagie, bezlistne, niskie jałowce pod nogami trzaskają z zimna - że miłość nie istniałaby, gdyby słowo „miłość” przestało istnieć w ludzkiej mowie. Wówczas skinął potakująco, szczęśliwy, że ojciec włączył go w poważne abstrakcje,

ale wkrótce miał z nich wyrosnąć.

Niekiedy, spacerując po cienistym lesie około trzeciej godziny w zimowe popołudnie, słysząc jakąś szczególną frazę muzyczną lub przeżywając zbliżanie się fali seksualnej ekstazy, Cruzzi czuł w sobie siłę, która opierała się potężde składni, opisu czy definicji, a była tak barbarzyńska i prymitywna w swoim kształcie, że kusilo go, by zrzucić z siebie długie lata mówienia i wyciem wyrazić monosylaby rozkoszy i wściekłości.

Wściekłości - ponieważ są to chwile upokorzenia, nagany, wyrzutów dla takich jak Cruzzi, którzy pojmują rzeczywistość za pomocą słowa drukowanego; to momenty, w których dumni z umiejętności artykulacji wyznają swoją niemotę. Jak gdyby jakiś ogromny, hałaśliwy motor, którego istnienia nie byli w ogóle świadomi, został nagle wyłączony. Te momenty, zdolne spowodować wyciek na krawędzi mowy, bywają niesłychanie krótkie. Cruzzi zauważył również, iż każda próba analizowania ich czy przedłużenia powoduje rozpad. Nie dalej jak dzisiejszego ranka stał nagi przed lustrem i przyglądał się swojemu ciału, które sprawiało mu przyjemność, a zarazem budziło wstręt. „Do rzeźni” - wypowiedział głośno, obejmując jądra zniszczoną dłonią, i usłyszał, jak te słowa wyslizgują się z futerału znaczenia i ulatują absurdalnie w powietrze.

„Wracaj do miłości” - wydaje sobie polecenie, pochylając się sztywno, aby zbadać szramy na młodej brzozie. Gryzonie.

On i Hilda od początku - ten biesiadny wieczór w mieście Gap, gdy siedzieli przy nakrytym do kolacji stole, oświetlonym wiszącą nad nim lampą gazową - czuli się oddzieleni od innych wąskim łukiem przywileju. Zdawało się, że każde od razu oceniło potrzebę tego drugiego, chociaż oboje byli poważni, zachowywali się poprawnie i zwracali się do siebie przez pełne szacunku *vous*, a także wesoło podali sobie ręce po skończonym przyjęciu. Cruzzi jednak nie zaniedbał zapisania jej adresu w notesiku, jaki ze sobą nosił, i przypieczętował tym obietnicę, której nie mógł być określić. Pytał, czy mógłby spotkać się z nią następnego dnia; proponował długi spacer, a potem herbatę w jakiejś kawiarni. Postanowił zająć jej tego dnia tyle czasu, ile się tylko da. Bardziej brutalne podstępny *célibataire* nużyły go, ale mógłby przez całe życie czerpać radość z teatru zalotów w miniaturze, z tym, co ofiarowywał, z wchodzeniem na scenę, zamrożonymi zdaniem bez znaczenia - wszystko to Hilda zdawała się pojmować. Jej reakcja, kiedy stała w mrocznym hallu, była z gatunku instynktownych. „Ależ bardzo proszę, długi spacer -

powiedziała po prostu - ależ oczywiście, herbata w kawiarni”.

Szybko się przystosowała, porozumienie zostało osiągnięte.

Przywiązanie, jakie większość małżeństw łączy, słabnie stosunkowo szybko, niekiedy jednak przypadek czy temperament, dziwnie z sobą splecione, pozwalają mu się utrzymać. W małżeństwie Cruzzich, można by przypuszczać, dodatkową więź stanowił fakt, że oboje byli cudzoziemcami - najpierw w Anglii, później w Kanadzie - i żywili szczególną, może wstydliwą potrzebę, by złagodzić skutki tej obcości. A może śmierć syna spowodowała, że izolowali się w swoim wyobcowaniu. Albo też powodzenie wydawnictwa Peregrine Press, zwłaszcza w dobrych latach, przepajało ich zapałem, który nawet najbliżsi przyjaciele brali za odrodzenie miłości. Jednak żadna z tych spekulacji nie zawierała prawdy.

Ich prostota, drobne, codzienne zajęcia zawsze umykały innym, zwłaszcza tym, którzy myśleli o namiętności w kategoriach apetytu i obfitych, smutnych westchnień wyrażających niecierpliwość. To, że nawet w drugiej połowie życia i później twarz Hildy przybierała głupawy wyraz miłości do męża, że ręka Cruzziego spoczywała często na oparciu jej krzesła na koncertach czy przedstawieniach teatralnych w Kingston - dla innych było tylko objawem oddania i przyzwyczajenia, które przychodzi po ostatecznym odejściu miłości.

Gdyby ktoś postawił Cruzziemu takie pytanie (choć nie postawił), zaprzeczyłby tym domniemanym mutacjom i stopniowaniu, argumentując, że względy, jakie on i Hilda mieli dla siebie, były tak prostym, nieskomplikowanym elementem jak powietrze, którym oddychał, czy wydawnictwo, które przepelniało mu umysł. Nie można było nawet myśleć o sile tego elementu, jego fluktuacjach i posmaku, a tym bardziej dawać mu wyraz. Zdaniem Cruzziego nieuczciwym wyzwaniem losu byłoby „uważać za rzecz oczywistą, że jest się razem”. To była klątwa rzucona na małżeństwa przyjmujące niemo swoje szczęście. Co więcej, za akt arogancji uznałby wiarę w to, że jemu i Hildzie dano coś piękniejszego, mocniejszego i trwalszego niż miłość, jaką obserwował w innych małżeństwach. (Resztką niewinności przekonuje go, że nawet ci, którzy publicznie ćwiczą na sobie wzajem okrucieństwo, są dla siebie czuli, gdy zostają sam na sam).

Nie kochał Hildy za to, że robi sorbet z czarnych porzeczek, że jest uprzejma i gościnna, że już od wczesnego rana tryska wesołością, ani za

to, że rozświetlają się jej zaokrąglone rysy, ani za to, że z wdziękiem, energicznie pochyla się nad łóżkiem i tłucze w poduszkę, przetrząsając ją tak, jakby wyświadczała grzeczność i wkładała w to całe serce. To wszystko nie wywoływało w nim bezpośredniego oddźwięku. Nie potrafił sformułować racjonalnego uzasadnienia dla związku tak prostego i naturalnego. Taka drobiazgowość analiza, takie rozliczanie sposobów byłyby powierzchowne i niegodziwe. Niektórzy mogliby sądzić, że Cruzzi wcale nie dba o swoje szczęście.

Ale tak jak artykuły codziennego użytku - słoiki do przetworów, łyżeczki do herbaty, bochenki chleba - przybierają wygląd rzeczy świętych, kiedy ujrzy się je w wyjątkowym świetle, tak on, spoglądając czasem na żonę, widział ją jakby na nowo, z całą siłą przenikliwej wyobraźni. Jeden z takich „porywów serca”, jak mógłby to opisać Cruzzi (ale nigdy tego nie zrobił), zdarzył się wczesnym popołudniem 15 grudnia 1965 roku.

Zbudził się tego rana z bólem gardła. Obydwoje, on i Hilda, od dawna zarzucili język ojczysty, ale choroby ciała w dalszym ciągu określali ich francuskimi nazwami: *mal à la gorge, le rhume*. Kładł się do łóżka zupełnie zdrowy, a obudził się w takim stanie!

Postanowił, że spędzi w łóżku przynajmniej cały ranek. Dopiero za kilka lat miał iść na emeryturę, ale nie miał nic przeciw temu, żeby czasem zostawiać „Sztandar” samemu sobie.

Hilda przyniosła mu parujący napar z tymianku. Była jego zagorzałą zwolenniczką, szczególnie w razie bólu gardła. Wypił, potem drzemał. Słyszał, jak porusza się po domu, jak rozmawia przez telefon, gra na pianinie, przyrządza coś w kuchni - zanim zobaczył, wiedział, że to będzie gęsta zupa kalafiorowa z mlekiem i masłem. Zawsze robiła ją w czasie choroby. Zjadł talerz zupy na lunch, siedząc w kuchni przy stole, już ubrany, i poczuł się trochę lepiej. Wyłowił z kieszeni ołówki i zanotował pierwsze zdania do wstępnego artykułu, który miał bronić jakiejś nowej rzeźby w mieście. Był wyjątkowo zimny dzień. Wiatr wiał prosto w okna i przeciskał się przez stare okienne framugi. Cruzzi w tej sytuacji zdecydował się spędzić w domu również popołudnie, popijając gorącą herbatę i pracując nad artykułem, co szło mu wyjątkowo dobrze.

Powoli podniósł wzrok i zobaczył stojącą obok Hildę. Miała na sobie najcieplejsze rzeczy: buty z baraniej skóry, wełniane narciarskie spodnie, grubą futrzaną kurtkę, ciężkie futrzane rękawice z jednym



palcem, wełniany szalik i kapelusz, spod którego wzruszająco wymykały się kosmyki siwych włosów.

- Idę łowić ryby pod lodem - powiedziała, uśmiechając się szeroko.

Lubiła łowić ryby o każdej porze roku, ale łowienie pod lodem sprawiało jej szczególną przyjemność, lubiła nieporęczny ciężki sprzęt oraz ukryty paradoks - iskrzący, ostry mróz i spokojne oczekiwanie w ogrzewanym szałasie. Czasem chodziła ze znajomymi, czasem sama. Przeważnie miała szczęście i przynosiła do domu świeżą białą rybę, którą zręcznie oprawiała i na ruszcie piekła na obiad; ryba nigdy nie wydawała się jej tak świeża jak wtedy, gdy wyciągnęła ją cudownym sposobem przez otwór w grubym lodzie.

Jak bardzo kochał ją w tym momencie! Chyba więcej niż kiedykolwiek w ich wspólnym życiu; jej siłę i wyobraźnię, a pod tym niemożliwie grubym ubraniem jej ciało, niczym wygładzone drewno ze znanymi szczelinami. Zdjęła jedną rękawicę i trzymając ją w zębach, schylona, sprawdzała zawartość pudła z wędkarskimi przyborami; mruzczała coś do siebie - całkowicie, uroczym pochłonięta - a w następnej chwili już jej nie było. Ciężkie, podwójne drzwi zatrzasnęły się, i został w domu sam.

Właśnie za to porzucanie kochał ją najbardziej, za ten nieoczekiwany dar wolnego popołudnia.

Duży pokój cuchnął wystygłym popiołem na kominku i (bardzo słabo) gotowanym kalafiolem. Na dworze było ciemno, jak na tak wczesne popołudnie, zbliżała się śnieżycą, pierwsza duża śnieżycą tej zimy, ale wielkie okna, składające się z wielu małych szybek, wpuszczały jeszcze dosyć światła, tak że można było czytać. Z szafki bibliotecznej Cruzzi wyjął podniszczony egzemplarz „Perskich pieśni” Raszida i pozwolił oczom wędrować po znanej stronicy:

Na twym ramieniu siada ptak  
I śpiewa, śpiewa pieśń bez słów,  
Pieśń bez treści, bez wiedzy czy słów,  
Pieśń bez pytań, bez darów czy słów,  
Pozbawioną grzeczności, sądów, miłych słów.  
Na twym ramieniu siada ptak  
I śpiewa wbrew twojemu głośnemu milczeniu.

Pomyślał, jak to mu się już nieraz zdarzało, jak mało wymaga od poezji wschodniej. Poeci Wschodu nie znali zachodniego rygoru,

umiejętności budowania kosmosu ostrzem pióra. Zgadzał się z tym. Ironia była zbyt wiotka, rytmiczna melodia za bardzo wpadająca w ucho. A jednak, gdy czytał „Pieśni”, czuł się złączony ze starodawnym rytmem, chętnie przyjmowanym przez mniej podległą rygorom część jego mózgu. Wszystko, co sam wiedział o miłości, znajdował pogłębione w poezji Wschodu: nie zastosowanie miłości, ale jej krótkie chwile uniesień. Wiedział, że olśnienia są przejawem miłości, i dlatego, kiedy brał do ręki tom wierszy wielkiego Raszida, pytał tylko o potwierdzenie tego jednego momentu i o nic więcej. Moment się przedłużał. Przewrócił stronę, ziewnął, spojrzął za okno na miotane wiatrem drzewa i nawisie ciężko niebo i zaczął się zastanawiać, czy Hilda wróci dość wcześnie; miał nadzieję, że tak. Potem chyba trochę się zdrzemnął w fotelu, bo kiedy ponownie spojrzął na zegarek, minęła już trzecia.

W pokoju był większy niż zazwyczaj przeciąg, więc ruszył się i wstał, żeby ułożyć podpałkę i suche drewno w kominku. Właśnie płomień chwycił i zamigotał, kiedy usłyszał, że ktoś dzwoni. Jeden słaby dzwonek, a potem szarpanie kołatką u drzwi; było w tym coś z usilnego błagania, co kazało mu czym prędzej pośpieszyć do lodowatego przedsionka.

Na kamiennym ganku stała Mary Swann, chociaż oczywiście nie spytał jej o nazwisko ani czego chce. Było o wiele za zimno na takie wstępy; później stwierdził, że od południa temperatura spadła do dwudziestu stopni. Wziął kobietę za ramię, pomrukując i wyrzucając z siebie potok pocieszających słów, wciągnął do hallu, a potem do dużego pokoju i skierował energicznie w stronę kominka.

W ciągu pierwszych chwil stała tak oszołomiona, że wyglądała jak umysłowo niedorozwinięta. Miała na sobie czarny niezgrabny płaszcz, ohydne, grube, cieliste pończochy i gumowe śniegowce z klamerkami. Była bez rękawiczek. Małą zsiniałą twarz miała obwiązaną męskim szalikiem w kratkę. Wargi jej drżały i przymykała oczy, zaciskając powieki, jakby w pokoju było nie do zniesienia jasno.

Co te usta, te wargi ściągnięte jak rządki ściągów mówiły? Coś groteskowo pokornego. Bardzo przeprasza. Przeprasza, że mu przeszkadza. Żeby wstąpić ot, tak. Przyjść bez - bez...

Kazał jej usiąść na krześle, które przysunął do ognia, i nalegał, żeby zdjęła gumowe buty. Cofnęła się z wahaniem, więc się schylił, żeby jej pomóc; czuł się jak aktor z pięknej starej sztuki, rozpinając sprzączki,

rozluźniając je, ignorując słabe, wstydlive pomiaukiwanie kobiety.

- Zmarzły - powiedział, przyłożywszy rękę do jej stóp w grubych, szarych, roboczych skarpetach, które ukazały się po zdjęciu butów. Wydo-  
była z siebie jakieś pokorne skamłanie, a on, znajdując przyjemność w  
roli aktora, nadal rozcierał w rękach zmarznięte stopy, zdając sobie  
sprawę zarówno z jej dojmującego zakłopotania, jak i ze swego niepoję-  
tego uszczęśliwienia. Przez skarpety czuł skurczone w napięciu palce;  
masował je, mruczając jakieś głupstwa, jak się mówi do dzieci: „No już, no  
już, wszystko będzie dobrze”. Stał się przy tym nieco roztargniony, ob-  
myślając opowieść, jaką z tego ułoży dla Hildy: „ktoś obcy zapukał do  
drzwi i...”

- Czuje się pani trochę lepiej?

Niemo przytaknęła.

Zaproponował jej kieliszek sherry, ale odmówiła, potrząsając głową, i  
utkwiała wzrok w podłodze.

- Herbaty?

Znowu zaczęła mamrotać niezrozumiałe przeprosiny. Strasznie  
przeprasza. Tyle kłopotu. Unikała jego wzroku. Trzęsła i podrzucała  
głową. Zabiera mu cenny czas - mówiła. Powinna napisać list, zamiast  
tak zjawiać się ni stąd, ni zowąd. Tak się nie robi. To nie w porządku.

- Herbaty? - zapytał znowu, a ona skinęła głową.

Zarumieniła się ze wstydu. Zaczęła coś mówić, ale nie dokończyła.  
Bardzo przeprasza. Nie miała zamiaru...

Umknął do kuchni, nastawił czajnik, wyjął filiżanki z kredensu, zo-  
stawiając jej czas, żeby się opanowała, hałasował przy tym okropnie  
metalową puszką na herbatę, zmuszał się też do nucenia pod nosem  
wesołej melodyjki, wciąż czując w dłoniach kształt jej zlodowaciałych  
stóp. Cukier - był pewien, że zechce osłodzić herbatę. Znalazł jakąś  
puszkę z mrożonym ciastem owocowym i położył duży kawałek na tale-  
rzyku, potem nalał mleka do małego dzbanuszka. Sobie wziął kieliszek  
mocnego koniaku, który popijał, czekając, aż woda w czajniku się zago-  
tuje.

Z początku sądził, że kobieta musi mieć jakieś pięćdziesiąt kilka, a  
może nawet sześćdziesiąt kilka lat, było coś takiego w przygarbionych  
plecach okrytych swetrem i prześwitującej spod rzadkich włosów bieli  
czaszki. Gdy podnosiła do ust filiżankę, zobaczył, że rękaw rozpinanego  
zielonego swetra jest przy mankiecie pocerowany szarą wełną. Piła her-  
batę chciwie, dodawszy mleka i cukru i wymieszawszy ją z przerażającą

starannością; rzuciła przy tym ukradkowe spojrzenia w jego kierunku. W tym momencie rozstrzygnął, że chyba zbliża się do pięćdziesiątki, a może nawet ma dopiero czterdzieści kilka lat.

„Czy zachowywała się, jak obłąkana? - pytano go później. - Czy jej mowa była chaotyczna, niezborna? Czy wspominała o jakichś konkretnych obawach lub groźbach? Czy zauważył symptomy paranoi? Czy w ogóle wspominała o mężu?”

Niektóre z tych pytań zadawała policja, niektóre reporter z własnej gazety Cruzziego, Freddy Waggoner, który później przeniósł się do pracy w telewizji. Inne pytania pojawiły się podczas śledztwa, które trwało do połowy stycznia 1966 roku; inne - jakieś piętnaście lat później - zadawał profesor Willard Lang z uniwersytetu w Toronto, a jeszcze inne ten wyjątkowy głupiec, Morton Jimroy, który ostatnio sam siebie mianował oficjalnym biografem Mary Swann.

Na większość pytań Cruzzi odpowiadał „nie”. Czy wyglądała na niezrównoważoną? - Nie. A czy można by nazwać ją ekscentryczną? - Nie. Była, oczywiście, bardzo, niezwykle zmarznięta, przecież szła przeszło milę od dworca autobusowego przy tak strasznej pogodzie. Może przesadnie się martwiła, że nie zdąży na powrotny autobus, kilka razy pytała, która godzina. I naturalnie, ponieważ była bojaźliwa, denerwowała się także, jak jej torba z wierszami i ona sama zostaną przyjęte.

- Ale mówi pan, że stopniowo się rozluźniła?

- Tak, kiedy się wreszcie rozgrzała i wypila dwie czy trzy filiżanki herbaty, uspokoiła się.

Dopiero wtedy - Cruzzi mówił - zdał sobie sprawę, że jest młodsza, niż sądził początkowo. (W istocie miała czterdzieści dziewięć lat. Skończyłaby pięćdziesiąt w lutym).

- Czy może pan opisać jej wygląd zewnętrzny, jej twarz, sposób uczesania? - To pytania ze strony niezmordowanego Jimroya.

Włosy można dość łatwo opisać, a raczej nie można ich opisać, bo ani nie miały koloru, ani nie były uczesane. Ściągnięte do tyłu, ledwie przykrywały czaszkę. W gruncie rzeczy prawie nie pamiętał, jakie włosy miała pani Swann. Chyba brązowe - powiedział Jimroyowi. Lekko falujące nad uszami.

- Jak pan uważa, była wysoka czy niska? Gruba czy chuda?

- Trudne do zapamiętania. Proszę pamiętać, że niemal przez cały czas siedziała. Niewysoka, na pewno niewysoka. I nie gruba, skądże! Chuda, ale nie tą chudością, jaka towarzyszy wygodnemu życiu i dobremu zdrowiu.

- Zniszczona, mówi pan? - Jimroy nalega z uporem, niezwykle nerwowo.

Gdyby ta nieszczęsna kobieta miała prawo jazdy, jej wzrost i waga byłyby odnotowane. Ale, niestety, nie miała. Nie było też żadnych zaświadczeń lekarskich, w każdym razie niczego takiego nie znaleziono. Najwidoczniej nie miała zwyczaju, żeby chodzić do doktora, chociaż raz miała wizytę u dentysty w Elgin, gdzie usunięto jej kilka zębów. Bez prześwietlenia jednakże.

- Ależ to niemożliwe, żeby ktoś w naszym stuleciu przeżył całe życie i nie był zmierzony, zważony czy prześwietlony?!

- Wygląda na to, że możliwe. Jedyne dziecko urodziła w domu.

- Nie do wiary! Chce pan powiedzieć, że...

- Był doktor, tak, ale nie przechowały się żadne papiery.

A po śmierci trudno było ustalić jej wzrost i wagę.

- No tak, to jasne. A kolor oczu?

- To także mielibyśmy w prawie jazdy, gdyby je miała...

- Ale może pan zauważył?

- Niestety, nie. Zwykle zwracam uwagę na takie rzeczy jak oczy, zwłaszcza kobiece oczy, ale...

- Ale?

- W pokoju tego dnia było raczej ciemno. Nadciągała śnieżycą. A ja nie chciałem zapalać światła z obawy, że...

- Z obawy, że co?

- Hm, że ją przestraszę. Jej twarz...

- Była więc bardzo skrępowana?

- Tylko z początku. Nie przywykła do... do tego, żeby ją częstować herbatą. To było widać. Nie przyzwyczajona, żeby ktoś ją obsługiwał.

- A jej twarz. Zaczął pan mówić o jej twarzy...

(„Płochliwa jak u królika. Szczurzy pyszczek. Chociaż nie zamierzam o tym mówić do pańskiego magnetofonu”).

- Zwyczajna twarz, powiedziałbym. Żadnego makijażu, oczywiście. Nic z tych rzeczy.

- Jakieś szczególne zachowanie?

- Właściwie nic takiego.

- Nic?

- No, dwa czy trzy razy dotknęła ucha czubkami palców.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Może ze zdenerwowania.

- A więc nerwowe zachowanie?

- Może. - (I z jakiegoś powodu zmysłowe to dotykanie uszu. Cały

czas miało się nadzieję, że znowu to zrobi). - Ale, jak mówiłem, po wypiciu herbaty uspokoiła się.

- Powiedział pan: dwie lub trzy filiżanki? Przepraszam, że zadaję takie banalne pytania, ale biograf...

- Trzy filiżanki. *Orange pekoe*. Mleko. I cukier.

- I do tej chwili nie wspomniała, dlaczego przyszła?

- Zgadza się.

- Wobec tego w jaki sposób zaczęła mówić o...?

- Chyba w końcu ją zapytałem, czy przyszła do mnie w jakimś określonym celu.

W rzeczywistości Cruzzi, który przysunął sobie krzesło obok niej, dopiero po dłuższej chwili zwrócił uwagę na papierową torbę, którą kurczowo przyciskała do siebie. Białą torbę, tak przynajmniej powiedział do magnetofonu Jimroya. Zwyczajną torbę, mocno pogniecioną i pozaginaną. Początkowo zdawał sobie tylko sprawę, że kobieta trzyma na kolanach jakiś bezkształtny przedmiot, którego nie odłożyła na bok, nawet pijąc herbatę.

Cokolwiek było, Cruzzi przeczuwał, że ma to coś wspólnego z jej przybyciem.

- Przyszłam z moimi wierszami - powiedziała, gdy wreszcie ją zapytał. Spojrzała na papierową torbę i utkwiała w niej wzrok.

- Ach! - wykrzyknął i zaśmiał się niemal z ulgą. A więc nie była wariatką. - Tak! Jest pani poetką.

Zdawało mu się, że chce temu zaprzeczyć, potem jednak zwierzyła się nieśmiało:

- Wydrukowali mi kilka wierszy. W gazecie. Gazeta w Elgin też wzięła jeden w zeszłym miesiącu.

- Rozumiem - rzekł łagodnie.

- O pierwszym śniegu. Tak go nazwałam: „Pierwszy śnieg”.

- Chyba sprawiło to pani przyjemność - powiedział.

- I przysłali mi czek... - Urwała. Poruszyła nerwowo rękami i podniosła je ku uszom, po czym położyła je znowu na kolanach.

Odczekał kilka sekund, a potem, żeby dodać jej odwagi, zaproponował:

- Może przyśle pani coś do „Sztandaru”. Co tydzień dajemy kącik poetów.

Otworzyła usta, z rozproszonym, rozbieganym spojrzeniem, pełnym prośby o wybaczenie.

- Przyniosłam te tutaj... - zaczęła, podnosząc swoją torbę po jakichś zakupach. - Ktoś mi powiedział, mówił mi, że pan szuka... więc sobie pomyślałam, hm, że wsiądę w autobus i przywiozę wszystko, co mam. No, prawie wszystko. Proszę.

I wręczyła mu papierową torbę.

Zajrzał do środka. Była wypełniona do połowy małymi kawałkami papieru różnych rozmiarów. Bez żadnego ładu. Był to po prostu worek wierszy i nic więcej.

- Może zechce mi pani to zostawić? - zapytał. - Przeczytam je i zadzwonię do pani. Jeśli będzie coś, co możemy wykorzystać.

- Nie mamy - wykrztusiła - telefonu...

- W takim razie napiszę do pani.

- Miałam nadzieję...

- Tak?

- Nadzieję, że będzie pan mógł spojrzeć na nie teraz. Widzi pan, muszę złapać autobus o wpół do szóstej, więc nie mam dużo czasu, ale gdyby pan mógł...

Pomyślał, że to absurd. Drapało go w gardle, a gorączka, jaką miał rano, wróciła. Przed oczami przemknął mu obraz kieliszka rozgrzewającego koniaku. Marzył o powrocie Hildy. Bał się tego, co - jak przypuszczał - znajdzie w papierowej torbie pani Swann, i tego, co będzie musiał jej powiedzieć.

- Może pan zechce przeczytać choć kilka, proszę. - Ton, jakim to wyrzekła, był intymny i pełen godności.

Potrząsnął lekko torbą.

- Czy jest tu jakaś kolejność?

- Kolejność?

- To znaczy: od czego chciałaby pani, bym zaczął?

Uniosła znowu rękę, ledwie muskając płatki uszu.

- Wszystko jedno - powiedziała. - To wszystko są wiersze, same wiersze.

Sięgnął do torby i wyciągnął kawałek papieru w linię. Był najwyraźniej wydarty z notesu spinanego spiralą i miał poszarpane brzegi. U góry widniał tytuł: „Przerywanie rzodkiewek”. Przynajmniej używała atramentu, ale pismo było prawie nieczytelne. Serce ścisnęło mu się z litości, ale przeczytał wiersz uważnie, odłożył go i sięgnął znowu do torby. Drugi wiersz nosił nazwę „Bzy”. Następnie przeczytał „Gruszki”. Potem „Silos”.

Obserwowała go, gdy czytał, utkwivszy wzrok w jego twarzy. Najpierw zaproponował, żeby zajęła się nią jakaś gazeta lub czasopismo, ale na tę sugestię odmownie potrząsnęła głową.

Po przeczytaniu kilku wierszy przyzwyczaił się do nierównych liter i do tego, że mieszały się drukowane z pisanymi. Zaskoczyła go poprawna ortografia, ale słowa były tak stłoczone na małych skrawkach papieru, jakby starała się go oszczędzać.

W miarę czytania układał wiersze w małą kupkę na dywanie. Prze-czytanie całości zajęło mu półtorej godziny. Potem zebrał je i podniósł - pomyślał przy tym, że są jak opadłe liście - i wsunął z powrotem do tor-by.

- Czy od razu zorientował się pan, że natknął się na ważną twórczość poetycką? - Profesor Lang nie miał ze sobą magnetofonu ani nawet no-tetu, ale miał głodną twarz człowieka, który niczego nie gubi.

- Wiedziałem, że te wiersze są niezwykle oryginalne. Była w nich siła. A także - można rzec - czarująca czystość w każdym wersie, co się nie-zmiernie rzadko spotyka.

- Powiedział jej pan o tym?

- Tak.

- Jak zareagowała?

- Uśmiechnęła się.

- Ale co powiedziała?

- Nic. Po prostu się uśmiechnęła. Ciepłym, całkiem miłym uśmie-chem.

Brakowało jej dwóch górnych zębów - ten widok przeszył Cruzziego nagłym smutkiem - a zapadłe policzki nasuwały podejrzenie, że brak jej także zębów trzonowych. Pamięta, że jej powiedział:

- Ma pani wszelkie powody, żeby być dumną ze swojej twórczości.

- Twórczości?

- Z pisania. Ze swoich wierszy.

Nadal się uśmiechała. W odpowiedzi także się uśmiechnęła i przez minutę lub dwie siedzieli w milczeniu.

- Myślę, że był to dla niej moment epifanii - skomentował Jimroy. - Usłyszeć w ten sposób potwierdzenie własnego talentu...

- Nie mam pojęcia - rzekł Cruzzi - co sobie pomyślała.

- Czy to było wtedy, kiedy zaproponował jej pan wydanie wierszy?

- Tak.

- Jak pan to dokładnie sformułował, jeśli nie ma mi pan za złe tego pytania?

- Powiedziałem, że chciałbym pokazać wiersze mojej żonie. I że skłonny jestem wydać je w książce, jeżeli się na to zgodzi.

- A ona odpowiedziała?

- Zgodziła się zostawić mi wiersze do druku.

- Ale jak dokładnie brzmiały jej słowa?

- Panie Jimroy, ta rozmowa miała miejsce w 1965 roku! Nie mogę chyba jej odtworzyć aż z taką dokładnością.



- Chyba musiała okazać jakieś... radosne uniesienie?
- Jeśli dobrze pamiętam, była trochę zmieszana.
- Może była zbyt przejęta. Nagłośnią. To znaczy pomysłem, żeby z wierszy ułożyć książkę.
- Może.
- Czy pamięta pan... wiem, że to trudne po tak długim czasie, ale czy pamięta pan, co potem powiedziała?
- Spytała, która godzina.
- I?
- Powiedziałem, że kilka minut po piątej, i obstawałem, że odwozę ją na autobus.
- Czy opierała się tej propozycji?
- Nalegałem bardzo stanowczo.
- Czy ani razu nie wspomniała, że mąż jej czymś grozi?
- Tę kwestię podnoszono wielokrotnie podczas śledztwa.
- W ogóle nie wspominała o mężu - powiedział Cruzzi to, co w sądzie
- ale wyraźnie zależało jej ogromnie, żeby zdążyć na autobus o wpół do szóstej.
- Czy odnosił pan wrażenie, że się czegoś boi?
- Powiedziałbym, że wykazywała niepokój. Zapewniłem ją, że zawiozę ją do autobusu na czas.
- Czy pańskim zdaniem, panie Cruzzi, jej niepokój był spowodowany warunkami pogodowymi, czy może innym, nieokreślonym lękiem?
- Chyba nie jestem w stanie na to odpowiedzieć.
- Kiedy odwoził ją pan samochodem na dworzec autobusowy, czy nie wspomniała w jakiś sposób o swojej sytuacji domowej?
- Milczała. I ja także. Śnieg walił prosto w reflektory i widzialność była fatalna.
- Jakie były ostatnie słowa, którymi pana pożegnała? - zapytał Morton Jimroy, naciskając guzik włączający magnetofon. - Zanim wsiadła do autobusu?
- Do widzenia.
- A co pan na to? Proszę wybaczyć moje pytanie.
- Obiecałem, że skontaktuję się z nią w najbliższych dniach.
- I wtedy, oczywiście, widział ją pan żywą po raz ostatni.
- Tak.
- Czy był pan głęboko wstrząśnięty wiadomością o jej śmierci?
- Głęboko.
- Taki czyn - powiedział Jimroy do mikrofonu - jest niepojęty dla zwykłych ludzi.
- Cruzzi już tego nie komentował.

Kiedy Cruzzi wrócił po odwiezieniu Mary Swann na dworzec autobusowy, Hilda była już w domu. Jeszcze zaczerwieniona z zimna i cudownie zadowolona z siebie, stała na środku dużej kuchni, podnosząc wysoko w wyciągniętej ręce sznur złowionych ryb.

- Och, miałam dzisiaj szczęście! - zawołała, gdy stanął w drzwiach. - Skakały do góry, żeby mnie przywitać, takie kochane. Spójrz! Ta się do ciebie uśmiecha, popatrz tylko na ten uśmiech, po prostu marzy o gorącym maselku.

Cruzzi, w którym uczucie szczęścia wzrastało przez cały dzień, miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu skóra, i gdyby żona nie trzymała w ręku noża do filetowania - zawsze zabójczo ostrego - wzięłby ją w ramiona i zatańczył wokół domu.

- Coś się wydarzyło - oznajmił. A potem spokojniej: - Coś naprawdę niezwykłego, kiedy ciebie nie było.

Dobrze pamięta, że drżał z przyjemności, wyobrażając sobie, jak będzie jej opowiadał o Mary Swann.

- Złożyła mi wizytę - zaczął - pewna piękna, bezzębna czarownica. Wspaniała, utalentowana starucha. Zmaterializowała się, wyłaniając się z burzy śnieżnej...

Usłyszała w jego głosie podniecenie i zwróciła ku niemu twarz, zawsze chętna poddać się jego nastrojowi.

- Musisz mi wszystko opowiedzieć - rzekła, unosząc nóż. - Ale od początku. Pozwól mi tylko oprawić tę piękną, przepiękną rybę, a potem już usiądę i nastawię ucha.

Przy stole opowiedział, jak Mary Swann wyglądała i o czym mówiła. Jadł z wielkim zadowoleniem. Hilda miała rzadką umiejętność operowania nożem do filetowania i jeszcze rzadszą umiejętność właściwego przyrządzania ryby z jeziora. Schodziła z rusztu pachnąca maselkiem, cienka skórka solonego złota na zewnątrz i delikatna krucha białość w środku.

Do ryby pili bardzo zimne, wytrawne białe wino. Wtedy Cruzzi opowiedział Hildzie całą historię tak, jak sobie życzyła: od początku.

- Było około trzeciej. Drzemałem właśnie w dużym fotelu, gdy usłyszałem, że ktoś dzwoni do drzwi, więc...

Słuchała tak, jak słucha dziecko, ze wzruszającym wyczekiwaniem, nie przerywając ani razu, pochłonięta opowiadaniem.

- Jaka szkoda, że mnie nie było - wyraziła żal, gdy skończył. - Ach, gdybym miała okazję, żeby z nią porozmawiać, wypytać ją!

- Będiesz miała. - Ujął jej rękę. Powiedział, że przyrzekł skontaktować się z Mary Swann w przyszłym tygodniu. Na razie pokaże jej wiersze.- Zostawiła wszystkie?

- Wszystkie.

Przypomniał żonie, z lekką przyganą, że kiedyś usiłowała namówić właściciela miejscowej zwirowni, by zechciał być sponsorem Peregrine Press, zapewniając, iż publikują tylko te prace, które są jednocześnie tajemnicze i przystępnie napisane.

- Jeszcze nigdy nie widziałas takich wierszy - oświadczył teraz.

- Zaczekaj, zrobię kawy - przerwała Hilda. Uwielbiała niespodzianki, a jeszcze bardziej lubiła je odwlekać, pozwalając, by oczekiwanie wzrastało i zaostrzał się apetyt. Od dawna rodzajem gry było dla nich to chciwe przedłużanie przyjemności, także w sprawach seksu.

Cruzzi, w radosnej euforii, czując się o wiele lat młodszy, niż był w istocie, niósł tacę z kawą do dużego pokoju. Gładka drewniana taca, białe filiżanki, małe, owalne łyżeczki - wyglądały tego wieczoru jak otoczone światłem. Kiedy trzymał je w rękach ostrożnie, ze spokojem, wydało mu się nagle, że są skumulowaną całością jego życia. Na zewnątrz szalała zadymka, zamieć ciskająca twarde śnieżne kulki, ale tutaj była Hilda, jego Hilda, która klęczy przed paleniskiem, przywracając ogień do życia, teraz sięga po małe szwajcarskie miechy, wiszące zawsze obok kominka. Jej zręczność w oprawianiu ryb, zręczność przy rozniecaniu ognia, pokrzepiające czary błyszczących łokci - jaką pustką byłoby życie bez niej! Nie mógł sobie tego nawet wyobrazić. Powinien jej dziękować, obdarzać podarunkami, a i tak wszystkiego byłoby za mało.

Teraz chce jej zrobić prezent i przedstawić nowe wiersze. Dar popołudniowej zamieci. Torbę z wierszami Mary Swann. Opatrzność z przypadkowego kosmosu - z okręgu Nadeau, niecałe trzydzieści mil stąd.

Tę myśl, witaną z osłepiającą jasnością, natychmiast przyćmiła inna; wpatrując się w pochylone plecy Hildy, uświadomił sobie z lekką paniką, że ona chyba klęczy na papierowej torbie. Potem Hilda wstała i zobaczył, że torby nie ma.

W pokoju zrobiło się ciemno i przez chwilę miał wrażenie, że zemdleje, co mu się jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło. Zamknął oczy, a przed nim rozbił się głąz bezdennej czerni. Ogarnęły go obrzydliwe nudności. Hilda powiedziała mu później, że wrzasnęła: „nie!”

Wiedział, był w tym momencie pewny, że Hilda wrzuciła torbę w płomienie. Właśnie ta pewność zamykająca się nad głową sprawiła, że wirując, zapadł w ciemność.

Dla Hildy straszliwe, bezwiedne „nie!” oznaczało tylko ramię wyrzucone w górę w niedowierzaniu.

Dla Cruzziego, który nigdy się do tego nie przyznał, nawet przed sobą, był to skowyt protestu. Ponieważ ciemność, czy cokolwiek go otaczało, rozproszyła się na ułamek sekundy i w przelocie objawiła mu całą jego szczęśliwość w groteskowym, negatywnym odbiciu. Był człowiekiem osłabionym przez wiek, żyjącym w odległym zakątku świata, odrobinę wstawionym mężczyzną, którego bolało gardło, a przed nim, twarzą zwróconą ku niemu, stała jakaś tęgawa brzydka osoba. Kim była niezgrabna kobieta o twarzy klauna, tak nieostrożna, tak pełna winy i ignorancji? Zwrócił się do niej zimno, jakby to był ktoś obcy.

- Tu stała torba - powiedział. - Papierowa torba.

Otworzyła usta; zdziwienie i zakłopotanie przemknęło przez tępą twarz. A wtedy rozpoznał ją. Jego piękna Hilda podchodziła ku niemu uśmiechnięta.

- Ach, torba - odparła. - Zaniósłam ją do kuchni.

Powietrze i lekkość wróciły. Lekkość zmieszana z miłością.

Prawie po omacku szedł do kuchni na chwiejnych nogach, miał obrzydliwe zawroty głowy, a do gardła podchodziła mu gorycz. Jakby włókł za sobą ciało, ciało starego, oszukanego człowieka, które doznało wstrząsu i któremu zabrakło oddechu.

Znalazł torbę na kuchennym stole, szeroko rozdziawioną.

W środku były ości ryby jedzonej na obiad, patrochy wnętrzości rybich, mokre, błyszczące rybie łuski, nierówno odcięte rybie łby, ogony ryb - rumowisko apetytu, przed godziną wstrząsająco świeże, a teraz obrócone w rozkładającą się masę.

Pod rybimi resztkami, pod mokrym ciężarem rybiego szlamu leżały przemoczone szczątki wierszy Mary Swann.

- Jezu, Jezu, Jezu - jęczał, wyjmując z torby cuchnącą breję i ciskając ją garściami na podłogę. Ości, spadając, kruszyły się. Na płytkach posadzki błyszczwały rybie oczy. Cruzziego dławili łzy. - Chryste Panie!

Hilda, która poszła za nim do kuchni, obserwowała z trwogą scenę szaleństwa. Widziała, jak kawałek delikatnie ukształconego rybiego kręgosłupa leci w powietrzu i uderza w ścianę. Potem zobaczyła, jak mąż wyciąga strzępy nasiąkniętego papieru z dna torby, oddziela jeden od drugiego i patrzy na nie z rozpaczą.

Podeszła do niego i pocieszająco objęła go ramionami.

Był to błąd, ale nie mogła przewidzieć skutku. Gwałtownie i z całą siłą strząsnął z siebie ramiona, a jego wyciągnięta ręka uderzyła ją z boku w kark. Obydwoje wiedzieli, że nie mógł się powstrzymać od zadania ciosu. Uderzenie zważyło ją z nóg; padając, pośliznęła się na rybich wątpiach, straciła kontrolę i nim upadła, rąbnęła szczęką w kant stołu.

Na widok Hildy leżącej na podłodze Cruzzi odzyskał świadomość. W jednej sekundzie był przy niej, tuląc jej głowę do piersi. Krople krwi sączyły się z jej podbródka, a on zbierał je w skuloną dłoń. „Wybacz mi” - powtarzał bez końca, gładząc jej włosy. Woń psującej się ryby pogłębiała beźmierny smutek. Hilda cała się trzęsła i z trudem chwytiała oddech.

Pierwsza jego myśl była samolubna: nie będzie mógł żyć, jeśli mu nie przebaczy.

Przyznawał się do zaślepienia i wściekłości. Nie mógłby - mówił już znowu we władzy rozsądku - zadać ciosu. Uderzył w straszną konkluzję. Zbyt wiele zdarzyło się jednego dnia, zbyt wielka była huśtawka uczuć, do której musiał się przystosować.

W tej chwili uświadomił sobie, że to prawda. Choroba, gorączka i kolejna fala szczęścia, a potem zdumiewająca wizyta Mary Swann, jej gwałtowne i nieprawdopodobne przybycie, zadziwiające ofiarowanie papierowej torby. Potem szok, następująca po nim zbyt szybko ulga i wreszcie widok zniszczonych wierszy. Nie był już młody. Stało się coś, co go wytrąciło z równowagi. Coś w nim pękło.

Znał ten zwrot: „coś w nim pękło”. Słyszał go codziennie, był nim zgorszony. Używano go w banalnym i pospolitym znaczeniu, nawet w jego gazecie, przy opisywaniu zbrodni w afekcie. Coś w nim trzasnęło, przywiodło do ostateczności. Chwilowa niepoczytalność.

Nigdy dotąd nie rozumiał w pełni, co stanowi naturę zbrodni w afekcie.

Podbródek Hildy przestał krwawić. Było to tylko małe rozcięcie, ale przemył je starannie czystą ściereczką i nalegał, żeby zdezynfekować. Uniosła rękę i koniuszkami palców dotykając dłoni męża, próbowała go uspokoić. Wciąż jeszcze błagał ją o wybaczenie.

Hilda nie była kobietą skłoną do płaczu - Cruzzi powiedział kiedyś, że jej łzy to okazy dla kolekcjonera - ale tego wieczora szlochała bez końca. Osłepła od łez. Był pewien, że to oznacza, iż nigdy mu nie przebaczy.

Ale naturalnie przebaczyła. Przebaczyła od razu. To tylko wstrząs,

który spowodował płacz. W godzinę później siedzieli w dużym pokoju i pili koniak, dotykając się ramionami. Przeszła płakać, ale wciąż jeszcze drżała.

Mary Swann pisała wiersze parkerem 51, piórem podarowanym jej przez męża, jak mówiono, „w szczęśliwszych latach”. I używała bardzo popularnego w owych czasach atramentu, zwanego „zmywalnym granatem”. Kiedy kropla wody dotknęła słowa napisanego zmywalnym atramentem, zostawiała bladą rozlaną plamę, delikatnie zacienioną, jak miniaturowa sadzawka na białym polu. Dwie lub trzy takie plamy, a zapisana strona robiła się mętna i nieczytelna jak japońska akwarela.

Niezwykle ostrożnie, z ogromną delikatnością Cruzzi i jego żona Hilda wyjmowali przemoczone wiersze ze spodu papierowej torby. Koniak zastąpiła teraz kawa, gdyż mieli zamiar siedzieć nawet całą noc, jeśli będzie trzeba. Najpierw, żeby osuszyć papier z nadmiaru wody, posługiwali się podartymi na paski papierowymi ręcznikami. Niektóre skrawki były tak mokre, że trzeba było je przytrzymywać na brzegach, aby się nie rozleciały. Niektóre Hilda rozdzielała pincetą i szpatułką. Potem oboje układali kartki na stole nakrytym ręcznikami kąpielowymi. Gdy stół był pełny, przystawili do niego stolik karciany na resztę papierów. Żeby przyspieszyć suszenie, Cruzzi przyniósł z garażu przenośny grzejnik elektryczny.

Co najmniej połowa zawartości torby nie doznała poważniejszych uszkodzeń. I nad tymi ocalałymi wierszami zaczęli pracować w pierwszej kolejności: Cruzzi czytał je głośno, a Hilda przepisowała okrągłym, wyrobionym piśmem. W pewnym momencie uniosła głowę i powiedziała:

- Chyba nie ma szansy, żeby miała w domu kopie.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Trudno było uwierzyć, żeby taka kobieta jak Mary Swann robiła odpisy. Zaprzeczały temu naiwność i niedoświadczenie.

Po wysuszeniu zaskakująca liczba wierszy stała się czytelna. Przez kałuże niebieskiego atramentu można było dojrzeć słowa, a potem je odgadywać. Jeśli jedna czy dwie litery rozplywały się i wyrazu nie można było zrozumieć, pozostawała reszta. Hilda była bystra i szybko zaczęła chwytać dziwną składnię Mary Swann, a odgadywane przez nią zdania brzmiały w uchu Cruzziego nadzwyczaj logicznie.

Do północy dokonali transkrypcji więcej niż pięćdziesięciu wierszy. Ostrożni na początku, stopniowo nabierali śmiałości, a w pracy

podtrzymywała ich świadomość, że będą mogli sprawdzić manuskrypt z panią Swann, która na pewno pamięta, jak brzmiały zamazane słowa. To do przepisanych przez Hildę wierszy, a nie do suszących się, poskręcanych skrawków papieru, rozłożonych na stole, odnosili się jak do „manuskryptu”.

Bardziej martwiły ich wiersze, które uległy znaczniejszym uszkodzeniom. Jeziora niebieskiego atramentu pływały między linijkami, zamazując całe zwroty, i zastanawiali się, czy Mary Swann będzie w stanie przypomnieć sobie nieczytelne fragmenty. Czy będzie umiała odtworzyć je wers po wersie? Łamali sobie głowy i naradzali się nad każdym kleksem, potem odgadywali słowa, wreszcie wymyślali je. Późna godzina, morze czarnej kawy, intensywne suche gorąco w pokoju udzieliły im nierozważnego pozwolenia. W jakimś punkcie Hilda, dostosowując brakujące wersy, a nawet znacznieszą część brakującej strofy, powiedziała, że wyczuwa, co kryje się w głowie Mary Swann. Ma wrażenie, że zamieszkała w ciele innej kobiety.

Manuskrypt powoli rósł. Mary Swann stosowała rymy, dzięki czemu odgadywanie było ułatwione, mniej przypadkowe. W zrozumieniu pomagało i to, że w większości wierszy poetka używała kołyszącego, responsoryjnego rytmu, zapożyczonego z hymnów kościoła anglikańskiego. Jej słownictwo było lokalne, a więc niezbyt trudne, a chociaż posługiwała się nim śmiało, było ograniczone.

Ostatni wiersz, najbardziej uszkodzony, zaczynał się od słów: „Krew po imieniu mnie nazywa”. A może to było: „Krew mnie imieniem złym wyzywa”? Drugą linijkę można było odczytać na dwa sposoby: „Promieniem wstydu dzień okrywa” albo „Pęcherzem wstydu dzień okrywa”. Zdecydowali się na słowo „pęcherzem”. Trzecia linijka: „Marnuje to, czego mam mało”, mogło równie dobrze być odczytane jako: „Związuje to, czego mam mało”, ale napisali „marnuje”, ponieważ - mimo iż tego nie powiedzieli - bardziej im się podobało.

Przez ten czas - a było już rano - ogarnęło ich osobliwe uczucie, że uczestniczą w spisku. Wina, a może chęć robienia poprawek, przekonała ich, że winni są pani Swann interpretację, która wzmocniłaby jej siłę jako poetki. Chcieli ofiarować jej pomoc i opiekę, czego najwyraźniej nikt nigdy jej nie dał. Oboje, Cruzzi ze swoim instynktem majstrowania, i Hilda z nie wykorzystanym nigdy talentem, dokonywali poprawek - tak im się przynajmniej zdawało - jakby jedną i tą samą ręką.

Była ósma trzydzieści, za oknem zaczynało się pokazywać słabe zimowe słońce.

O tej porze Mary Swann już nie żyła, choć wówczas jeszcze o tym nie wiedzieli. Mąż strzelił jej z bliska prosto w czoło, prawdopodobnie wczesnym wieczorem, gdy wróciła do domu. Zmasakrował twarz młotkiem, brutalnie siekierą rozczłonkował ciało i pokrwawione części ukrył w silosie. Było to jedno z najbardziej okrutnych morderstw, o jakich doniesiono w okolicy, rodzaj morderstwa, które powoduje, że ludzie kupują gazety, łapczywie czytają i pytają się nawzajem, co za potwór mógł coś takiego zrobić. Było to morderstwo, na które ludzie reagują wzruszaniem ramionami, unoszeniem brwi, stwierdzeniem, że wszyscy padamy ofiarą zdziczenia i często mamy ochotę wyładować wściekłość i użyć przemocy wobec innych. Dlaczego tak się dzieje, pozostaje zagadką. „Coś w nim pękło”, mówi się zazwyczaj w formie wyjaśnienia.

### *Dom, w którym Cruzzi przeżył większą część swojego życia*

Kiedy przejeżdżasz przez małe miasteczka Ameryki Północnej, widzisz czasami duże, symetryczne domy z kamienia, budowane przed wieloma laty. Dachy są przeważnie w dobrym stanie, kominy władczo osadzone; skrzynki pod oknami, pomalowane na czarno lub białą, w lecie wypełniają się kwiatami o jaskrawych barwach; wszystko to mówi o rodzinie, pokoju i bezpieczeństwie. Ach - myślisz - w tamtych wspaniałych czasach wiedzieli, jak budować domy! Takim domem jest właśnie dom Frederica Cruzziego na ulicy Byrona w Kingston, w stanie Ontario. Przez wszystkie pełne uniesień dziesięciolecia: lata czterdzieste, pięćdziesiąte, sześćdziesiąte i siedemdziesiąte, bogate w prognozy meteorologiczne i ekonomiczne, w zmieniające się mody na muzykę i ubiór - przez te wszystkie lata Cruzzi i jego żona zamieszkiwali pomieszczenia tego domu i trwali przy życiu.

Najlepiej wejdźmy przez szerokie drzwi od frontu, tędy bowiem wchodzi i wychodzi wielu znajomych Cruzziego. Tą drogą także dostał się do domu włamywacz w wigilię Bożego Narodzenia, kiedy Cruzzi, na szczęście niczego nieświadomy, wieczerał po przeciwległej stronie ulicy z przyjaciółmi, Dennisem i Caroline Cooper-Beckmanami i ich trojgiem



dzieci. Cóż to był za przyjemny wieczór! I jakie osobliwe tworzyli zgromadzenie, współczesna rodzina agnostyków i on, stary wdowiec, siedzący w przesyconej mocnymi zapachami atmosferze, przy stole lśniącem od poinsecji i rozlanego mleka, między półmiskami pełnymi plasterów indyka, jarzyn i solidnych porcji świątecznego puddingu, po nich jeszcze owoce, jeszcze czekolady, jeszcze chrupiące świąteczne krakersy i na zakończenie koniak oraz kawałek miętowej czekoladki, która przysłała się do dziury w starym zębie. A potem powrót do domu, trochę chwiejnie, lecz z postanowieniem, że raz jeszcze zaryzykuje. Wszedł do mieszkania, wspinał się na schody, poszedł prosto do łóżka (wciąż szczęśliwie niczego nieświadomy) i śnił o Pauline Quilette, jej pachnącym ciele, o białych jak mąka szyi i ramionach.

Na dworze śnieg sypał przez cały wieczór, zacinając dużymi płatami tak, że śliczny ganek był całkowicie pokryty, nawet zawile szczeliny w kamiennej balustradzie, otaczającej ganek. (Niekiedy używa się terminu *portico* dla takiej architektonicznej osobliwości o grzecznych proporcjach i cywilizowanej aurze powitalnej). Drzwi stanowiące główne wejście są solidne i pełne wdzięku, a kołatka pasuje do każdej dłoni i roznieca nadzieję. Nad mosiężną osłoną zamka widać kilka zadrapań i głębokie wyżłobienie, dzieło wigilijnego włamywacza.

Niezdarne włamanie, tak w każdym razie osądził je później posterunkowy policji kingstońskiej. Najwyraźniej robota partacza amatora, któremu się udało. W robocie pomogła latarnia przy drzwiach, jaką niegdyś przywieszano do powozów, typ lampy określanej przez niektórych mieszkańców rejonu jako światło powitalne, przez innych zaś - o odmiennym usposobieniu - jako światło zabezpieczające. Frederic i Hilda mieli zwyczaj zapalać światło na powitanie przyjaciół i nieznanomych w okresie, kiedy wieczory były długie, a także aby zapobiec wypadkom na śliskich kamiennych stopniach.

Wewnątrz, za wejściowymi drzwiami, jest przedsionek, praktyczny wynalazek wiktoriański, dzięki któremu pogoda w domu oddzielona jest od prawdziwej pogody na zewnątrz. Za przedsionkiem znajduje się duży hall o wysokim suficie, pełen refleksów ciemnego drewna; stoi tutaj ława, na której można usiąść i zdjąć kalosze, rozgałęziony wieszak o kapryśnym rysunku i bardzo piękna komoda z drewna klonowego. Włamywacz powyciągał z niej szuflady, zostawiając je otwarte, czego Cruzzi, gdy szedł się położyć, nie zauważył.

Projekt domu przy ulicy Byrona, jak wielu innych na tym terenie, jest szlachetny, lecz rządzi się ścisłą symetrią: pokojowi mieszkalnemu z hallu na lewo rozmiarami i kształtem ściśle odpowiada jadalnia, do której z hallu wchodzi się na prawo. W ciągu dnia te dwa pokoje są pełne światła, najcenniejszego elementu w zimnym klimacie. Szerokie okna bez zasłon biegną od sufitu do podłogi. Parapety zrobione są z kamienia, lekko okantowane. Tego samego kamienia użyto na palenisko, na obramowanie kominka i gzyms nad nim. To tutaj, przed kominkiem, Cruzzi obserwował szczerbatą Mary Swann, jak podnosi ręce do płatków uszu, i pomyślał, że nigdy dotąd nie widział bardziej uwodzicielskiego gestu. W tym także pokoju Frederic Cruzzi i jego żona, Hilda, spędzali niezliczone godziny - godziny, które, gdyby je poddać drobiazgowej analizie, zawierałyby biliony odrębnych obrazów, tak wiele, że jeśli któryś z nich był perwersyjny lub odbiegający od normalności, nie byłoby w tym, doprawdy, nic zaskakującego. Pokój wypełniają skromne skarby: ciekawy zestaw „wilków” do podtrzymywania płonących polan w kominku na czarująco brzydkich nóżkach, cztery doskonałe akwarele, wspaniały olej pędzla malarza prymitywisty, Marcusa Hovingstadta, dwa bardzo stare świeczniki z mosiądzu, osiemnastowieczny zegar z drewnianym werkiem oraz cenna kolekcja płyt z początków jazzu. Wszystkie te rzeczy zostały litościwie oszczędzone przez wigilijnego włamywacza.

Ściany w jadalni są białe. Podłoga z dobrze utrzymanego drewna. Lampa z malowanego szkła, wykonana przez tutejszą, biegłą w swoim rzemiośle kobietę, rzuca krąg łagodnego światła na szeroki owalny stół. Tyle, tyle razy zasiadano przy nim do posiłków. Tyle słyszał rozmów, tyle gwaru w różnych językach! Uniesione ręce przerzucały most między słowami i tworzyły cienie na ścianach. Były głośnie debaty i kochające spojrzenia, uroczyste krojenie serów i ciast, celebracje i rytuały, satysfakcja i sytość. Tu, na tym stole, złożono przeszło pięćdziesiąt książek wydanych przez Peregrine Press; tutaj w odległym grudniu 1965 roku Cruzzi i jego żona Hilda pracowali całą noc, usiłując uratować zniszczone wiersze Mary Swann, i tutaj Hilda, z rzadką, nie wykorzystaną dotąd inwencją twórczą, robiła drobne poprawki. W jadalni znajduje się srebro z Francji, porcelana z Niemiec i komplet rzadkich starych krzesel z Quebecu, ale nic z tego nie przyciągnęło uwagi wigilijnego intruza.

Na tyłach domu symetria nagle się załamuje. Jest tam słoneczny pokój o dziwnym kształcie, pełen roślin i wygodnych krzesel; stoi

także pianino. Kuchnia jest dziwną mieszaniną rzeczy używanych i niedopasowanych, chociaż w całości daje to harmonijny efekt. Przez nierówne płytki, którymi jest wyłożona podłoga, przez rozrzucone rybie ości Frederic patrzył na Hildę i widział, jak najlepsza część jego „ja” ulega rozszczepieniu. Cząsteczki twarzy żony stawały się coraz mniejsze i mniejsze, cofając się przed nim na całą szerokość zamętu. W kuchni znajdują się zwykle elektryczne akcesoria: mikser, toster i tak dalej, ale najwidoczniej i tutaj nic nie skusiło nieproszonego wigilijnego gościa.

Ten niepożądany gość zdołał jednak wspiąć się szerokimi schodami na górę, bez wątpienia przesuając palcami po jedwabnym sznurze poręczy i przystając w mrocznym hallu na piętrze. To tutaj, w tym hallu między łazienką a sypialnią, Hilda dostała udaru, który ją zabił, grom z jasnego nieba, o wiele silniejszy od małego wylewu, który ubiegłego lata zwałił Cruzziego z nóg na kilka minut, a który wziął jedynie za niewielkie porażenie słoneczne.

W hallu na piętrze jest czworo drzwi. Jedne, oczywiście, prowadzą do łazienki, ale w łazience, nawet mającej sto lat, niewiele jest rzeczy mogących zainteresować grasującego złodzieja.

Drugie drzwi prowadzą do sypialni, którą Frederic i Hilda Cruzzi dzielili przez tyle lat. Co mogło przyciągnąć złodziejskie oko w takiej sypialni? Ani nowa, bo licząca zaledwie dwa lata, znakomita lampa do czytania z nierdzewnej stali, ani wypchane wełną okrycie na nogi, zwane „pocieszycielem”, przywiezione z Austrii, ani komoda z marmurowym blatem czy rośliny pod oknem lub lustro w sosnowej oprawie, które można jednym palcem przechylać tam i z powrotem, ani też wygodny wiklinowy fotel w rogu pokoju. Sceny, jakie się rozegrały w tym pokoju, są nieodgadnione. Pamięć, złożona księga, zmienia i wypacza nasze najbardziej intymne układy, tak że namiętność, przebaczenie i waluta drobnych, codziennych transakcji zostają nam skradzione - co może i nie jest takie złe.

W bardzo dużym pokoju na piętrze, zajmującym cały front domu, Frederic i Hilda Cruzzi trzymali swoje książki. (Ponieważ czterdzieści lat temu pokój ten był pomalowany na olśniewająco żółty kolor, znany był jako „żółty pokój”). Znajduje się tu kilka krzeseł i biurko, na którym stoi stara maszyna do pisania, ale zasadniczo jest to „miejsce spoczynku” książek. Wypełniają cztery ściany od podłogi do sufitu. W innych pokojach także są półki z książkami, ale tutaj Cruzzi przechowuje te, które są mu najdroższe. Biblioteka liczy kilka tysięcy tomów, które

ustawiono na półkach kolejno według języków, a następnie według tematów czy autorów. Każdy w miarę inteligentny, dorosły człowiek - mężczyzna czy kobieta - wchodząc tutaj, może w ciągu kilku minut znaleźć to, czego szuka. Jeżeli, na przykład, ktoś szukałby jednego z rozmaitych wydań Peregrine Press z lat 1957-1977, mógłby łatwo je umiejscowić na podstawie logo - niebieskich skrzydełek - na wąskim, szarym grzbiecie. Cztery egzemplarze tomiku Mary Swann „Łabędzie pieśni”, opublikowanego w roku 1966, stały pośrodku półki z książkami Peregrine, gdyż ukazały się drukiem mniej więcej w połowie działalności wydawnictwa. Wszystkie te cztery książki ukradł wigilijny włamywacz, a pozostałe zsunął razem, przypuszczalnie po to, żeby uczynić lukę mniej widoczną.

Gdyby zdarzenia biegły normalnym trybem, upłynęłyby zapewne tygodnie lub miesiące, zanim Cruzzi zauważyłby brak książek, ale był wychulony na kradzież w dniu Bożego Narodzenia. Po wczorajszej wieczornej uczcie obudził się późno, zrobił sobie kawy, którą wypił, siedząc na krześle w kuchni i przysłuchując się szmerom i przypadkowym odgłosom domu. Po pewnym czasie poszedł na górę po tomik wierszy ulubionego Raszida, ale przypomniał sobie, że nic jeszcze nie zrobił, żeby przygotować pogadankę, jaką obiecał wygłosić na sympozjum poświęconym Mary Swann; a przecież miał już tylko dziesięć dni przed sobą.

Myślał już przedtem na ten temat. Zamierzał podać swoje uwagi prosto, w tonie tolerancyjnej ortodoksji, opowiedzieć, w jaki sposób poznał Mary Swann i jak po jej śmierci Peregrine Press powzięło wcale niełatwą decyzję o wydaniu książki. Planował także skomentować zakrawający na ironię fakt, że książka początkowo nie wzbudziła szczególnego zainteresowania. Rozgłos spowodowany morderstwem Mary Swann trwał krótko i ograniczał się do najbliższej okolicy. Większość recenzentów napomknęła jedynie o wierszach z „Łabędziach pieśni” jako o prostej, fachowo zrobionej ciekawostce, a 250 egzemplarzy wydrukowanych przez wydawnictwo rozchodziło się kiepsko nawet w okręgu Nadeau. W końcu on i Hilda rozdali większość egzemplarzy, zatrzymując dla siebie tylko cztery. Właśnie te cztery egzemplarze teraz zniknęły.

Patrząc na półkę, Cruzzi doznał przejmującego uczucia: był stary, bezradny i wiedział, że teraz nadszedł długo odwiekany akt odwetu.

Było to nie do zniesienia: nastąpiła jakaś groźna zmiana kierunku, zmiana, która nie zostawiła mu nic oprócz starej, oszukańczej skóry zwisającej luźno na kościach. Czuł, że wzrok mu się mąci, gdy kierował kroki do małego sypialnego pokoju, którego niegdyś Hilda używała jako biura Peregrine Press. Otworzył drzwi. W pokoju nie było nic oprócz stołu, dwóch krzeseł i dość dużej biurowej szafki do przechowywania akt. Szuflady szafki były otwarte, a zawartość rozrzucona po całym pokoju.

Uporządkowanie zabrało mu resztę dnia. Sortując rękopisy i korespondencję z przeszło dwudziestu lat, słuchał przez radio „Mesjasza” Haendla i czuł powracający słaby przyływ równowagi.

Chwilami mruczał w takt muzyki, i dźwięk własnego głosu, skrzypiący i niemelodyjny, stawiał czoło chaosowi. Melodia wlatywała i opadała, jakby powlekając pokoik świecącymi, zgodnymi falami barw. Późnym popołudniem skończył. Wszystko było na swoim miejscu, brakowało tylko kartoteki Mary Swann. Może powinien być wdzięczny, ale wbrew temu stwierdził, że ma twarz zalaną łzami.

Symposium poświęcone  
Mary Swann

UWAGA REŻYSERA: Sympozjum poświęcone Mary Swann to film trwający około 120 minut. Główni bohaterowie: Sara Maloney, Morton Jimroy, Rose Hindmarch i Frederic Cruzzi, są postaciami fikcyjnymi, tak samo jak tragiczna postać Mary Swann, *poète naïve*, z sielskiego Ontario. Film można określić (dla celów dystrybucji) jako thriller. Podtekst skupia się na bardziej subtelnym kra- dzieżach i aktach kanibalizmu, które kuszą i osłaniają tajemnicą głównych bo- haterów. Reżyser ma nadzieję, że pozostanie w cieniu przez czas trwania filmu, pozwalając, aby ciężar narracji spoczywał na dialogu i efektach wizualnych (a nie na osobistych namiętnościach).

KADR: Na całym ekranie biało-czarna, ziarnista i zamglona fotografia MA- RY SWANN, żony farmera, stojącej na rozwalającym się ganku wiejskiego do- mu. Ma na sobie domowe ubranie i fartuch na ramiączkach; jej szczupła twarz wyraźnie nosi znamiona przedwczesnego starzenia się; zamknęła oczy, widocz- nie razi ją słońce. NAPISY biegną u dołu przez fotografię. DŹWIĘK: żywa (przy- pominająca szkocką) melodia na fisharmonii, która stopniowo staje się coraz poważniejsza, gdy KAMERA koncentruje się na twarzy Mary.

Zmiana planu: ujęcie zewnętrzne - główna ulica Nadeau w stanie Ontario. Wczesny ranek, zima, jeszcze ciemno.

Stopniowo lekko się przejaśnia. Pada śnieg. Główna ulica Nadeau słabo wi- doczna. Przejeżdża jeden lub dwa samochody, potem półciężarówka pick-up; ich przednie reflektory lśnią żółtym światłem przez wirujący śnieg. Teraz nad- jeżdża autobus Greyhounda, zbliża się do przystanku na poboczu drogi. KAME- RA chwytą znak: NADEAU.

Z cienia wychodzi kobieta i wsiada do autobusu. Jest niska, w średnim wieku, trochę niezgrabna, niezbyt pewna, jak ktoś, kto dopiero co przeżył chorobę. To ROSE HINDMARCH. Jest w za dużym, watomowanym, niebieskim palcie z kołnier- rzem ze sztucznego futra. Na głowę, okrytą chustką ze sztucznego tworzywa, narzuciła luźno gruby wełniany szal.

KRÓTKIE UJĘCIE kierowcy; ma około trzydziestki i świeżą, bystrą twarz. Widząc Rose, szeroko otwiera oczy.

KIEROWCA: Cześć, Rose. Hej, tak rano na nogach? Lecisz do Kingston? (Wstaje, bierze jej walizkę i wciska za siedzenie kierowcy. Rose otwiera torebkę i wyjmuje banknot pięciodolarowy. Autobus jest prawie pusty, z tyłu drzemią

trzy czy cztery osoby).

ROSE (weselo informuje): Muszę złapać ten pociąg o dziesiątej. Do Toronto, jeśli o to idzie.

KIEROWCA (wydając resztę): Masz kupę czasu. Posiedzisz sobie na stacji i poczekaasz. Parę godzin, tak czy tak. (Rose usadawia się na jednym z przednich siedzeń, ostrożnie zdejmuje szal i nylonową chustkę i przygląda włosy. Autobus powoli rusza).

ROSE: No tak, ale nie chciałam... wiesz, łapać okazji. A o tej porze roku nigdy nie wiadomo...

KIEROWCA: Masz rację, Rose. Wcale ci się nie dziwię.

ROSE (wciąż poprawiając włosy): A co, nie wiedziałeś, że dziś będzie śnieg? Oglądałam wczoraj prognozę pogody.

KIEROWCA: Taak?

ROSE: Śnieg, tak mówiono. I to akurat teraz, kiedy...

KIEROWCA (zmienia bieg, wjeżdżając pod górę): Chyba ma spaść ze sześ cali.

ROSE: ...mówię sobie, takie już moje szczęście, zamkną drogi, i to właśnie, jak muszę złapać pociąg do Toronto na...

KAMERA ukazuje autostradę i pola. Śnieg zacina w poprzek drogi, ale domy i stodoły można dojrzeć w zarysach. MUZYKA - klarnet altowy - stanowi żywy kontrapunkt do lakonicznej rozmowy.

KIEROWCA: Jessu, pewnie, pociąg je najlepszy o tym czasie.

Mówili, że ma być sześć cali, ale coś mi się widzi, że...

ROSE (papie): Włożyłabym dobry płaszcz, ale na ten śnieg, czy można włożyć zamszowy płaszcz w taką pogodę? Właściwie jest dosyć ciepły, nie w tym kłopot, tylko zamsz nie lubi, żeby moknąć.

Rose, nadmiernie gadatliwa na skutek podniecenia podróżą do Toronto, siedzi w napięciu, a potem raptem ściąga rękawiczki i zaczyna oglądać paznokcie.

KIEROWCA: Taa! To sobie jedziesz do Toronto, co, Rose?

ROSE (wciąż zaaferowana): Tylko na cztery dni, to wszystko, co mogę wygospodarować, no bo przecież zamknąć tak bibliotekę i...

KIEROWCA: Cholera! (skręca mocno kierownicę, naciska hamulec, cudem unikając zderzenia z samochodem). Skąd ten... się wziął? (rozluźnia się).



Przepraszam, Rose, ale facet wjechał na tę stronę drogi i nawet nie...

ROSE (patrzy sennie przez okno, nie słysząc): Wiesz, chyba ustaje. Śnieg. Może trzeba mi było... (przesuwa palcem po płaszczu pytająco i z żalem).

Autobus staje, wsiada kobieta z niemowlęciem. Pozdrawia Rose i kierowcę, a potem przechodzi do tyłu.

KIEROWCA (znowu rusza, poprawia lusterko): Chyba jedziesz na tę styczniową wyprzedź, co, Rose? Poszaleć na zakupach? (W głosie jest ton lekkiej kpiny; Rose z natury wciąż staje się przedmiotem dobrodusznych żarcików).

ROSE (sennie): Słucham? Przepraszam, Roy, co mówiłeś?

KIEROWCA (głośniej, jakby mówił do osoby głuchej): Szał zakupów, powiedziałem. Jedziesz poszaleć?

ROSE (uszcześliwiona okazaniem zainteresowaniem): Jadę na sympozjum. (Uwielbia to słowo). W Toronto.

KIEROWCA (drwiąco): Kto będzie?

ROSE: Sympozjum (przepraszająco) to coś w rodzaju zebrania.

KIEROWCA (koncentruje się na drodze): Taa?

ROSE: No wiesz, ludzie przemawiają, dyskutują i tak dalej. To jest o...

KIEROWCA: Zawsze jakaś zmiana, no nie?

ROSE: To ma być o Mary Swann. Pochodziła z Nadeau, wiesz. Poetka. Pewnie nigdy o niej nie słyszałeś, ale ona...

KIEROWCA (skrobie się w ucho): Ta, co ją jej stary zastrzelił i upchnął do siłosa? Dawno temu?

ROSE (nieomal z dumą): Tak, ta sama.

KIEROWCA: Co ty nie powiesz!

ROSE: Ona teraz jest naprawdę sławna. Nie dlatego, że... nie przez tamto, ale z powodu wierszy, wydali jej tom wierszy. Och, zjadą się ze wszystkich stron, ze Stanów i zewsząd. Zrobiła się bardzo znana. Wszyscy ją teraz uważają za dobrą poetkę, piszą o niej książki i...

KIEROWCA: Ale dlaczego on to zrobił, znaczy jej chłop? Dlaczego ją zaciukał?

ROSE (ignorując pytanie): To będzie w „Harbourview”. Hotel „Harbourview”, tam gdzie zawsze są zjazdy i...

KIEROWCA: „Harbourview”? (bierze zakręt). Miała innego faceta czy co? Mój tato kiedyś mówił... tak czy siak, nie pamiętam detalicznie, ale...

ROSE: A jak się ma twój tato, Roy? Lepiej? (Rose zna wszystkich).

KAMERA obejmuje okolicę zasypaną śniegiem. Kilka tablic wskazuje, że autobus zbliża się do Kingston. DŹWIĘK klarnetu, teraz spokojniejszy.

KIEROWCA: Nieźle. Tak naprawdę, dużo lepiej. Nie można staruszka utrzymać.

ROSE: A mama? Dobrze się trzyma?

KIEROWCA: O, taa, znasz przecie mamę.

ROSE (obserwując śnieg): Spójrz tylko. Stanowczo ustaje. Żebym wiedziała... (patrzy żałośnie na swoje palto).

KIEROWCA: A co myślisz o tym całym terroryzmie, Rose? Cholerne kłopoty, mordują ludzi...

ROSE: Straszne (długa pauza). Okropne. (Patrzy sennie przez okno, jak autobus wjeżdża do miasta). Okropne (obraz znika).

Zmiana planu: wewnątrz stacji kolejowej. Dzień. Widać, że to stacja w małym miasteczku. Panuje staroświecka atmosfera: brązowe drewniane ławki, wyblakłe afisze i okna, przez które widać podwójne tory kolejowe, tego rana przysypane śniegiem. Rose, która teraz porządnie wsunęła wełniany szal za kołnierz palta i zdjęła z głowy nylonową chustkę, stoi wyraźnie zdenerwowana, wyglądając przez okno na peron. Patrzy na duży dworcowy zegar, który wskazuje 9.50 i porównuje godzinę z zegarkiem na rękę. Rozgląda się wokół. Kilka osób wchodzi i wychodzi, niosąc bagaże. Otwiera torebkę, wyjmuje puderniczkę i przegląda się w lusterku, przyglądając włosy. Najwyraźniej na kogoś czeka. Jeszcze raz sprawdza zegarek, i wtedy zaskakuje ją czyjś głos.

CRUZZI: Panna Hindmarch? (FREDERIC CRUZZI jest wysokim, chudym starszym panem, ubranym w długi, ciemny płaszcz i futrzaną czapkę; w rękę ma laskę, której najwidoczniej potrzebuje).

ROSE (zaskoczona): To pan... pan jest...?

CRUZZI (lekko się kłaniając): Frederic Cruzzi. Witam panią.

ROSE (nerwowo): To ja witam pana. (Torebka wyslizguje się jej z rąk i

spada na podłogę; oboje się schylają, żeby ją podnieść). Dziękuję, ale... och, mam, mam tyle rzeczy! A pan ma tylko tyle? (wskazuje na małą walizeczkę Cruzziego).

CRUZZI (z uśmiechem): Zawsze tak podróżuję.

ROSE (trajkocze): Zaczęłam... zaczęłam już myśleć, że może pan się rozmyślił, a potem, hm, kiedy zobaczyłam, że już jest 9.50 na dworcowym zegarze, pomyślałam, że pan zdecydował się nie spotykać ze mną, tak jak się umawialiśmy. (Jej słowa zagłusza odgłos pociągu wjeżdżającego na stację).

CRUZZI: Idziemy? (Podaje jej ramię, ale Rose, zonglując torebką, walizką i siatką na zakupy, nie ma wolnej ręki. Próbuje przełożyć rzeczy. Cruzzi bierze jej walizkę).

ROSE (z przestraszeniem): Nie! Nie pozwolę panu. Jest okropnie ciężka. Żebym nie wiem jak próbowała, zawsze kończy się na tym, że biorę za dużo. A buty tyle ważą, i suszarka do włosów też. I właściwie przydałby mi się, jak powiedziałam do mojej znajomej, jeden z takich plecaków (śmieje się), jak noszą teraz dzieciaki.

CRUZZI (słucha cierpliwie, rozbawiony i uprzejmy): Gotowa pani?

Wychodzą na stację ramię w ramię. MUZYKA narasta - szkocka melodia, a KAMERA prowadzi ich przez dworcowe okno, jak idą powoli, niemal w rytmie weselnego marsza, w kierunku oczekującego pociągu.

Zmiana planu: Wnętrze, sypialni SARY MALONEY w Chicago. Wczesny poranek.

Mały pokój pogrążony w półmroku, prawie w całości zajęty przez duże, podwójne łóżko. Ściany i meble białe. Na półkach książki, rośliny, jakaś nieduża biała rzeźba. Spod grubego białego koca dochodzą pomruki, chrząknięcia i westchnienia zmysłowej przyjemności. Raptownie przerywa je melodyjny dzwonek budzika.

SARA (wyciąga rękę i wyłącza alarm): Dzień dobry!

Całuje nagie ramiona Steve'a, ziewa, wysuwa się z łóżka, przeciąga i na palcach idzie do sąsiadującej łazienki, wraca prosto spod prysznicu, z zawiązanym wokół ciała ręcznikiem, z mokrymi włosami. W półmroku ubiera się: bielizna, kostium w delikatnym kolorze przykurzonego różu, miękka bluzka w takim samym, tylko jaśniejszym odcieniu, pantofle. Ubierając się, rzuca uśmiechnięte, ukradkowe spojrzenia na zegarek i na Steve'a, który przygląda jej się z łóżka. Jej ruchy są żywe, pośpieszne, roztargnione, chociaż dotyka ubrania, zwłaszcza jedwabnej bluzki z czułą uwagą. Przeciąga szczytką wilgotne włosy, nie patrząc

w lustro. Nie maluje się. Otwiera teczkę, sprawdza jej zawartość i zamyka z trzaskiem. Przez moment stoi, przytrzymując zamek, i w myśli raz jeszcze sprawdza, czy wszystko wzięła, potem stawia teczkę koło drzwi sypialni, nakłada ciężki płaszcz z owczej wełny, zarzuca na ramię torbę podróżną i podchodzi do łóżka. Siada obok Stephena i otwiera ramiona.

SARA: I cóż?

STEPHEN (duży, przystojny, zarośnięty mężczyzna; nie ma nic na sobie): Chcesz kawy? Mógłbym...

SARA: Napiję się na lotnisku. (Usiłuje się podnieść, ale on przyciąga ją do siebie w uścisku bardziej koleżeńskim niż zmysłowym; przez chwilę kołyszą się tam i z powrotem, wciąż w uścisku, Sara sprawdza godzinę, na co Stephen się uśmiecha).

STEPHEN: Już czas?

SARA: Czas.

STEPHEN: Powodzenia! Z twoim przemówieniem.

SARA (leniwie): Nie z przemówieniem, lecz z referatem.

STEPHEN: Tak czy inaczej, powodzenia.

SARA (wysuwając się z uścisku): Lepiej pójdę. Taksówka już powinna być. Ty możesz się lenić i spać dalej.

STEPHEN: Przecież jeszcze noc. (Unosi się na łóżku, sięgając po biały wełniany koc, którym owija się wokół jak Indianin; obejmuje Sarę ramieniem, razem schodzą na dół miniaturową klatką schodową, tak wąską, że schodząc, objają się o ściany). Zwariowana godzina. Żyjesz po wariacku, wiesz o tym.

Stephen otwiera drzwi na ulicę; od frontu nie ma podwórka, tylko kilka stóp dzieli ich od krawężnika, gdzie czeka taksówka; reflektory żarzą się w ciemności.

STEPHEN: Bywaj! (Całuje ją).

SARA (przyglądając mu się krytycznie): Przez chwilę myślałam, że powiesz: „Uważaj na siebie”. Albo: „Bądź grzeczna”. (Pogardza takimi zwrotami).

STEPHEN: A co z... (udaje pożegnanie)... ciao?

SARA (odsuwa się, słysząc klakson taksówki): Wiesz, nagle odechciało mi się jechać.

STEPHEN: Toronto w styczniu. (Wymawia to tak, że zabrzmiało jednocześnie jak pytanie i oświadczenie).

SARA: Nie tylko to. Nie wiem dlaczego, ale czuję się, jakbym zobaczyła ducha.

STEPHEN: Cztery dni (robi gest klauna, wzruszając ramionami).

SARA (przechodzi przez zaśnieżony chodnik i wsiada do taksówki): Lotnisko O'Hare. (Odkręca okienko i patrzy na Stephena, który trzęsie się z zimna na progu, owinięty kocem. Macha mu ręką, on odpowiada takim samym gestem. Taksówka odjeżdża).

KIEROWCA: Jezu, jak zimno! (dobrodusznie): Czemuś pani nie pożegnała się ze swoim chłopakiem w domu?

SARA (w rytmie musicalu): To nie mój chłopak, to jest mój mąż.

Śmieją się obydwójce. Taksówka powoli jedzie ulicą. Sara, wychylając się, wciąż macha dłonią, wreszcie zakręca szybę.

DŹWIĘK: wesołe drewniane piszczałki.

SARA (KAMERA- zbliżenie twarzy Sary): Panie Boże! (koniec kadru).

Zmiana planu. Wnętrze. Lotnisko w San Francisco. Wcześniej rano.

MORTON JIMROY, mężczyzna w średnim wieku, w tanim garniturze w jasnym kolorze, czeka w kolejce do urzędu imigracyjnego. DŹWIĘK: normalny gwar ruchliwego lotniska, podkład muzyczny: muzyka symfoniczna, emocjonalna.

GŁOŚNIK: Lot 492, pasażerów odlatujących do Toronto prosimy o przejście do wyjścia numer 77.

URZĘDNIK MIGRACYJNY (znudzony): Jak długo zamierza pan zostać w Kanadzie, panie Jimroy?

JIMROY (gniewnie): Cztery dni. I przypadkiem jestem obywatelem kanadyjskim i nie obowiazuje mnie czekanie w...

URZĘDNIK (mechanicznie): Służbowo czy prywatnie?

JIMROY (zirytowany; jest człowiekiem, który bierze na serio wszystkie pytania): Służbowo. Prywatnie. I to, i to (milknie; urzędnik imigracyjny patrzy na niego surowo). Zjazd. Sympozjum, mówiąc ściśle. Uczestniczę w...

URZĘDNIK: Charakter zjazdu?

JIMROY: To wypytywanie mnie obraża. Jako obywatel kanadyjski nie muszę...

URZĘDNIK: Mówi pan: zjazd? Jaki charakter ma ten zjazd? (macha w powietrzu stemplem).

JIMROY (wzruszając ramionami): Naukowy. Literacki (jakby mówił do

idioty). Poezja, jeśli pan musi wiedzieć. Jak w tym wierszyku: „Janek i Janka byli na sankach...”

URZĘDNIK: Dobrze już, dobrze (stempluje papier i podaje Jimroyowi). Następny.

JIMROY (z goryczą): Dziękuję. (KAMERA prowadzi go, póki nie zniknie w tłumie. Koniec ujęcia).

DŹWIĘK: gwar lotniska miesza się z odgłosem jadącego pociągu.

Zmiana planu: wewnątrz wagonu kolejowego. Dzień.

KAMERA nakierowana na Cruzziego i Rose, którzy siedzą naprzeciw siebie w przedziale. Piją kawę z plastikowych kubków, mieszając plastikowymi łyżeczkami, za oknem migają ośnieżone, zaokrąglone wzgórza Ontario. Niebo jest szare, zimowe, ale chwilami przebija się słońce, tak że horyzont krajobrazu jest podświetlony różowym światłem. Nieustanny stukot pociągu miesza się po chwili z głosem Rose.

ROSE: ...no i musiał pan sobie pomyśleć, że jestem pomyłona, znaczy, pisząc list do pana i proponując, wie pan, żebyśmy jechali razem, ale, hm, co innego jest jechać samej, a co innego, hm, jak powiedziałam mojej znajomej, co innego mieć w podróży kogoś, z kim można pogawędzić, i wie pan, to właściwie profesor Lang... przypuszczam, że zna pan profesora Langa...

CRUZZI chrząka i potakuje.

ROSE: No, więc profesor Lang był w Nadeau chyba jakieś trzy, może cztery lata temu. Człowiek traci poczucie czasu, prawda, rok za rokiem i lata się zaczynają mieszać, prawda? W każdym razie przyjechał pewnego dnia, zdaje się, że w środku tygodnia... tak, bo pamiętam, że siedziałam w bibliotece zajęta katalogowaniem. Nawet w takiej małej bibliotece, jaka jest w naszym mieście, stale coś trzeba wprowadzić do katalogu. Aż dziwne, ile pracy jest do zrobienia za każdym razem, gdy przychodzi nowa książka. Oczywiście w większych miastach inaczej to wygląda, mają komputery i tak dalej, ale ja zawsze mówię, że to będzie wielki cud (śmieje się), jeśli Nadeau kiedyś dostanie komputer, nie żebym obojętnie przepadała za mechanicznymi urządzeniami, mniejsza o to, ale to i tak nie do pomyślenia, finansowe ograniczenia i co pan jeszcze chce.

KAMERA - zbliżenie twarzy Cruzziego, który potakuje i walczy z ogarniającą go sennością, jednak wyraz spokoju na jego obliczu sugeruje, że gadatliwość Rose wpływa na niego raczej kojąco niż irytująco. Rose natomiast jest pogodnie nieświadoma tego, że Cruzzi jej nie słucha.

ROSE: ...no, więc w każdym razie profesor Lang przyjechał, tak po prostu wpadł na chwilę i powiedział, że chciałby się... chciał jakby wczuć się... zobaczyć, gdzie Mary Swann mieszkała, jej korzenie i tak dalej. I wie pan, co powiedział? Powiedział, że powinniśmy mieć tablicę na skraju miasta, wie pan, coś takiego: „Nadeau, Ontario. Tu mieszkała Mary Swann, Wybitna Poetka”. A ja powiedziałam: „Wielkie nieba, nie wiedziałam, że była aż tak sławna, a on na to: „Cóż, ludzie zaczynają ją zauważać i za kilka lat...”, więc powiedziałam, że chyba mnóstwo ludzi tutaj, w naszym mieście, pamięta jeszcze panią Swann, przynajmniej ci starsi, ale prawie nikt nie czytał jej książki. Naturalnie jest egzemplarz w naszej bibliotece, przynajmniej był jeszcze niedawno, stale nam giną książki, ludzie po prostu sobie z nimi wychodzą, najwięcej dzieciaki! To prawdziwy problem dla bibliotekarzy, wszędzie pewnie to samo... Więc profesor Lang był bardzo ciekawy wszystkiego, zadawał różne pytania i chciał sobie porządnie obejrzeć całe miasto, a nawet pojechał zobaczyć stary dom, gdzie pani Swann mieszkała, zanim... no, wie pan... przedtem! Był nawet na cmentarzu zobaczyć, gdzie jest pochowana, niech pan sobie wyobrazi, zwykły surowy, mały kamień, no i powiedział, a to było już kilka lat temu, teraz stała się sławna, tak to jest, więc profesor Lang, to chyba był jego pomysł, żeby urządzić sympozjum na jej temat, i jak nadeszło to zaproszenie, o mało się nie przewróciłam z wrażenia, zachowałam się jak wariatka, no, bo wie pan (śmieje się), ja jeszcze nigdy, hm, nie brałam udziału w sympozjum, jestem tylko bibliotekarką na pół etatu, a także urzędniczką miejską i nigdy jeszcze nie byłam... nie sądzi pan, że to idiotyczne? Mnie zapraszać, chociaż nigdy nie byłam na sympozjum?

CRUZZI (otrząsa się raptownie z drzemki, mruga raz i drugi, spogląda uprzejmie na Rose i mówi łagodnie): Nie, panno Hindmarch, to wcale nie jest idiotyczne.

ROSE (z zadowoleniem i ulgą): Naprawdę?

CRUZZI: Ani trochę.

ROSE: Fiuu! Cieszę się, że pan tak mówi. W każdym razie dostałam list od profesora Langa na początku grudnia, nie, chyba to było pod koniec listopada, pamiętam, że to był poniedziałek, smutny poniedziałek, ha, a mnie zawsze rozwesela, jak dostaję listy w poniedziałek, chyba każdy czuje tak samo, i - zaraz - jak to było... więc napisał, że pan Frederic Cruzzi, to znaczy pan, także wybiera się na sympozjum i że ma pan przemawiać i w ogóle, w końcu to tylko pan wydał wiersze pani Swann, i to zrozumiała, że pan ma jechać, ale on myślał, że ja mogłabym pana zawieźć samochodem, ale jak już panu pisałam, ja nie prowadzę,

nigdy się nawet nie uczyłam, chociaż moja przyjaciółka, Daisy Hart się nazywa, mówi, że pięć lekcji wystarczy i zdałabym egzamin jak nic, ale ja nigdy... tak czy inaczej, pomyślałam sobie, wpadło mi do głowy (śmieje się), że moglibyśmy, wie pan, pociągiem, moglibyśmy... (nareszcie brakuje jej słowa).

CRUZZI (budząc się): ...dotrzymać sobie towarzystwa.

ROSE (podskakuje): O właśnie, właśnie. A jeszcze napisał, czy nie mogłabym przywieźć ze sobą fotografii pani Swann, bo, hm, wie pan pewnie, istnieje już tylko ta jedna (krzywi się). I chciał...

CRUZZI (rozbudzony już całkiem i zaciekawiony): O, ma pani fotografię pani Swann?

ROSE: Jedną jedyną! Tak przynajmniej mówią. Trzymamy ją w małym muzeum, które się mieści w starej szkole, zwyczajnie - historia regionu i tak dalej, ale... chciałby pan ją zobaczyć, panie Cruzzi? To zdjęcie?

CRUZZI: Z przyjemnością.

ROSE: Zaraz ją... (Wstaje i sięga na górę po walizkę). Mam tutaj, zaraz ją... (Próbuje zdjąć walizkę, potem zdejmuje buty i staje na siedzeniu w pończochach. Cruzzi chce jej pomóc, ale ona powstrzymuje go wyciągniętą dłonią). O, nie, panie Cruzzi, nie wolno panu się nadwierać... Ja zaraz...

CRUZZI: Jeśli to za duży kłopot, proszę się nie...

Rose staje na palcach, żeby otworzyć walizkę. Po omacku szuka w niej zdjęcia.

ROSE: Włożyłam je w ostatniej chwili, po prostu wsunęłam, nie chciałam, żeby szkło się potłukło. (Nadal szuka, pocąc się przy tym lekko). Nie jest na nim zbyt podobna, zamglone zdjęcie, wie pan, zwyczajnie ktoś je pstryknął i oprawił w ramki. Jestem pewna, że... (Męczy się z walizką, wreszcie ściąga ją z góry, walizka się otwiera, wypadają z niej części garderoby, kosmetyczka, nocna koszula i, ku wstydom Rose, mnóstwo bielizny). Och! (Zakłopotana zbiera i upycha warstwą z powrotem). Och, co za bałagan, och, wszystko się...

CRUZZI: Może pani pomóc? (Mówi to jednak bez przekonania).

ROSE (jak szalona zbiera resztę garderoby): Nie! (Rzuca ukradkowe spojrzenia na Cruzziego i pozostałych pasażerów, siedzących w drugim końcu wagonu). Nareszcie! Jest. (Zamyka walizkę, rozwija fotografię z papierowego ręcznika i siada, tym razem obok Cruzziego; ciężko oddycha. Przez okno widać słońce, które świeci na pola, jeziora i lasy). Tutaj. To jest Mary Swann!



CRUZZI (bierze zdjęcie i ogląda je najpierw z lekką drwiną, potem dokładnie, jakby to było dzieło sztuki. Sięga do wewnętrznej kieszeni po okulary, żeby móc lepiej się przyjrzeć, potem mówi z udanym patosem): Oto Pani Swann.

ROSE (znowu terkocze jak karabin maszynowy): Widzi pan, niepodobna do siebie. Słońce ją razilo, no, ale cóż, to ona! (śmieje się nerwowo, jeszcze trochę zadyszana).

CRUZZI: No cóż, spotkałem ją tylko raz. Moje wrażenie było (unosi dłoń z powątpiewaniem) ułamkowe.

KAMERA pokazuje fotografię w zbliżeniu.

ROSE (przygląda się zdjęciu, które trzyma Cruzzi, rozluźniona): Wydaje mi się, że to musiało być robione, hm, gdzieś w połowie lat pięćdziesiątych, może wcześniej. Zdawało się, że się nie starzeje. To znaczy zawsze wyglądała tak jak tutaj - bardzo zmęczona. I staro. Jakby smutna i zmartwiona. Ale, wie pan, był w niej jakiś duch, coś takiego, hm, myślę, że to widać w wierszach, jakby w środku była... jakby była młoda... nie w takim dołku, nie taka zniszczona. Przecież nie można sądzić z wyglądu, jaki ktoś jest naprawdę, nawet jak się go zna bardzo dobrze.

KAMERA z boku ujmuje dwa profile obok siebie. Cruzziemu znowu zamykają się oczy; Rose jak w transie mówi dalej, patrząc prosto przed siebie.

ROSE: To zabawne. Ludzie stale mówią, że jestem jedyną osobą, która znała panią Swann osobiście, ale ja też jej dobrze nie znałam. Cóż, nikt nikogo nie zna naprawdę dobrze, nie wiadomo, czym się tamten martwi albo czego się śmiertelnie boi, albo o czym naprawdę myśli; ludzie wszystko trzymają w sobie, zamykają się, jakby byli zbyt nieśmiali albo coś w tym rodzaju. Nie wiem, dlaczego tak jest, a pan?

Cruzzi nie odpowiada, śpi. Kosę kieruje wzrok ku niemu, akceptuje jego śpiącą obecność i mówi dalej.

ROSE: Wszyscy zasypiają. (Patrzy na Cruzziego). A ze mną już od września, hm, było nie tak... miałam te... problemy ze zdrowiem, ale, wie pan, wciąż odkładałam pójście do doktora. W przyszłym tygodniu - mówiłam sobie, a tymczasem byłam, hm, coraz słabsza i słabsza, wprost nie ta sama. „Kiepsko wyglądasz, Rose” - mówili mi, ale ja tylko mówiłam: „Kto, ja? Świetnie się czuję, tylko trochę schudłam, i to wszystko”, a to... z tym było coraz gorzej i gorzej. (Rose znów ukradkiem spogląda na Cruzziego). Wie pan, jak to jest, człowiek ciągle pracuje, krząta się dzień w dzień, stale się na coś przygotowuje. Na przykład idą wakacje albo Boże Narodzenie, albo weselne przyjęcie, albo jeszcze coś? No, więc pod koniec listopada... (Przerywa, znowu patrzy na Cruzziego, czy może mu ufać?).

Chyba... chyba byłam trochę... załamana, czułam się tak marnie i to wszystko, aż kiedyś obudziłam się rano, po naprawdę kiepskiej nocy, cały czas się przewracałam z boku na bok, i powiedziałam do siebie - mieszkam sama - powiedziałam: „Rose, dziecino, zdaje się, że już na nic więcej nie czekasz, tylko...” No więc, nie jestem strachliwa, na szczęście, ale wtedy rzeczywiście pomyślałam sobie, że może to już... i wtedy ten mój stary, dobry przyjaciel wziął mnie w swoje ręce, uparł się, że mam iść do lekarza, nie chciał słyszeć o niczym. No więc poszłam, a ta lekarka, bo to była kobieta, powiedziała, że to tylko włókniaki! I że trzeba tylko zrobić małą operację, rutynową, tak się wyraziła, to coś kobiecego, i na przyszły miesiąc mi to zrobią - nie będę panu zawracać głowy szczegółami, ale rzecz polega na tym, że kiedy już myślałam, że wszystko, wszystko się skończyło, nieoczekiwanie wszystko... znowu się zaczęło. (Śmieje się). Och! to było cudowne. Pomyślałam, że tak musi wyglądać latanie; a kiedy wracaliśmy od doktora samochodem przyjaciela, moje ciało było... tak lekkie jak ciało małego dziecka. Wiem, że to wszystko brzmi głupio, panie Cruzzi, ale... (Rose odwraca głowę, żeby na niego spojrzeć). Panie Cruzzi! (przeżażona). Panie Cruzzi!

Przez chwilę Rose jest przekonana, że Cruzzi nie żyje, unosi się trochę, przesuwa ręką przed jego oczami, ale uspokaja ją głębokie, melodyjne chrapanie. Siada z powrotem obok Cruzziego, opiera głowę, zamyka oczy. KAMERA skupia się na jej twarzy, na jej wargach, które rozchylają się w uśmiechu, na przymkniętych powiekach. Rose wciąż ściska w rękę fotografię Mary Swann, trzymając na kolanach. Za oknem przelatują pola i małe miasteczka. DŹWIĘK: turkot pociągu przepływa w żywą muzykę piszczałek. Do wyciszenia.

Zmiana planu: Wnętrze samolotu Kanadyjskich Linii Lotniczych. Dzień.

DŹWIĘK: muzyka zlewa się z szumem silników samolotu.

Na końcu przejścia między fotelami stewardesa demonstruje, jak posługiwać się kamizelką ratunkową; jest ładną blondynką o martwej, drewnianej twarzy. To, co mówi, nie jest wyraźne, można rozróżnić melodię głosu, ale słowa mieszają się ze słowami jednego z pasażerów, siedzącego obok Jimroya. To mężczyzna około sześćdziesiątki, szczupły i długonogi, w typie Lincolna, z gęstą strzechą białych włosów. Nosi rogowe okulary, džinsy, schludną jedwabną koszulę kowbojską z kowbojskim sznurkiem zamiast krawata, i zwykłą kurtkę. Jego żona, ociężała kobieta w granatowym garniturze, z okularami na łańcuszku i ogromnymi diamentowymi kolczykami, siedzi przy oknie; Jimroy, ściśnięty pomiędzy nimi, otwiera trzymaną na kolanach teczkę i ma wygląd starego dziecka, które wpadło w pułapkę.

MEŹCZYŻNA (głośno, do Jimroya): No! Z miejsca bierze się pan do pracy, co?

KOBIETA (ma na uszach słuchawki, wystukuje na kolanie rytm muzyki i uśmiecha się krzywo do Jimroya i do męża): Ta, ta, ta, dii, da.

JIMROY: Yhmm. (Potwierdzająco chrząka, przekłada papiery i wymijająco potakuje).

MEŹCZYŻNA (najwyraźniej chce nawiązać rozmowę): Zdaje się, że należy pan do świata handlowego, zgadłem?

JIMROY (chwilę się namyśla): Tak. (Patrzy prosto przed siebie, jakby chciał się wymknąć, a potem wraca do papierów, trzymając ołówek w rękę).

MEŹCZYŻNA: Ja już jestem na emeryturze, ja i moja żona.

(Wskazuje kobietę, która nadal wybija takt na kolanie i uśmiecha się). Ale żona mówi, że ja nigdy naprawdę nie pójdę na emeryturę (chichocze).

JIMROY: Hmmm. (Pisze coś szybko na marginesie, nie podnosząc oczu).

MEŹCZYŻNA (po dłuższej pauzie): W jakiej branży pan pracuje?

JIMROY (znowu po namyśle): W książkach.

MEŹCZYŻNA: W książkach, tak? To znaczy lubi pan czytać?

Jimroy krótko potakuje i wraca do papierów.

MEŹCZYŻNA: Ciekawe (po pauzie), książki. (Jeszcze dłuższa pauza). Sprzedają? Pan sprzedaje? Pracuje pan w handlu książką?

JIMROY (zdziwiony): W handlu?

MEŹCZYŻNA: No, w książkowej branży, gdzie pan pracuje. Sprzedaje pan?

JIMROY: Nie. (Wraca do pracy, dokonując kunsztownych poprawek w rogu arkusza).

Mężczyzna milczy, potem rezolutnie składa ręce na piersi, zdecydowany nie pytać więcej. Ale ciekawość zwycięża.

MEŹCZYŻNA: Hmm... No, to co pan z nimi robi?

Jimroy podnosi wzrok, zmieszany. Kobieta kręci teraz głową tam i z powrotem do taktu muzyki, całe jej ciało podskakuje, a w kolczykach odbija się światło.

MEŹCZYŻNA (już trochę zły): W handlowej branży, powiedział pan, że pracuje w księżkach? Co pan robi? (głośniejsze) z książkami?

JIMROY (spokojnie podkreśla jakieś zdanie w tekście): Piszę je.

MEŹCZYŻNA (zelektryzowany): Książki? Pisze pan książki?

JIMROY (przypina jakąś kartkę spinaczem, zwlekając): Tak.

MEŹCZYŻNA (uśmiecha się szeroko): Coś podobnego! (Sięga przez Jimroya do żony i klepie ją w kolano). Mamuśka, wiesz, kto siedzi obok ciebie? Ten pan pisze książki.

KOBIETA (głośno): Hę?

MEŹCZYŻNA (do Jimroya): W naszej rodzinie żona jest czytelnikiem. Ona po prostu łyka książki! (Do żony, która teraz zdjęła słuchawki): Mamuśka, wyobraź sobie, że ten pan jest prawdziwym autorem. Coś takiego, no, coś takiego!

KOBIETA: No, no, człowiek nigdy nie wie, co go spotka i koło kogo będzie siedział. (Radośnie włącza się w rozmowę potokiem słów). Pana pewnie dziwi, że tak siedzimy osobno - ja przy oknie, a mój mężuś na siedzeniu koło przejścia. Więc powiem panu szczerą prawdę: jestem najgorszym latającym pasażerem na świecie. Ron to co innego, on nie ma żadnych kłopotów, mówi, że to jak autobus Greyhounda, zwyczajnie jak w greyhoundzie, któremu...

MEŹCZYŻNA (z emfazą cytuje stary dowcip): Zwyczajnie, greyhound, czyli chart, któremu wyrosły z boku skrzydła, tłumaczę jej.

KOBIETA (chichocząc): Ale mnie, wie pan, mnie mdli. Nie boję się, że się rozbijemy, ani trochę, ale mój żołądek zaczyna wywracać koziołki, tak jest, wie pan, bezpieczniej przy oknie, może to tylko psychologiczne, ale Ron, ze swoimi długimi nogami, ma sześć stóp i sześć, lubi mieć więcej miejsca...

MEŹCZYŻNA: I bliżej do toalety. (Mruga do Jimroya, jakby oddawanie moczu było męskim spiskiem).

KOBIETA (zwierza się dalej): Och, stale latamy tu i tam, z racji inwestycji Rona, on myśli, że wie najlepiej, mimo że oficjalnie jest na emeryturze, interesuje się wszystkim, a filie firmy bardzo lubią, gdy...

MEŹCZYŻNA (przechyla się do niej i zagląda do jej torebki): Masz gumę do zucia, mamuś? Znowu mi zatyka uszy.

Jimroy patrzy przed siebie. Nie jest w stanie przystosować się do sytuacji. Zesztywniał, jego twarz staje się chłodną maską.

KOBIETA (grzebiąc w dużej torebce, podśmiewa się ze słabości mężczyzn i autorytatywnie przemawia z pozycji kobiety): Zaraz ci dam. Deontyna? (do Jimroya): Proszę, mam dużo. Nie ruszam się z domu bez niej. Jak Ronowi zatyka uszy, a mnie wywraca się żołądek...

STEWARDESA (martwo i monotownie): Ktoś z państwa życzy sobie porannego pokrzepienia? Szampan, sok pomarańczowy...

MEŹCZYŻNA: Dla mnie coca-cola.

JIMROY: Mleko. Macie mleko?

KOBIETA: Szklaneczkę soku, proszę.

STEWARDESA (do kobiety): Pomarańczowy, pomidorowy, grapefruitowy, jabłkowy?

KOBIETA (z rozpaczliwym wahaniem): Och, chyba pomidorowy.

MEŹCZYŻNA: Och, padnę, co ty, mamuśka, ty i sok pomidorowy! (Śmieje się przy tym hałaśliwie, tak że Jimroy, pijąc mleko, czuje się oglupiał, samotny i zgubiony. Jimroy nie patrzy z wyższością na tych ludzi, są dla niego zagadką, a także w pewien sposób mocno im zazdrości).

KOBIETA (ukazuje „wąsy” z soku pomidorowego): Tak! No więc, czy pan rzeczywiście pisze książki?

MEŹCZYŻNA: Rzeczywiście! I co ty na takiego konika, co?

KOBIETA: To jest właśnie wspaniale w podróży, spotyka się ludzi chodzących różnymi drogami. Pamiętam, jak kiedyś, wie pan...

MEŹCZYŻNA (przerywa żonie): Chyba niezła forsa z tego leci? Widzieliśmy kiedyś autorów, co piszą o Johnnym Carsonie, moja żona i ja...

KOBIETA: Jedwabne garnitury, całe świecące, rozmawiali sobie z Johnnym jakby nigdy nic...

MEŹCZYŻNA: Pewnie pisze pan na maszynie? Jak pan pisze te swoje książki?

JIMROY (patrzy z wściekłością to na jedno, to na drugie): Hm, właściwie ja...

KOBIETA: Myślę, że człowiek się przyzwyczaja, jak występuje w TV i opowiada o...

MEŹCZYŻNA (jakby nagle spadło na niego natchnienie): Hej!

Zdaje mi się, że to niezła reklama, całkiem niezła, patrząc pod kątem rynku - stworzyć zapotrzebowanie - ale ci Japończycy nas pokonali...

KOBIETA: Chyba o tym mówił ten facet, jak-mu-tam, prawda, kochanie? Taki naprawdę miły człowieczek, którego spotkaliśmy w Jokohamie...

MEŹCZYŻNA: Tak, o czym mówił ten facet? Nieduży człowieczek, ale naprawdę bystry. Spójrzcie na wasze rynki - mówił - uważajcie na wasze rynki...

KOBIETA: I to ma sens. (Śmieje się. Do Jimroya): Używa pan swojego nazwiska?

MEŹCZYŻNA: Ona pyta, czy używa pan go na swoich książkach? Czy może tego, no...

KOBIETA: Pseudonimu? Wymyślonego?

MEŹCZYŻNA: Wie pan co? Kiedy zobaczyłem pana wsiadającego do samolotu, a właściwie jeszcze tam, w poczekalni, z gazetą i tak dalej, pomyślałem sobie: ten gość wygląda jak, no, ja już tego gościa gdzieś widziałem...

KOBIETA: Ron zawsze czeka na Johnny'ego, nie położy się wcześniej. Ja nie, kobiety potrzebują snu dla urody. Ha!

MEŹCZYŻNA: Ale to ona czyta w naszej rodzinie, zawsze czyta to albo tamto.

KOBIETA (podnosi ręce, rumieni się, broniąc się przed komplementem z podekscytowaną skromnością): No cóż, widzi pan, Ron jest cholernie zajęty, interesy, rozjazdy po filiach, praca wolontariusza, pracuje z...

MEŹCZYŻNA: To, mówi pan, jakie książki pan pisze?

JIMROY (z determinacją): A więc moje książki są w istocie...

MEŹCZYŻNA: Myślałem kiedyś, żeby napisać książkę, ale, wie pan, nigdy się nie nauczyłem pisać na maszynie i...

JIMROY (nieustępliwie): Moją dziedziną jest biografia, pisuję biografie.

MEŹCZYŻNA: Historię pana życia?

JIMROY: Nie, nie mojego życia. Opisuję teraz życie pewnej poetki. Nazywa się Mary Swann.

STEWARDESA: Śniadanie! (Błyskawicznie podaje trzy tacki).

MEŹCZYŻNA: Śniadanie to mój ulubiony posiłek.

JIMROY (nalegająco, z szorstkim gestem): Otóż moje książki dotyczą...

MEŹCZYŻNA: Mamuś? (Wyciąga rękę i ujmuje rękę żony; ich dłonie spotykają się nad kolanami Jimroya. Pochylają głowy).

KOBIETA (ponagła męża): Ty.

MEŹCZYŻNA: Nie, mamuś, ty.

KOBIETA (kapitułuje): Za to, co otrzymujemy, za błogosławieństwo ciepła, miłości, braterstwa i za to, że niebo nas prowadzi, składamy pokorne dzięki i prosimy...

Jej głos do wyciszenia. KAMERA kieruje się na twarz Jimroya, unieruchomionego pomiędzy modlącą się parą; usta ma otwarte, jakby chciał coś powiedzieć. Zdumionym wzrokiem patrzy na złączone ręce małżonków, spoczywające na jego kolanach. Koniec ujęcia.

Zmiana planu: Lotnisko w Toronto, widok zewnętrzny. Dzień.

KAMERA przesuwa się wraz z Sarą Maloney, która ukazuje się w drzwiach budynku, ciągnąc walizkę. Wieje wiatr, na chodniku leży śnieg; Sara otula się mocniej płaszczem, potem przystaje i woła do bagażowego.

SARA: Autobus do miasta? Tędy?

Pokazuje kierunek. Bagażowy kiwa głową i pokazuje. Sara podchodzi do czekającego autobusu, KAMERA idzie za nią, gdy wsiada, płaci, odstawia walizkę i zajmuje miejsce przy oknie. Wsiadają inni pasażerowie, autobus jest przeładowany bagażami. Obok Sary usadawia się kobieta około czterdziestki, otulona futrem. Autobus rusza. KAMERA przez chwilę pokazuje drogę, którą wyjeżdża z lotniska.

FUTRO (rzuca spojrzenie na Sarę, która wyglądając przez okno, odsuwa torebkę i płaszcz): Przepraszam. Ma pani dosyć miejsca?

SARA: Tak, dziękuję. (Wyjmuje książkę).

FUTRO (nadal rzuca ukradkowe spojrzenia na Sarę): Przepraszam panią. Ja... nie mogę się powstrzymać, ale pani jest podobna do... czy pani nie jest przypadkiem Sarą Maloney?

SARA (z uśmiechem): Tak, to ja.

FUTRO: Wiedziałam. Wiedziałam. Mam pani książkę w domu i naturalnie pani zdjęcie na okładce. Widziałam też wywiad z panią w TV. Chyba nawet dwa razy. To nadzwyczajne. Sara Maloney. Ale wyobrażałam sobie, że pani jest...

SARA: Starsza. (Słyszała to już poprzednio). Każdy tak sądzi. (Wzrusza ramionami).

FUTRO: Pani jest taka, to znaczy w książce, taka... (szuka odpowiedniego słowa) stanowcza, pewna siebie we wszystkich sprawach.

SARA: To były moje mądre lata (uśmiecha się). Obecnie jestem trochę mniej stanowcza we wszystkim. Trochę bardziej elastyczna, jak mi ktoś powiedział.

FUTRO: Ale patrzy pani tak samo na możliwości kobiet? Że pozycja walcząca daje nam najwięcej.

SARA: Tak. Z całą pewnością, lecz z pewnymi wyjątkami.

FUTRO: A co pani powie o mężczyznach?

SARA: O mężczyznach?

FUTRO: Chodzi mi o to, czy pani nadal odnosi się do nich tak samo? W pani książce, w środkowej części, mówi pani o mężczyznach jak o zamaskowanym wrogu i...

SARA (uśmiecha się i wzrusza ramionami, uznając figiel, jaki wyplatało jej młode „ja”): Właśnie wyszłam za mąż. W zeszłym tygodniu.

FUTRO: Ach! Więc jednak wierzy pani w miłość.

SARA: W miłość?

FUTRO: W miłość i w małżeństwo. Niekoniecznie się wzajemnie wykluczają, jak pani powiedziała w...

SARA (zmieszana): To mocny cios.

FUTRO: A co pani sądzi teraz o tym, że małżeństwo jest serią kompromisów, które wymagają...

SARA: Proszę sobie wyobrazić, że to moje drugie małżeństwo.

Ale tym razem wygląda lepiej. (Mówi to z zadumą, jej ożywienie przyćmiewa ciemna kropla, która sugeruje krótkotrwałe uczucie lęku czy niepewności).

FUTRO: A co z macierzyństwem? Jak to pani wtedy ujęła? „Macierzyństwo jest jedynym przewodem siły, dostępnym...

SARA (ponownie wzruszając ramionami, tonem zwierzenia): Jestem w ciąży.

FUTRO: W ciąży!

SARA: Dopiero od kilku tygodni.

FUTRO: Dobry Boże, nie powinna pani siedzieć w tym dymie (macha rękami, rozwiewając dym z papierosów). Nawet mała ilość może uszkodzić...



SARA: Panie Boże! (usiłuje otworzyć okno, ale się zacięło).

FUTRO: Zawsze mówię moim pacjentkom - jestem lekarzem - że dym z cudzych papierosów tak samo fatalnie wpływa jak...

SARA (usiłuje otworzyć okno i tym razem jej się udaje): I co poza tym? Latać można?

FUTRO: O ile nam wiadomo, tak.

SARA: Mam konferencję tu, w Toronto. Czterodniową. Ale potem siądę na pupie, będę jadła dużo jarzyn i (kładzie rękę na brzuchu) czuła, jak rośnie. Wie pani co? Chyba tego właśnie zawsze chciałam, tylko jeszcze nie miałam o tym pojęcia.

FUTRO: Ale czy nie mówiła pani w swojej książce, że poród jest... (do wyciszenia).

Zmiana planu. Wnętrze autobusu jadącego teraz przez miasto. Sara i Futro rozmawiają ze skupieniem i ożywieniem, jakby od dawna były serdecznymi przyjaciółkami.

SARA: Weźmy na przykład Mary Swann. Z jej powodu jestem tutaj, jej poświęcone jest całe sympozjum. Dobrze, więc ona ma siłę zerową. Ta kobieta całkowicie była ofiarą...

FUTRO: Nie jestem pewna, jak pani określa kobiecą ofiarę, ale czy nie powinna pani...

SARA: Ba, sądzę, że upraszczamy całą sprawę. Ofiary pozwalają się wcisnąć w kąt i albo umierają, albo wynajdują nową strategię. Myślę, że to dlatego...

FUTRO: A ta kobieta? Mary...?

SARA: Mary Swann. Klasyczny przypadek. Miała złamane życie, była bez wyjścia, na marginesie, mieszkała na zapadłej wsi, na farmie, z mężem, który nawet nie należał do marginesu - był poza nim, kawał chama, wieprz. Zna pani ten typ - wydzielał raz na parę tygodni po kilka dolarów na zakupy...

FUTRO: I ona przeżyła?

SARA: Pisała wiersze. Niewiele; zebrało się trochę ponad sto, ale są... nie mają równych sobie.

FUTRO: Czy jeszcze pisze?

KIEROWCA (wywołuje nazwę): Harbourview.

SARA: Och, a tu wysiadam. Ona nie żyje. Od 1965 roku. Jej mąż w końcu...

FUTRO: Jej mąż w końcu co?

Sara w pośpiechu zbiera swoje rzeczy. Podaje rękę rozmówczyni, potem żywo się obejmują. Sara wysiada, odwraca się i macha na pożegnanie.

FUTRO (woła przez otwarte okno): Co jej mąż w końcu?

SARA (krzyczy z chodnika spod obrotowych drzwi hotelu): Zamknął jej buzię!

FUTRO: Co zrobił?

SARA (machając ręką i krzycząc, podczas gdy autobus rusza): Uciszył ją! Na dobre. A potem...

Zdaje sobie sprawę, że tamta już nie słyszy, odwraca się i wchodzi do hotelu przez obrotowe drzwi. KAMERA chwytą wielką tablicę z ogłoszeniami. Pomiędzy „Dorocznym Zjazdem IODE” a „Konferencją Obrotów Towarami Skórzanymi” znajduje się linijka głosząca: „Symposium Mary Swann”. KAMERA zatrzymuje się na chwilę na tym napisie. MUZYKA: piszczałka i werble. Koniec ujęcia.

Uwaga reżysera: Na tej scenie kończy się pierwsza część filmu, PREZENTACJA. Wszystkie główne postacie zostały przedstawione i doprowadzone do miejsca przeznaczenia, do hotelu „Harbourview”, gdzie ma się odbyć symposium poświęcone Mary Swann. Aktorom poddaje się sporadyczne, umotywowane sugestie, ale reżyser ma nadzieję, że jego uwagi nie wnoszą nic szczególnego.

Zmiana planu. Wnętrze hotelowej sali przeznaczonej na koktajlowe przyjęcia poprzedzające sympozja czy zjazdy. Wieczór. KAMERA z góry, szerokie ujęcie około pięćdziesięciu osób poruszających się po sali. Sala ma miłe proporcje, przeznaczona jest właśnie na takie średniej wielkości zebrania. Przedstawia się bogato, jest zgodnie z modą tradycyjna, ale dość ciężka, z aksamitnymi zasłonami; meble w sali są przeladowane ozdobami. Z góry widać kelnerów, którzy przechodząc między grupkami gości, roznoszą tace z napojami i kanapkami. Żywy podkład muzyczny miesza się z gwarem rozmów oraz brzękiem kieliszków i szklanek. KAMERA dłuższą chwilę zatrzymuje się na różnych grupkach zebranych gości. Scena ta przedstawia dobrze znane przyjęcie poprzedzające większość konferencji i sympozjów. Stopniowo KAMERA schodzi coraz bliżej tłumu, tak że w końcu szmer głosów staje się słyszalny. Przypadkowe urywki rozmów zbliżają się i cichną, wtapiając się w atmosferę wesołości.

...osobiście uważam, że Mary Swann była niemal zaślepiona w swojej naiwności, i mam tu na myśli...

...kobieta nie powinna udawać, że jest feministką, skoro swoim postępowaniem dowodzi jasno, że akceptuje wartości...

...no, cóż, gdy się weźmie pod uwagę fakt, że Nadeau w Ontario nie całkiem jest pępkiem świata...

...nadmierzają, tak, nadmierzają. Zgadza się, tak, nadmierzają!

...Emily Dickinson nigdy... A ja czekam na wiersze miłosne.

...właściwie to tylko sugestia, ale jeśli spojrzeć na to, co Swann robi ze strofą, i rozważyć ją jako mikrokosmos...

...czas na nowe wydanie. To już przeszłość, jeśli pan mnie pyta.

...czy to prawda, że stary Cruzzi tu jest? Mój Boże, ma już chyba ze sto lat!

...To wielka przyjemność, to zaszczyt, jak już mówiłam do Micka... A to jest, ehm, Frederic Cruzzi.

...czytałam pana artykuł o Mary Swann w październikowym numerze, a może we wrześniowym...?

...te wszystkie twarze. Czy nasza muza nie byłaby zdziwiona, gdyby zobaczyła wszystkich...?

...wygłaszać otwierające przemówienie, kiedy byłoby bardziej właściwe, gdyby...

...kiedy, jeżeli w ogóle, Lang powie nareszcie coś o tych wierszach miłosnych. Co on, u Boga, wyprawia...?

...to nie całkiem było tak, jak mówiła Sara Maloney...

...słodkie jak Dzieciątko Jezus w aksamitnych spodenkach!

...On został elektronikiem, ona została elektronikiem, nawet prezes został...

To niezły wers, ale to nie jest jeszcze wielki wers.

...przyjemnie tu...

...głoska szczelinowa, nie uważa pan?

Fragmety rozmów stają się coraz głośniejsze, przechodzą w ryk, po czym znowu cichną, zacierają się; brzęk szkła i wybuchy śmiechu zanikają, zastępuje je uparty dźwięk łyżeczki stukającej w szkło. KAMERA pokazuje zbliżenie ręki uderzającej łyżeczką w szklanę, a potem twarz Willarda Langa - dużą, miękką twarz pod maską ociężałej naiwności. Zalega cisza, Lang podnosi szklanę. Ma minę człowieka, który skrycie, lecz gorąco pragnie się podobać.

LANG: Panie i panowie! (robi efektowną pauzę). Nazywam się Willard Lang i mam przyjemność (znowu dramatyczna przerwa) powitać państwa na sympozjum poświęconym Mary Swann.

PODPITY GŁOS: Słuchajcie, słuchajcie!

TRZEŹWY GŁOS: Cii.

LANG: Chciałbym również powitać państwa w imieniu Komitetu Organizacyjnego, który poświęcił wiele czasu i trudu, żeby to sympozjum mogło się odbyć, a także przypomnieć, że jutro rano, punktualnie o godzinie dziewiątej, zbieramy się w...

Lang nagle przerywa. Gaśnie światło, sala pogrąża się w ciemności. Oczywiście zamieszanie, słychać zachodzące na siebie głosy.

...światło...

...nie ma prądu, ach, albo...

...może ktoś znajdzie ten cholerny kontakt...

Panie i panowie...

Wielkie nieba! Mój Boże, mówić o chaosie...

...z pewnością, jeśli zachowamy spokój, zaraz włączą prąd.

Chryste Panie!

...a więc, panie i panowie, prosimy o cierpliwość.

Au, to moja noga.

Przepraszam, nie chciałem...

Jeśli myślisz, że to koszmar senny, przypomnij sobie...

Ktoś z tłumu zapala zapalną, ktoś inny zapalniczkę.

Stopniowo zapalniczki i zapalniczki zaczynają krążyć dokoła sali, ukazując twarze zebranych, tak wesołe przed chwilą, teraz upiorne w ruchomych cieniach, zadziwiająco kruche, a ludzie wyglądają, jakby zostali przyłapani na jakimś głupim postępowaniu. Bardzo powoli zgiełk znowu się podnosi; słychać nawet czyjś śmiech, chociaż jest to śmiech nerwowy, być może wywołany przez alkohol. W chwilę później zapalają się górne światła, oślepiające, jaśniejsze niż poprzednio, tak że ludzie są zaskoczeni, oszołomieni.

...nareszcie, o mało się...

W samą porę...

...mówić o regulowaniu czasu, mam na myśli to, że on po prostu...

...teatr absurdu w miniaturze...

...odcięto główne zasilanie, i nie byłbym wcale zdziwiony...

...Mary Swann pokazująca się nagle...

Ha!

...jak już mówiłem, ehm, Swann jest do pewnego stopnia symboliczną sierotą, która wyraża...

...czy nie uważa pan, że taki hotel jak ten powinien mieć awaryjne źródło zasilania, inaczej...

Pamiętasz te czasy u Świętego Tomasza w Nowym Jorku...

Moja teczka! Przecież tu leżała.

...ciemność Edypa jako symbol, lecz tylko symbol, niech mi będzie wolno powiedzieć...

...ma zamiar wydać te miłosne wiersze. Wie pan, te, które znalazł pod podłogą w kuchni - właściwie pod linoleum...

To czarna, skórzana teczka, o standardowym wyglądzie i rozmiarach...

...miejmy nadzieję, że jutro będzie...

Była tutaj, zanim zgasło światło, przy tym stoliku koło nogi, i...

Zbliżenie KAMERY: Jimroy z podnieceniem mówi coś do dwóch czy trzech kelnerów. Kiedy obok nich zaczyna się gromadzić tłum, KAMERA wycofuje się i unosi w górę do poprzedniej pozycji. Widać, jak rośnie grupa ludzi wokół Jimroya, a ponad gwarem zebranych słychać jego głos, który brzmi niezwykle czysto i wyraźnie.

JIMROY: Moja teczka! Wszystkie moje notatki na sympozjum, moja prelekcja, program, wszystko! Miałem to w teczce. Moje papiery! I wieczne pióro. Była tutaj, w tym miejscu! Ktoś ją musiał zabrać. Tak, oczywiście, jestem pewien. Jakże mógłbym nie wiedzieć, gdzie leży moja własna teczka? Była tutaj, obok mnie, ty idioto, w tym miejscu!

Jimroy zaczyna krzyczeć; jego twarz, dotychczas gładka i uprzejma, robi się czerwona. Jimroy aż gotuje się z wściekłości. Jest śmiertelnie obrażony, zakłopotany i zły, najwyraźniej uważa, że chwilowa ciemność i zniknięcie teczki narażają na szwank jego godność. KAMERA, skierowana na zbliżenie jego rozgniewanej twarzy, zatrzymuje się.

Zmiana planu: wewnątrz sali konferencyjnej. Rano następnego dnia. Zastygły obraz twarzy Jimroya powoli znika, a na jego miejsce pojawia się twarz Willarda Langa, dobrotliwa, uśmiechnięta, może trochę zbyt przymilna. Pomimo wypadków wczorajszego wieczoru gorąco pragnie otworzyć sympozjum o wyznaczonej porze. Uczestnicy siedzą rzędami na składanych krzesłkach. Niektórzy mają w rękach pióra, gotowi do robienia notatek; inni trzymają na kolanach książki lub papiery; wielu ze sobą rozmawia. Lang stoi naprzeciw nich przy niewielkim pulpicie wyposażonym w mikrofon. Odchrząkuje, ale szum w sali nie ustaje.

LANG: Panie i panowie, zebrani tutaj uczeni (głosy cichną). Dzień dobry. Raz jeszcze witam państwa na pierwszym, a mam nadzieję, że nie ostatnim sympozjum poświęconym Mary Swann. Miejmy nadzieję (mikrofon wydaje zgrzytliwy, elektroniczny pisk), że elektryczność nie zawiedzie nas, jak to zrobiła wczoraj (znowu pisk w mikrofonie).

## MEŻCZYZNA Z NIEBYWAŁĄ FRYZURĄ AFRO: Słuchajcie, słuchajcie!

LANG (trochę poirytowany): Mam jeszcze dwa punkty, zanim przedstawię państwu pierwszego mówcę. Chciałbym zwrócić uwagę państwa na wystawę, którą urządziliśmy w korytarzu. Zgromadziliśmy odbitki niektórych ostatnich artykułów, mamy także fotografię Mary Swann, przywiezioną przez pannę Rose Hindmarch z Nadeau. Czy panna Rose Hindmarch jest dzisiaj z nami? (Lekkie poruszenie: zebrani odwracają głowy, patrząc na Rose, która siedzi w ostatnim rzędzie). Aha, może panna Hindmarch będzie tak dobra i wstanie, żebyśmy ją mogli poznać.

Rose, ogromnie zakłopotana, powoli wstaje, a w jej nieśmiałym uśmiechu jest zadowolenie, niezręczność i zmieszanie. Jakoś daje sobie radę z niezdnym ukłonem, lekko potrząsa głową (świeżo zrobiła sobie trwałą), potem siada znowu, towarzyszą temu pojedyncze, raczej obojętne oklaski.

LANG: Dziękuję, dziękuję. A teraz punkt drugi. Osobista prośba, jeśli wolno, dotycząca naszej wczorajszej wieczornej minikatastrofy (śmieje się). Jeśli ktoś z państwa znajdzie u siebie dodatkową teczkę, z czarnej skóry, z inicjałami M.J. na zacisku, pan Morton Jimroy będzie wdzięczny za szybki zwrot. A teraz, panie i panowie, koledzy Swannianie, jeśli wolno mi was tak nazywać, z prawdziwą przyjemnością przedstawiam naszego mówcę. Wprawdzie Morton Jimroy, który ma dwa honorowe doktoraty, nie potrzebuje... tak, słucham?

KAMERA wyszukuje Jimroya, który siedzi na krześle nieco odsuniętym od reszty. Jest trochę spięty, trochę zemocjonowany. Jakby wstydliwie prosił o wybaczenie, podnosi rękę, kuląc ramiona; wyciąga przy tym trzy palce.

LANG (ze zrozumieniem): Och, przepraszam, Morton. Trzy honorowe doktoraty, oczywiście! Najświeższy chyba z uniwersytetu w Princeton. Wszyscy na tej sali znają, jestem pewien, cenioną biografię Ezry Pounda autorstwa Mortona Jimroya „Perwersyjna pielgrzymka”, a także jego równie doskonałą biografię amerykańskiego poety, Johna Starmana, zatytułowaną „Wiersz, głos i wizja”... (z roztargnieniem) Tak? (Ponownie spostrzega wzrok Jimroya). Tak, panie Jimroy?

JIMROY (cicho, nieśmiało, prawie balansując na krawędzi krzesła): „Głos, wizja i wiersz”. Tylko drobna korekta. Przepraszam.

LANG (napuszonym tonem, z urazą): Przepraszam za pomyłkę. „Głos, wizja i wiersz”. A więc, jak mówiłem, Ezra Pound! John Starman! Tytani naszej literatury. Można by teraz postawić pytanie: Co takiego jest w zapoznanej kanadyjskiej poetce - ponieważ musimy uznać fakt, panie i panowie, że elementarna twórczość Mary Swann nie jest jeszcze tak szeroko znana, jak na to zasługuje - co takiego jest w tej kobiecie, w tej pisarce, że zwróciła na siebie uwagę światowej sławy biografą Ezry Starmana i Johna (szmer na sali uświadamia mu, że znowu się potknął, więc szybko się poprawia), Ezry Pounda i Johna Starmana. Przepraszam, chyba trochę za wcześniej zaczęliśmy... Co przyciągnęło uwagę - ale może najlepiej będzie, jeśli nasz honorowy gość sam o tym powie (robi szeroki gest). Pan Morton Jimroy!

Jimroy wstaje i stojąc na mównicy, czeka, aż umilkną oklaski. Przygotowuje papiery, rozluźnia krawat, obniża mikrofon. Jest człowiekiem, który lubi drażnić się z publicznością, uważając, że to zaostrza jej ciekawość. Jest to bardziej denerwujące, niż mu się zdaje, i publiczność już się niecierpliwi. W końcu zaczyna mówić.

JIMROY: Panie i panowie, najpierw muszę prosić o waszą wyrozumiałość. Skutkiem wczorajszego nieszczęśliwego zbiegu okoliczności... zniknięcia mojej teczki... jestem zmuszony posługiwać się niezwykle skąpyimi notatkami, i być może, będę mówił bardziej chaotycznie niż zazwyczaj. (Bierze głęboki oddech i przystępuje do prelekcji). Dlaczego pyta nasz czcigodny przewodniczący - przez ostatnie dwa lata poświęcałem uwagę dziełu i osobie Mary Swann, poetce, którą jedni porównują z Emily Dickinson, inni ze Steve'em Smithem, a nawet, jeśli nie jest to zbyt dalekosiężne porównanie jak na wczesny poranek (tu rzuca gorzkie spojrzenie w stronę Langa), z tak wielkim romantycznym głosem jak...

Głos Jimroya przechodzi w pomruk, który opada i wznosi się w dość monotnym rytmie, ale słów nie można rozróżnić. Kiedy mówi, KAMERA wędruje po twarzach słuchaczy, chwilę zatrzymuje się na Sarze Maloney, wyjątkowo ożywionej i promieniejącej blaskiem kobiety oczekującej dziecka. Ma na sobie buty, spodnie i piękną jedwabną bluzkę, siedzi jak chłopak z jedną nogą podciągniętą do góry, chłonąc każde słowo. Widać, że przemówienie ocenia krytycznie. Teraz KAMERA zatrzymuje się także na Rose Hindmarch, która siedzi obok Sary. Rose co chwilę dotyka włosów, drapie się po szyi, próbuje się skupić, ale rozprasza ją podniecająca atmosfera zebrania. Spogląda na prawo i na lewo, patrzy przez ramię do tyłu i znów na boki. Głos Jimroya ponownie staje się słyszalny.

JIMROY: ...zawsze mówi się o niej jako o „poetce kanadyjskiej”, moim zdaniem jednak nadszedł czas, aby odrzucić to określenie i uwolnić ją z zatrzaśniętej pułapki regionalizmu. To międzynarodowy głos, który...

Słowa Jimroya kolejny raz zostają zagłuszone. KAMERA kieruje się na pogodną, sceptyczną twarz osiemdziesięcioletniego Frederica Cruzziego, który tego rana ma na sobie popielaty garnitur, a pod nim czerwony sweter. Głodzi się po brodzie, trochę znudzony, jakby dezaprobował kurs obrany przez lawirującego Jimroya. W chwilę później zaczynają mu opadać powieki; ostatnio coraz częściej pogrążał się we wspomnieniach, to dziedzina, którą przyrównuje do niskiego, podtrzymywanego krokwiemi strychu, gdzie jest trochę duszno.

JIMROY (głos napływa): ...którzy chcieliby zdmuchnąć i obrócić w pył przeszłość pani Swann i uczynić z niej prostą, wiejską matrone, skrzętnie ciułającą drobne pozostałe z zakupów, czy też ci, którzy chcą narzucić jej mit, jakiego w swej słabości nie mogłaby podtrzymać. Była jasnowiedzącą i kapłanką, a w jej 125 wierszach - 129, jeśli pan profesor Lang zgodzi się ujawnić wiersze miłosne...

MĘŻCZYŻNA Z NIEBYWAŁĄ FRYZURĄ AFRO: Słuchajcie, słuchajcie!

KRAWAT W NIEBIESKIE KROPKI: Ale kiedy, kiedy?

JIMROY (zwracając się do Langa): Widzi pan, panie profesorze, jak niecierpliwie oczekujemy ujawnienia tych wierszy. Wracając do tematu, kim naprawdę była Mary Swann?

Twarz Jimroya znika. KAMERA wędruje po twarzach słuchaczy; jedni robią notatki, inni słuchają z uwagą, Cruzzi drzemie, Rose się wierci.

JIMROY (znowu słyszalny): Czy mogę więc sugerować, że prawdziwym powodem, dla którego tu przybyliśmy, jest chęć pokonania (robi pauzę) tego krótkiego, lecz trudnego dystansu między pozorami a rzeczywistością? Dysponując tym, co już wiemy, pytamy: kim była Mary Swann? Kobieta. Żoną. Matką. Być może kochanką (spogląda na Langa, który odwraca wzrok). Była biedna. Nie miała wykształcenia. Nie wyjeżdżała dalej niż kilka mil od domu. Nie miała ubezpieczenia ani żadnych świadectw lekarskich. W istocie jej jedyny urzędowy dokument (robi dramatyczną pauzę) to karta biblioteczna z Publicznej Biblioteki w Nadeau.

KAMERA ujmuje Rose Hindmarch, która stosownie się rumieni i potakuje skinieniem głowy. Następnie KAMERA śledzi twarze słuchaczy: zainteresowanie wzrasta i nawet Cruzzi ocknął się z drzemki.

JIMROY: To wszystko jest tajemnicą, jak życie każdego z nas jest tajemnicą. Podobnie nie znamy dobrze nawet osoby, która siedzi na prawo lub na lewo od nas. (Rose i Sara wymieniają przy tym lekkie uśmiechy). Pozory i rzeczywistość.



Jimroy kończy swoją prelekcję retorycznym zwrotem i lekkim skinieniem głowy w kierunku słuchaczy. Klania się sztywno i wraca na swoje krzesło.

Uwaga reżysera: powtórzenie zwrotu „pozory i rzeczywistość” musi być podkreślone intensywną ciszą, gdyż można go uważać za definicję ukrytej pod powierzchnią dychotomii filmu. Gdy się rozlegną oklaski, należy je na razie wyciszyć, żeby słowa (i to, co implikują) zostały odpowiednio zarejestrowane. Lang podchodzi do mikrofonu i podnosi rękę, jakby dyrygował oklaskami, radosny jak wodzirej. Po chwili gestem daje znak Jimroyowi, żeby wrócił na mównicę.

LANG: Nasz gość zgodził się łaskawie odpowiedzieć na kilka pytań. Mamy, zdaje się, dziesięć minut do przerwy na kawę.

Czy są pytania? (Podnosi się kilka rąk. Lang, tańcząc jak marionetka, zadowolony, że sprawy przebiegają gładko, daje znak doktorowi Buswellowi, siedzącemu w tylnych rzędach). Syd? Masz pytanie do pana Jimroya?

Syd Buswell ma około czterdziestu lat, nosi niebieskie džinsy i tweedową marynarkę. Mówi trochę przez nos, tonem skarżącego się, skrzywdzonego dziecka, urwanymi zdaniem, co robi wrażenie, że ma o sobie wysokie mniemanie.

BUSWELL: Kwestia wpływów! Bardzo ważna, jak wiemy. Wspomniał pan, panie profesorze, że pani Swann była namiętną czytelniczką. Wypożyczała mnóstwo książek z tamtejszej biblioteki. A więc ja byłem w miejskiej bibliotece w Nadeau, w stanie Ontario. Uważałem za konieczne, żeby tam być. Jestem pewien, że pan także. I jestem pewien, że zgodzi się pan ze mną, iż Publiczna Biblioteka w Nadeau nie oferuje zbyt wiele swoim czytelnikom. Może jest przyjemna, ale...

Uwaga reżysera: inny reżyser, nie ufający publiczności, mógłby w tym miejscu zastosować retrospekcję. Buswell, ubrany w skórzaną kurtkę mysiego koloru, grasuje wśród niewinnych półek biblioteki w Nadeau lub coś w tym rodzaju.

JIMROY: Ach, tak, ale...

BUSWELL: Na przykład. Nie ma żadnego T.S. Eliota w czytelni w Nadeau. Tylko ten jeden przykład. Wystarczy? (Siada, pewien, że w tym punkcie zdobył wspianą przewagę).

JIMROY (odchrząkuje): Może wie pan o tym, panie profesorze, że bibliotekarka z Publicznej Biblioteki w Nadeau, panna Rose Hindmarch, jest dziś wśród nas. (KAMERA - zbliżenie Rose, która wygląda na okropnie przerażoną).

BUSWELL: Doskonale zdaję sobie sprawę z obecności panny Hindmarch. Bez wątpienia zgodzi się. Ze mną. Że biblioteka, o której mowa, nie ma możliwości zaoferowania. Niczego. To znaczy niczego istotnego. Dla kogoś takiego jak Mary Swann. Wszystko to dobrze, ale...

Rose wstaje, ma łzy w oczach, na twarzy wyraz krytycznej samooceny pomieszanej z bolesnym oszołomieniem; takiej sytuacji zupełnie się nie spodziewała.

ROSE (drżącym głosem): My mamy budżet. Ludzie nie zawsze doceniają... bardzo mały budżet. W ubiegłym roku dwa razy go nam obcięto, stadion hokejowy dostał podwyżkę, ale my...

BUSWELL (leniwie): Jestem przekonany, że pani robi, co może, panno Hindmarch. Z ograniczonym budżetem. Nie imputowałem pani (tu Rose mru-ga), że prowadzi instytucję, która jest... bardziej niż...

JIMROY (lodowato): Ależ to właśnie pan uczynił, profesorze Busswell, i...

BUSWELL (nie przejmując się): Chyba nie jest oskarżeniem stwierdzenie, że jakaś określona biblioteka wiejska jest... nie na poziomie. Ani Eliota. Ani Lowella. Pytam o to (siada z triumfem).

ROSE (znowu wstaje): Co roku mówię radzie miejskiej to samo, „potrzebujemy pieniędzy, ceny książek”...

JIMROY: Panno Hindmarch, nie musi pani bronić swojego...

BUSWELL (wstaje): Nikt tu nie mówi o konieczności obrony. Mówię po prostu to, o czym wszyscy wiemy. Że Publiczna Biblioteka w Nadeau nie jest w stanie dostarczyć poważnego pokarmu dla umysłu takiego poety jak...

ROSE (zrywa się na nogi, jej straszliwe gadulstwo przyjmuje charakter obronny): Och, pani Swann przychodziła do biblioteki co dwa tygodnie. Chyba mi się nie zdarzyło, żeby kiedykolwiek nie przyszła, przez całe lata przychodziła, co dwa tygodnie jak w zegarku...

BUSWELL: Panno Hindmarch. Interesuje mnie wyjaśnienie kwestii wpływów. Zapewniam panią, że nie rzucam wyzwania pani osobiście. To pan Jimroy twierdzi, że pani Swann знаła pewne dzieła ze współczesnej trady...

JIMROY: Tylko sugeruję, nie twierdę.

ROSE (nie rozumie, o co chodzi w dyskusji): Ależ u nas jest dział poezji. Posługujemy się systemem numeracji Biblioteki Kongresu i łatwo pan znajdzie...

BUSWELL (do Jimroya, ignorując Rose): Wskazuje pan na pewne paralele między Mary Swann a Emily Dickinson i sugeruje...

ROSE (wciąż jeszcze niezadarnie stojąc): Pani Swann lubiła dobre opowiadania. Na przykład Pearl Buck. Pamiętam, że naprawdę bardzo lubiła Pearl Buck. I Ednę Ferber...

Uwaga reżysera: Pozostali słuchacze śledzą tę dyskusję z przykrością, z humorem, ze znudzeniem, z fascynacją. Czują, że porządek obrad załamuje się, co nasuwa myśl, że grozi jakieś niepożądane odkrycie.

KOBIETA W ZIELONYM TWEEDOWYM KOSTIUMIE: Czy to naprawdę należy do tematu?

MEŹCZYZNA ZE ZMARSZCZONYM CZOLEM: Oczywiście, że należy. Wszystko, co rzuca światło na...

PAN Z PODGARDLEM JAK U INDYKA: Dlaczego nie pozwala się panu Jimroyowi na odpowiedź? W końcu to on jest tym, który...

WESOŁE OCZY: Spokój!

SARA (wstaje, obraca na palcu obrączkę, gdy mówi): Dlaczego nie możemy po prostu powiedzieć, że Mary Swann zawdzięcza rozwój samej sobie, i na tym skończyć? Pamiętacie państwo, co Pound powiedział o Eliocie, że wynalazł swój własny modernizm...

RUDY KUCYK: A czy to nie jest możliwe, że wpływ na poetkę był raczej ogólny niż specyficzny...

PLĄCZLIWY GRYMAS: Kwestia wpływu jest zbyt uproszczona w wielu wypadkach. Na przykład...

JIMROY (na wszystkie trzy uwagi): Tak. Ale co więcej...

BUSWELL: Wszystko, co chcę powiedzieć, a potem przyrzekam już milczeć, że zasobów Publicznej Biblioteki w Nadeau nie można na serio uważać za coś, co wywarło wpływ na Mary Swann.

JIMROY (instynktownie posługuje się pochlebstwem, wiedząc, że to może załagodzić sytuację wobec publiczności): Panie profesorze Buswell, z naszych poprzednich rozmów, jakie prowadziliśmy, wiem, że jest pan człowiekiem ogromnie czytany i wrażliwym. Oczywiście rozumiem, że pragnie pan ustalić związek między pisarstwem Mary Swann a jej znajomością współczesnej poetyki...

BUSWELL: Pytam tylko...

JIMROY: ...a ja mogę panu powiedzieć, że córka pani Swann, z którą robiłem wywiad w ostatnich miesiącach, zwierzyła mi się, że jej matka znalazła ten rodzaj wiersza, który znamy ogólnie jako *Mother Goose*...

BUSWELL (z przerażającym śmiechem): Rymy dziecięce! Chyba nie mówi pan serio.

JIMROY: Nie widzę powodu, żeby odrzucać...

MEŹCZYŻNA Z NIEBYWAŁĄ FRYZURĄ AFRO: Cholernie chamski, taki syn...

PANI O PTASIM WYGLĄDZIE: ...snobistyczne podejście do...

JIMROY (opiera się błagalnie o pulpit, wyraźnie stracił kontrolę nad sobą, ale nie chce się do tego przyznać): Jeśli pozwoli mi pan rozszerzyć...

LANG (żywo występuje naprzód): Drodzy państwo, może lepiej będzie kontynuować tę bardzo interesującą dyskusję po przerwie na kawę, która, jak mi się zdaje (spogląda ponad głowami publiczności) - tak, widzę, że kawa jest już gotowa i...

Głos Langa do wyciszenia, wszyscy wstają i zacierają w stronę dzbanków z kawą. Rozmawiają, przeciągają się, kręcą. Rose wstaje pośpiesznie i zmierza do drzwi na korytarz. Nie potrafi mówić logicznie, kiedy jest poruszona, i dlatego chce uciec.

SARA (próbując dogonić Rose): Rose, niech pani zaczeka. Przepraszam, muszę - Rose! (Biegnie za Rose na korytarz, rozgląda się na prawo i lewo, nikogo nie widać). Rose! (Widzi drzwi z napisem „Dla pań”, decyduje, że Rose musi tam być, wchodzi. KAMERA idzie za nią, ukazuje trzy kabiny, drzwi do jednej są zamknięte). Rose, jest pani tam? (Sara opiera się o umywalkę i składa ramiona na piersi, postanawia, że będzie cierpliwa). W porządku, Rose. Wiem, że pani tam jest. Proszę mnie posłuchać. Ufa mi pani, czy tak? Buswell to gówniarz. Każdy na sali wie, jaki on jest. Dupowaty osioł. Niebezpieczny. Tak właśnie dzieje się z niebezpiecznymi facetami, gdy dostają stałą profesurę. To paranoik, Rose. Słyszysz pani? Nie może pani przecież siedzieć tam przez cały dzień.

Mówi jeszcze przez chwilę, odwracając się i patrząc w lustro, na twarzy ma powagę, która usuwa z niej wyraz energii. Z głębokiej torby wyciąga szczotkę i zaczyna czesać długie włosy, robiąc to z roztargnioną zmysłowością.

SARA: Powiem pani, Rose - byłem w Komitecie Organizacyjnym - ten głupek, Buswell, w stu procentach próbuje się bronić. Chowa się w krzaki. To poufne, Rose, ale tyle mogę pani powiedzieć - on sam miał wygłosić prelekcję, coś idiotycznego i rozpaczliwego o samogłoskach w „Łabędzich pieśniach”, pracuje nad tym od dwóch lat (rozczesując się, szarpnęła mocniej), a potem nagle napisał do Komitetu, w październiku, zawiadamiając, że ukradziono mu notatki. Ukradziono! Każdy wie, że to najbardziej roztargniony dupek (odkłada szczotkę, obraca się bokiem, przyglądając się linii brzucha i przeciągając po niej dłonią). Głupi lizus, który uwielbia zwać winę na kogo... ba, ale oni wszyscy są tacy,

jest ich na pęczki, dziwię się czasem, czy naprawdę chcę spędzić życie, tracąc czas z tymi... Rose? (sprawdza, czy kołnierzyk jej ładnej bluzki odstaje od szyi, beztrąsko i tak jak trzeba zarazem, w sposób, który lubi). Rose? Rose! (Otwiera jednym pchnięciem, drzwi, które kołyszą się, ukazując pustą toaletę). Rose (łagodnie, kładąc ręce na biodrach), Rose?

Zmiana planu: wewnątrz sali konferencyjnej. Późne przedpołudnie. Uczestnicy sympozjum piją kawę, drepzcząc wokoło, rozluźnieni, stoją w grupkach po trzy, cztery osoby; panuje miłe ożywienie. W rogu Jimroy, Buswell i Cruzzi prowadzą wesołą, lecz ostrożną rozmowę. ZBLIŻENIE kamery na Langa, który przechodzi od grupki do grupki, przyjaźnie zagadując, potem podchodzi do Jimroya i pozostałych; jest sympatyczny i pojednawczy. Najbliższa grupa składa się z Mężczyzny z Podgardlem jak u Indyka, Płaczliwego Grymasu, Rudego Kucyka i Sary, która dołącza do nich spóźniona i dostaje kawę z rąk Srebrnych Spinek do Mankietów.

SREBRNE SPINKI: No, można powiedzieć, że Jimroyowi udało się przyciągnąć uwagę...

RUDY KUCYK (poważnie): Naświetlił trochę wczesne wiersze, które, musicie przyznać, są... ale przecież to na miłosne wiersze wszyscy czekamy...

PŁACZLIWY GRYMAS (do Sary): Przypuszczam, że zna pani Morlona Jimroya...

SARA (roztargniona, rozgląda się dokoła za Rose): Czy znam kogo?

PŁACZLIWY GRYMAS: Mortona Jimroya - musiała pani go poznać...

SARA (rozkojarzona, próbuje się skupić): Nie, nie brałam udziału we wczorajszym przyjęciu. Prawie wszyscy palą, a dym...

RUDY KUCYK: To pani wcale go nie zna?

SARA: Korespondowaliśmy ze sobą. Przez rok czy dłużej, ale właściwie go nie poznałam...

LANG (zbliża się i ujmuje Sarę za łokieć): Saro, czy mogę ci przerwać? Chciałbym cię przedstawić panu Jimroyowi...

SARA (odłącza się od grupy i idzie za Langiem przez zatłoczoną gwarną salę): Willard, nie widziałeś Rose Hindmarch? Chyba zniknęła. Szukałam jej w...

LANG: Och, znajdzie się. Pewnie jest w kło. Niemiała sprawa. Okropnie nietaktowny facet ten Buswell. Pełna paranoja, wciąż twierdzi, że ukradziono mu notatki...

SARA: Żadnej wiadomości o teczce Mortona Jimroya?

LANG (twarz mu się wydłuża): Jeszcze nie. Nie mogę zrozumieć, kto... (kieruje Sarę w stronę, gdzie Jimroy przyjmuje gratulacje)... Morton, przepraszam, że przerywam, ale nalegałeś, żeby ci przedstawić Sarę, i udało mi się ją wyrwać z... Sara Maloney, Morton Jimroy.

JIMROY (podaje jej rękę i raptem wygląda na onieśmiałego): Dzień dobry pani...

SARA (szeroko uśmiechnięta, nie przygotowana na takie formalne zachowanie): Nareszcie! (obejmuje go serdecznie i całuje w policzek; jest wylewna z natury). Nareszcie!

Jimroy zadowolony, lecz zmieszany tym spontanicznym uściskiem, natychmiast odsuwa się, płonąc ze wstydu. KAMERA w zbliżeniu jego twarzy ukazuje nachmurzoną, ponurą minę, w której ból miesza się z pożądaniem.

JIMROY (mamroce chłodno, bez tchu): Miło mi panią poznać.

Sara rozumie chłodną postawę Jimroya jako odrzucenie jej serdeczności, robi krok do tyłu i próbuje wyjaśnić sytuację jemu, pozostałym i sobie samej.

SARA: Wymieniliśmy tyle listów, że... sądziłam więc, że jesteśmy...

JIMROY (wyniośle): Rozumiem, że zna pani profesora Buswella?

BUSWELL (beztrosko): Starzy znajomi. Od wielu lat.

JIMROY: Ach, tak.

SARA (wciąż nie rozumiejąc afrotu Jimroya): Cieszyłam się na...

LANG (widząc, że sytuacja jest niezręczna, chce zmienić temat): A czy znasz już Frederica Cruzziego? Pan Cruzzi, Sara Maloney.

CRUZZI (także próbuje rozładować napięcie): Znamy się. Z listu. Czarującego listu, jeśli wolno mi to powiedzieć.

JIMROY (blednąc, jakby ta informacja zadała mu cios w samo serce): Musi pani być bardzo zajęta, panno Maloney, pisząc tyle listów.

LANG (papie wylewnie): To właśnie Sarze udało się przekonać pana Cruzziego, żeby wziął udział w naszym zebraniu.

CRUZZI: Był to bardzo przekonujący list. Jakże mógłbym odmówić?

LANG: Istotnie, jesteśmy ogromnie szczęśliwi, że Sara jest wśród nas. A czy słyszeli już panowie radosną nowinę?

JIMROY (lodowato): Nie przypuszczam.

LANG: Właśnie wyszła za mąż. W wigilię Bożego Narodzenia, czy tak, Saro?

BUSWELL (jowialnie, znudzony): Gratula...

JIMROY: Za mąż?! (w tym wybuchu jest raczej wykrzyknik niż zapytanie).

SARA: Za kogoś (wzrusza nerwowo ramieniem), za kogoś, kogo znam od dłuższego czasu.

JIMROY: Moje gratulacje. Państwo wybaczą, widzę kogoś, z kim muszę zamienić słowo. (Odwraca się, żeby odejść).

SARA (zakłopotana): Ale będziemy mieli okazję, żeby jeszcze porozmawiać, prawda, Mortonie?

JIMROY (kurcząc się na dźwięk swojego imienia): Mam nadzieję, że to będzie możliwe.

SARA: O tyle rzeczy chciałabym pana zapytać...

JIMROY (zbywająco, odchodząc): Musimy to jakoś urządzić.

SARA (do pozostałych): Czy ja może powiedziałam coś złego? Nadepnęłam mu na nogę, czy co?

LANG (gładko): Jestem przekonany, że pan Jimroy jest po prostu zmęczony, długa podróż, a potem prelekcja - i to bez notatek...

SARA: Nie, to nie tylko to, Willard. Zostałam... (przerywa) zwyczajnie obrażona.

LANG (patrzy na zegarek): Dobry Boże, jesteśmy spóźnieni. Zupełnie zgubiłem poczucie czasu. Gotowa jesteś, Saro? (do Cruzziego i Buswella): Kolej na Sarę.

SARA (patrzy na znikające plecy Jimroya): Nic nie rozumiem. W listach był taki... może przez tę zgubioną teczkę albo...

LANG: Obawiam się... wiesz, Saro, nie możesz przekroczyć czasu. (Zdecydowanym ruchem wyjmuje jej z rąk filiżankę z kawą i prowadzi w stronę mównicy).

SARA (wciąż myśli o afrontie Jimroya): Musiałam widocznie coś zrobić. Albo coś powiedziałam. Albo...

KOBIETA W TURBANIE (chwytą Langa za rękę): Chciałam ci tylko powiedzieć, Willardzie, że czekam na ten cykl wierszy miłosnych. Pracowałam nad...

LANG: Pięć minut spóźnienia! Nie wiem, jak...

SARA: Może byłam zbyt wylewna, zdarza mi się to czasem...

KOBIETA W TURBANIE (nie odstępuje ich): Myślę, że wszyscy jesteśmy...

LANG (przy pulpicie): Panie i panowie! (Słuchacze zaczynają zajmować miejsca, wyraz oczekiwania na twarzach). Jestem niezwykle szczęśliwy, że mogę przedstawić państwu następną prelegentkę, Sarę Maloney, która jest osobą - a myślę, że w tym, co powiem, nie będzie przesady - główną osobą odpowiedzialną za ponowne odkrycie Mary Swann. Osobą, która w swoim artykule już przed pięcioma laty wskazała na niepowtarzalny talent poetki i na... ale może lepiej będzie, jeśli oddam mikrofon samej pannie Maloney (oklaski).

Sara krzyżuje ramiona: cokolwiek powie, musi to brzmieć autorytatywnie. Wzrokiem przeszukuje rzędy słuchaczy. Widzi Jimroya i posyła mu nieobowiązujący uśmiech, a potem zaczyna.

SARA: Pan Jimroy w swoim kluczowym przemówieniu dzisiejszego rana poruszył kilka ciekawych kwestii, podkreślając szczególnie problem naszego wyobrażenia, jakie mamy o Mary Swann. Uważamy ją mianowicie za coś w rodzaju dziwnej, kulturalnej czkawki, odizolowanej od wszystkich kulturalnych tradycji. Według tego narzucającego się odpartego przekonania, moim zdaniem jednak dość chwiejnego, uważa się dzieło Mary Swann za spontaniczne dzieworództwo na małą skalę, jednakże...

Głos Sary do wyciszenia, słowa nie do rozróżnienia. KAMERA przesuwają się po sali. Pan z Podgardlem jak u Indyka gwałtownie robi notatki. Rose z czerwonym nosem tępo przysłuchuje się z ostatniego rzędu. Jimroy siedzi z zamkniętymi oczami, ma wygląd zdradzonego i schwytanego w pułapkę, podobnie jak w samolocie. Sara przemawia i jej głos znowu staje się słyszalny.

SARA: ...Chciałabym na zakończenie stwierdzić, że, podobnie jak inni samodzielni artyści, Mary Swann potrafiła wyrazić swoją prawdę z taką jasnością i z takiego punktu widzenia, że ożywiła to, co zbanalizowało się przez tradycyjne używanie. To właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, nadaje siłę jej twórczości. Panie i panowie, dziękuję! (Grzmot oklasków, miły dla ucha. Natychmiast podnosi się kilka rąk).

LANG (podchodzi do mikrofonu i unosi rękę): Niestety, nie mamy czasu na więcej niż kilka pytań. Lunch jest zamówiony na 12.30 punktualnie. (Patrzy na słuchaczy, dostrzega Kobieta w Turbanie i oddaje jej głos).

KOBIETA W TURBANIE: Doktor Maloney! Pani uwagi o rezonansie prymitywnej wyobraźni uważam za interesujące...

SARA: Ścisłe rzecz biorąc, nie użyłam... a raczej rozmyślnie unikałam słowa „prymitywna”.

KOBIETA W TURBANIE (machnięciem ręki odsuwa to zastrzeżenie): A więc nieuczona. Wrodzona. Wszystko jedno. Zdaje się, że pani uważa, jeśli zrozumiałam panią właściwie, iż ktoś, kto żyje w dwudziestym wieku, nie może uciec od - jakie dokładnie było to słowo?



SARA: Matryca.

KOBIETA W TURBANIE: Od matrycy, tak. Nawet na obrzeżu tej społecznej matrycy wchłania się pewne kulturalne idee. Nawet wyrzutek społeczny...

SARA: Z całym szacunkiem, wyrzutek to kolejne określenie, którego rygorystycznie...

KOBIETA W TURBANIE (cierpliwie): Nawet ci z obrzeży, powiedzmy, przeważającej struktury społecznej otwarcą się na generalne wzorce kulturalnej myśli. Czy dobrze cytuję pani słowa?

SARA (ochłonęła trochę z wojowniczego ożywienia, ale nadal obawia się dalszego ciągu pytań): Tak i nie. Bardzo trudno jest, oczywiście, ustalić, do jakiego stopnia Mary Swann świadoma była kierunku i (szuka słowa) kształtu współczesnej poezji...

KOBIETA W TURBANIE: Czyż tego właśnie, w gruncie rzeczy, nie musimy czynić? Szukać poza dziełem jakiejś innej formy udokumentowania, która by wzmocniła...

SARA: To byłoby idealne, tak, ale wszyscy wiemy, jak rzadko zdarza się idealna sytuacja. W wypadku Mary Swann...

JIMROY (zrywa się nagle i przerywa Sarze. Mówi tonem niesłuchanie agresywnym): Jeśli mogę przerwać pani, która pyta - a której nazwiska chyba nie znam...

KOBIETA W TURBANIE: Profesor Croft. Z uniwersytetu w Tulane.

JIMROY: Dziękuję pani. Jeśli więc mogę wtrącić nawiasem... obawiam się, że to z mojej strony specjalna prośba... to znaczy wszyscy chcielibyśmy odkryć coś, co mogłoby rzucić światło na... charakter specjalnej muzy Mary Swann. I wszyscy, jestem pewien, biadamy nad tym, że tego widocznego światła jest tak niewiele. Pani Swann, niestety, nie zostawiła nam żadnego przepisane go manifestu. Nie pisała naukowych artykułów ani esejów, które by naświetlały jej teorie poetyckie. Nie czerpała przyjemności z rozległej korespondencji. Ale pisała i być może to jest właśnie to, o co chodzi mojej znakomitej koleżance... pani... przepraszam, jak...

KOBIETA W TURBANIE (gniewnie): Croft. Z Tulane.

JIMROY: ...jest właśnie tym, do czego pani Croft (pauza) z Tulane... się odnosi. Faktem jest, że Mary Swann prowadziła dziennik. Ciekaw jestem, doktor Maloney, czy pani, jako jedyna osoba wtajemniczona w zawartość tego dziennika, dałaby się namówić i powiedzieć o nim kilka słów (siada).

SARA: No cóż, ja...

JIMROY (wstaje ponownie): Jestem szczególnie tym zainteresowany, a zapewne koledzy uczestniczący w symposium również chcieliby się dowiedzieć (macha ręką impertynencko), kiedy zamierza pani udostępnić dziennik Mary Swann publiczności (siada).

MEŻCZYŻNA Z NIEBYWAŁĄ FRYZURĄ AFRO: Słuchajcie, słuchajcie!

KOBIETA W TURBANIE (wstaje także): A skoro już jesteśmy przy tym temacie, może powinniśmy zapytać profesora Langa, kiedy zamierza opublikować miłosne wiersze Mary Swann. Czekam na...

SARA: Obawiam się, że...

LANG (częściowo unosi się z krzesła): Wydaje mi się, że odbiegamy od pierwotnego pytania...

JIMROY (wstaje): Pytanie jest w istocie bardzo proste i można odpowiedzieć na nie jednym słowem. Doktor Maloney, kiedy zamierza pani opublikować dziennik Mary Swann?

KOBIETA W TURBANIE: Oczywiście, że powinno się udostępnić ten dziennik publiczności, a przynajmniej środowisku naukowemu.

MEŻCZYŻNA Z NIEBYWAŁĄ FRYZURĄ AFRO: Słuchajcie, słuchajcie!

SARA (nerwowo, przyglądając włosy, bierze głęboki oddech): Dziennik Mary Swann... jak państwo go nazywają... który dała mi Rose Hindmarch - (KAMERA zbliża twarz Rose, która uśmiecha się niezdecydowanym, przyjaznym uśmiechem; doszła najwyraźniej do siebie po pierwszej części sesji) - który dostałam właśnie dlatego, że nie było w nim nic istotnego...

PAN Z PODGARDLEM JAK U INDYKA (wstaje): Ale przecież musi coś być. To znaczy dziennik na pewno zawiera słowa, a słowa mają znaczenie, tak więc z konieczności musi stanowić jakąś... powiedzmy sobie, wartość nawet najbardziej... powierzchowny dokument. (Siada. W sali widoczne niespokojne poruszenie, słuchacze odwracają się w krzesłach, szepczą, słysząc pomruki domagające się wyjaśnienia).

SARA (nie znajdując słów): Dziennik... jak państwo to nazywacie - a ja może nie powinnam była używać tego określenia w moim pierwszym artykule obejmował okres zaledwie trzech miesięcy - lato 1950 roku. A więc było to jeszcze, jak wszyscy wiedzą, zanim pani Swann zaczęła pisać wiersze.

JIMROY (znów się zrywa, machając rękami): Tym bardziej może być, ośmielę się powiedzieć, panno Maloney, interesujący dla...

SARA (zwraca się bezpośrednio do Jimroya; od tej pory jest to dyskusja między nimi dwojgiem; Kobieta w Turbanie i Pan z Podgardlem jak u Indyka znikają z pola widzenia): Ale nie jest interesujący, panie Jimroy. Miałam szczerą nadzieję, kiedy go pierwszy raz zobaczyłam, że będzie. Ale nie ma w nim nic.

JIMROY: Na pewno jest coś, doktor Maloney.

SARA (bliższa leż): Nie ma nic. Absolutnie nic, co mogłoby interesować...

JIMROY: No to dlaczego nie zdemistyfikować tego dokumentu, pozwalając innym...

SARA (z rozpaczą): Listy zakupów, panie Jimroy. Tylko to jest w dzienniku. Opisy pogody. Raz, tylko raz wspomina, że popsuła się klamka u drzwi. Nie jakaś symboliczna klamka, wcale nie. Prawdziwa klamka u drzwi. Każdy mógłby napisać takie głupstwa na tych stronicach. To jest właśnie tragiczne.

JIMROY (zawzięcie, choć próbuje się opanowywać): Niemniej, doktor Maloney, materiał być może marginesowy, choć w tym miejscu muszę, zdaje się, wierzyć pani na słowo, te marginalia pozwalają nam zobaczyć indywidualną postać poza...

SARA: A ja obawiam się, że nie. Nie pozwalają nic zobaczyć, panie Jimroy. W innym wypadku byłabym...

JIMROY (próbuje podejść do zagadnienia jak prawdziwy mąż stanu): Nie mogę, rzecz jasna, mówić w imieniu moich kolegów naukowców (szeroki gest), ale dla biografą (kładzie rękę na sercu), dla biografą to, co wydaje się nic nie znaczące...

SARA: Ten dziennik, panie Jimroy, jest w dodatku prawie nieczytelny...

JIMROY: Ach, to możliwe, ale widzi pani, nawet nieczytelny charakter pisma daje szansę komentowania...

SARA: Ale on naprawdę jest tylko... mogę pana zapewnić... jest całkowicie pozbawiony znaczących...

JIMROY: Doktor Maloney, jestem, można rzec, starym wygą w dziedzinie... powiedzmy, odkrywania jądra osobowości. Wiem doskonale, jak wygląda większość dzienników. Są to przeważnie nieobowiązujące dokumenty. Pisane dorywczo. Bez związku. Nie podporządkowane żadnemu układowi. Nie jestem, jak pani wie, aż takim nowicjuszem, żeby spodziewać się egzegezy. Ale słabość, jaką zdaniem pani odznacza się dziennik pani Swann, równoważy fakt, że jest to bezpośrednio informacja i...

SARA: Zgadzam się z panem w większości spraw, panie Jimroy (wymawia jego nazwisko z wyraźną goryczą). Ale to jest wyjątkowy wypadek.

LANG (wychodzi żwawym krokiem przed mównicę, pragnąc utrzymać przyjemną atmosferę obrad): Strasznie mi przykro, drodzy państwo, ale czas nie...

JIMROY: Jedno pytanie, jeszcze tylko jedno pytanie. Wystarczy mi tylko tak lub nie. Czy ma pani zamiar, doktor Maloney, czy ma pani zamiar kiedykolwiek w przyszłości opublikować osobisty dziennik Mary Swann?

SARA: No cóż, ja...

LANG: Naprawdę strasznie mi przykro, ale czas...

JIMROY: Tak czy nie?

SARA (waha się, rozkładając bezradnie ręce; głos ma niepewny, prawie płaczący): Nie.

To oświadczenie zostaje przyjęte gniewnym pomrukiem. Słuchacze odwracają się w stronę sąsiadujących osób i otwarcie rozmawiają. W jednej chwili sala napelnia się wrzawą pełną oburzenia. Głos Jimroya buczy gdzieś z końca sali.

JIMROY: A czy mogę zapytać (podnosi głos, żeby wszyscy słyszeli), czy mogę zapytać naszą prelegentkę, dlaczego zdecydowała się nie publikować osobistego dziennika Mary Swann?

LANG: Proszę państwa, lunch jest już przygotowany. Może zechcą państwo udać się do sali LaSalle'a, która przylega do sali obrad. Ogłaszam przerwę w naszych obradach do...

JIMROY (przekrzykując wrzawę): ...i dlaczego doktor Maloney wzięła na siebie wstrzymanie pu...

SARA (szepcąc do mikrofonu, takim szepcąc, że powoduje to natychmiastową ciszę): Ponieważ nie mogę go opublikować (pauza), ponieważ... nie jestem w stanie. Dziennik został... Przykro mi bardzo, ale muszę to powiedzieć... dziennik... zaginął.

Rozkłada ręce w geście wyrażającym bezradność i potrząsa głową. Publiczność jest poruszona, ludzie zaczynają mówić jeden przez drugiego. DŹWIĘK wzmacniają efekty echa z wadliwych mikrofonów, tak że hałas staje się nie do wytrzymania. Widać Sarę, która raz jeszcze powtarza słowa: „Dziennik zaginął”.

Zmiana planu: Wnętrze restauracyjnej sali LaSalle'a. Nakryte stoły, każdy na osiem osób. Południe. KAMERA ukazuje szwedzki stół, na którym widnieje wielki wilgotny łosoś na półmisku, kilkanaście salatek z sałatkami, ogromny koszyk z bułkami, tace z serami i owocami, szklanki napelnione już winem. Uczestnicy sympozjum w wesołym nastroju nakładają sobie jedzenie na talerze, po czym przechodzą do poszczególnych stołów. Sala rozbrzmiewa towarzyskimi pogawędkami.

ZMARSZCZONE CZOŁO: ...to wygląda całkiem nieprawdopodobnie w dzisiejszych czasach i w tym stuleciu, nie mówiąc o systemie przechowywania...

PŁACZLIWY GRYMAS: ...kiedy człowiek pomyśli o Willardzie Langu, przechowującym ten odkopany skarb...

SREBRNE SPINKI: ...świeży łoś. Robi mi się niedobrze na widok łośsia, można by pomyśleć...

ZIELONY TWEEDOWY KOSTIUM: ...myślę, że Jimroy był trochę wytrącony z równowagi, najpierw utratą teczki, a potem...

ROSE: ...byłam tak zażenowana, nie wiem, kiedy zdarzyło mi się być tak...

RUDY KUCYK: Powiem szczerze, ten człowiek to tyran. Nie obchodzi mnie, co powiecie, on jest...

SREBRNE SPINKI: Jak brzmi ten wers? Z „Bzów”, zaczyna się...

WESOŁE OCZY: To okropne rozczarowanie, liczyłam na to, że...

PANI O PTASIM WYGLĄDZIE: Zastanawiam się, czy mogłabym dostać szklanek wody.

PŁACZLIWY GRYMAS: ...włosy psa.

ZIELONY TWEEDOWY KOSTIUM: ...jak ona tam stała i zabrała...

PAN Z PODGARDLEM JAK U INDYKA: Czy mogę się przedstawić? Herbert Block.

KRAWAT W NIEBIESKIE KROPKI: ...bardzo mi miło.

PŁACZLIWY GRYMAS: ...wszyscy wiele zawdzięczają wydawnictwu Peregrine Press, prawda, i trzeba docenić zasługi pana Cruzziego.

MĘŻCZYZNA Z NIEBYWAŁĄ FRYZURĄ AFRO: ...zazwyczaj subsydiowane, oczywiście, ale bez regionalnych wydawnictw...

SREBRNE SPINKI: ...utkwiała mi w gardle ość...

RUDY KUCYK: ...przesiąkła tą zjełczałą oliwą i wtedy absolutnie...

JIMROY: W końcu jesteśmy przecież w środowisku naukowym i...

ZMARSZCZONE CZOŁO: Co, do licha, złego jest w słowie „prymitywna”?

PAN Z PODGARDLEM JAK U INDYKA: ...jeszcze jej nie znalazł, to znaczy teczki, ale najwyraźniej ma nadzieję...

PANI O PTASIM WYGLĄDZIE: ...to nie szkoła krytyki, ale chichotu i drwiny...

WESOŁE OCZY: ...spontaniczność, zawsze mówię, że spontaniczność to tylko inna nazwa kiepskiej jakości...

PANI O PTASIM WYGLĄDZIE: ...byłam w Nadeau chyba dwukrotnie, ale nie było tam...

SREBRNE SPINKI: ...jak on ją przyszpilał, jak motyla...

MĘŻCZYŻNA Z NIEBYWAŁĄ FRYZURĄ AFRO: ...a to sukin...

ZMARSZCZONE CZOŁO: Pozwoli pani się przysiąść?

KOBIETA W TURBANIE (zwracając się do Płaczliwego Grymasu, który siedzi obok niej): Ależ oczywiście, że jestem rozczarowana. Czekać dwa lata na miłosne wiersze i teraz...

PŁACZLIWY GRYMAS: Ja jestem więcej niż rozczarowany, myślę o...

KOBIETA W TURBANIE: Byłam taka pewna, że dziennik posłuży jako rodzaj glosy, że rozszerzy zwłaszcza znaczenie „Wodnych wierszy”.

PŁACZLIWY GRYMAS: O tak, „Wodne wiersze”. Szczególnie one. Choć nie ma w nich właściwie nic niejasnego.

KOBIETA W TURBANIE: Tu nie chodzi o niejasności. Wcale nie o to. Mówię o pewnych odniesieniach. Ten dziennik powiększyłby liczbę punktów odniesienia - a wiersze miłosne będą...

PŁACZLIWY GRYMAS: Niemniej ona...

KOBIETA W TURBANIE: Kto? Maloney? Czy Swann?

PŁACZLIWY GRYMAS: Sara Maloney. Była całkowicie przekonana. O tym, że w dzienniku nie było nic interesującego.

KOBIETA W TURBANIE: I pan temu wierzy! Naprawdę pan w to wierzy? Może ona nie była w stanie zobaczyć żadnych powiązań, ale...

PŁACZLIWY GRYMAS: Hm.

KAMERA przesuwa się do innego stołu, przy którym Rose Hindmarch rozmawia z Sydem Buswellem.

ROSE (dziobie widelcem, stara się być wykwintna): No cóż, jeśli o mnie chodzi, to jestem rozczarowana. Widzi pan, sądziłam, że będę mogła prosić, żeby, no, żeby ofiarowała ten dziennik naszemu małemu muzeum, a może też słownik rymów, ale nie chcę być kimś, kto „daje i odbiera”...

BUSWELL (żując i gestykułując widelcem): Słownik?

ROSE (bez związku): Od czasu, kiedy pan był w Nadeau, mamy nową salę w muzeum, bardzo miłą wystawę z... więc musi pan przyjechać i sam zobaczyć. To na górze nad biblioteką.

BUSWELL: Jestem pewien, że pani rozumie moje poranne uwagi. Chciałem tylko wykazać...

ROSE: Och, tak, jestem dość dumna z mojej biblioteki. Wie pan, dawno temu, kiedy mieściła się jeszcze na poczcie, nie mieliśmy nawet...

BUSWELL: ...chciałem tylko wskazać na to, jakim idiotyzmem jest wyszukiwanie wpływów. Jimroy zrobił to samo w swojej książce o Starmanie, mówi, że wpływ na twórczość Starmana miał „Moby Dick”. To już przesada. Fantazjuje. Ten facet powinien zostać powieściopisarzem, a nie biografem.

ROSE (dodaje sosu do lososia): Właściwie nie czytałam...

BUSWELL (wpychając bułkę do ust): Nic tylko gada. Mówi o dokumentacji, a żyje w świecie bajek.

ROSE: Och, jest bardzo znany. Znalazłam go w „Kto jest kim”.

BUSWELL: Rozdęta popularność. Często się zdarza. Domysły.

Ha! A co z dowodami! Zwyczajnie to trzeba robić.

ROSE: No tak, oczywiście pani Swann i ja... zawsze rozmawialiśmy o... byliśmy zaprzyjaźnione, wie pan. Dyskutowałyśmy czasami o tym i owym...

BUSWELL (znudzony): Taa?

KAMERA przesuwa się do kolejnego stołu; rozmawiają Wesołe Oczy i Krawat w Niebieskie Kropki.

WESOŁE OCZY: ...wprost trudno pojąć, że coś takiego może się zdarzyć...

KRAWAT W NIEBIESKIE KROPKI: ...taka cenna dokumentacja, hm, powinna być, oczywiście, w archiwum. Ja zawsze upewniam się, czy z oryginalnych materiałów zrobiono kopię i przekazano do archiwum.

WESOŁE OCZY: To jedynie sensowne rozwiązanie.

KRAWAT W NIEBIESKIE KROPKI: Zwłaszcza gdy tak jak ja jest zdania, że ten rodzaj dokumentacji pozostaje własnością całego świata naukowego.

WESOŁE OCZY: ...a nie czyjaś osobistą. W zupełności podzielałam pana pogląd. A co do profesora Langa, który siedzi na tych miłosnych wierszach...

KRAWAT W NIEBIESKIE KROPKI: ...to nic go nie usprawiedliwia.

WESOŁE OCZY: Ja nawet moje prace naukowe trzymam w małym ognio-trwałym sejfie, jaki mamy...

KRAWAT W NIEBIESKIE KROPKI: Poczucie odpowiedzialności.

WESOŁE OCZY: Właśnie!

Zmiana planu: wewnątrz sali wykładowej. Ten sam czas jak wyżej. KAMERA ukazuje pustą salę. MUZYKA: klarnet, kilka powtarzających się fraz. ZBLIŻENIE na Sarę, która na mównicy zbiera swoje notatki do wykładu. Ze smutkiem, niemal w transie, spina je razem i wkłada do teczki. Sprawia wrażenie, jakby poniosła klęskę. W opustoszałej sali wydaje się mała i nieodporna na ciosy. Słyszy gwar rozmów dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia, co wzmagą w niej uczucie samotności. Przystaje, spogląda na rzędy nie zajętych krzeseł. W jej spojrzeniu można wyczytać: „No tak, to wszystko”. Potem jej wzrok (i KAMERA) dostrzega Frederica Cruzziego, który wciąż jeszcze siedzi w jednym z dalszych rzędów, prawie niewidoczny w cieniu.

CRUZZI (podnosi się powoli, z widoczną trudnością, jaką miewają starzy ludzie; starość słychać też w jego głosie): Panna Maloney?

SARA: Pan Cruzzi! Ja nie... nie widziałam pana. Myślałam, że pan... poszedł razem z innymi na lunch.

CRUZZI (prostując się): Miałem nadzieję, że będę mógł porozmawiać z panią sam na sam. Jeśli pani ma wolną chwilę...

SARA: Ależ oczywiście (schodzi z podium i zbliża się do niego z pewnym wahaniem).

CRUZZI: Czy mogę pani zaproponować, żebyśmy, zamiast przyłączać się do innych, umknęli na godzinkę? Jest coś, o czym chciałbym z panią porozmawiać, a tu na dole znajduje się całkiem dobra restauracja. A może w kawiarni szybciej nam coś podadzą.

SARA (po chwili, z uśmiechem): Tak, chodźmy. Chętnie wyjdę stąd na godzinę. Zwłaszcza po tym... (wskazuje na mównicę).

CRUZZI: No, to doskonale (podaje jej ramię w trochę staroświecki sposób). Niestety, nie chodzę już zbyt szybko.

SARA: A więc (bierze go pod rękę) nie będziemy się śpieszyć.



KAMERA prowadzi ich, kiedy wychodzą z sali na korytarz.

Tu przystają na chwilę i oglądają materiały wystawione za szkłem. Jest tam kilka odbitek artykułów, a w środku fotografia Mary Swann.

CRUZZI (stuka lekko palcami w szkło): Nasza tajemnicza pani.

SARA: Tak. (Uśmiecha się do Cruzziego, a potem idą powoli wzdłuż korytarza do windy. MUZYKA: organy, górne tony, do wyciszenia).

Cruzzi i Sara siedzą przy narożnym stoliku. Kelner właśnie postawił przed Sarą wielką salaterkę zielonej sałaty, a przed Cruzzim złocisty omlet.

CRUZZI (rozluźniony i gadatliwy, jest mężczyzną, który się odpręża w towarzystwie kobiet): To naprawdę wielka przyjemność - uciec. Nie jestem pewien, dlaczego, ale sala pełna „naukowców” powoduje u mnie atak umysłowej niestrawności. Ten ton wyroczeni delfickiej, jaki uwielbiają przybierać. Jest w nich też coś zimnego, są tacy... nieużyci. Rzecz jasna, mówię ogólnie.

SARA (uśmiecha się, także zaczyna się rozluźniać): Czego nie mogę zrozumieć, to postawy Jimroya. W stosunku do mnie. Taki antagonizm.

CRUZZI (patrzy na nią bystro): Naprawdę nie może pani zrozumieć?

SARA: Aż do dzisiejszego rana nigdy go nie widziałam. (W zamyśleniu żuje kawałek zielonego selera). Nie znaliśmy się osobiście. Ale pisywaliśmy do siebie bez przerwy... chyba więcej niż przez rok.

CRUZZI: Rozumiem.

SARA: A (nadal żuje) trzeba przyznać, że w korespondencji jest niezły. Bardzo zabawny, jeśli ktoś ceni sobie ironiczne docinki - a ja cenię. Czasami zadziwiająco intymne. Szczere. Chyba że sześć razy pisał, jak bardzo cieszy się na nasze spotkanie. (Odkłada gałązkę selera). A dzisiaj - zupełnie nie mogę zrozumieć. Jakby... drażnił się ze mną. Był... dzisiaj był... (urywa, zagryza wargi).

CRUZZI (cierpliwie przynaglając): Dzisiaj co?

SARA: Dzisiaj - przecież był pan przy tym, kiedy Willard Lang nas sobie przedstawiał. Z początku Jimroy wyglądał tak, jakby był śmiertelnie przerażony. Zimny jak ryba. A podczas dyskusji, po mojej prelekcji, miałam uczucie, że on - może ujmuję to zbyt mocno, ale wyraźnie czułam, że... że naprawdę mnie... nienawidzi.

CRUZZI (spokojnie): Hm.

SARA: A ja... nie wiem, dlaczego. I to jest okropne. W momencie, kiedy Willard Lang napomknął, że wyszłam za mąż - widział pan jego twarz, Jimroya?

Jakby go ktoś wałnął w brzuch. No cóż, może rzeczywiście powinnam była wspomnieć w ostatnim liście, że wychodzę za mąż, ale... nie byłam jeszcze zdecydowana... to była dość nagła decyzja, ten ślub. Byłam z kimś innym, z innym mężczyzną, ale to nie zdało egzaminu i... Dlaczego ja właściwie o tym gadam?

CRUZZI: Na pani miejscu nie przejmowałbym się Jimroyem. Wie pani, niektórzy mężczyźni - proszę mi wybaczyć, że mówię jak zasuszony mędrzec - ale niektórzy mężczyźni wiążą się z kobietami tylko... w teorii. Nie w rzeczywistości. Rodzaj abstrakcyjnego związku. A list, nawet intymny, wciąż jest czymś abstrakcyjnym.

SARA: Nie cierpię, gdy mnie ktoś nienawidzi. To moja słaba strona. A już najbardziej, jeśli nie wiem, czym sobie na to zasłużyłam.

CRUZZI: Zastanawiam się, ale to tylko domysł... (nalewa sobie wody do szklanki, mówi z namysłem)... może pani ma coś, co on chciałby mieć?

SARA (podnosi raptownie głowę znad sałatki): Na przykład?

CRUZZI: Może... (elegantcko unosi ramiona, wyrażając domysł)... może coś, co sobie wyobraża, że jest w notesie pani Swann. W jej dzienniku.

SARA: Ale przecież mu mówiłam... słyszał pan... powiedziałam to wobec całej sali, i to jest prawda, że w tym notesie nic nie ma. Wiem, że to wygląda, jakbym się tłumaczyła. No więc zgubiłam go. W porządku. Nigdy się nie dowiem, jak to się stało, ale muszę wziąć za to odpowiedzialność. Jednego dnia był, a następnego dnia go nie było. *Mea culpa*. Ech! Ale niczego nie ukrywam. W dzienniku nic nie ma.

CRUZZI: Nic, czego pani się spodziewała.

SARA: Zdawało mi się, że zajrzę prosto w umysł tej kobiety. Że mówi tam coś niewyraźnego, że będą tam całkiem nowe pokłady objawienia, rozumie pan, co mam na myśli. Zamiast tego czytam: „Poszła opona w ciężarówce”. „We wtorek deszcz”. „Zmogła mnie grypa”. Nic więcej.

CRUZZI: Tak, ale...

SARA: Ale?

CRUZZI (niespiesznie): Jak rozumiem, miała pani ten notes przez jakiś czas. Trzy, cztery lata? I wytrwale opierała się pani myślom, żeby go opublikować.

SARA (wzrusza ramionami z żalem, ale robi dobrą minę do złej gry): Wiem. Wiem. Czytałam go tam i z powrotem, na okrągło. I cały czas myślałam - coś tam przecież musi być. Na przykład - może wymyśliła jakiś system symboli. Albo może pisze wypracowanym, eleganckim szyfrem, który... ale (znowu

rozklada ręce) w końcu musiałam dojść do wniosku, że tam po prostu nic nie ma! Byłam zła jak wszyscy diabli, że muszę dopuścić myśl, iż ta kobieta jest tak...

CRUZZI: Zwyczajna? (obraca swoją szklankę w dłoniach, spoglądając w górę).

SARA (patrzy na niego przenikliwie): Wie pan, panie Cruzzi, wygląda pan teraz, jakby pan miał jakieś wątpliwości. Jak gdyby... myślał pan, że ja coś ukrywam, mówiąc, że tam nic nie było.

CRUZZI: Nie. Wierzę pani. Mary Swann, moim zdaniem, była pospolitą kobietą. Cokolwiek to słowo znaczy. Oczywiście była pani zawiedziona.

SARA: I może także, przynaję, chciałam ją trochę chronić. W związku z tą... pospolitością. Czasami zastanawiam się, dlaczego Willard Lang nie opublikował jej wierszy miłosnych. Ma je od dosyć dawna.

CRUZZI: Przypuszcza pani, że mogą być wątpliwej jakości?

SARA (rozklada ręce): Może sentymentalne. Ckliwe. Wierszyki walentynki. Chyba wie pan, jak je znalazł? Przekupił agenta od sprzedaży nieruchomości, zajmującego się domem Swannów, i wtedy znalazł papiery pod odgiętym rogiem linoleum.

CRUZZI: Chyba ma pani rację. Naturalnie mamy tylko jego słowo, że to, co znalazł, to wiersze miłosne.

SARA: I pan także ma rację, mówiąc, że Jimroyowi czegoś brak.

CRUZZI (zadumany): Cokolwiek myślę o Mortonie Jimroyu, zmuszony jestem przyznać, że jest sumiennym biografem. Czytała pani jego książki. Myślę po prostu, że jemu brak tego wszystkiego.

SARA: Czego mianowicie?

CRUZZI: Brakuje mu życia pani Swann. Każdej minuty, gdyby mógł ją mieć. Każdego kubka herbaty, którą ta biedna kobieta piła. A co więcej, brakuje mu jej śmierci. Lub jakiejś wskazówki, co było jej przyczyną.

SARA (zaintrygowana): Dziennik był pisany w 1950. A Mary Swann została zamordowana w 1965. Czy on rzeczywiście myśli, że znajdzie...

CRUZZI: ...że może być jakiś ślad? Zapowiedź złego? Odrobina prorocstwa? Tak, tak uważam. Spotkałem tego człowieka...

SARA: Jimroya?

CRUZZI: Tak. Spotkałem go tylko raz. Złożył mi krótką wizytę w Kingston, rok temu, i spędziłszy pewien czas na rozmowie. Będę szczerzy, uważałem, że

jest drętwą fujarą, ale pamiętam trochę z tej rozmowy. I przypominam sobie, że mocno mnie przyciskał w sprawie śmierci pani Swann. Czy nie ma żadnych „teorii”? (sardonicznie). Jakby miał, pomyślałem wtedy, jakąś obsesję na punkcie przyczyny śmierci Mary Swann.

SARA: Przyczyny?

CRUZZI: Uważa... powiedział to jasno, że nie będzie w stanie zrozumieć życia Mary Swann, dopóki nie zrozumie jej śmierci.

SARA: Rzeczywiście tak powiedział?

CRUZZI: Ja także uważam to za dziwaczne stwierdzenie.

SARA: Romantyczne.

CRUZZI: Ale w takim razie ma trochę romantyczne spojrzenie na ludzkie życie. Widzi je jako coś, co ma... kształt estetyczny.

Tworzy pewną całość. Podczas kiedy... podczas kiedy życie większości ludzi to poszczególne, nie związane z sobą wydarzenia. Pełne sekretów i przemilczeń. I jestem prawie pewien, że pani się z tym zgodzi.

Uwaga reżysera: Bardzo długa cisza, jaka następuje po tym, co powiedział Cruzzi, sygnalizuje publiczności raptowną zmianę nastroju. OŚWIETLENIE także się zmienia, a KAMERA traci ostrość widzenia. Kilka taktów MUZYKI (pojedynczy obój) wypełnia próżnię. Spojrzenia obydwu postaci, Sary i Cruzziego, zdają się być skierowane bardziej do wewnątrz niż na rozmówcę.

SARA (nagle): Jestem w ciąży.

CRUZZI (uśmiecha się): To wspaniale.

SARA: Chciałam, żeby pan wiedział. Co ja ukrywam. (Podnosi do ust szklankę mleka, jak gdyby wznosiła toast).

CRUZZI (także podnosi szklankę): A ja jestem zakochany.

SARA (zachwycona): Ach!

CRUZZI: W siedemdziesięcioletniej wdowie. Zakochany, lecz trochę w strachu.

SARA: Ja byłam zakochana.

CRUZZI: A teraz?

SARA: Nie wyszło.

CRUZZI: Przykro pani? Bardzo?

SARA: Strasznie. Myślę, że on też mnie kochał. Ale masę innych rzeczy kochał bardziej.

CRUZZI: Rzeczy?

SARA: Głównie pieniądze. Nigdy nie miał ich dość. Nie chciał skończyć jak jego ojciec, zapracowując się na śmierć.

CRUZZI: A więc pani rozumie - mam na myśli: dlaczego?

SARA (po chwili): Tak. A to (dotyka brzucha), to wydaje mi się ważniejsze.

CRUZZI: I chyba jest. Na dłuższą metę.

SARA: A pan co zrobi? Z pańską miłością? Tą wdową?

CRUZZI: Przemysłem sprawę. Spróbuję się przyzwyczaić. Przyjmować spokojnie.

SARA: To dlatego zdecydował się pan przyjechać na symposium? Żeby dać sobie trochę czasu?

CRUZZI (potakuje w zamyśleniu): Mary Swann jest zagadką, a zagadki są... (rozkłada ręce) odwracają uwagę.

SARA: Jej śmierć jest zagadką? To pan ma na myśli?

Uwaga reżysera: Moment intymności minął. MUZYKA głośniejsza, OŚWIE-  
TLENIE skupione; KAMERA wyostrza obraz.

CRUZZI: Jej życie jest zagadką. A śmierć, moim zdaniem, tylko jednym z tych... nie planowanych wypadków.

SARA: Wypadków! Pan mnie zadziwia, panie Cruzzi (zaczyna mówić podnieconym tonem). Ten potwór, jej mąż, zastrzelił ją. Na miejscu. Młotkiem zmiażdżył jej twarz - czytałam wszystkie prasowe doniesienia. Porznął ją na części i wsadził do worka. Dla mnie to wygląda na rozmyślne morderstwo. A pan to nazywa wypadkiem? Bez żadnego motywu?

CRUZZI (smaruje bułkę masłem): A jaki „motyw” odpowiadałby pani? Może ten „potwór” był głodny, a ona spóźniła się z kolacją. (Cruzzi często mówi tak, jakby stawał cudzysłów przy jakimś słowie; to objaw rosnącego stetryczenia).

SARA (z niedowierzaniem): Pan naprawdę myśli, że mężczyzna zarząbałby żonę na śmierć tylko za to?

CRUZZI: Przecież był bardzo gwałtowny. To wyszło na jaw w śledztwie.

SARA (gestykulując gwałtownie): A więc kolacja się spóźnia, wobec tego on postanawia zastrzelić i rozczłonkować długoletnią towarzyszkę życia. Pokazać jej, kto jest panem.

CRUZZI: A może spojrzała na niego z ponurą miną? Albo odpyskowała. Albo przypaliła kartofle? Albo zabrakło soli. Albo straciła trzy dolary na jazdę autobusem do Kingston. Pewnie nigdy się nie dowiemy.

SARA (z rozjaśnioną twarzą, jeden palec uniesiony): Ale co, jeśli... jeśli naprawdę miała kochanka... w sekrecie... to nie jest niemożliwe... a on jakoś się o tym dowiedział?

CRUZZI: I pani w to wierzy? Ta wyczerpana do cna kobieta? Jak pani wie, widziałem ją tego samego dnia, kiedy została zabita. Przyniosła mi swoje wiersze do domu.

SARA: Ale były przecież te miłosne wiersze. Pod linoleum. Może...

CRUZZI: W sprawach miłości (ma minę, jakby drwił sam z siebie) muszę przyznać, że wszystko jest możliwe. Powiedziała mi pani właśnie o swojej sytuacji.

SARA: Nie powinnam była.

CRUZZI: Niech się pani nie przejmuję, proszę. Nie wspomnę o tym więcej. Ale Mary Swann i kochanek? Na pewno tego właśnie wiele osób chciałoby się dowiedzieć. Wątek zbawczej namiętności...

SARA (dopowiada): ...w świecie, który składa się głównie z kompromisów.

CRUZZI: Wyobrażam sobie, że nawet Jimroy bardzo pragnie odkryć coś takiego - miłosną aferę Mary Swann. Miałby określoną motywację popelnienia morderstwa. I może ludził się nadzieją, że to właśnie pani mu ją ofiaruje.

SARA (potwierdza skinieniem głowy): Jeśli kiedykolwiek znajdę ten notatnik - a jeszcze nie straciłam nadziei - jeśli go znajdę, to pierwszą rzeczą, jaką zrobię, będzie wysłanie Jimroyowi fotokopii, żeby sam się przekonał, iż nie ma tam nic, nic, co by wskazywało na miłosną aferę...

CRUZZI: Nie sądzę, Saro, żeby pani udało się odzyskać dziennik.

SARA (zaskoczona, zwłaszcza złowieszczym tonem Cruzziego): Skąd pan może mieć pewność?

CRUZZI: Ponieważ... cóż, jednym z powodów, dla których chciałem z panią porozmawiać, było - ale może najpierw proszę mi pozwolić o coś spytać. Dokładnie w jaki sposób zdarzyła się strata dziennika?

SARA (rozkłada ręce, zakłopotana): Właśnie tak jak powiedziałam - jednego dnia go miałam, a następnego już nie.

CRUZZI: Ale gdzie pani go zazwyczaj trzymała?

SARA: Mam taką małą półkę nad łóżkiem. Jakże ja byłam głupia, że wierzyłam...

CRUZZI: I pewnego dnia spojrzała pani na półeczkę, a dziennika nie było?

SARA: Musiałam go przez pomyłkę wyrzucić. Nie był duży, wie pan, i...

CRUZZI: A może ktoś inny go zabrał?

SARA (milczy przez chwilę): Nie. Nikt tego nie mógł zrobić (energicznie potrząsa głową). Nie!

CRUZZI: Dlaczego nie?

SARA: Bo... ktoś by go chciał wziąć?

CRUZZI (rozważając; rozważanie każdej sprawy leży w jego naturze): Jest wiele powodów, żeby... może ktoś był szczególnie zainteresowany dostępem do dziennika Mary Swann. Uczeni bywają chciwi. Albo też dla zwykłej wartości pieniężnej.

SARA: Panie Cruzzi! Nie wiem, czy pana dobrze rozumiem, czy nie. Chyba nie chce pan powiedzieć, że ktoś mógł ukraść ten dziennik?

CRUZZI: Tak. To właśnie chcę powiedzieć.

SARA: Ale to jest (patrzy na niego uważnie, potem się śmieje)... to jest trochę dziki pomysł, proszę wybaczyć, że to mówię.

CRUZZI: Czy według pani wyglądam na wariata?

SARA (zawstydzona): Nie. Oczywiście, że nie. Ja...

CRUZZI: Może na „zdziecinniałego starca”? „Bez piątej kleпки”? „Pomyleńca”? Paranoidalne omamy?

SARA: Panie Cruzzi, zamykam drzwi na klucz. Wie pan, gdzie mieszkam? W południowej części Chicago. Mam potrójne zamki w drzwiach, od frontu i od podwórza. Na parterze mam żelazne zasuwki i myślę o zainstalowaniu...

CRUZZI: Może... może to ktoś, kogo pani zna. Ktoś, kto przypadkiem był u pani i zobaczył...

SARA (śmieje się, ale już nie tak pewnie): Nie mam znajomych o lepszych palcach. Moi znajomi nie daliby dwóch groszy za Mary Swann. Prawda jest taka, iż są śmiertelnie znudzeni, gdy tylko usłyszą, że zaczynam mówić o Mary Swann - zatykają sobie uszy palcami, kiedy zaczynam...

CRUZZI (przerywa jej, mówiąc ze spokojnym skupieniem; to właśnie chciał jej powiedzieć przez cały czas): W wigilię Bożego Narodzenia - czy pani słucha,

Sara Maloney? - do mojego domu w Kingston ktoś się włamał. Wyszedłem z domu na kilka godzin, a kiedy wróciłem - ja także, nawiasem mówiąc, zamykam dokładnie drzwi, nawet w Kingston - a gdy wróciłem do domu, stwierdziłem, że brak pewnych przedmiotów. Ciekaw jestem, czy pani zgadnie, jakich.

SARA (zaniepokojona tonem jego głosu; spokojnie odkłada nóż i widelec): Jakich?

CRUZZI: Po pierwsze, kartoteki odnoszącej się do wydania książki pani Swann oraz...

SARA: Oraz?

CRUZZI: Czterech egzemplarzy „Łabędzich pieśni” - wszystkich, jakie miałem, nawiasem mówiąc. Moja zmarła żona i ja wydrukowaliśmy tylko 250 tomików Mary Swann. Tyle wynosił wtedy normalny nakład w małym wydawnictwie - i ktoś mi mówił, że tylko dwadzieścia z nich jeszcze istnieje.

SARA: To prawda. Jeden z moich przyjaciół, ba, więcej niż przyjaciel... mężczyzna, o którym poprzednio wspomniałam...

CRUZZI: Mężczyzna, którego pani kochała?

SARA (po chwili): Tak. Zajmuje się kupnem i sprzedażą rzadkich książek i powiada, że to normalne, iż książki, zwłaszcza w taniej oprawie, po prostu... (robi gest w górę)... znikają.

CRUZZI: Jestem pewien, iż może pani sobie wyobrazić moją rozpacz, kiedy odkryłem, że książki zostały skradzione.

SARA: Powiada pan...?

CRUZZI: Wszystko inne było nietknięte.

SARA (niedowierzająco kręci głową, nie może sobie wyobrazić, co to znaczy): Ależ to chyba jakiś żart, może ktoś panu zrobił jakiś kawał.

CRUZZI (potrząsa głową): No i naturalnie z myślą o zbliżającym się sympozjum chciałem sięgnąć po „Łabędzie pieśni”, po prostu, żeby sobie odświeżyć pamięć. A ponieważ moje egzemplarze zginęły, spróbowałem w Publicznej Bibliotece w Kingston. A potem w bibliotece uniwersyteckiej. W obydwu miejscach okazało się, że książki, nazwijmy to, „wyparowały”.

SARA (najpierw zszokowana, potem uroczyście, wreszcie z powątpiewaniem): Ale wie pan, biblioteki są ogólnie znane z tego, że przekłada się książki w inne miejsca. Albo system zabezpieczający jest do niczego, a z tymi małymi wandalami wszędzie - to się ciągle zdarza. Nawet na uniwersytecie, gdzie uczę... (przerywa)... w archiwum uniwersyteckim...



CRUZZI (czeka cierpliwie ze splecionymi palcami; przeczuwa już, co Sara powie): Proszę mówić dalej.

SARA: ...nawet tam... no, cóż, znani są z tego, że gubią... nawel wartościowe dokumenty, a bywa, że całe zbiory...

CRUZZI: Jak na przykład zbiór dokumentów dotyczący Mary Swann?

SARA: Skąd pan wie?

CRUZZI: Telefonowałem tam. Kiedy zacząłem podejrzewać, że coś się dzieje.

SARA: Z pewnością...

CRUZZI: Dzwoniłem także do Narodowej Biblioteki w Ottawie, Biblioteki Uniwersytetu w Toronto, na uniwersytet w Manitobie...

SARA (kręci głową nad absurdalnością tej całej sprawy): I zaczyna pan podejrzewać wszechświatowy spisek?

CRUZZI: Widzę... zgaduję z wyrazu twarzy pani... iż wierzy pani tylko w to, że już całkiem oszalałem.

SARA: Ja tylko...

CRUZZI: Niestety, ma pani tak otwartą twarz, że od razu panią zdradza. Spogląda pani na starego człowieka. Jedno oko zezowate na skutek niedawnego wylewu. Skrzekliwy głos. Paplał coś o miłości i o innych rzeczach. Miłość! A teraz to paranoiczne oskarżenie. Akademickie piractwo.

SARA: Ale z pewnością...

CRUZZI: Nie winię pani, że podejrzewa, iż jestem niezrównoważony. Co się dzieje, co za stary osioł ze mnie? - pytałem sam siebie. A potem porozmawiałem z Buswellem.

SARA: Buswellem! Z litującym się nad sobą wrogiem kobiet...

CRUZZI: Tak. Właśnie z nim. Zgadzam się z panią. Ale on może opowiedzieć podobną historię. Jego notatki do artykułu o Mary Swann, a także jego egzemplarz „Łabędzich pieśni” zostały, jak mi oznajmił, zabrane z jego biurka. Mówi, że wyszedł z gabinetu tylko na minutę, a kiedy wrócił...

SARA: To wygląda trochę...

CRUZZI: Dziwacznie? Zgadzam się z panią i tutaj. W gruncie rzeczy dopiero dzisiaj rano, kiedy pani sama oznajmiła o stracie notatnika Mary Swann, zrozumiałem, że to wszystko, w dość niezwykły, żeby nie powiedzieć: w alarmujący sposób, układa się w pewien wzór. Jeśli wie pani coś o rachunku prawdopodobieństwa, szybko się pani zorientuje...

SARA: Trudno jednak zrozumieć, kto mógłby chcieć... i z jakiej przyczyny? (kelner kładzie rachunek na stole i oboje, Cruzzi i Sara, po niego sięgają). Bardzo proszę, panie Cruzzi, niech mi pan pozwoli. Proszę. To była dla mnie taka przyjemność (zostawia na tacce należność i wstaje).

CRUZZI (wstaje sztywno; to, co mówi, jest także dość sztywne, jakby niezręcznie tłumaczył wyrazy): Ja jednak myślę, że dla pani nie była to przyjemność. Przekazałem pani moje własne kłopoty i za to panią przepraszam. Ale mam uczucie, że rzeczy już zaszły za daleko. I że coś trzeba będzie...

Sara wychodzi z kawiarni, idąc powoli obok Cruzziego. KAMERA prowadzi ich do hotelowego hallu; widać, że rozmawiają, ale słowa giną w ogólnym gwarze przechodzących obok; zagłusza je też MUZYKA: wirująca melodia fisharmonii, zawierająca element niepokoju. Przystają, czekając na windę, gestykują, naradzają się, kręcą głowami; jedna z wind się otwiera, wchodzi do środka.

Przejście: Wnętrze innej, identycznej windy. Ten sam czas. Jimroy sam w windzie. Drzwi się otwierają i żywym krokiem wchodzi do niej Rose Hindmarch.

JIMROY: O, panna Hindmarch. Jak się pani podoba sympozjum?

ROSE (śmieje się): O, proszę mówić mi Rose. Pamięta pan - Rose.

JIMROY: Rose. Oczywiście.

ROSE: Och, jest wspaniale. Wszyscy są tacy sympatyczni i przyjaźni, no, może nie wszyscy (krzywi się lekko, myśląc o Buswellu).

JIMROY: Myślę, że popołudniowa sesja też będzie dla pani interesująca. Kilka prelekcji na różne...

ROSE (nerwowo): Nie sądzi pan chyba, że jesteśmy spóźnieni? Poszłam na górę do pokoju odpocząć chwilę po lunchu. Nie czuję się ostatnio zbyt dobrze, a teraz jeszcze tyle nowych twarzy, cóż, to trochę męczące. I ta cała podróż z Kingston, no i windy - w windzie zawsze mam takie śmieszne sensacje w brzuchu. Miałam zejść schodami, ale bałam się spóźnić.

JIMROY: Tak, takie zebrania mogą człowieka zmęczyć. (Winda staje, drzwi się otwierają, Jimroy uprzejmie puszcza Rose przodem, idzie za nią, mijają właśnie gablotę z wystawą, gdzie była fotografia Mary Swann, gdy Rose chwytą nagle Jimroya za ramię).

Uwaga reżysera: pod dotknięciem Rose Jimroy musi się wzdygnąć. Ważne jest, by aktor grający tę rolę wyraził twarzą i całym ciałem, że dotknięcie Rose budzi w nim wstręt, i dał do zrozumienia, iż fotografia Mary Swann w nieokreślony sposób także mu zagraża.

ROSE (gadatliwa jak dziewczynka): Jest tutaj! Nie ciekawi pana, co ona by myślała o tym całym zamieszaniu? Chybaby się przewróciła z wrażenia, widząc... (KAMERA zatrzymuje się na zdjęciu Mary Swann).

JIMROY (stara się być towarzyski, bierze się w garść): To ładnie z pani strony, że przywiozła pani tę fotografię, panno Hindmarch. Rose. Niektórzy lubią mieć rzeczywisty wizerunek, żeby wzmocnić... (Jego zachowanie sugeruje, że on do tych ludzi nie należy).

ROSE: Och, niestety, to straszna, straszna podobizna. Nieostra. Widzi pan, no i za dużo słońca; to cały kłopot z tymi starymi aparatami fotograficznymi, nie było przysłony...

JIMROY (mówi cokolwiek, żeby tylko Rose zamilkła): No cóż, powiadam, i tak to wielkie szczęście, że jest choć taka kiepska podobizna. Nie sądzę, żebyśmy mogli spodziewać się...

ROSE (nagle zbiera się na odwagę, korzystając z okazji): Panie Jimroy! Mortonie. Jest coś, o co - jeśli pan pozwoli - o co chciałabym pana zapytać.

JIMROY (wskazuje na otwarte drzwi sali konferencyjnej, gdzie słuchacze zaczynają się gromadzić na popołudniowej sesji): Może moglibyśmy porozmawiać trochę później (sprawdza zegarek), już czas na następną...

ROSE (nie pozwala mu uciec): To tylko, hm, nie chcę być niegrzeczna, ale widzi pan, jest coś, o czym chciałabym panu powiedzieć. Od czasu pana wizyty w Nadeau chciałam... raz już nawet zaczęłam do pana pisać list...

JIMROY (z bolesnym wyrazem twarzy): Obawiam się, że jednak się spóźniemy, jeśli zaraz...

ROSE (nie dając mu spokoju): Pamięta pan, jak pan przyjechał do Nadeau, chciał pan zobaczyć, koniecznie chciał zobaczyć wszystko, interesowała pana nawet najmniejsza drobnostka?

JIMROY: Niezwykle przyjemna wizyta, jak pamiętam. Bardzo interesująca. Ale teraz rzeczywiście musimy...

ROSE: Och, rozmawialiśmy i rozmawiali. Pamiętam, że pytał pan o wszystko, co...

JIMROY: Zdaje się, tak, mieliśmy bardzo interesującą...

ROSE: Zaprosił mnie pan na obiad. Do hotelu „Elgin”, pamięta pan? Zamówiliśmy podwójną porcję kotletów wieprzowych. Z sosem jabłkowym. Nigdy tego nie zapomnę. Tego wieczoru. Ale pamięta pan, następnego dnia, jestem pewna, że pan pamięta, kiedy przyszedł pan zwiedzić muzeum, Salę Poświęconą

Pamięci Mary Swann, i o to właśnie chcę pana zapytać... Mortonie.

JIMROY (jeszcze raz usiłuje się wyrwać): Fascynująca wystawa. Przynosi chlubę pani miastu, tak. Może moglibyśmy pogawędzić później, ale teraz...

ROSE (uparcie): Pokazywałam panu dwie fotografie Mary Swann, te, które znaleziono w szufladzie komody po jej... Pamięta pan? Były tam dwie...

Głos Willarda Langa dobiega z sali konferencyjnej.

LANG: Panie i panowie, otwieram sesję popołudniową i...

JIMROY: Naprawdę bardzo się boję, że... nie chciałbym opuścić... (wykonuje bezradny gest w kierunku drzwi).

ROSE: Była tam wtedy ta fotografia, co jest tutaj (wskazuje na gablotę), ale była jeszcze druga. Znacznie lepsza podobizna. Nie tak zamazana. Oczy, oczy miała pani Swann szeroko otwarte, pamięta pan? Pan ją wziął i powiedział, że w jej oczach widać wrażliwość. Czy pamięta pan, panie Jimroy, jak pan ją wziął?

JIMROY: Chyba nie. Doprawdy nie pamiętam, żeby tam była inna - i z pewnością nigdy jej nie brałem.

ROSE: Ale to prawda, pamiętam takie rzeczy. Ludzie zawsze mówią, że mam dobrą pamięć. Jak aparat fotograficzny! Podniósł pan to zdjęcie i...

JIMROY (bez powodzenia próbuje ją obejść): Proszę mi pozwolić. To rzeczywiście...

ROSE: ...a potem, zaraz następnego dnia, kiedy weszłam na salę... oprowadzałam gromadkę uczniów i...

JIMROY (tępo, z rozpaczą): Proszę panią!

ROSE: ...i właśnie miałam im pokazać te dwie fotografie, ale jednej brakowało. Tej dobrej, z otwartymi oczami. Zniknęła, panie Jimroy. A teraz - ogromnie mi przykro to mówić, ale fakt jest faktem, pan był ostatnią osobą, która... (łapie oddech) i myślę, że byłoby uczciwie, gdyby pan...

JIMROY: To oburzające! (Mówi głośno, nie tylko do Rose, ale do Wesółych Oczu i Płaczliwego Grymasu, którzy właśnie przyszli spóźnieni i ramię w ramię wyszli z windy, a w sekundę potem za nimi także Sara i Cruzzi). Nie po to przyjechałem tutaj aż z Kalifornii, panno Hindmarch, żeby słuchać tego... tych bredni przyćmionego umysłu.

ROSE: Och! (zakrywa twarz rękami)... Och! (na słowo: brednie wybucha płaczem i biegnie do drzwi z napisem EXIT, prowadzących na klatkę schodową, po omacku popycha drzwi i znika).

JIMROY (rozkłada ręce i wzrusza ramionami, zwracając się do Wesółych Oczu, Płacziwego Grymasu, Sary i Cruzziego, którzy stoją przed nim zakłopotani i oszołomieni): Nieszczęsna istota. Najwyraźniej jest chora. Bardzo chora. Wpływ stresu.

Nie jestem pewien, czy nie jest... (krzywi się)... boję się, że nie jest całkiem przy... (Znacząco stuka się w czoło).

Sara otwiera usta ze zdumienia. KAMERA zbliża jej twarz.

Sara obserwuje zachowanie Jimroya, który jest niemal na granicy hysterii. Jej wzrok spotyka się ze spojrzeniem Cruzziego. Z sali ponownie dochodzi głos Langa.

LANG: A więc, jeśli zechcą państwo zająć miejsca, rozpoczniemy od...

Uwaga reżysera: kilka następnych UJĘĆ jest fragmentarycznych; ich celem nie jest rozwinięcie tematu filmu ani przyśpieszenie akcji - mają sugerować upływ czasu. Sympozjum wchodzi w drugie stadium; atmosfera jest chłodna, robocza, poważna, niekiedy nawet ciężka; twarze aktorów muszą oddawać tę zmianę nastroju.

Zmiana planu: wewnątrz sali konferencyjnej. Popołudnie. Krawat w Niebieskie Kropki stoi na podium, zwijając swoją pracę zatytułowaną „Regionalne odniesienia w wierszach Mary Swann”.

KRAWAT W NIEBIESKIE KROPKI: Podsumowując przeto główne punkty mojej tezy - nieokreślona natura odniesień geosocjologicznych w świecie Mary Swann, mityczne i biblijne implikacje nazw, miejsc i aluzji...

Przejście: Wnętrze małej sali seminaryjnej. Popołudnie. Obrady warsztatowe w toku. Ośmioro mężczyzn i kobiet siedzi wokół stołu. Dyskusję prowadzi Kobieta w Turbanie.

KOBIETA W TURBANIE: ...chciałabym serdecznie podziękować wszystkim państwu za udział, a szczególnie profesorowi Herbertowi Blockowi, który był tak uprzejmy i podzielił się swoimi myślami dotyczącymi postmodernistycznej interpretacji „Wodnych wierszy” Mary Swann (grzeczne okłaski) i...

Przejście: Wnętrze sali konferencyjnej. Późne popołudnie.

PAN Z PODGARDLEM JAK U INDYKA (na mównicy): ...i bardzo przepraszam, że przekroczyłem limit czasowy, ale chciałem wszystkim państwu podziękować za tak entuzjastyczne przyjęcie mojej... niestety, już muszę kończyć. Dziękuję (okłaski).

Przejsście: wewnątrz sali restauracyjnej LaSalle. Wczesny wieczór. Uczestnicy sympozjum w koktajlowej atmosferze wymieniają uwagi i poglądy. Brzęk kie-liszków, w szklankach dzwoni lód. Niewyraźne rozmowy.

ZADUMANA POSTAWA: ...niezły dzień, razem wzięwszy...

KOBIETA W TURBANIE: ...choć właściwie przyjechaliśmy tu dla wierszy miłosnych...

MEŹCZYZNA Z NIEBYWAŁĄ FRYZURĄ AFRO: Wiersze miłosne, ha! Go-tów jestem zjeść mój krawat, jeśli Lang...

RUDY KUCYK: ...pęka mi głowa...

ZMARSZCZONE CZOŁO: ...była drobnostka zakłócona jego uwagami doty-czącymi...

PANI O PTASIM WYGLĄDZIE: ...jaskrawo seksualny...

ZIELONY TWEEDOWY KOSTIUM: Ciach, ciach!

RUDY KUCYK: Jezu, tu aż gęsto od dymu, trzeba...

KOBIETA W JASNYCH ZAMSZOWYCH BUTACH: ...i ten hałas...

SREBRNE SPINKI: ...przepraszam, nie zrozumiałem...

Gwar wzrasta - głośny, niewyraźny, ogłuszający.

Przejsście: Wnętrze sali bankietowej. Wieczór.

Jest już po obiedzie; filiżanki po kawie w nieładzie na biało nakrytym stole. Uczestnicy sympozjum odprężeni siedzą na swoich miejscach, niektórzy palą, huśtają się na krzesła, tylko część uważnie słucha prowadzącego sesję. Rose Hindmarch ubrana w jaskrawoczerwoną suknię z koronki siedzi między Cruzzim a Sarą (w ciemnozielonej jedwabnej sukni z koronkowym kołnierzem).

LANG (u szczytu stołu): ...pierwszy dzień obrad minął dla nas nie bez korzy-ści. Drodzy państwo, zanim się rozejdziemy, pragnę jeszcze tylko przypomnieć, że jutro spotykamy się punktualnie o dziewiątej trzydzieści na sesji poświęconej miłosnym wierszom Mary Swann. Dziękuję.

Uczestnicy zjazdu zaczynają wstawać od stołu. Szurgot odsuwanych krzeseł, nawiązują się spontaniczne rozmowy. Tłum splywa w korytarz i rozprasza się. MUZYKA: mocna, liryczna.

Przejsście: wewnątrz hotelowego korytarza między gablotą z wystawą a rzędem wind. Wieczór. Tłum się przersedza; bezustanny gwar rozmów; gdy ludzie wchodzą do wind, mówią sobie „dobranoc” i znikają. Mała grupa stoi przed gablotką z wystawą.

ROSE: No, mam dosyć na dzisiaj. Jestem zmęczona jak pies, nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się czułam.

KOBIETA W TURBANIE: Dobra, jutro rano trzeba wcześniej wstać.

WESOŁE OCZY: Może ktoś ma ochotę na kieliszek przed spaniem? Mam trochę dżinu w pokoju i -"drobinę...

KRAWAT W NIEBIESKIE KROPKI: Nie mam nic przeciwko temu. A pan, panie Cruzzi?

CRUZZI: Ech, no cóż, może na jeden...

ZADUMANA POSTAWA: Czemu nie?

ZMARSZCZONE CZOŁO: Naprzód!

SARA (do Wesołych Oczu, Krawatu w Niebieskie Kropki i innych): Dobranoc.

CRUZZI (stukając w gablotkę): Dobranoc, pani Swann.

SARA (wyciąga rękę do Cruzziego): Dobranoc. Cieszę się, bardzo się cieszę, że mogliśmy porozmawiać. I z panią, Rose.

Dobranoc.

Uwaga reżysera: Zebrani podają sobie ręce na dobranoc, zaraz rozejdą się każdy w swoim kierunku. Zmiana nastroju; narasta napięcie. MUZYKA: napływa powoli, połączenie instrumentów smyczkowych i organów. Frederic Cruzzi, Rose i inni wchodzą do wind i znikają, Sara zostaje sama w korytarzu. Jej dłoń wędruje w kierunku przycisku od windy, ale waha się i zawisa niepewnie w powietrzu. Na twarzy Sary wyraz napiętej koncentracji, dłonią najpierw dotyka warg, potem salutuje w kierunku gablotki.

SARA (cicho szepcze): Dobranoc, Mary Swann. Śpij... mocno.

Zmiana planu: wewnątrz tego samego korytarza. Zbliży się północ, korytarz pogrążony w zupełnej ciemności. MUZYKA: klarnet altowy, bardzo cicho. Całkowita ciemność nieco się rozjaśnia. Światło rzucają czerwone napisy EXIT nad schodami, a także podświetlona tablica nad rzędem drzwi do wind. Część tego przyćmionego światła dociera do szyby w gablotce, połyskując na ukośnych brzegach. DŹWIĘK: klarnet do wyciszenia, zalega kompletna cisza, trwa kilka chwil, potem mąci ją lekki szmer. Drzwi na klatkę schodową, nad którymi widnieje napis EXIT, otwierają się i jakaś męska postać szybko się przez nie wślizguje. Jest widzialna tylko w zarysach. KAMERA chwyta sylwetkę mężczyzny, kiedy szybko i spokojnie zbliży się do gablotki, oglądając się przez ramię jak kot. Z kieszeni wyjmuje dwa lub trzy małe kluczyki i zaczyna majstrować przy zamku gablotki. Pierwsza próba się nie udaje; bierze scyzoryk i dłubie nim w zamku.

Ostry dźwięk wyłamanego zamka i wierzch gablotki jest otwarty. W tej samej chwili, gdy włamywacz sięga po fotografię, promień światła pada nagle na niego, tak że wzdryga się ze zdziwienia.

SARA (z latarką w ręku wynurza się zza automatu, w którym można kupić kawę. Promień światła zatrzymuje się na ramieniu mężczyzny, który je podniósł, usiłując zasłonić twarz. Głos Sary jest drżący, ale stanowczy): Halo, panie Jimroy! Tak myślałam, że pana tu znajdę.

Intruz podskakuje, pozwalając pokrywie gabloty ciężko opaść.

Szyba pęka. Mężczyzna biegnie w stronę schodów, ścigany przez Sarę, która ma trudności z utrzymaniem promienia latarki wprost na uciekającym.

Sara goni go, ale dobiegając do schodów, widzi już tylko plecy w uniformie hotelowego pracownika, znikające w dole schodów. Wraca do gablotki, i wtedy w świetle jej latarki ukazuje się postać Mortona Jimroya, który plecami przywarł do ściany obok drzwi prowadzących na salę konferencyjną. OŚWIETLENIE poprawia się trochę, ale tylko dlatego, że oczy stopniowo przywykają do ciemności. Sarę aż zatyka ze zdumienia na widok Jimroya.

JIMROY (ręce skrzyżował na piersi, mówi z przekąsem): Proszę, proszę, doktor Maloney. Grasuje po korytarzu. I to z latarką, jak widzę. Prawdziwa harcerka na patrolu.

SARA (ogłąda się na drzwi): A co pan tutaj robi, panie Jimroy, jeśli wolno spytać?

JIMROY: To samo, co pani, jak zgaduję. Strzegę (wskazuje na gablotkę) naszej wysokości kapłanki przed złodziejami i łobuzami.

SARA: Kto...? (jest wstrząśnięta i zmieszana). Kto to był?

JIMROY: Niestety, nie widziałem jego twarzy. Nie byłem wyposażony w podręczną latarkę.

SARA (podnosi latarkę): Pożyczyłam ją w recepcji (śmieje się nerwowo). Powiedziałam im, że... boję się ciemności. Kto to był?

JIMROY: Wyglądał na kogoś ze służby hotelowej. A przynajmniej miał na sobie takie ubranie. Wnoszę z pani... z pani wybuchu, że... sądziła pani, iż to ja posługuję się narzędziami włamywacza.

SARA: Czy nie uważa pan, panie Jimroy, że chociaż raz mógłby pan zwracać się do mnie normalnym tonem? Nie tak przesiąkniętym jadem.

JIMROY (nadal tym samym, sardonycznym tonem): Byłem niemal pewien, że słyszę moje nazwisko rozbrzmiewające w ciemności. Cóż, nie muszę pytać, kto zasiał te brzydkie nasiona podejrzeń w pani umyśle. Przypuszczam, że nasza



droga panna Hindmarch rozsiewa swoje oszczercze opowiadki. Które są bezpodstawne - pozwolę sobie powiedzieć.

SARA: Pan był w Nadeau. Pokazywała para zdjęcie - mówiła mi o tym. Zniknęło tego samego dnia. Nie roszczę sobie prawa, żeby rozumieć, do czego pan zmierza, ale... całe mnóstwo rzeczy znika... o czym pan dobrze wie, jak sądzę.

JIMROY: Nie wyłączając, jeśli mogę pani przypomnieć, mojej własnej teczki. Podczas przerwy w dostawie prądu wczoraj wieczorem.

SARA: Widocznie ktoś... w zamieszaniu...

JIMROY (przerywa ze stanowczością): Czy pani wie, co było w tej teczce? Powiem pani. Notatki do mojego wykładu. W porządku, notatki nie są takie ważne. Przywykłem do przemawiania bez notatek. Ale miałem ze sobą także mój egzemplarz „Łabędzich pieśni”. I nie muszę pani mówić, że był to mój jedyny egzemplarz. Może pani sobie wyobrazić mój... żal.

SARA (mięknie): Bardzo mi przykro z tego powodu. Naprawdę. Ale jeśli chodzi o fotografię, tę drugą fotografię...

JIMROY: Czy nie zechciałaby pani łaskawie przestać świecić mi w oczy? Pani postępowanie na wzór panny Marple jest o wiele mniej gładkie niż pani... listy.

SARA: Czy pan nie zechciałby łaskawie przestać zwracać się do mnie oskarżającym tonem? Czy znalazł się choć raz ktoś, kto by panu powiedział, że ten ciągły sarkazm może być obraźliwy?

JIMROY (który zawsze bierze poważnie każde pytanie): Moja żona.

SARA: Pana żona?

JIMROY: Moja była żona - powinienem powiedzieć. Codziennie się na to skarżyła. Sarkazm.

Przejdźcie: wewnątrz klatki schodowej. W tym samym czasie.

Schody są słabo oświetlone, panuje cisza jak makiem zasiał. Po chwili słychać coraz bliżej powolne kroki, ktoś z trudem wchodzi na schody. KAMERA ukazuje wchodzącą po schodach Rose Hindmarch, wciąż w czerwonej, wieczorowej sukni. Oddycha z trudem, trzyma się poręczy, co pewien czas odpoczywa. Raptem słyszy kroki, ktoś szybko zbiega z góry po schodach. Jej zmęczenie zamienia się w strach, zatrzymuje się, nasłuchuje, a potem przyciska się płasko do ściany w cieniu. Kroki zbliżają się coraz bardziej.

INTRUZ (ukazuje się, jest zaskoczony widokiem Rose skulonej przy ścianie):  
Co...?

ROSE (z pewną ulgą na widok uniformu służby hotelowej): Byłam właśnie...

INTRUZ (próbując ją wyminąć): Przepraszam panią.

ROSE: Wielkie nieba! Skąd - czy pan nie jest...?

INTRUZ (znowu próbuje wyminąć Rose): Spieszę się, przepraszam.

ROSE: Ale... ja chyba pana znam? Wygląda pan jak... Jestem Rose. Z urzędu miejskiego. W Nadeau. Czy to nie pan był?

INTRUZ: Przykro mi, ale nie znam pani.

ROSE (cofając się): Chyba że... może się myłę.

INTRUZ: Chyba tak. Ja nigdy nie...

ROSE: Mógłby pan być jego bliźniakiem, wie pan? Niedawno kupił farmę w naszej okolicy... Mówi, że ta farma to jego konik. Podobny do pana jak dwie krople wody.

INTRUZ: Przepraszam, mam robotę.

ROSE: Czuję się jak idiotka. Zawsze pamiętam twarze. Jeśli idzie o nazwiska, to mam kłopoty.

INTRUZ: Niestety, muszę już... (udaje mu się przejść obok Rose, biegnie dalej na dół, przeskakując po dwa stopnie naraz).

Rose wzrusza ramionami, nic nie rozumiejąc, potem idzie dalej na górę. Na osiemnastym piętrze otwiera drzwi na ciemny korytarz i widzi stojące w cieniu dwie postaci, z których jedna trzyma latarkę. Przeciera oczy ze zdumienia, wciąż dysząc po wysiłku. Drżącym głosem wykrzykuje.

ROSE: Kto tam? Czy ktoś tu jest?!

SARA: To ja, Rose, Sara. I Morton Jimroy.

ROSE: Na litość boską! Co państwo tu robią?

SARA: Wszystko w porządku, Rose.

ROSE (widząc stłuczoną gablotkę): Wiedziałam! Wiedziałam! Wróciłam do mojego pokoju i miałam się już położyć, ale pomyślałam... (rzuca w stronę Jimroya urażone spojrzenie)... że nie ufam temu...

JIMROY: Wielki Boże, ona gotowa zacząć wszystko od nowa!

ROSE: ...więc powiedziałam sobie: pójdę i zobaczę, czy wszystko jest bezpieczne w tej gablotce. Pojechałabym windą, ale mój żołądek zawsze... no więc wszłam po schodach aż tutaj... i oczywiście, on tu jest. Wiedziałam, że powinienam była zaraz to z nim załatwić, kiedy ta druga fotografia...

SARA: Posłuchaj, Rose...

JIMROY: Jest coś takiego jak etyka zawodowa, wie pani. (Do Sary): Proszę, może pani zechce wyjaśnić pannie Hindmarch, że...

ROSE: ...od razu tego dnia, jak zginęła. Powinam była coś zrobić, może wezwać policję, ale ja...

SARA: Rose, pan Jimroy mówi, że tego nie...

ROSE: ...i jeszcze mówi, że ja brodzę. Brodzę, kiedy ja tylko chciałam dostać z powrotem to zdjęcie.

JIMROY (ze zgrozą, niecierpliwie): ...bredzi i brodzi, dobry Boże!

ROSE (nie zwraca uwagi): Dla muzeum. Muzeum dla mnie znaczy strasznie dużo, naprawdę.

JIMROY (zmęczony): Jak na jeden dzień to naprawdę za wiele.

SARA: Rose, właśnie rozmawialiśmy tutaj oboje i...

ROSE (łapie fotografię z rozbitej gablotki i wsadza ją pod pachę): Będę ją trzymać dziś w nocy w moim pokoju.

SARA: Rose, posłuchaj wreszcie! To ktoś inny włamał się do gablotki. P... pan Jimroy i ja... tak się złożyło... byliśmy tutaj, kiedy...

ROSE: Muszę pamiętać o muzeum (trzyma kurczowo fotografię). Tylko ja jestem za nią odpowiedzialna.

SARA: Ależ tu był ktoś inny. Może pani widziała... na schodach, dopiero co. Czy pani kogoś widziała? Mężczyznę?

ROSE (spokojniej): Kogoś z hotelowej obsługi. Ale było tak ciemno, że... Nie widziałam go dobrze. Myślałam...

SARA: Widzieliśmy, jak się włamywał do gablotki. Jeszcze minuta, a...

ROSE: Mężczyzna z obsługi hotelowej w hotelu „Harbourview”? Po cóż by mu była? Wciąż myślę... (patrzy na Jimroya).

JIMROY: Ja nie mam zwyczaju...

SARA: To ktoś inny, Rose. Wszyscy nagle zaczynają coś gubić. Rozmawiałam z Frederickiem Cruzzim i wygląda na to, że różnym ludziom coś zginęło...

JIMROY: Nie wyłączając, jeśli mogę przerwać, mnie samego. Pamięta pani, jestem pewien, że moja teczka została skradziona już tutaj, w hotelu. A były tam jeszcze inne rzeczy.

ROSE: Myślałam (zdziwiona, nie rozumiejąc)... naturalnie myślałam...

SARA: Frederic Cruzzi uważa - długo o tym rozmawialiśmy - uważa, że te wszystkie znikające przedmioty jakoś się ze sobą wiążą. To się może wydawać naciągane, ale...

JIMROY: Niestety, ja mam już na dziś dosyć. Chciałbym powiedzieć paniom dobranoc. Ten dzień był stanowczo za długi (rzuca nienawistne spojrzenie na Rose i naciska przycisk do windy).

SARA: Może powinniśmy wszyscy jutro o tym porozmawiać.

Zobaczyć, czy nie moglibyśmy rozwiązać...

ROSE: Kiedy ja wciąż nie rozumiem, dlaczego...

SARA: Nikt z nas nie rozumie, Rose.

JIMROY (kiedy winda jest już na miejscu): Do jutra.

Sara wzrusza ramionami i spogląda na Rose, która także wzrusza ramionami.

Zmiana planu; wewnątrz pokoju hotelowego Sary. Północ. Sara siedzi w łóżku i czyta książkę. W jednej ręce trzyma ołówek i od czasu do czasu zaznacza coś na marginesie. Świeci się tylko lampka nocna na stoliku. Czytanie przerywa Sarze pukanie do drzwi.

SARA (wychodzi z łóżka i z wahaniem podchodzi do drzwi): Kto tam?

ROSE: Ja. Rose. Rose Hindmarch.

SARA: Rose? (natychmiast otwiera potrójny zamek i zdejmuje łańcuch). Rose!

ROSE: Można? Tylko na minutkę? (ma na sobie piżamę, szlafrok przepasany paskiem i nocne pantofle, a w rękę trzyma fotografię).

SARA: Proszę, Rose. Siadaj.

ROSE (wchodzi i siada ostrożnie na nie zajęty łóżku): Jestem... Nie wiem, od czego zacząć... Wróciłam do mojego pokoju i po prostu... po prostu zaczęłam... okropnie się czegoś przestraszyłam. Cała się trzęsłam, wiesz. Nie wiem, czego się tak boję (trzyma zdjęcie Mary Swann w wyciągniętej ręce).

Patrzyłam na to zdjęcie, na nią, i naraz zaczęłam się śmiertelnie bać. Jej. (Do oczu Rose napływają łzy). I jestem tak strasznie zmęczona, że nie wiem, co mam zrobić.

SARA (wyciąga rękę po zdjęcie): Chcesz, żebym je tu zatrzymała, Rose? Na noc?

ROSE: Mogłabyś?

SARA: Zaopiekuję się nią (zanosi zdjęcie na komódkę i tam je stawia, opierając o ścianę). Słuchaj, Rose, może zostaniesz i prześpisz się tutaj. Jest wolne łóżko, masę miejsca, zaśniesz raz-dwa (energicznie przygotowuje drugie łóżko dla Rose). No dobra, chodź. Tu będziesz lepiej spała. Okej? Dlaczego nie?

ROSE: Nie powinnam... (bierze w rękę pasek od szlafroka)... Jesteś pewna, że... na pewno nie będzie ci to przeszkadzało? Moje nerwy są w takim stanie...

SARA: Kładź się (okrywa ją). Tak. Dosyć ciepło?

ROSE: (odpręża się): Świetnie. O wiele lepiej.

SARA: Rano wszystko będzie inaczej wyglądało (kładzie się w swoim łóżku i gasi światło).

ROSE: Moja matka zawsze tak mówiła. Chyba matki zawsze tak mówią.

SARA (ziewa): I to przeważnie prawda.

ROSE: Chyba to dlatego, że...

SARA (prawie zasypia): Dlaczego, Rose?

ROSE: Hm, w nocy jesteśmy... (ziewa). Czujemy się najbardziej... samotni. Przynajmniej ja tak się czuję.

SARA: Ja też się teraz tak czułam. Zanim zapukałaś do mnie. (Oddycha głęboko, prawie już śpi).

ROSE: A ja się czuję samotna... prawie zawsze (zasypia).

Zmiana planu: pokój Sary w godzinę później. Obie kobiety śpią. Twarz Rose ma wyraz niezwykłego uszczęśliwienia. Twarz Sary jest bardziej zatroskana, a ona sama zwinęta w kłębek.

Pukanie do drzwi stopniowo ją budzi, prostuje się i wstaje, wkłada szlafrok i podchodzi do drzwi. Rose śpi.

SARA (przez drzwi, zaspanym głosem): Tak? Kto to?

CRUZZI (cicho): Frederic Cruzzi.

SARA (otwiera zamki i zdejmuje łańcuch): O, halo! (patrzy na niego ze zdziwieniem).

CRUZZI: Mam nadzieję, że pani nie spała. (Widzi, że jednak spała, kątem oka zauważa, że ktoś śpi na drugim łóżku).

Proszę mi wybaczyć. Skorzystałem z okazji...

SARA: Nic nie szkodzi. Proszę wejść. Właściwie, która to godzina?

CRUZZI (patrzy na zegarek): Pierwsza po północy. Zupełnie niewłaściwa godzina na składanie wizyt, ale... (przystaje i spogląda niepewnie na drugie łóżko).

SARA: To Rose. Dotrzymuje mi towarzystwa.

ROSE (słyszy swoje imię i otwiera oczy): O, pan Cruzzi!

CRUZZI: Chciałem pani powiedzieć...

SARA: Proszę (podsuwa mu fotel). Niech pan siada (wchodzi z powrotem do łóżka i podciąga koldrę na kolana).

CRUZZI: Sądzę, że równie dobrze mogłem z tym poczekać do jutra, ale... byłem na dole w hallu i rozmawiałem z kilkoma osobami. Z panią profesor Croft i z tym jegomościem, Kramerem, a także z tym, jak-on-się-nazywa, ten, co ma krawat w niebieskie kropki?

SARA (rozbudzona, z uwagą): I co?

CRUZZI: Rozgorzała tam dyskusja - o tej porze wszyscy byli już dobrze zawiązani - dyskusja na temat interpretacji „Wodnych wierszy”, dokonanej przez Błocka. Nie wiem, czy pani przy tym była...

SARA: Słyszałam o tym...

ROSE (siada na łóżku i sięga po okulary): On uważa...

CRUZZI: Nie miałem jasnego poglądu co do jego teorii. Uważa, że te wiersze są oczywistą reakcją na jakieś zdarzenie, a nie symboliczne, w każdym razie coś w tym rodzaju... (wyraża gestem zniecierpliwienie)... a potem ktoś inny, ten dżentelmen z takimi włosami (unoszą ręce, żeby opisać fryzurę afro), zaproponował, żeby rozstrzygnąć spór, porównując interpretację z tekstem.

SARA: I?

CRUZZI: Krótko mówiąc, okazało się, że nikt nie ma tekstu. Było nas tam dziesięć czy dwanaście osób i nikt nie miał egzemplarza „Łabędzich pieśni”. Profesor Croft, z Tulane, pamięta ją pani, poszła do pokoju, żeby przynieść swój egzemplarz, ale po kilku minutach wróciła, mówiąc, że nie może go znaleźć. Była trochę... mówiąc prawdę, była wściekła. Dostała ataku hysterii. Kramer, dżentelmen w krawacie w niebieskie kropki, i inni, ten z włosami, wszyscy

przyznali się, że ostatnio stwierdzili brak swoich egzemplarzy.

ROSE (całkiem już rozbudzona): Ha, mnie się zdarzyło to samo. Miałam ten tomik, był zniszczony, prawie się rozpadał, miałam go na półce w magazynie, w mojej przegródce, a kiedy zaczęłam szukać...

SARA (do Cruzziego): A co potem?

CRUZZI: No cóż, temperatura emocji zaczęła rosnać. Oczywiście, jak mówiłem, wszyscy byli dobrze wstawieni, i wtedy właśnie pomyślałem, że zobaczę, może pani nie śpi, i powie, co o tym myśli.

SARA: Oczywiście wygląda to tak, jak gdyby... (urywa, słysząc pukanie do drzwi). Kto to może...?

ROSE (wesół): Dworzec Centralny!

SARA (znowu odsuwa zamki, ale nie zdejmuje łańcucha; uchyla drzwi na szerokość cala i wygląda): Pan Jimroy! Morton.

JIMROY: Bałem się, że może pani już poszła spać (ma na sobie pogniecioną piżamę, a na to marynarkę od garnituru).

SARA: Mówiąc prawdę...

JIMROY: Czy mogę wejść? Tylko na chwileczkę.

SARA (szerokim gestem pokazuje, żeby wszedł): Chce pan wziąć udział w naszym nocnym przyjęciu?

CRUZZI (chłodno): Dobry wieczór, Jimroy.

ROSE (z łóżka z niezadarnym ukłonem): Halo, znów się widzimy!

JIMROY (zbołałym głosem): Widzę, że przeszkodziłem...

SARA: Ależ nic podobnego. Proszę, niech pan siada (zdejmuje szlafrok Rose z krzesła przy biurku, robiąc miejsce).

Uwaga reżysera: Tę scenę, w której cztery główne postacie próbują zebrać razem swoje poszczególne tropy, można grać z lekkim parodystycznym zacięciem.

JIMROY: Przyszło mi na myśl coś, co, jak sądzę, mogłoby zaciekawić i państwa. Było to już potem, jak pożegnaliśmy się przy windzie. Nawiasem mówiąc (rozgląda się dokoła), to ściśle poufne.

CRUZZI: Naturalnie.

ROSE: Oczywiście.

SARA: Potem, jak się pożegnaliśmy? (ponaglająco).

JIMROY: Wróciłem do swojego pokoju i, jak państwo widzą, miałem się już położyć. Ale, nie wiadomo dlaczego, nie mogłem zasnąć.

ROSE: Zupełnie tak jak ja! Cała w nerwach.

CRUZZI: Wszyscy mamy za sobą dzień pełen wrażeń.

JIMROY (zirytowany, że mu przerywają): W każdym razie zacząłem rozpatrywać wszystko, co się zdarzyło w ciągu dnia, i kilka klocków w tej układance zaczęło do siebie pasować.

CRUZZI: W pewien „wzór”, mniej więcej.

JIMROY: Mniej więcej. Zacząłem się zastanawiać, czy - i to może panią zdziwi, Saro (gdy wymawia jej imię, głos mu się łamie, jakby sprawdzał jego sens) - ale zacząłem się zastanawiać (pauza), czy ten notes, ten notatnik Mary Swann, który, jak pani mówiła, zginął...

SARA: Tak?

JIMROY: Hm, ryzykując, że to zabrzmiało... zabawnie... zastanawiam się, czy przyszło pani kiedyś na myśl, że ten notatnik mógł zostać...

ROSE (podskakując): Skradziony!

JIMROY: Tak właśnie pomyślałem.

SARA (uśmiechając się do Cruzziego): Co za zbieg okoliczności! Ta sama myśl nasunęła się panu Cruzziemu.

JIMROY (jakby ktoś z niego wypuścił powietrze): Och!

CRUZZI: Rzeczywiście wygląda na to, że pasuje...

ROSE: Do wzoru!

JIMROY: Mary Swann znalazła się w niezwykle osobliwej sytuacji. To znaczy jako postać w literaturze. Stosunkowo niedawno została odkryta, a jej gwiazda... jak to się mówi, wzeszła bardzo szybko. Za wcześniej, na przykład, żeby zdążyć ze wznowieniem jej książki. Za wcześniej dla tych, którzy podziwiają jej twórczość, aby mogli skutecznie chronić przedmioty związane z...

CRUZZI: Chce pan powiedzieć, że ta sytuacja mogła zainteresować uwagę kogoś, kto nie ma skrupułów...

ROSE: Wiecie, co ja myślę? (ogromnie podniecona). Myślę, że to robota kogoś stąd, z wewnątrz (spogląda na pozostałych, spragniona udziału w tym, co się dzieje).

CRUZZI: Zgadzam się z tym.



SARA: Ktoś stąd? Kto bierze udział w symposium?

JIMROY: Tak. To całkiem możliwe.

SARA: Ale dlaczego ktoś mógłby...?

JIMROY: Ktoś, kto chce dla swoich celów zgromadzić wszystkie osiągalne materiały. Odsunąć nas, nas wszystkich, jako naukowców zajmujących się Mary Swann.

CRUZZI (zadumany): Nie jestem pewien, czy zachłanność naukowca może doprowadzić do takiej ostateczności. Myślę, że ktoś to robi bardziej dla...

ROSE (macha ręką): ...pieniędzy!

JIMROY: Pieniądzy?

CRUZZI: Tak, z tym się zgodzę, dla pieniędzy.

JIMROY: Ciągłe nie rozumiem, jak...

SARA: Ani ja. Ktokolwiek to gromadzi dla spekulacji, nie znajdzie nabywców. Nie ma przecież żadnego rynku zbytu, skoro nie ma tekstów Mary Swann.

JIMROY: Nie mógłbym wyrazić tego lepiej.

ROSE: Szantaż! (mówi to z niebywałą powściągliwością).

CRUZZI: Przepraszam, nie...

ROSE: Nie taki prawdziwy szantaż. Jak to się nazywa! (Próbuje strzelić palcami, ale jej się nie udaje). To jak ktoś ma coś, co ty chcesz mieć - no, tak jak biorą zakładników!

SARA: Masz na myśli okup? Wymuszenie?

JIMROY: No, nie, nie możemy już tak dalece fantazjować.

CRUZZI (głęboko się zastanawia): I myśli pani, że...

ROSE: Tak jest zawsze. W powieściach. Czytałam masę książek tego rodzaju - sensacyjnych, szpiegowskich, kryminalów. Widzicie państwo, Nadeau to małe miasto i niewiele się tam dzieje...

SARA: No, więc co pani sądzi, Rose, co teraz może się stać?

ROSE: Myślę, że kimkolwiek on jest, hm, spróbuje się z nami skontaktować. Odsprzedać nam to... co należało do nas.

CRUZZI: Po wyższej cenie, oczywiście.

SARA: Oczywiście.

JIMROY (zwraca się teraz do Rose z szacunkiem): I myśli pani, że jest to ktoś stąd? Ktoś z nas? W tym hotelu?

SARA: Możemy zrobić tylko jedno, przejrzeć listę uczestników sympozjum...

JIMROY: Dokładnie to chciałem zaproponować. Prawdę mówiąc, przyniosłem listę zgłoszonych do udziału i, hm, jeśli nie jest zbyt późno...

SARA: Tak czy owak, i tak już nie śpimy.

ROSE: Mnie się w ogóle odechciało spać.

CRUZZI: Ilu ich jest? Ze sześćdziesiąt nazwisk?

SARA: Sześćdziesiąt siedem osób. Jeśli odejmiemy nas czworo, a myślę, że spokojnie możemy to uczynić, to zostają sześćdziesiąt trzy osoby.

JIMROY: Zaczynamy? (powiewa spisem uczestników).

ROSE (przejęta): Tak. Niech pan zaczyna!

CRUZZI: Zgoda.

JIMROY (czyta w porządku alfabetycznym): Aldington, Michael J.

CRUZZI: Niestety, nie mogę go...

ROSE (bez wahania): To ten w różowej koszuli. Ma ładne srebrne spinki do mankietów i...

SARA: Z Alberty. Michael jest czysty jak łąza, to nie może być on.

JIMROY: Wykreślamy Aldingtona (maca ręką, szukając czegoś do pisania, przypomina sobie, że jest w pizamie).

SARA: Proszę (podaje mu ołówek).

JIMROY: Dziękuję.

Uwaga reżysera: Wręczanie ołówka musi być tak pokazane, żeby publiczność przekonała się, że Sara i Jimroy doszli wreszcie do pewnego porozumienia. W głosie Jimroya nie ma już wrogości, porzucił swoje skryte wyobrażenie o Sarze, tak samo jak perwersyjny gniew, że utracił to wyobrażenie. Ręka, którą wyciąga po ołówek, drży; teraz uśmiech Sary, z początku zdawkowy, wskazuje, że zrozumiała tę zmianę.

SARA (znacząco): Bardzo proszę.

ROSE: Kto jest następny?

JIMROY: Anders, Peter. To ten z podgardlem jak u indyka. Trochę intrygant.

CRUZZI: Anders. Zdaje mi się, że to jeden z tych, którzy brali udział w dyskusji dziś w nocy. Był okropnie oburzony, co mogłoby wskazywać...

SARA: Chyba więc możemy go wykreślić.

ROSE: Naturalnie, nie można być absolutnie pewnym, tylko dlatego, że był...

CRUZZI: Co w ogóle o nim wiemy?

SARA: Niewiele.

JIMROY: Postawię znak zapytania przy Andersie. Barcross? Susan Barcross.

ROSE: To ta w zamszowych butach.

JIMROY: Wojownicza.

CRUZZI: Miła kobieta.

SARA: Błyskotliwa.

JIMROY: Wykreślić?

SARA: Można.

JIMROY: Herb Block. Myślę, że jest pewny. Pracuje nad Mary Swann dopiero od ubiegłego lata.

SARA: Może go pan wykreślić.

JIMROY: Sydney Buswell?

SARA: Buswell? Ten paranoik...

CRUZZI: Niemniej byłoby śmieszne...

ROSE: To prawda.

JIMROY: Wykreślić?

SARA: Tak.

JIMROY: Już. Butler? Jane Butler?

SARA: Jane Butler. Czy to nie ta...

ROSE: Zielony tweedowy kostium. Pomarańczowa apaszka. Często się rumieni.

CRUZZI: Ta, co pytała o średniki?

JIMROY: Tak. Z Montrealu.

SARA: Ona by nigdy...

JIMROY: Wykreślić?

ROSE: A może znak zapytania. Czasami najbardziej niewinnie...

JIMROY: Znak zapytania? W porządku. Znak zapytania. Byford?

SARA: Tony Byford. Ten z włosami (unoszą ręce, sugerując ogromną fryzurę afro).

CRUZZI: Czarujący chłopak. Niemożliwe, nie ten gatunek.

ROSE: Bardzo uprzejmy. Powiedział mi komplement o...

SARA: Wykreślamy Tony'ego. Kto następny?

JIMROY: Carrington, Richard. Czy on nie jest z...?

SARA: Nie bardzo pamiętam. Na moich warsztatach...

CRUZZI: Z wąsami? Nie mogę go jakoś ułokować...

JIMROY: Znak zapytania? Zawsze możemy się cofnąć.

Uwaga reżysera: Głosy stają się niewyraźne, ale scena trwa jeszcze kilka sekund. Późna godzina i dziwna, improwizowana atmosfera tego minisymposiumu wymaga specjalnego potraktowania.

MUZYKA wybija się ponad głosy, niemal je zagłusza. Dobiegają wybuchy śmiechu, wskazujące na naładowaną atmosferę. Widać Jimroya wykreślającego nazwiska, usta skrzywione w uśmiechu. Rose siedzi ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, zachowuje się z rezerwą. Sara gestykułuje, wyraża wątpliwości, śmieje się. Cruzzi elegancko założył nogę na nogę, wzrusza ramionami, mówi, śmieje się smutno, daje znaki Jimroyowi, żeby jechał dalej. Głosy stają się niewyraźne, potem stopniowo się wyciszają.

Zmiana planu: pokój Sary. Rano. Kilka promieni światła wpada do pokoju. Sara śpi na boku. Rose wyciągnięta na wznak z ustami szeroko otwartymi. Cruzzi śpi w fotelu, ma rozpięty kołnierzyk i rozluźniony krawat, jedną nogę trzyma wyciągniętą na brzegu łóżka. Jimroy zwinął się w kłębek na podłodze, okręcony szlafrokiem Rose. Lista uczestników zjazdu, poznaczona ołówkiem, leży na podłodze obok niego. DŹWIEK: dzwonek telefonu.

SARA (ocknęła się ze snu, po omacku sięga po słuchawkę i, trochę zachrypnięta, mówi): Halo. Halo. Tak, toja... Steve! (wsuwa się sennie pod kołdrę z telefonem przy twarzy). Oczywiście...! Nie, mała ma się świetnie, naprawdę. (Przykłada rękę do brzucha, uśmiecha się). Nie skarży się ani trochę. Bardzo lubi podróżować. Nie... nie... tak... też samotnie. Wiem. (Rozgląda się po pokoju, patrzy na Cruzziego, Rose, Jimroya). Nie, naprawdę... Tak... Ja też, wiesz, że tak (śmieje się)... Cóż mam powiedzieć? Wiem... ja także... przyrzekam, tak... Pa! (Odstawia telefon. Naprzeciw siebie ma Cruzziego, widzi, że się uśmiecha, choć

ma zamknięte oczy; Rose udaje, że śpi, ale uważnie nadśluchuje; Jimroy rozpaczliwie zaciska powieki).

CRUZZI (wstaje z fotela, zeszywniały, zgięty w pół, przechodzi do łazienki okraczając nad nogami Jimroya): Dzień dobry, towarzysze niedoli.

ROSE (wyśpiewując): Dzień dobry.

JIMROY: O, już rano (patrzy z przyjemnością na słońce wpadające do pokoju).

SARA: Kto ma ochotę na śniadanie? (sięga po telefon).

ROSE: Zjadłabym konia z kopytami.

SARA (do telefonu): Trzy pełne śniadania - specjalność ulicy Bay, sok pomarańczowy, bekon, jajka, tosty, kawa, a ponadto jedne płatki pszenne z podwójnym mlekiem i podwójny sok pomarańczowy. (Siada i przeciąga się).

Przejście: Pokój Sary, Śniadanie.

Sara i Rose siedzą na brzegu łóżka, przed nimi stolik ze śniadaniem. Naprzeciw nich na drugim łóżku siedzą Jimroy i Cruzzi. Jimroy, z płamką od jajka na brodzie, ponownie sprawdza listę.

JIMROY (urzędowym tonem): A więc szybki przegląd, z jednym znakiem zapytania - Anders, Carrington, Gorham, Loftus, Norchuk, Oldfield, Skeleton i Tolliver.

ROSE: A Urbański? Co się stało z Urbańskim?

JIMROY: Z kim?

SARA: Z tym z Los Angeles. W krótkich skarpetkach. Chyba zdecydowaliśmy, że jest w porządku.

CRUZZI: Musiałem przysnąć w tym punkcie.

JIMROY: Teraz podwójne znaki zapytania - Crozier, Hall i Webborn.

SARA: A dalej?

JIMROY: Potrójny znak zapytania - Lang.

CRUZZI: Willard Lang. Rzeczywiście musiałem zasnąć.

JIMROY: Nigdy nie miałem zaufania do tego człowieka. Ktoś z nas dzisiaj musi go zapytać, czy ma jeszcze swój egzemplarz „Łabędzich pieśni”.

SARA: Zgłaszam się na ochotnika.

ROSE: Czy to nie byłoby zabawne...

SARA: Gdyby co, Rose?

ROSE: Hm, gdybyśmy tak się wszyscy zebrali, sześćdziesiąt siedem osób, wszyscy po to, żeby mówić o wierszach Mary Swann, i gdyby... gdyby tylko jedna osoba z nas wszystkich miała ten tom wierszy?

SARA: To rzeczywiście byłoby dziwne.

JIMROY: Statystycznie rzecz biorąc...

CRUZZI: Przypuszczam, że to możliwe.

JIMROY (z goryczą): Oczywiście, niektórzy z nas przyjechali tutaj z książką i...

CRUZZI: No cóż, moje cztery egzemplarze z pewnością zniknęły.

ROSE: I mój też. Nie mam pojęcia, jak mogłam...

SARA (jedząc łyżką płatki): Na szczęście ja mam swój.

CRUZZI (uszcześliwiony): Ma pani! Nie sądziłem, że pani...

SARA: No nie, nie ze sobą. Faktycznie, nie przywiozłam go. Pożyczyłam znajomemu, a on mi jeszcze nie zwrócił.

Uwaga reżysera: Twarz Sary i jej głos muszą wyrażać ciepłe uczucie. Sara wyprostowuje się, uśmiecha, przygryza dolną wargę przy słowie „znajomemu”.

CRUZZI: Jest pani pewna, że rzeczywiście ją odda... ten pani znajomy?

SARA: Och, Brownie nigdy by nie zgubił książki. Ma antykwariat, handluje rzadkimi okazami. Książki... (chwilę się namyśla)... książki dla Browniego są świętością. Nie dba o nic innego, ale o książki, no, z książkami obchodzi się...

JIMROY: Gdzie on jest? Ten egzemplarz, który pożyczył? (Pytanie zadaje oschłym, prawie niegrzecznym tonem).

SARA: Gdzie?

JIMROY: Chciałbym wiedzieć, czy pani może dostać go do rąk. Dzisiaj?

CRUZZI: Dobra myśl.

SARA: Przypuszczam, że mogę do niego zatelefonować. (Uśmiecha się na tę myśl). Żeby się upewnić (patrzy na zegarek).

Zawsze jest tam już przed ósmą, prawdziwy pracoholik. To część jego... zawsze tak pracował.

ROSE (oddaje jej telefon): Proszę.

SARA (patrzy na pozostałych): Może... może powinienam... zadzwonić do niego prywatnie. On jest trochę...

ROSE: Tak czy inaczej, ja idę do siebie. Muszę się ubrać. Robi się późno.

CRUZZI (taktownie): Ja też już powinienem iść. (Pociera brodę). Trzeba się chyba ogolić.

JIMROY (zbiera arkusze papieru): I ja muszę się jakoś przemknąć do siebie. (Wskazuje na piżamę).

ROSE: Ja tak samo. (Śmieje się. Jimroy wzdryga się, potem wychodzi za nią).

Zaledwie wyszli, Sara podnosi słuchawkę. Usiłuje się opanować, przygląda włosy, głęboko oddycha, potem nakręca numer niemal z dziecinnym zastanowieniem.

SARA: Halo. Halo. Tu Sara Maloney. Przepraszam, czy mogę mówić z Browniem? Z panem Brownem. Tak... Och... (rozczarowana). Hm, a kiedy wróci...? Jest pani pewna...? No cóż, zatem kiedy można się go spodziewać? Chciałabym go jakoś dzisiaj złapać. Wynikła pewna sprawa, urzędowa... Nie, nie sądzę, muszę z nim porozmawiać poufnie, ponieważ... A czy przypadkiem nie wie pani, gdzie teraz może być...? Nie, chętnie poczekam... (czekając, nuci, stuka palcami w stół, uśmiecha się). Tak. Ale przecież ktoś musi wiedzieć, gdzie on jest, mam na myśli, że może zostawił jakiś... Rozumiem. Tak. Ale musiał coś wpisać w swoim kalendarzu spotkań... Tak, zaczekam. (Nerwowo gładzi włosy, potem nawija pasmo na palec). Tak. To wszystko...? Tylko jedno słowo... Rozumiem, sympozjum (odkłada słuchawkę i przez chwilę siedzi na krawędzi łóżka, nie może się ruszyć). Sympozjum.

Zmiana planu: sala konferencyjna. Rano.

Uczestnicy sympozjum zajmują miejsca. Panuje sympatyczny nastrój, wszyscy są odprężeni, ale wyraźnie na coś czekają.

PAN Z MINĄ ŚWIĘTOSZKA: ...trochę jesteście dzisiaj spóźnieni...

WESOŁE OCZY: ...niepodobne do Langa, żeby...

MOCNY SUPEŁ: Co za noc! Mam cholernego kaca...

SREBRNE SPINKI: No, nareszcie to, na co naprawdę czekamy...

SKOROSZYT: ...dlatego tylko przyjechałem, jeśli chcecie znać prawdę...

CRUZZI (do Jimroya, który siedzi obok niego): No i co, myśli pan, że to naprawdę się zdarzy?

JIMROY (niezwykle sceptyczny): Obiecał, że będzie mówił o miłosnych wierszach, ale jak dotąd nie przedstawił samych wierszy.

ROSE (siedzi obok nich): No, jest Sara (woła), tutaj! Zająłam ci miejsce.

SARA (oszołomiona): Już za kwadrans dziesiąta. Myślałam, że się spóźniłam.

ROSE (konspiracyjnym szeptem): Dodzwoniłaś się? Do swojego... znajomego?

SARA: Nie. (Twarz ma ściągniętą, nie może zrozumieć, co się stało, mówi jak w transie). Wyjechał... z miasta.

ROSE: Możesz spróbować później.

SARA: Nie! (Urywa, gwałtownie potrząsa głową). Nie sądzę.

SREBRNE SPINKI (głośno): Hej, co się dzieje? Sądziłem, że Willard ma zacząć o wpół do dziesiątej.

ZMARSZCZONE CZOŁO (przy mównicy): Drodzy państwo, koleżanki i koledzy! Okazuje się, że profesor Lang się spóźni. Jestem pewien, że za parę chwil tu będzie.

PAN Z PODGARDLEM JAK U INDYKA: ...facet zasnął...

RUDY KUCYK: ...nie Lang, on jest zawsze na czas...

ZIELONY TWEEDOWY KOSTIUM: Co do mnie, nie mogę za długo siedzieć na takim krześle.

ZADUMANA POSTAWA: Co dla jednego ucha brzmi jak wiersz miłosny, dla innego jest tylko...

PLĄCZLIWY GRYMAS: ...wabieniem ptaków i godowym tańcem...

SKOROSZYT: ...jest odkrywcą dopiero w załączku, ale udało mu się dotrzeć do tych elementów, które są najbardziej lubiane.

ZIELONY TWEEDOWY KOSTIUM: Już prawie pora na przerwę...

ZMARSZCZONE CZOŁO (ponownie wchodzi na mównicę): Telefonowaliśmy przed chwilą do pokoju profesora Langa, a ponieważ nie odpowiada, sądzimy, że jest w drodze. Proszę o cierpliwość i pozostanie na miejscach jeszcze przez chwilę.

Jak na dany znak, w sali zapada cisza. Wszystkie oczy są skierowane na pustą mównicę i na wiszący nad nią zegar. Jedyne odgłosy to chrząkanie, pokaszływanie, wzdychanie i szuranie butów. Jest teraz 10.00 rano. Ktoś szeleści



papierami, atmosfera oczekiwania. Zegar właściwie nie tyka, ale wszystkim się zdaje, że słyszą tykanie. Mijają sekundy, potem minuty. Jest 10.02. Zmarszczone Czoło znowu podchodzi do mówniicy.

ZMARSZCZONE CZOŁO: Jestem przekonany, że lada moment...

KOBIETA W TURBANIE: Czy ktoś sprawdzał w kawiarni?

ZMARSZCZONE CZOŁO: Nie ma go tam. Sprawdzaliśmy.

SARA (wstając): Może ktoś z nas powinien iść na górę zobaczyć, czy...

JIMROY (zrywa się): Chętnie pójdę. Uważam, że i tak za długo czekamy (zmierza ku drzwiom).

ROSE- Pójdę z panem, panie Jimroy. Dotrzymam panu towarzystwa.

SARA: To może i ja pójdę. Nie zaszkodzi.

CRUZZI: Ja tylko...

ZMARSZCZONE CZOŁO: Hm, to i ja chyba także za państwem.

KOBIETA W TURBANIE: To i ja także.

KRAWAT W NIEBIESKIE KROPKI: Chyba i ja mogę pójść...?

ZMARSZCZONE CZOŁO: Może jest chory.

Grupa dziesięciu czy dwunastu osób zbiera się szybko i idzie w stronę windy. MUZYKA: piskliwa melodia jak na kobzie, głównie instrumenty strunowe, także dudy. Mały, milczący tłumek wciska się w korytarz. Nadjeżdża winda i cała grupa jak jeden mąż wchodzi do windy. KAMERA idzie za nimi. Wszyscy milczą.

JIMROY (mówi tonem wiceadmirała): Chyba dwudzieste czwarte piętro. A potem korytarzem, niedaleko mojego pokoju.

CRUZZI: Tak (naciska guzik i winda szybko jedzie do góry).

ROSE (chwytnąc powietrze): Jesteśmy.

Grupa wychodzi z Sarą na czele. Długie ujęcie KAMERY milczącego pochodu, który idzie korytarzem.

SARA (zatrzymuje się pod drzwiami): To tutaj (puka, nie ma odpowiedzi).

KOBIETA W TURBANIE: Proszę spróbować jeszcze raz.

SARA (puka ponownie): Cisza... (Przykłada ucho do drzwi, nasłuchuje, znowu puka. Przesuwa się, żeby Cruzzi także posłuchał).

Cruzzi przyciska ucho do drzwi, słucha i kiwa głową, potem odstepuje miejsce Zmarszczonemu Czołu, który powtarza procedurę.

ROSE (przepycha się do drzwi, przykładła ucho do drzwi): Słyszę coś (podnosi palec do góry, nakazując ciszę).

Uwaga reżysera: Z daleka dochodzi stłumiony głos Langa, który wali w ścianę i coś woła. Jego krzyki są coraz głośniejsze i rozpaczliwe, ale także trochę teatralne i nieco przesadne.

LANG: Na pomoc! Na pomoc!

ROSE (do pozostałych): Słyszą państwo? Ktoś woła o pomoc (próbuje otworzyć drzwi).

LANG: Ratunku! Pomóżcie mi się stąd wydostać!

ROSE: To profesor Lang.

Przejście: wewnątrz hotelowego pokoju Langa. Ten sam czas.

KAMERA skierowana na drzwi do łazienki, przewiązane sznurem od zasłon, na klamce zaciśniętym w pętlę i przymocowanym do gałki szafy na ubrania stojącej w pobliżu.

LANG (z łazienki): Niech mnie ktoś wydostanie!

Uwaga reżysera: Ponieważ użycie sznura od zasłony, podstawowego przedmiotu w filmach kryminalnych, jest tutaj zamierzone jako ironiczny ukłon w kierunku tego gatunku filmów, KAMERA zatrzymuje się na sznurze kilka sekund, dopiero potem przenosi się na pokój i ukazuje intruza w uniformie hotelowej obsługi. Jest niski, zwinny, ma kręcone włosy, pośpiesznie wpycha papiery w poszewkę od poduszki. To ten sam mężczyzna, na którego Rose natknęła się na schodach poprzedniego wieczoru.

Przejście: Korytarz. W tym samym czasie.

ROSE: Uważam, że powinniśmy wyważyć drzwi.

CRUZZI (rozsądnym tonem): Jestem pewny, że dostaniemy klucz w recepcji...

ZMARSZCZONE CZOŁO: Niech ktoś zadzwoni na dół. A ja zaraz...

KOBIETA W TURBANIE: Co on tam woła?

JIMROY (zawsze honoruje pytania): Zdaje się, że wciąż woła pomocy.

ROSE: Jedyne rady - to wyłamać drzwi.

SARA: Rose ma rację...

KRAWAT W NIEBIESKIE KROPKI: Jeśli popchniemy wszyscy...

JIMROY (tonem wiceadmirała): Raz, dwa, trzy, pchać! (Mimo że wszyscy razem pchają, idzie im to niezgrabnie, niezdarnie, prawie śmiesznie, a drzwi ani drgną).

LANG (zduszonym głosem): Pomocy! Ratunku!

ROSE: Spróbujmy jeszcze raz. Raz i dwa i trzy!

Zmarszczone Czoło wraca z trzema hotelowymi boyami, jeden z nich ma klucz. MUZYKA: głośny trzask orkiestry; muzyka taka jak w westernach, tradycyjnie towarzysząca nadejściu ludzi szeryfa.

Przejście: pokój Langa. Ten sam czas.

Zbliżenie KAMERY na intruza, który pospiesznie chowa papiery, słysząc rumor na korytarzu. Patrzy na prawo i na lewo, podchodzi do okna i otwiera je. Przez chwilę wygląda na ulicę z dwudziestego czwartego piętra. Wysuwa worek za okno i bardzo niechętnie zrzuca go na dół akurat w momencie, kiedy Jimroy, Cruzzi, Sara i pozostali wypełniają pokój. Intruz zrećnie wślizguje się za zasłonę, tę samą, z której zdjął uprzednio sznur.

LANG: Jestem w łazience!

ROSE: Jest w łazience. Patrzcie, sznur od zasłony!

LANG: Wydostańcie mnie stąd!

Uwaga reżysera: Podniecenie zgromadzonych przy drzwiach łazienki jest tak wielkie, że nikt nie słyszy słabego, afektowanego głosu Langa. Wszyscy mówią naraz, a Jimroy szarpie za sznur.

Przejście: fasada budynku hotelowego. KAMERA śledzi poszwę od poduszki, spadającą na dół. Część zawartości już po drodze wylatuje, mieszając się ze śniegiem, wiatr unosi papiery na sąsiednią ulicę.

Przejście: pokój Langa. Ten sam czas.

LANG (zataczając się, wychodzi z łazienki; ma na sobie krótkie majtki i ręcznik, jest wstrząśnięty): Właśnie się kąpałem, kiedy...

CRUZZI (rozglądając się): Wygląda na włamanie.

ROSE: Sprawdzić szafy. Pod łóżkiem...

LANG (histerycznie): Na litość boską, mniejsza o to! Moje papiery...

SARA: Co dokładnie panu zabrano?

LANG (szalejąc, z teatralną przesadą): Moje papiery! Lata ciężkiej pracy!

JIMROY: ...chyba zabrał wszystkie.

ROSE: Poszwa od poduszki... na poduszcze nie ma powleczenia!

CRUZZI: ...wykorzystał chwilę...

LANG: Wiersze miłosne. Nie mówcie mi tylko, że i wiersze miłosne (przesadnie wymachuje rękami, biadoląc, ale twarz ma czujną). Trzymałem te wiersze tam, na komodzie. Oryginały!

RUDY KUCYK: Spokojnie, kolego, spokojnie!

KRAWAT W NIEBIESKIE KROPKI: Odsuńmy się, dajmy mu odsapnąć.

MEŹCZYŻNA Z NIEBYWAŁĄ FRYZURĄ AFRO: Jezu! Jest w szoku, lepiej wezwijmy lekarza.

ROSE: No i hotelowego detektywa.

ZMARSZCZONE CZOŁO: Wody! Niech ktoś mu da trochę wody.

KOBIETA W TURBANIE (do Langa): Proszę. Niech pan weźmie mój płaszcz przeciwdeszczowy. Koniecznie!

Uwaga reżysera: Ważne jest, aby zamieszanie w tej scenie (która trwa nie dłużej niż minutę) było oczywiste; musi być niejasne i ożywione jednocześnie, wypełnia pokój jak zamieć śnieżna i jakby paraliżuje percepcję tych, którzy biorą w tym udział. Wszyscy Swannianie skupiają się wokół Langa i mówią jednocześnie. Nikt nie widzi, że intruz wysuwa się zza zasłony i nonszalancko przechodzi obok nich do drzwi. Zanim jednak zniknie w korytarzu, ogląda się przez ramię. Tylko Willard Lang, który usiłuje włożyć płaszcz przeciwdeszczowy i papple coś bez związku, chwytą i przez najkrótszy moment przytrzymuje wzrok intruza. Spojrzenie, jakie wymieniają, jest przebiegłe i zawiera niejasne poczucie winy - na tyle dwuznaczne, żeby stanowić zagadkę dla myślących kinowych widzów, którzy nad filiżanką kawy, gdy wracają do domu z miejscowych kin, lubią analizować niejasności i różnorodne rozwiązania powieści.

Przejście: Ten sam czas. Długie ujęcie intruza, który biegnie korytarzem do schodów z napisem EXIT. KAMERA kieruje się na twarz Sary, która wychodzi na korytarz i patrzy za biegnącą postacią.

SARA: Brownie? (Szepcze jego imię, a potem powtarza je głośniejszym głosem, nawet nierozważnie). Brownie?

Uwaga reżysera: Intruz - nie wiadomo, czy swoje imię słyszy, czy nie - wpada do drzwi wyjściowych. KAMERA zatrzymuje się na twarzy Sary - najpierw zaskoczony, potem smutny, zastanawiający się, wreszcie wyrażający zrozumienie. Sara otwiera usta, po raz ostatni wymawiając słowo „Brownie”, i raptownie je zamyka. Przykłada dłoń do ust i tak pozostaje.

Zmiana planu: sala konferencyjna. Później, tego samego dnia. Trwa sesja,

ale nie ma nikogo na mównicy ani żadnego prowadzącego obrady. Uczestnicy skupili się w swego rodzaju kole, rozmawiają, podrzucają zapamiętane poetyckie wersy, pracowicie składając jeden z wierszy Mary Swann. Sara zapisuje to, trzymając na kolanach skoroszyt.

Końcowa uwaga reżysera: Twarze aktorów lekko zmienione. Są złączeni uroczystym aktem rekonstrukcji, a może nawet aktem tworzenia. Nie należy sugerować, że obecni tutaj będą w przyszłości mniej samolubni, nie tak nieznośni, nie tak bardzo zżerani myślą o stałym etacie uniwersyteckim czy akademickiej sławie; ale teraz, przynajmniej na tę chwilę, każdy z nich przestał myśleć jedynie o swoich osobistych sprawach.

BUSWELL: Wszyscy zatem zgadzamy się co do pierwszej linijki.

PAN Z PODGARDLEM JAK U INDYKA (cytuje): „Bywa, że czasem, kiedy szukamy”...

WESOŁE OCZY: Tak, tak właśnie. Zapisała pani?

SARA (zapisuje w notesie): „Bywa, że czasem, kiedy szukamy”. Jest pani pewna?

MĘŻCZYŻNA Z NIEBYWAŁĄ FRYZURĄ AFRO: Druga linijka?

ZADUMANA POSTAWA: To dalszy ciąg pierwszej, przerzutnia.

Jestem niemal pewny - „Bywa, że czasem, kiedy szukamy/ Zgubionej rzeczy, książki, obrazu”.

ZMARSZCZONE CZOŁO: Tak, dobrze. Wiem na pewno.

SARA: W każdym razie blisko. Co mamy dalej?

KOBIETA W TURBANIE: ...”książki, obrazu/ Monety, łyżki”.

ZIELONY TWEEDOWY KOSTIUM: Chwileczkę! Czy to było: „łyżki, monety” czy „monety, łyżki”?

PAN Z MINĄ ŚWIĘTOSZKA: Chyba „Monety, łyżki”. Tak.

JIMROY (cytuje): „Coś nagle zjawia się w pamięci”...

CRUZZI: „Nie całkowity cień, lecz co byłoby nim”.

SARA (podnosi wzrok): „Gdzieś w kącie mrocznym”.

MUZYKA: mocne, ciężkie organy. Słowa wiersza stają się niewyraźne, wybija się tylko głośny miarowy rytm.

BUSWELL: „Jak gdyby rzecz zgubiona się cofnęła/ Do swej istoty...”

ZAMSZOWE BUTY: ...”książka znów się stała...”

JIMROY: „Papierem, lasem, myślą”.

ZMARSZCZONE CZOŁO: „Moneta, łyżka zwykłym kruszczem”.

KOBIETA W TURBANIE: „Bez blasku, bez historii”.

KRAWAT W NIEBIESKIE KROPKI: „Czekają niewidoczne”.

MUZYKA trwa. KAMERA kieruje się na fotografię Mary Swann; NAPISY biegną nałożone na fotografię, zebrani dalej mówią wiersz.

SARA: „Stając się częścią większej straty”.

CRUZZI: „Której imienia nie pamiętasz”.

KOBIETA W TURBANIE: „Ni definicji jej, ni kształtu”.

JIMROY: „Tej, która nas dotyka”.

CRUZZI: „W hańby momentach”.

Mary Swann

#### ZGUBIONE RZECZY

Bywa że czasem kiedy szukamy  
Zgubionej rzeczy, książki, obrazu  
Monety łyżki,  
Coś nagle zjawia się w pamięci –  
Nie całkowity cień lecz co byłoby nim  
Gdzieś w kącie mrocznym.

Jak gdyby rzecz zgubiona się cofnęła  
Do swej istoty, książka znów się stała  
Papierem lasem myślą,  
Moneta łyżka zwykłym kruszczem,  
Bez blasku bez historii,  
Czekają niewidoczne

Stając się częścią większej straty  
Której imienia nie pamiętasz  
Ni definicji jej ni kształtu  
Tej która nas dotyka  
W hańby momentach.

# *Spis treści*

Sara Maloney	7
Morton Jimroy	69
Rose Hindmarch	125
Frederic Cruzzi	179
Symposium poświęcone Mary Swann . . .	237